

ZNAK

M I E S I Ę C Z N I K

Kraków LISTOPAD (11) 1997

510

TREŚĆ ZESZYTU:

- 3 *Od redakcji*
-
- 4 *KAPŁAŃSTWO NOWEGO PRZYMIERZA* *Ks. Andrzej Zuberbier*
-
- 18 *PRYWATNA WIARA KSIĘDZA* *Ks. Grzegorz Ryś*
-
- 22 *TOWARZYSZYĆ WZRASTANIU* *Ks. Jerzy Bagrowicz*
O seminarium duchownym dyskusyjnie
-
- 36 *KSIĄDZ W PARAFII* *Ks. Mieczysław Nowak*
-
- 40 *STARSI KOŚCIOŁA* *Ks. Tomasz Węclawski*
-
- 49 *FARYZEUSZ I APOSTOŁ* *Ks. Dariusz Oko*
-
- 58 *KAPŁAŃSTWO W HISTORIĘ WPISANE* *Ks. Jan Kracik*
-
-

ANKIETA „ZNAKU”

- 69 *TWARZE KAPŁAŃSTWA*
- 69 *Józef Augustyn SJ*
- 73 *Ks. Henryk Bolczyk*
- 76 *Ks. Zdzisław Chlewiński*
- 83 *Ks. Michał Czajkowski*
- 85 *Ks. Roman Indrzejczyk*
- 88 *Wojciech Jędrzejewski OP*
- 90 *Ks. Franciszek Kamecki*
- 96 *Paweł Kozacki OP*
- 100 *Ks. Andrzej Luter*
- 103 *Ks. Jan Machniak*
- 106 *Andrzej Madej OMI*

109	<i>Ks. Henryk Małecki</i>	
112	<i>Ks. Marek</i>	
117	<i>Ks. Krzysztof Martwicki</i>	
119	<i>Ks. Bogusław Mielec</i>	
125	<i>Ks. Jan Sikorski</i>	
126	<i>Ks. Jan Sochoń</i>	
130	<i>Ks. Artur Stopka</i>	
133	<i>Ks. Henryk Szmulewicz</i>	
135	<i>Ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkineł</i>	
139	<i>Ks. Bogusław Wójcik</i>	
<hr/>		
142	LIST OD BYŁEGO KSIĘDZA	
	Do wszystkich znanych i nieznanym przyjaciół	
<hr/>		
148	POLOWANIE NA IDEE	
	WOKÓŁ LISTU BYŁEGO KSIĘDZA	
<hr/>		
166	BIBLIA A CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY (5) CO NALEŻY DO BOGA?	<i>Anna Świderkówna</i>
<hr/>		
171	MUZYKA I MYŚL (5) BACH I LEIBNIZ	<i>Bohdan Pocięj</i>
<hr/>		
176	ZDARZENIA - KSIĄŻKI - LUDZIE W OCZEKIWANIU NA NOWĄ GODZINĘ CHRZEŚCIJAŃSTWA	<i>Paweł Lisicki</i>
<hr/>		
183	SPIS PRAWD TRUDNO STRAWNYCH	<i>Elżbięta Wolicka</i>
<hr/>		
191	TRUDNE CHRZEŚCIJAŃSTWO	<i>Grzegorz Górny</i>
<hr/>		
197	WTROSCE O DUCHA	<i>Jarosław Gowin</i>
<hr/>		
201	SZTUKA ŻYCIA, SZTUKA UMIERANIA	<i>Joanna Petry Mroczkowska</i>
<hr/>		
205	IRONIA I WIZJA	<i>Maciej Mazurek</i>
<hr/>		
210	KWARTALNIKI, MIESIĘCZNIKI, TYGODNIKI... BYĆ Z KSIĘDZEM DZISIAJ	<i>Wojciech Bonowicz</i>
<hr/>		
215	SUMMARY	
<hr/>		
216	SOMMAIRE	
<hr/>		

Od redakcji

Być księdzem dzisiaj. „Nie ulega wątpliwości”, pisze Jan Paweł II w „Darze i tajemnicy”, „że kapłan wraz z całym Kościołem żyje w swojej epoce i jest uważnym i życzliwym, ale także krytycznym i czujnym obserwatorem tego, co dokonuje się w historii. (...) Ale niezależnie od koniecznej odnowy duszpasterskiej jestem przekonany, że kapłan nie powinien się obawiać być »nienowoczesnym«, ponieważ to ludzkie »dziś« kapłana jest osadzone w »dziś« Chrystusa Odkupiciela.” Oto wielka tajemnica (i zadanie) kapłana – pogodzić to, co „niezmienne nowe”, z tym, co zaskakuje, stanowi wyzwanie. „O wszystko to, czego potrzebuje w wymiarze ekonomicznym, społecznym i politycznym, [człowiek współczesny] może zwrócić się do innych. Kapłana prosi o Chrystusa!” – podkreśla z mocą Papież.

Kiedy rok temu przystępowaliśmy do pracy nad niniejszym numerem, książka Ojca Świętego trafiła właśnie do księgarń. Niebawem pojawiły się inne publikacje poświęcone kapłaństwu we współczesnym świecie i w Polsce. To, że w sytuacji polskiego księdza w ostatnich latach „coś się zmieniło” (i zmienia), nie ulega dziś wątpliwości. Pozostaje opisać to „coś” i postawić pytania: jak reagują na tę zmianę sami księża? jak przyjmują ją świeccy? W niniejszym „Znaku” oddaliśmy głos tym pierwszym. Czekamy jednak również na wypowiedzi tych drugich – bez względu na to, czy sytuują siebie w obrębie Kościoła, czy też poza nim. To, jaki będzie polski ksiądz jutro, jest bowiem sprawą nas wszystkich.

KAPŁAŃSTWO NOWEGO PRZYMIERZA

Ks. Andrzej Zuberbier

Z historii

To, od czego chciałbym zacząć, zostało świetnie powiedziane w „Tygodniku Powszechnym” z 13 lipca 1997, w niedługim artykule Józefa Majewskiego *Życie jak liturgia*. Słowo „kapłan”, które wydaje się oficjalnym odpowiednikiem potocznego „ksiądz”, nie jest nazwą biblijną określającą tych, którzy w Kościele spełniają posługę pierwotnie pełnioną na polecenie samego Jezusa przez Apostołów. Nazwa „kapłan” stosuje się w Nowym Testamencie jedynie do samego Jezusa Chrystusa (w Liście do Hebrajczyków) i do wszystkich Jego wyznawców (w Pierwszym Liście św. Piotra i w Apokalipsie św. Jana).

Autor Listu do Hebrajczyków stanął po upadku Jerozolimy w roku 70, zniszczeniu świątyni żydowskiej, braku arcykapłana i zaprzestaniu składania Bogu codziennych ofiar wobec rozpacz i żalu nawet ze strony tych Żydów, którzy już byli wyznawcami Jezusa jako Mesjasza i Zbawiciela. I tłumaczył im, że prawdziwy kult Boży zmienił się, ale nie ustał. Że to, co znaczyła świątynia i ofiary, trwa nadal, właśnie dzięki Chrystusowi. To On jest jedynym najwyższym Kapłanem według nowego, choć zapowiedzianego przez Boga „porządku”, mianowicie według „porządku” Melchizedeka. Kapłaństwo Jezusowe jest nawet wyższe i doskonalsze od kapłaństwa żydowskiego, Aaronowego, tak jak Melchizedek – kapłan Boga Najwyższego – był doskonalszy od Abrahama, który mu złożył dziesięcinę i którego Melchizedek błogosławił. Lewi, ojciec tego pokolenia izraelskiego, które stać się miało pokoleniem kapłanów i sług świątyni, uznawał już w ten spo-

sób wyższość kapłaństwa Melchizedeka, będąc jeszcze „w lędźwiach” Abrahama (Hbr 7, 10). Jednym z konkretnych przejawów tej wyższości jest trwałość kapłaństwa Chrystusa. Ponieważ żyje On po swoim zmartwychwstaniu, zasiadając po prawicy Bożego Majestatu w niebie, dlatego nie potrzebuje i nie może mieć następców jako Arcykapłan. Swą arcykapłańską funkcję spełnia nadal, z nieba, mocą swego Ducha. Niebo nie znaczy dla Niego żadnego oddalenia od ziemi: „Jestem z wami przez wszystkie dni...” (Mt 28, 20). Zapamiętajmy to. Jest to istotnie ważne dla rozumienia posługi spełnianej przez księży, „kapłanów” Nowego Przymierza.

Jak kapłaństwo Chrystusowe tak i Jego ofiara jest najdoskonalsza. Jest doskonalsza od ofiar składanych Bogu w zniszczonej przez Rzymian świątyni jerozolimskiej – tłumaczy swym czytelnikom autor Listu do Hebrajczyków. Tamte ofiary były jedynie cieniem i zapowiedzią ofiary złożonej przez Jezusa. Ofiarą Jezusową było Jego życie oddane Bogu Ojcu na krzyżu za ludzkie grzechy. To była prawdziwa, nieskończenie doskonała i nieskończenie skuteczna ofiara: złożona z własnej krwi, usprawiedliwiająca rzeczywistość wszystkich ludzi – grzeszników. Dlatego była i nie mogła nie być ofiarą złożoną raz jeden, ofiarą jedyną.

Nie płaczcie zatem – zdaje się mówić autor Listu do Hebrajczyków chrześcijanom pochodzącym z Izraela. Nie płaczcie za zburzoną świątynią, kapłanami i ofiarami... Naszą świątynią, prawdziwą i ostateczną, jest niebo, w którym zamieszkuje Bóg, do którego wszedł Jezus – Arcykapłan Nowego Przymierza (a już nie arcykapłan z rodu Aarona, który raz do roku wchodził do miejsca „świętego świętych” w świątyni jerozolimskiej), i to wszedł z krwią własną, a nie z symbolizującą ją krwią zwierząt złożonych w ofierze.

Jezus jest człowiekiem i Bogiem. Jest Synem Bożym, którego Ojciec posłał na świat, Słowem, które stało się ciałem, jest objawieniem Ojca, jest „Panem i Mesjaszem”... W porównaniu do tych określeń nazywanie Go Arcykapłanem jest jakby drugoplanowe i przygodne...

Kapłanami nazywani są w Nowym Testamencie wszyscy wyznawcy Jezusa. „Wy jesteście – tak mówi św. Piotr do współwyznawców, cytując słowa Księgi Wyjścia i zawarcia pierwszego Przymierza – wy jesteście wybranym plemieniem, królewskim kapłaństwem, narodem świętym, ludem Bogu na własność przeznaczonym, abyście ogłaszali dzieła potęgi Tego, który was wezwał z ciemności do przedziwnego swojego światła” (1 P 2, 9). „Światło” to w Nowym Testamencie Jezus i wiara w Niego. Apokalipsa nazywa wyznawców Chrystusa wprost kapłanami: Chrystus uczynił nas „królestwem – kapłanami Bogu i Ojcu swojemu” (1, 6).

Kapłanami nazywa się tu zatem wszystkich ochrzczonych, wyznawców Jezusa, bez rozróżniania świeckich i duchownych. Określenie „kapłaństwo” czy „kapłani” znaczyć zaś miało nie tylko możliwość czy powołanie do składania Bogu kultu na mocy zawartego przez Boga Przymierza z całym, wy-

brany przez Niego Ludem, ale oddawanie Bogu kultu w Jezusie: tak jak On i wraz z Nim.

Tych, których my dzisiaj nazywamy kapłanami, Nowy Testament określa dwoma słowami: prezbiter, to znaczy starszy, i biskup (greckie *episkopos*), to znaczy dozorujący, strzegący czegoś. W dodatku obie te nazwy używane są także zamiennie, co znaczy, że za czasów apostołskich nie było jeszcze istotnego rozróżnienia biskupów i prezbiterów. Sami apostołowie stanowili grono najwyższych, odpowiedzialnych pasterzy Kościoła. Poza prezbiterami i biskupami Nowy Testament mówi jeszcze o posłudze diakonów. Mieli oni we wspólnotach wyznawców Jezusa dopomagać biskupom czy prezbiterom.

Jest sprawą bardzo trudną, jeśli nie wręcz niemożliwą, odtworzyć ten proces, który miał miejsce w końcu pierwszego wieku, a w rezultacie którego kolegium biskupów weszło na miejsce kolegium apostołów. Wiadomo jednak z listów św. Ignacego Antiocheńskiego, że z początkiem wieku II w każdym z Kościołów chrześcijańskich, tzn. w każdej wspólnotie chrześcijan w danym miejscu, był tylko jeden odpowiedzialny za ten Kościół biskup, otoczony gronem prezbiterów i diakonów. Przy czym, choć każdy z biskupów odpowiedzialny jest za swój Kościół, to wraz z innymi biskupami odpowiedzialny jest, jak apostołowie, za Kościół na całym świecie.

Chyba jeszcze trudniejszą sprawą niż następstwo kolegium biskupów po kolegium apostołów jest proces rozwarstwienia się chrześcijan na świeckich i duchownych. Nie chodzi o to, żeby nie miało być między nimi różnicy. Jest ona dobrze widoczna już w pismach Nowego Testamentu. Apostołowie powierzają niektóre spełniane przez siebie funkcje siedmiu mężom, cieszącym się dobrą sławą, pełnym Ducha i mądrości, na których modląc się wkładali ręce (por. Dz 6, 3. 6). Barnaba i Paweł w czasie swojej apostołskiej podróży w każdym Kościele, a więc w każdej wspólnotie tworzonej przez tych, którzy uwierzyli, wśród modlitw i postów ustanawiali starszych (por. Dz 14, 23). Specyficzne funkcje spełniane w Kościołach przez prezbiterów i biskupów nie różnicowały jednak społecznie tych pierwszych wspólnot chrześcijańskich. Prezbiterzy (dodajmy: i diakoni) mimo spełnianych przez siebie we wspólnotach funkcji byli, jak wszyscy inni chrześcijanie, „braćmi” i „świętymi”.

W średniowieczu, ale już i w starożytności, po edykcie mediolańskim cesarza Konstantyna, a więc po „upaństwowieniu” chrześcijaństwa, duchowni i świeccy chrześcijanie stają się odrębnymi społecznymi stanami. Związane jest z tym określanie biskupów i prezbiterów jako kapłanów. Jest to jakby przejęcie nazwy ze Starego Testamentu, w którym obok nazywania całego Ludu Bożego kapłańskim, odnoszono nazwę kapłaństwa czy kapłanów do członków rodu Aarona, z pokolenia Lewiego, którzy na zasadzie przynależności do tego rodu pełnili w świątyni funkcje składających ofiary.

Ostre początkowo przeciwstawienie między chrześcijaństwem a Izraelem, między kultem chrześcijańskim a kultem świątynnym, które nie pozwalało między innymi na używanie określenia „kapłan”, do tego stopnia straciło na znaczeniu, że używanie tego terminu nie mogło już zagrażać rozumieniu tożsamości chrześcijaństwa. Do tego trzeba by zapewne dodać, że biskupi i prezbiterzy zajęli w społeczeństwie cesarstwa rzymskiego miejsce zwolnione przez kapłanów pogańskich. Nic więc dziwnego, że niejako odziedziczyli również ich określenie.

Związane z nim było, o czym wspomnieliśmy, postępujące rozróżnienie stanu duchownego i stanu świeckiego (trzeba by tu raczej mówić o stanach świeckich) w społeczności średniowiecznej. Początkowo wspólnoty chrześcijańskie stanowiły jakby wyspy wśród morza pogaństwa. Gdy chrześcijaństwo zyskało status religii panującej, oazami życia chrześcijańskiego uważanego za doskonałe stały się klasztory. Ogół chrześcijan pozostający w „świecie” prowadził, według powszechnego mniemania, życie mniej doskonałe. Przemiany społeczne i kulturowe miały doprowadzić w czasach nowożytnych do wtopienia się czy przekształcenia owych świeckich chrześcijan w społeczeństwa, w których wyznanie religijne, a także wiara czy niewiara przestały być decydującym wyróżnieniem. O Kościele utożsamianym z duchowieństwem nawet chrześcijanie mówili (i często jeszcze mówią) w trzeciej osobie.

Nie można tu pominąć Soboru Trydenckiego. Reformacja chciała przeciwstawić się klerykalizacji Kościoła i zapoznawaniu kapłaństwa całego Ludu Bożego. Było to dążenie w zasadzie słuszne. Wyrażało się ono jednak w negowaniu specyficznej roli pełnionej w Kościele przez kapłanów, tj. przez biskupów i prezbiterów, a tym samym w negowaniu woli Chrystusa, by istniał w Kościele sakrament święceń.

Sobór Trydencki, broniąc chrześcijańskiej tradycji i wiary, wyznaje zarówno pochodzenie sakramentu święceń od Jezusa Chrystusa, jak i istotne zróżnicowanie w Kościele między tymi, którzy przyjęli sakrament święceń, a ogółem wiernych. Sobór głosi także różnicę między biskupami a prezbiterami, choć poprzestaje na wymienieniu tych funkcji, jakie w Kościele zachodnim spełniać mogą biskupi, a nie prezbiterzy. Nie określa natomiast, na czym w istocie polega ta różnica. Czy biskupi posiadają większą władzę na mocy samych święceń biskupich, czy też święceniami równi prezbiterom posiadają jedynie większe od nich uprawnienia, czyli większą jurysdykcję? Różnica między biskupami, następcami apostołów, a prezbiterami należy jednak do całości wiary chrześcijańskiej, a zatem wyraża wolę Bożą. Tyle też stwierdza Sobór Trydencki.

Dlaczego Sobór Trydencki nie określa bliżej, jaki charakter ma różnica między biskupami a prezbiterami? U podłoża tego przemilczenia leży ów-

czesna teologia kapłaństwa. Kapłaństwo zredukowano do władzy składania ofiar Bogu, tak właśnie jak to było w kulcie Mojżeszowym i w religiach pogańskich. W chrześcijaństwie sprowadzono kapłaństwo do władzy sprawowania Eucharystii, jedynej ofiary Nowego Testamentu. Ale tę właśnie władzę posiadają już prezbiterzy. Jeżeli tak, to biskupi mieliby jedynie większe uprawnienia, a sakra biskupia (tak nazywano do niedawna biskupie święcenia) nie byłaby sakramentem. Nie mogąc rozstrzygnąć tej sprawy i nie stojąc zresztą przed taką koniecznością, Sobór Trydencki poprzestał, jak powiedzieliśmy, na stwierdzeniu wyższości biskupów w stosunku do prezbiterów.

Podobnie postępuje Sobór Trydencki, wymieniając w innym miejscu swego Dekretu o Sakramencie Święceń stopnie święceń. Wymieniając je zgodnie z istniejącą w Kościele łacińskim praktyką, a nie chcąc wypowiadać się na temat natury władzy biskupiej, określa najwyższy stopień święceń, a zatem sakramentu, mianem „kapłaństwa” (*sacerdotium*). Nie „prezbiteratu” i „biskupstwa”, lecz „kapłaństwa”. Określenie wprawdzie nie biblijne, mogące jednak odnosić się bądź to tylko do prezbiteratu, bądź też do prezbiteratu i episkopatu jako dwóch różnych stopni święceń. Nie rozstrzygając, jakiej natury jest wyższość biskupów w stosunku do prezbiterów (księży), ojcowie Soboru dawali mimo woli wyraz swemu przekonaniu, że sprawa kapłaństwa nie jest w Kościele dostatecznie wyjaśniona.

W naszym stuleciu ma miejsce proces odwrotny czy, ściślej mówiąc, powrotny. Jego elementy czy etapy można by dość dokładnie określić. Na niektóre zwrócimy zresztą jeszcze uwagę. W każdym razie powraca rozumienie Kościoła jako jednej wspólnoty czy komunii, którą tworzą i świeccy wierni, i duchowni, i zakonnicy, jako bracia i siostry. Powraca wiara, że na skutek chrztu i bierzmowania wszyscy wyznawcy Chrystusa tworzą jeden prorocki i kapłański Lud Boży. Wszyscy uczestniczą w jednym kapłaństwie Jezusa Chrystusa, które to uczestnictwo nazywa się kapłaństwem wspólnym. Powraca przekonanie o rzeczywistej służebnej roli biskupa, prezbiterów i diakonów, przekonanie, które obce jest klerykalizmowi, a co więcej, łączy się z powrotem ze wspomnianymi określeniami biskupa i prezbitera – pozostawiając jakby na uboczu określenie „kapłan”.

Arcykapłan żywy

W centrum owej drogi powrotnej znajduje się patrzenie w wierze na Jezusa Chrystusa jako na uwielbionego Pana. Równoległość powrotu do widzenia Kościoła jako wspólnoty i Jezusa jako uwielbionego Pana jest uderzająca. Jezus Chrystus nie jest ongiś żyjącym założycielem Kościoła, powierzonego później apostołom i biskupom jako Jego następcom. Chrystus zmartwychwstały jest żywy, zasiada po prawicy Ojca i w każdej chwili

prowadzi swój Kościół jako Pan i Głowa. Choć jest niewidzialny, nie jest przecież nieobecny. Działa mocą swojego Ducha, Ducha Świętego, poprzez posługi, sakramenty i charyzmaty. Posługi – to różne funkcje w Kościele, z trwałymi funkcjami biskupa, prezbitera i diakona na czele. Sakramenty – to siedem dobrze nam znanych znaków spotkania z Chrystusem. Charyzmaty – to powołania, uzdolnienia czy dary udzielane przez Ducha Chrystusowego wszystkim, komu chce On ich udzielić, mające służyć innym, przede wszystkim wspólnocie Kościoła. Biskupi nie są następcami Chrystusa. Są oni jego zastępcami, znakiem jego aktualnej obecności i działania w Kościele. To samo zresztą trzeba powiedzieć o wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób spełniają w Kościele wolę Jezusa. Sam Chrystus „za pośrednictwem Kościoła chrzci, naucza, rządzi, rozwiązuje, związuje, składa ofiarę” – uprzytamniał jeszcze Pius XII w encyklice o Mistycznym Ciele Jezusa Chrystusa (57).

Trudno oprzeć się przekonaniu, że wraz z powrotem do żywej wiary w uwielbionego (a to znaczy także i działającego) Pana, arcykapłana Nowego Przymierza, Kościół odnajduje sam siebie jako braterską wspólnotę: „jeden jest wasz nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście” (Mt 23, 8). Wszystko zresztą, o czym tu mówię, ma z jednej strony swoje korzenie w Piśmie Świętym, z drugiej – swoją interpretację w dokumentach Soboru Watykańskiego II. I Pismo Święte, i dokumenty Soborowe można by tu obficie cytować.

O kapłaństwie samego Jezusa Chrystusa mówiliśmy już, komentując List do Hebrajczyków, jedyne pismo Nowego Testamentu, które mówi o Jezusie jako o kapłanie czy arcykapłanie. Przy czym Jego kapłaństwo pochodziło ze specjalnego powołania przez Boga. Jezus nie był bowiem kapłanem według zasad Prawa Mojżeszowego. Nie należał do pokolenia Lewiego, do rodu Aarona. Należał do rodu Dawida, pokolenia Judy. Według Ewangelii ludzie patrzący na Jezusa uważali Go natomiast za proroka: za kogoś, kto przemawia w imieniu Boga i Jego mocą czyni znaki, to znaczy cuda.

Samuel, prorocy Starego Testamentu, a także autorzy Psalmów głosili jeszcze przed niewolą babilońską, ale szczególnie w okresie jej trwania, gdy świątynia Jerozolimską była zburzona i nie było gdzie składać ofiar, że Bóg chce od człowieka bardziej posłuszeństwa i miłosierdzia niż ofiar. „Czy miłsze są dla Pana całopalenia i ofiary krwawe – pyta Samuel – od posłuszeństwa głosowi Pana?” I odpowiada: „Właśnie, lepsze jest posłuszeństwo od ofiary...” (1 Sm 15, 22). „Miłować Boga całym sercem, całym umysłem i całą mocą i bliźniego jak siebie samego daleko więcej znaczy niż wszystkie całopalenia i ofiary” (Mk 12, 33). To z Ewangelii św. Marka. Wezwania św. Jana Chrzciciela, a potem samego Pana Jezusa do nawrócenia, niejako streszczające Dobrą Nowinę (por. Mk 1,4.14-15), są wołaniem o wewnętrzny i osobisty związek z Bogiem. „Gdybyście rozumieli, co znaczy: Chcę raczej miło-

sierdzia, niż ofiary” (Mt 12, 7). Nie można też nie przypomnieć słów Jezusa skierowanych do kobiety z Samarii, że oto nadchodzi „godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec” (J 4, 23).

Całe życie Jezusa – jak pisał Pius XII w encyklice *Mediator Dei* – było krzyżem i męczeństwem. Ostatecznie wyraziło się ono w przyjęciu śmierci, na którą Go skazano. Nie będąc kapłanem według Prawa Mojżeszowego, Jezus nie składał Bogu ofiary rytualnej. Składał Bogu Ojcu swoje własne życie: wszystkie cierpienia, przez które przechodził, i swoją śmierć. Co to znaczy, że składał je Bogu? To znaczy, że nie miały one przed Bogiem wartości same z siebie, jako cierpienie czy jako śmierć. Jezus jednak przyjmował je jakby z rąk Boga Ojca: „Ojcze (...) nie moja wola, ale Twoja niech się stanie” (Łk 22, 42). Przyjmował w ten sposób nie tylko śmierć, lecz wszystko, co Go spotkało. I działał – nauczał, czynił cuda – tak jak Mu Ojciec kazał czy dawał czynić. Czynię zawsze to, co się Jemu podoba. Mówię to, co On mi kazał. Spełniam Jego wolę (por. np. J 7, 16; 8, 26. 29; 12, 49-50).

Całe życie Jezusa było aktem posłuszeństwa i miłości. Aż do śmierci, i to śmierci na krzyżu. „Przyszedłem na tę godzinę” (J 12, 27). „Niech świat się dowie, że miłuję Ojca i że tak czynię, jak mi Ojciec nakazał” (J 14, 31). Dzięki temu właśnie, że życie Jezusa było aktem posłuszeństwa i miłości w stosunku do Ojca, było ono złożoną Mu ofiarą. Nie ofiarą rytualną – mówiliśmy już, że takiej ofiary Jezus nie składał i nie mógł składać – ale ofiarą, nazwijmy ją tak, egzystencjalną: z samego siebie, ze swego losu. Powtórzmy: dzięki posłuszeństwu i miłości Jezusa w stosunku do Ojca, Jego życie i śmierć mogły w Liście do Hebrajczyków zostać nazwane ofiarą.

Nieraz się sądzi, że Bóg wymagał cierpienia i krwi swego niewinnego Syna jako zadośćuczynienia za grzech. Krwi do ostatniej kropli. I jest to powodem zgorszenia: jak to, Bóg ma tak twarde serce, że nie przebaczy? Wymaga cierpienia i krwi? Ale to nie cierpienie, krew i śmierć posiadały wartość w oczach Bożych, lecz posłuszeństwo i miłość. Posłuszeństwo i miłość bez reszty, rzeczywiście z całego serca i ze wszystkich sił. Zaprzeczenie pierwotnego, obecnego w każdym grzechu nieposłuszeństwa Bogu i braku miłości Boga ponad wszystko. To w tej postawie Jezusa – Sługi Jahwe, w postawie posłuszeństwa i miłości ponad wszystko i mimo wszystko, wyrażało się oddanie Ojcu. Ofiarowanie siebie Bogu. Postawa, która była czy miała być symbolizowana w każdej ofierze Starego Przymierza, także w ofiarach pogańskich.

Dzięki temu mógł autor Listu do Hebrajczyków dostrzec w śmierci Jezusa, jako w całkowitym oddaniu siebie Bogu Ojcu, ofiarę jedyną i doskonałą, skuteczną ponad wszystkie inne ofiary, ofiary rytualne. Tu oto, w życiu i śmierci Jezusa realizuje się to, co było zapowiadane i co miało być spowodowane przez liczne ofiary Starego Przymierza. Śmierć Jezusa na krzyżu

była tą ofiarą, ku której prowadziły tamte. Ofiarą, która wszystkie inne czyni już zbędnymi, pozbawia znaczenia...

W znakomitej książce *Teologia Eucharystii* (Warszawa 1977) Aleksander Gerken tłumaczy, że ludzka śmierć nie da się sprowadzić do śmierci w sensie fizjologicznym czy biologicznym, tak jak człowiek nie może być traktowany na równi z innymi istotami żywymi. Człowiek bowiem może ustosunkować się do własnej śmierci. Może oddać własne życie Bogu za innych ludzi. Ten wymiar duchowy jest istotny dla śmierci człowieka. Także dla śmierci Jezusa. „Dlatego miłuje Mnie Ojciec, bo Ja życie moje oddaję (...) Nikt Mi go nie zabiera, lecz Ja od siebie go oddaję. Mam moc je oddać i mam moc je znów odzyskać” (J 10, 7-18).

Kapłaństwo wspólne

Kapłaństwo wspólne. Właśnie: wspólne. Sobór – oczywiście Sobór Watykański II – mówi: *sacerdotium commune* (KK 10). Tłumaczenie polskie brzmi jednak: kapłaństwo powszechne. Powszechne po łacinie byłoby: *universale*. Ale i Papież w swoich dokumentach, w tym i w encyklikach, mówi: kapłaństwo powszechne. Katechizm Kościoła Katolickiego używa jednak, poza przytaczanymi tekstami Soboru, wyrażenia: kapłaństwo wspólne (np. 1268, 1547).

Zastanawia mnie zawsze: czy nazywanie przez Jana Pawła II tego kapłaństwa powszechnym jest po prostu konsekwencją takiego właśnie tłumaczenia konstytucji *Lumen gentium* na język polski, czy też świadomym wyborem Papieża, który przez określenie „kapłaństwo powszechne” chce powiedzieć coś więcej, niż mówi wyrażenie „kapłaństwo wspólne”. W książce *U podstaw odnowy* (Kraków 1972) Karol Wojtyła używa obu tych zwrotów. Mówi o wspólnym wszystkim ochrzczonym uczestnictwie w kapłańskiej władzy samego Chrystusa (s. 194). Tak jakby ochrzczeni przejmowali świadomie kapłańską odpowiedzialność każdego człowieka, właśnie odpowiedzialność właściwą kapłaństwu powszechnemu. Czytamy bowiem dalej w książce Karola Wojtyły, że w tej postawie ochrzczonych „wyraża się też (...) powołanie osoby w samym swoim egzystencjalnym jądrze” (s. 196).

Jakkolwiek by było, trzeba mówić o udziale w kapłaństwie Jezusa przez chrzest – i udział ten jest wspólny wszystkim ochrzczonym: świeckim, duchownym, zakonnikom. To jest podstawowy i najbardziej wprost rozumiany udział w kapłaństwie Chrystusa. „Odnosi się to do wszystkich w Kościele, do kobiet jak i do mężczyzn, odnosi się oczywiście również do tych, którzy są uczestnikami »kapłaństwa urzędowego«, które ma charakter służebny” (Jan Paweł II, list apostolski *O godności i powołaniu kobiety*, p. 27).

Kapłaństwo służebne, jako różne od kapłaństwa wspólnego, nie jest jakimś wyższym stopniem w stosunku do niego. Jest innym udziałem w ka-

pląństwie Chrystusa. Wyznaczone jest przez inne zadania, jakie przed nim stoją. Ksiądz – biskup czy prezbiter – przyjmując święcenia, nie przestaje być chrześcijaninem. Tymczasem diakon, przyjmując święcenia prezbiteratu, przestaje być diakonem, a prezbiter, przyjmując święcenia biskupie, przestaje być „zwykłym” księdzem, prezbiterem. Prezbiter czy biskup pozostaje do końca życia chrześcijaninem, który jako ksiądz czy jako biskup ma realizować swoje chrześcijańskie powołanie. Innymi słowy, przyjmując święcenia i biorąc przez to na siebie zadania związane z kapłaństwem posługi, ma je realizować jako ochrzczony w sposób właściwy kapłaństwu wspólnemu.

Na czym polega realizacja kapłaństwa wspólnego? Na składaniu „duchowych ofiar, przyjemnych Bogu przez Jezusa Chrystusa” (1 P 2, 5). Na składaniu Mu samego siebie (por. K. Wojtyła, dz. cyt., s. 194). Tak jak Chrystus-Syn Boży oddał swoje życie Bogu-Ojcu.

To zadanie kapłaństwa wspólnego ma być realizowane w każdym konkretnym powołaniu chrześcijanina. Świecki ma w ten sposób żyć w małżeństwie, czy też samotnie, pracować, budować ludzką społeczność... Zakonnik ma w tym samym duchu oddawać siebie na żywą ofiarę (por. Rz 12, 1) i głosić wielkie dzieła Boże (por. Dz 2, 11; 1 P 2, 9), podejmując rady ewangeliczne. Kapłan „urzędowy”, a więc ksiądz lub biskup, ma spełniać swoje powołanie pasterza, nauczyciela i szafarza sakramentów, w duchu służby, miłości, poświęcenia siebie...

Tu staje się widoczne, na czym polega ów zasadniczy udział w kapłaństwie Chrystusa i że jest to udział wspólny: wszystkich ochrzczonych. Jeżeli kapłaństwo Chrystusa wyraziło się przede wszystkim w Jego oddaniu samego siebie w ofierze krzyżowej, to uczestnictwo w Jego kapłaństwie, nazywane kapłaństwem wspólnym wszystkich Jego wyznawców, polega na oddawaniu przez nich samych siebie Bogu w Chrystusie, w zjednoczeniu z Jego ofiarą złożoną na krzyżu. Przy tym ten udział w kapłaństwie Jezusa ma znaczenie zbawcze. Jeśli kto nie zrealizuje swego powołania – świeckiego chrześcijanina, zakonnika, duchownego – realizując kapłaństwo wspólne, to znaczy, jeśli w swym powołaniu nie odda się Bogu na ofiarę duchową, przyjemną Mu przez Chrystusa, to nie zrealizuje swego zbawienia.

W powrocie do świadomości kapłaństwa wspólnego, jaki dokonał się w naszym stuleciu, teologia, ale także oficjalne dokumenty nauczycielskie mówiły o kapłaństwie wiernych, w sensie wiernych świeckich, i o składanych przez nich ofiarach duchowych. Głosili to duszpasterze, można było o tym przeczytać w religijnych publikacjach. O kapłaństwie wiernych mówiono jednak (jeszcze niekiedy się mówi!) jako o niższym stopniu uczestnictwa w kapłaństwie Chrystusa w stosunku do „prawdziwego” kapłaństwa, jakie dają święcenia, też zresztą nazywane kapłańskimi. O kapłaństwie wspólnym mówiło się trochę tak, jakby to miała być swoista pociecha dla

świeckich, którzy nie są czy też nie mogą być księżmi. Wy także macie – mówiono często tonem paternalistycznej pociechy – swoje kapłaństwo powszechne. Naprawdę jednak kapłanami jesteśmy my, księża.

Podobnie niezbyt na serio brano owe „ofiary duchowe”, o których czytamy w Liście św. Piotra. Prawdziwą ofiarą jest ofiara mszy świętej, którą składają księża, kapłani. Świeccy mogą składać ofiary duchowe. Mogą je składać „na patenie”, łącznie z ofiarą mszalną. Nazywano je jednak ofiarami jakby w cudzysłowie. Tak właśnie jak i kapłaństwo wiernych.

Takie podejście do kapłaństwa wspólnego i do duchowych ofiar zakwestionował przez swą naukę Sobór Watykański II i papież okresu posoborowego, zwłaszcza Jan Paweł II. Przy całej istotnej różnicy między kapłaństwem wspólnym a kapłaństwem służebnym, kapłaństwo wspólne nie stanowi o podziale chrześcijan na świeckich i duchownych. Ci, którzy przyjmują święcenia, pozostają uczestnikami kapłaństwa wspólnego. Mają składać ofiary duchowe – siebie samych – wykonując swoją posługę księdza czy biskupa. Ten udział w kapłaństwie Chrystusa, nazywany dziś kapłaństwem wspólnym (w Nowym Testamencie nazywał się po prostu kapłaństwem), jest rzeczywistym i dla życia wszystkich chrześcijan podstawowym uczestnictwem w kapłaństwie Chrystusa. Duchowe dary – oddawanie samych siebie – jest rzeczywistym, zupełnie zasadniczym i zobowiązującym wszystkich chrześcijan udziałem w ofierze Jezusa Chrystusa, który oddał samego siebie Bogu Ojcu na krzyżu.

Śludzy

Czym wobec tego jest kapłaństwo służebne, to, któreśmy przywykli nazywać po prostu kapłaństwem? W jakim sensie jest ono uczestnictwem w kapłaństwie Chrystusa? Jak się ma do kapłaństwa wspólnego, skoro kapłaństwo wspólne jest rzeczywistym i zasadniczym udziałem w kapłaństwie Chrystusa?

Nie sposób tu wyczerpująco odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie nasuwają się w związku z kapłaństwem posługi (czyli hierarchicznym, czyli urzędowym). Tak zresztą jak dało się jedynie naszkicować to, co można by powiedzieć o kapłaństwie samego Chrystusa i o kapłaństwie wspólnym.

Zacznijmy od tego, że przeciwstawiając kapłaństwo posługi kapłaństwu wspólnemu, Sobór Watykański II tym samym bliżej je określa. Zamiast mówić po prostu „kapłaństwo”, mówi – właśnie ze względu na kapłaństwo wspólne – o kapłaństwie służebnym, hierarchicznym czy urzędowym. „Posługa” jest najbliższym i najgłębiej ewangelicznym określeniem tego kapłaństwa. Może ono funkcjonować samodzielnie, tak jak w wezwaniu św. Pawła, by apostołów uważali ludzie za sługi Chrystusa (por. 1 Kor 4, 1) albo

sługi Nowego Przymierza (por. 2 Kor 3, 6), albo „sługi wasze (tzn. wspólnoty chrześcijan) przez Jezusa” (2 Kor 4, 5). Nie mówiąc o tytule papieża – sługi sług Bożych. Chrystus i swoje własne posłannictwo, i posłannictwo swoich uczniów określał jako służbę, w przeciwstawieniu do władztwa i panowania.

Kapłaństwo hierarchiczne nie oznacza stosunku wyższości kapłaństwa udzielanego przez sakrament święceń w porównaniu do kapłaństwa wspólnego, udzielanego przez sakrament chrztu. Kapłaństwo udzielane przez sakrament święceń jest hierarchiczne, ponieważ tworzy hierarchię trzech stopni: diakonatu, prezbiteratu i biskupstwa.

Jest ono też „urzędowe”. „Urząd” wyraża tu pewne zadanie trwałe, a nie podejmowaną przejściowo funkcję. Przyjęte święcenia naznaczają tego, kto je przyjmuje, trwałym charakterem sakramentalnym. Podobnie jak chrzest i bierzmowanie. Można przestać pełnić obowiązki księdza, biskup może zabronić ich pełnienia, ale nie można utracić „władzy”, jaką dają święcenia. W razie powrotu do służby kapłańskiej „byłego” księdza nie wyświęca się ponownie.

Pozostańmy jeszcze przy nazwach. Katechizm Kościoła Katolickiego mówi o „sakramencie święceń”, nie o sakramencie kapłaństwa. Ta ostatnia nazwa jest nieściśła (np. diakonat jest święceniem, a nie jest najniższym stopniem w posłudze kapłańskiej) i nie odpowiada w żaden sposób określeniu łacińskiemu: *sacramentum ordinis*.

Katechizm mówi też nie o kapłanach, lecz o prezbiterach i biskupach, choć jedni i drudzy określane są w tradycji kościelnej jako kapłani. Jest to bardzo istotna zmiana, bardzo istotne uściślenie i można mieć nadzieję, że określenie „prezbiter” wejdzie do teologii, a może i do języka potocznego zamiast „kapłan”. Powtórzmy, że kapłanem (tzn. kapłanem posługi) jest i biskup, i prezbiter. Ale używanie obu tych określeń – „biskup” i „prezbiter” – pozwala na odróżnienie od siebie tych dwóch stopni kapłaństwa posługi.

Sobór Watykański II uczy, że biskupstwo jest święceniem (por. KK 21), jest pełnią sakramentu święceń, a zatem i władza biskupa (kapłańska władza biskupa!) jest wyższa niż władza prezbitera dzięki samemu sakramentowi, a nie tylko z racji większych uprawnień (jurysdykcji). W ten sposób usunięta została niejasność, jaka na temat dwóch stopni kapłaństwa panowała w wieku XVI, w okresie Soboru Trydenckiego. Dokonało się to, oczywiście, nie przez sam akt ostatniego Soboru, lecz skutkiem długotrwałego wnikania – i przez teologów, i przez biskupów – w Pismo Święte i w tradycję chrześcijańską. Mamy tu zatem do czynienia z widocznym rozwojem świadomości wiary.

Jeśli biskupstwo jest pełnią tego uczestnictwa w kapłaństwie Chrystusa, jakie daje sakrament święceń, to staje przed nami pytanie o samą istotę tej kapłańskiej władzy w Kościele. Okazuje się bowiem, że nie można jej

określać jako „władzy składania ofiary”, jeśli mają ją i prezbiterzy, nie mając pełni władzy kapłańskiej. Tu znowu warto sięgnąć do Katechizmu Kościoła Katolickiego.

Cytując Konstytucję o Kościele Soboru Watykańskiego II, Katechizm mówi, że „sakra biskupia wraz z urzędową funkcją uświęcania przynosi również funkcję nauczania i rządzenia (...) tak, że biskupi w sposób szczególny i dostrzegalny przejmują rolę samego Chrystusa, Mistrza, Pasterza i Kapłana” (1558). Także i kapłańska władza prezbiterów rozciąga się nie na samo sprawowanie Eucharystii i szafowanie sakramentów, lecz na trzy funkcje: głoszenia Ewangelii, pasterzowania i celebrowania kultu Bożego (por. 1564).

Sakrament święceń jest zatem – ciągle według Katechizmu – szczególną konsekracją tych, którzy w imię Chrystusa karmić będą Kościół słowem i łaską Bożą (por. 1535). Jeszcze dokładniejsze określenie tego sakramentu podane w Katechizmie brzmi następująco: „sakrament święceń jest sakramentem, dzięki któremu posłanie, powierzone przez Chrystusa Apostołom, nadal jest spełniane w Kościele aż do końca czasów. Jest to więc sakrament posługi apostołskiej” (1536).

Dochodzimy tu, jak widać, do niezwykle istotnego stwierdzenia, a mianowicie, że samo określenie kapłaństwa udzielanego przez sakrament święceń uległo w teologii katolickiej pogłębieniu i poszerzeniu. Jego określenie jako władzy składania ofiary okazało się zbyt wąskie. Jest to władza apostołska, pasterska, która obejmuje zarówno nauczanie – ono wzbudza wiarę i gromadzi tych, którzy uwierzyli w jednej wspólnotcie – jak i sprawowanie sakramentów – można je nazwać władzą kapłańską w węższym znaczeniu albo władzą uświęcenia – jak wreszcie i władzę pasterską, swoistego kierowania wspólnotą wyznawców Chrystusa.

Tylko tak ujmując posługę płynącą z sakramentu święceń, można wyrazić zarówno jej szczególny charakter (w odróżnieniu od władzy kapłańskiej „w ogóle”), jak i różnicę zachodzącą między biskupami, jako następcami apostołów, a prezbiterami, ich pomocnikami w służbie chrześcijańskiej wspólnotcie.

Sprawa ta jest dobrą ilustracją ważnej zasady metodologicznej w chrześcijańskiej teologii. Nie można w niej, mianowicie, traktując o kapłaństwie czy ofierze, wychodzić od pojęcia „kapłaństwa” czy „ofiary”, rozumianych ogólniej, jakby nadrzędnie w stosunku do chrześcijańskiego pojęcia obu tych rzeczywistości. Pojęcie kapłaństwa i ofiary tworzyłyby się w oparciu o dane niechrześcijańskie, żeby następnie sprowadzać do tych pojęć chrześcijańskie rozumienie i kapłaństwa, i ofiary. Prowadziłoby to na bezdroża, na co zresztą historia teologii chrześcijańskiej zdaje się wskazywać. W teologii chrześcijańskiej wszystko sprowadza się do Jezusa Chrystusa i historii zbawienia wyznaczanej Jego misją. Kapłaństwo – to Jego kapłaństwo,

ofiara – to Jego ofiara złożona z samego siebie na krzyżu, posługa we wspólnocie Jego wyznawców – to posługa powierzona przez Niego Dwunastu.

W jakim sensie posługa apostołska, kontynuowana przez biskupów i księży (prezbiterów) jest uczestnictwem w kapłaństwie Chrystusa, skoro zasadniczym i rzeczywistym udziałem w kapłaństwie Chrystusa i w Jego z samego siebie składanej ofierze życia jest kapłaństwo wspólne?

Jan Paweł II mówi tu o dwóch porządkach. O porządku hierarchicznym, Piotrowym, i o porządku miłości, Maryjnym. Pierwszy realizowałyby się przez kapłaństwo posługi, drugi – przez kapłaństwo wspólne.

Można też powiedzieć, że kapłaństwo wspólne jest podstawowym uczestnictwem w kapłaństwie Chrystusa. Uczestnictwem w tak pojętym kapłaństwie i ofierze Chrystusa, jak przedstawia je List do Hebrajczyków. Jest to uczestnictwo właściwe wszystkim chrześcijanom i wszystkich zobowiązujące.

Kapłaństwo służebne, urzędowe jest posługą apostołów. Realizując razem ze wszystkimi współwyznawcami Jezusa Chrystusa kapłaństwo wspólne, spełniali oni jednocześnie swoje szczególne powołanie posługi apostołskiej. Głosili Ewangelię, przewodniczyli w łamaniu chleba, troszczyli się o jedność i wypełnienie woli Chrystusa w każdej z powstających wspólnot chrześcijańskich... Powoływali swych pomocników, następców, a także starszych w każdej wspólnocie i diakonów. Ta posługa apostołska wynikała z woli Jezusa: to On kazał Dwunastu iść na cały świat, głosić Ewangelię, chrzczyć, uczyć zachowywać wszystko, co sam im przekazał. Posługa spełniana przez apostołów nie tylko wynikała z woli Jezusa, lecz także z Jego własnej misji: to On uczył, a oni nie mieli w niczym od Jego nauki odstępować; to On żądał miłości i jedności między swymi uczniami, a oni mieli wypełniać posługę jednania (por. 2 Kor 5); On wreszcie „łamał chleb”, a im kazał to czynić na swoją pamiątkę. „Kto was słucha, mnie słucha. Kto wami gardzi, mną gardzi” (Łk 10, 16).

Posługa apostołska, a co za tym idzie posługa kapłańska w Kościele jest uczestnictwem w misji Chrystusa: nauczyciela, kapłana, króla. W pewien sposób zakorzeniony w działaniu Ducha Świętego staje się znakiem Jego aktualnego działania w świecie: jako głoszenie zbawienia przez śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa, jako uobecnienie w sakramentach Jego śmierci i zmartwychwstania, jako ciągłe wskazywanie drogi realizacji Jego przykazania miłości.

Dwojaki udział w kapłaństwie Chrystusa

Jest sprawą niezwykle ważną, aby dostrzec te dwa rodzaje udziału w kapłaństwie Chrystusa, jakimi są kapłaństwo wspólne i kapłaństwo posługi, i nie sprowadzać ich do jednego. Dostrzeganie tylko kapłaństwa posługi

prowadzi do odbierania Kościoła jako instytucji klerykalnej. Dostrzeganie jedynie kapłaństwa wspólnego prowadzi do zaprzeczenia widzialności i rozpoznawalności Kościoła w świecie. Do wiary bez religii, do religii bez Kościoła (jeśli jest to w ogóle możliwe). Trzeba zatem dostrzegać i akceptować i jedno, i drugie: i kapłaństwo wspólne, i kapłaństwo posługi. Są one sobie przyporządkowane, jak uczy Sobór Watykański II.

Kapłaństwo posługi jest dla kapłaństwa wspólnego: by mogło ono ciągle się rodzić i ciągle wzrastać. Kapłaństwo posługi, tak jak cały „Kościół pielgrzymujący w swoich sakramentach i instytucjach, które należą do obecnego wieku, posiada postać tego przemijającego świata” (KK 48). Pozostanie tylko miłość, jako udział w miłości Chrystusa okazanej na krzyżu Ojcu i każdemu człowiekowi, ostatecznie objawionej i danej człowiekowi przez Chrystusa także na krzyżu.

W związku z owym przyporządkowaniem kapłaństwa wspólnego i kapłaństwa posługi, a także na zakończenie tych uwag chciałbym przytoczyć słowa Jana Pawła II wypowiedziane w Lublinie, w czasie pielgrzymki do Ojczyzny w roku 1987, podczas udzielania święceń prezbiteratu. Papież tłumaczył, na czym polega kapłańska służba człowiekowi. „Macie służyć godności człowieka, jego wyzwoleniu” – mówił do nowo wyświęcanych. Wyzwalać w ludziach „świadomość królewskiego kapłaństwa, owej godności, która właściwa jest człowiekowi jako synowi i córce Boga samego. Człowiekowi, chrześcijaninowi, o którym mówi się, że jest drugim Chrystusem.” Otóż wyrażenie to – być drugim Chrystusem – stosowane tak chętnie tylko do księży, odniesione zostało przez Papieża do każdego chrześcijanina. A może i do każdego człowieka. Jest to bardzo symptomatyczne.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER, ur. 1922, emerytowany profesor teologii dogmatycznej w ATK, profesor Seminarium Duchownego w Kielcach. Autor m.in.: *Teologia dzisiaj* (1975), *Wierzę* (1983), *Gdy zajął z nimi miejsce u stołu* (1988), *Czy wiem, w co wierzę* (1994). Współautor i redaktor *Słownika Teologicznego* (t. I 1985, t. II 1989). Mieszka w Warszawie.

PRYWATNA WIARA KSIĘDZA

Ks. Grzegorz Ryś

Zacznę może od tego, że mnie osobiście w zrozumieniu kapłaństwa bardzo pomogła lektura wywiadu, którego w październiku 1971 roku na łamach „France catholique” udzielił Henri de Lubac. Tematem było właśnie kapłaństwo. Natrafiłem na ten tekst nieco przypadkowo i dopiero po dziewięciu latach od daty święceń; wcześniej musiałem więc mieć jakieś rozumienie samego siebie, swojego powołania, związanych z nim zadań i swojego miejsca w Kościele. Brakowało w nim jednak myśli, która by je porządkowała, wnosząc w nie poczucie syntezy, a przede wszystkim prostoty. De Lubac twierdzi, że kapłan jest potrzebny w Kościele tak naprawdę jedynie dla trzech powodów: dla przepowiadania Słowa, dla sprawowania sakramentów i dla kierowania wspólnotą. Trzy najistotniejsze w posłudze kapłańskiej charyzmaty: Słowa, Sakramentu i Władzy. Być może najtrudniej – choć brzmi to nieco kokieteryjnie – było mi doszukać się w swoim życiu obszaru realizacji ostatniego z tych charyzmatów: Władza! Nad kim? Nad czym? Pytania te nurtowały mnie, dopóki nie uświadomiłem sobie prawdy coraz częściej w Kościele podkreślanej: że władza nie jest w nim niczym innym jak tylko posługą jedności. Na wszystkich szczeblach kościelnej hierarchii – od papieża po diakona – władza w Kościele służy budowaniu wspólnoty, wszystko jedno, czy tą wspólnotą jest diecezja czy parafia, czy jakakolwiek mała grupa któregoś z posoborowych ruchów. Człowiek, który nie jest na tyle dojrzały, żeby łączyć ludzi zamiast ich dzielić, nie powinien przyjmować święceń.

Słowo, Sakrament i Władza, te trzy charyzmaty – i to jest niezwykle ważny wymiar refleksji de Lubaca – łączą się ze sobą nierozzerwalnie. Tak naprawdę nie można ani ofiarować, ani również przyjąć (!) tylko jednego z nich, wypreparowanego z dwóch pozostałych. Chyba że za cenę jakiegoś zafalszowania. Nie mogę powiedzieć, że umiem głosić Słowo, o ile nie pro-

wadzi ono mnie i innych do sakramentu (do tej chwili jest tylko teorią czy, jak czasem mówimy, „katolicyzmem nie praktykującym”). Nie umiem celebrować Eucharystii, o ile nie staje się ona sama w sobie Słowem, tzn. o ile nie uczy czegoś o Bogu, o ile nie staje się objawieniem. Nie umiem jej też sprawować, o ile nie uczy mnie wrażliwości na potrzeby innych. Nie mam wreszcie prawa do innej władzy w Kościele, jak tylko ta, której zakres i przykład wyznaczony jest Słowem Nowego Testamentu.

Słowo, Sakrament i Posługa jedności – można się z pewnością długo zastanawiać, jakie kwalifikacje powinien posiadać człowiek aspirujący do podjęcia tych trzech charyzmatów. Można niewątpliwie sporządzać, i z pewnością czyni się to ostatnio coraz częściej, zestaw pożądanych cech idealnego księdza, wcześniej kleryka: gruntowne wykształcenie (z zakresu filozofii, teologii, psychologii, pedagogiki), dojrzałość psychiczna, emocjonalna, zharmonizowana osobowość, dojrzałość społeczna itd., itp. Jedni tworzą ten życzeniowy katalog w mediach, inni – oficjalnie – w seminariach i na wydziałach teologicznych, jeszcze inni (mniej oficjalnie, za to powszechnie) w domowych rozmowach. Wydaje mi się, a właściwie jestem tego pewien, że taka pogoń za „idealnym księdzem”, albo ściślej mówiąc „idealnie przygotowanym” (intelektualnie i psychologicznie), jest – wbrew pozorom – usiłowaniem budowania Kościoła zupełnie obok Ewangelii. Kościół Ewangelii nie jest Kościołem herosów, półbogów i świętych, przygotowanych na każdą okoliczność, odpornych na każdą pokusę. Przeciwnie, najważniejszym dla niego doświadczeniem (z którego się rodzi!) jest doświadczenie grzechu i przebaczenia.

Nie wierzę w Kościół – niezależnie od tego, kto mu nadaje takie oblicze: duchowni w stosunku do świeckich czy świeccy w stosunku do duchownych – który zamiast przebaczać ekskomunikuje! Nie wierzę w Kościół, którego nie boli, że ktoś był i go nie ma! Nie wierzę w Kościół, który by głosił, że ważniejsza jest jakość niż ilość, z nonszalancją wypierając się tych, którzy nie potrafią przeskoczyć autorytatywnie (i właściwie przez kogo?) ustalonej poprzeczki. Nie wierzę w Kościół, który ma dla ludzi tylko ideały, a brak mu zrozumienia dla ich grzechów. Nie wierzę w taki Kościół, bo taki Kościół po prostu nie potrzebuje wiary! Budowany byłby tylko w oparciu o ludzkie myślenie. Przez idealistów o skłonnościach sekciarskich z jednej strony, z drugiej – przez niezachwianie pewnych swej własnej sprawiedliwości moralizatorów.

Kiedy śledzimy na przykład historię powołania Piotra, zauważamy, że jest ona ujęta jakby w klamry dwóch bliźniaczych wydarzeń. I na początku, i na końcu (już po zmartwychwstaniu) Jezus spotyka Piotra po całej nocy bezowocnej pracy i w cudowny sposób napełnia jego sieci. Pierwszą zaś reakcją Apostoła jest wyznanie własnego grzechu. „Odejdź ode mnie, Panie, bom jest człowiek grzeszny” – mówi za pierwszym razem; za drugim

zaś trzykrotnie wyznaje miłość, wspominając również trzykrotne zaparcie się Pana w godzinach męki. Piotr idzie do kapłaństwa oczywiście poprzez trzyletni okres „bycia uczniem” i słuchania Jezusa, przede wszystkim jednak poprzez dwa doświadczenia: przebaczenia, jakiego dostąpił (a nie doskonałości i poczucia nienagannego przygotowania), oraz obdarowania Kościołem (a nie „wytwarzania” Kościoła własnymi siłami; kiedy po swoim pierwszym kazaniu musiał ochrzcić trzy tysiące ludzi, wtedy pewnie ostatecznie pojął, że on zarzuca sieci, ale Chrystus jest Sprawcą połowu).

Obydwa te doświadczenia, a zwłaszcza przeżycie przebaczenia grzechu są najbardziej osobistymi i najgłębszymi przeżyciami w wierze, dokonującymi się w intymności osobistej relacji człowieka z Bogiem. One nadają ostatecznie kształt naszej wierze w jej prywatności. W przypadku księdza również. Chcę powiedzieć, że kluczem do zrozumienia, a jeszcze bardziej do przeżycia powołania kapłańskiego jest prywatna wiara księdza. Osobista wiara, której utrata czyni bezsensownym zarówno to, co on robi, jak i to, kim jest – kim jest także w swoim celibacie. Myślę, że kryzys kapłaństwa jest zawsze najpierw – a potem do samego końca – kryzysem wiary.

Wbrew pozorom taka diagnoza niczego nie upraszcza. Przeciwnie, nakazuje daleko idącą ostrożność i dystans w stosunku do wszystkich oczywistych diagnoz zbudowanych w oparciu o metody i opisy dostarczone przez socjologię czy psychologię. Ponieważ wiara jest zawsze łaską, tzn. także jakąś tajemnicą. Tak jak grzech jest tajemnicą – *mysterium iniquitatis*. Mogę mieć za sobą najlepsze teologiczne studia, mogę przejść najbardziej specjalistyczne kursy psychologii. Ciekawość grzechu pozostanie we mnie równie silna jak przedtem, mimo wszystkich wystudiuowanych racji rozumu i serca. Ze swoją wiarą czuję się zawsze tak jak z Pawłowym „glinianym naczyniem” – przestraszony jej kruchością. Nie zamierzam w ten sposób bynajmniej uciekać od odpowiedzialności za własne kapłaństwo; tracę jednak – i chwała Bogu! – zarówno poczucie pewności siebie, jak i zbudowaną na nim łatwość ferowania wyroków w stosunku do innych.

Osobista wiara księdza, wcześniej kleryka – przez wszystkich zakładana jako coś oczywistego – wcale nie jest czymś oczywistym. Wiara rodzi się ze słuchania Słowa. Ale ksiądz jest tym, który Słowo głosi. Kleryk jest tym, który przygotowuje się do głoszenia Słowa. Przeglądajcie biblioteczki księży – najwięcej znajdziecie w nich książek na temat życia małżeńskiego i rodzinnego, także na temat dojrzewania młodzieży do miłości i do seksu; stosunkowo niewiele na temat bezżeństwa. Paradoks? Nie. Lektura dobrana pod kątem pracy duszpasterskiej. Głosiłem kiedyś kazania pasyjne dla kleryków. Całą pierwszą naukę zapamiętałem właściwie jako jedno zmaganie o to, by traktowali głoszone Słowo jako zwrócone rzeczywiście do nich (i do mnie osobiście), a nie jako przydatne na przyszłość ćwiczenia z tego, jak „się mówi” kazania pasyjne do innych.

Podobnie ma się rzecz z Eucharystią. Ksiądz jest jej codziennym szafarzem, co wcześniej czy później może mu odebrać świadomość tego, że jest także, i przede wszystkim, jej uczestnikiem. Kiedyś na parafii w Londynie pracowałem z księdzem z Afryki. Pisał doktorat, uczył w szkole, chodził do szpitala wezwany na rozmowę czy z sakramentem namaszczenia chorych. Mszę świętą odprawiał dwa, trzy razy w tygodniu – wtedy, kiedy chciał. Ja odprawiałem codziennie, co nie znaczy, że zawsze zadaję sobie pytanie dla czego...

Z pewnością takie patrzenie na kapłaństwo: przez pryzmat prywatnej wiary księdza, w dużej mierze wynika z tego, w jaki sposób potoczyło się moje dotychczasowe życie kapłańskie w Kościele. Od blisko dziewięciu lat nie pracuję na parafii, lecz na uczelni. Eucharystię sprawuję niemal zawsze w bardzo małej wspólnotce (5-9 osób), nie mam swojego kościoła, tym bardziej konfesjonau, nie pamiętam, kiedy byłem wezwany do chorego. Moje czynności kapłańskie bardzo się więc „sprywatyzowały”; z dnia na dzień stają się dla mnie bardziej sposobem przeżywania osobistej wiary niż wypełnianiem mojej funkcji w Kościele. Słowo „kapłaństwo” w coraz większym stopniu opisuje bardziej to, „kim jestem” w swojej prywatności, niż to „co robię”. Przeżywany osobiście fakt „bycia” kapłanem wydaje mi się ważniejszy i pierwotny w stosunku do wszystkich ewentualnych „posług” duszpasterskich. To „bycie” kapłanem, określające ostatecznie całą moją tożsamość, opisywalne jest jednak jedynie w wierze i zrozumiałe jedynie dzięki niej. Gdybym ją stracił, nie będę wiedział, kim jestem...

KS. GRZEGORZ RYŚ, ur. 1964, dr, asystent na Wydziale Historii Kościoła PAT. Publikował m.in. w „Naszej Przyszłości”, „Analecta Cracoviensia” i „Znaku”. Wydał: *Pobożność ludowa na ziemiach polskich w średniowieczu. Próba typologii* (1995). Wkrótce w Wydawnictwie Znak ukaże się jego książka pt. *Inkwizycja*.

TOWARZYSZYĆ WZRASTANIU

O SEMINARIUM DUCHOWNYM DYSKUSYJNIE

Ks. Jerzy Bagrowicz

Zaproszenie do napisania artykułu na taki temat wydaje mi się dobrą okazją do rozmowy z czytelnikami w sprawie, która tylko na pierwszy rzut może wydać się obgadana, opisaną do znudzenia. Chodzi wszak o przygotowanie ludzi, którzy będą pełnić ważne funkcje we wspólnocie Kościoła, którzy są powołani nie tylko do udzielania posług religijnych, ale mają być przewodnikami w wierze dla wszystkich wierzących. Można powiedzieć, że od ich jakości i kwalifikacji będzie w dużym stopniu zależała jakość współczesnego Kościoła.

Ostatnią okazją do wielkiej dyskusji nad problemem wykształcenia i formacji kandydatów do kapłaństwa był poświęcony tej sprawie Synod biskupów w roku 1990 i adhortacja posynodalna Jana Pawła II *Pastores dabo vobis*. Przypomniano wtedy wskazania Stolicy Apostolskiej odnoszące się do wychowania kleru i wymieniono doświadczenia, szczególnie te, które są już wynikiem realizacji niektórych śmielszych inicjatyw w dziedzinie kształtowania się modelu seminariów duchownych. Opublikowano wiele tekstów komentujących oficjalne dokumenty Kościoła odnoszące się do formacji duchownych. Nie mam zamiaru powtarzać zasadniczych założeń tych dokumentów, które są na ogół znane. Ale publikacja i znajomość tych ostatnich nie oznacza wcale, że problem został rozwiązany. Doświadczenie pokazuje, że raczej zaczął on nabierać ostrości i byłoby błędem przemilczać niepokojące zjawiska pojawiające się w związku z tą sprawą.

Nie chciałem, aby te uwagi na temat wykształcenia i wychowania w seminariach duchownych były oparte jedynie na moim wieloletnim doświadczeniu obecności w takim środowisku i literaturze na ten temat. Do współpracy w przygotowaniu tej wypowiedzi udało mi się zaprosić wielu młodych i starszych kapłanów, aktywnie pracujących i apostołsko zaangażo-

wanych, patrzących na środowisko seminaryjne spojrzeniem pełnym miłości, a przecież nie bezkrytycznym. Dlatego będę się do nich tu odwoływał i traktuję tę moją wypowiedź jako dalszy ciąg rozmów, jakie udało mi się w ciągu ostatnich kilku miesięcy na ten temat przeprowadzić.

Trudne pytania

Obok wspaniałych kart zapisywanych dziś przez wielu młodych, pełnych entuzjazmu nowo wyświęconych kapłanów istnieje także coraz szersze zjawisko kryzysu ich obecności we współczesnym, coraz bardziej skomplikowanym społeczeństwie. Kryzys ten ujawnia się nieraz już w parę miesięcy po święceniach kapłańskich. Rodzą się wtedy pytania o to, dlaczego przez sześć lat obecności w seminarium nie rozeznano ich całkowitej niekiedy nieprzydatności do życia w stanie duchownym. Dlaczego tak szybko wypalił się ich entuzjazm, przygasła wiara, osłabło poczucie kapłańskiej tożsamości? Czy funkcjonujący obecnie model seminariów rzeczywiście przygotowuje do pracy w szkole, do kontaktów z ludźmi w społeczeństwie coraz bardziej pluralistycznym, do prowadzenia coraz liczniejszych grup i wspólnot rodzących się we współczesnym Kościele? Czy seminarium daje młodemu księdzu taki zakres doświadczeń w życiu duchowym, by mógł on być przewodnikiem dla innych? Czy jest wychowywany na urzędnika kościelnego świadczącego usługi religijne czy raczej do roli mistrza i przewodnika w życiu duchowym? Czy może chodzi tu o wszystkie te role i umiejętności? Co przeważa w obecnym modelu wychowania seminaryjnego? Czy jest możliwe, aby seminarium rzeczywiście było środowiskiem wyprzedzającym swoją wizją i poziomem potrzeby współczesności, wychowującym do przyszłości? To niektóre z pytań, które należałoby sobie tu postawić.

Kogo chcemy wykształcić?

Gdyby wzięło się pod uwagę oczekiwania i wymogi współczesności, należałoby powiedzieć, że współczesny ksiądz z pewnością powinien być bohaterem wiary, mężem życia duchowego i działań apostołskich. Posłuchajcie tylko, co pod naszym adresem mówią ludzie! Z jednej strony są więc bardzo zawyżone oczekiwania wspólnoty wierzących, a z drugiej – coraz słabsze możliwości odpowiedzi na te oczekiwania w stopniu zadowalającym. I zdarza się, że zderzenie z realiami życia i wymogami otoczenia prowadzi młodego księdza – postawionego pod pręgierzem opinii publicznej, nieraz osamotnionego i zagubionego – do szybkiego kryzysu tożsamości.

Wysoka pozycja księdza w tradycyjnym społeczeństwie stwarzała mu pewien komfort psychiczny i ochraniała w jakimś stopniu przed krytyczną oceną. Liczył się jego urząd i godność osoby duchownej. Seminaria duchowne wypracowały przez wieki model kształcenia i wychowania, który

przygotowywał księży do takiego sposobu obecności. Podczas prymicji sam wysłuchiwałem górnolotnych kazań o tym, jaką to niezwykłą godność ma kapłan i jak z tego tytułu winien być przez wszystkich szanowany. Przypomnijcie sobie, jakie to kilkadziesiąt lat temu funkcjonowały przepisy dotyczące sposobu noszenia się księdza. Weźcie do ręki stojące na półkach, wydawane przecież jeszcze nie tak dawno pozycje książkowe o życiu księdza, w rodzaju *Decus clericorum*, gdzie poczesne miejsce zajmowały przepisy, jaki to płaszcz wolno nosić latem i że nawet przy największych upałach szanujący się kapłan powinien koniecznie nosić w ręku pilśniowy kapelusz.

W ciągu zaledwie trzydziestu kilku lat świat zmienił się na tyle, że te niedawne przepisy brzmią obco i nie przydają się już do niczego. A przecież nie znaczy to wcale, że zmieniła się misja kapłana co do swej istoty i że to, co w tradycji Kościoła wypracowano w tej dziedzinie, nadaje się już tylko do kosza. Znaczy to przede wszystkim, że dziś, gdy życie tak gwałtownie się zmienia i kryzys autorytetów dotknął także pozycję księdza, akcent należy położyć na całkiem nowe elementy formacyjne. Chodzi o to, aby ksiądz opuszczający seminarium nie poczuł się nagle w świecie jak przybysz z obcej planety, niewiele mającej wspólnego z kulturą, którą żyje i oddycha współczesny człowiek. Aby umiał być nie tylko duchownym, ale i człowiekiem duchowym. Bez mocnego kręgosłupa duchowego skreśli kark albo padnie łupem łatwizny życiowej. A życie przeważnie wymaga od niego wielkiej samodzielności. Rodzi się więc pytanie, w jakim stopniu seminaria duchowne przygotowują do nowej już sytuacji, a na ile ciągle mają na oku ten stary, czcigodny model księdza? Czy rzeczywiście łączą w swej formacji *nova et vetera*?

Aby choć w części dać odpowiedź na tak sformułowane pytanie, należałoby przyjrzeć się realiom życia zwykłego, szeregowego kapłana w Polsce. Przyjrzeć się na przykład życiu niektórych kapłanów pracujących w pełnej samotności na małych, wiejskich parafiach, pośród tych, co stracili pracę po zlikwidowaniu pegeerów; kapłanów obsługujących kilka kościołów, zobowiązanych do opieki administracyjnej i prowadzenia urzędu parafialnego, do nauczania religii i innych posług. A przecież nie jest wcale łatwiejsze życie księdza w wielkich aglomeracjach miejskich, w nawale zajęć katechetycznych i w środowiskach niejednokrotnie nieprzyjaznych. Jak określić duchowość takiego kapłana? Jaką formację zapewnić mu w seminarium duchownym, aby mógł choć w części sprostać obowiązkom?

Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że uformowanie kapłana diecezjalnego, którego życie zmusza do wykazania się tak wielorakimi umiejętnościami, jest o wiele trudniejsze niż formacja w seminariach zakonnych, gdzie charyzmat zakonu czy zgromadzenia jest bardziej ukierunkowany i czytelniejszy, ześrodkowany na jakiejś określonej apostołowskiej aktywności.

W życiu i działalności księdza diecezjalnego potrzeba wielu tych charyzmatów, które możemy odnaleźć w duchowości różnych zakonów. Jego sa-

motność może być czasami bardziej konsekwentna niż kamedulska. Bo przecież mnisi kamedulscy, mimo surowości życia i milczenia, kilka razy na dobę spotykają się razem we wspólnocie braci na modlitwie, w której nawet znajdują siłę na chwile pracy i milczenia. Ich ofiara jest obudowana troską zorganizowanej wspólnoty. Niejeden ksiądz diecezjalny te wszystkie troski musi dźwigać sam, a troszczy się bynajmniej nie tylko o własną samotność.

I powinien mieć też charyzmat zakonu kaznodziejskiego, bo przecież wierni przychodzący do kościoła oczekują, że powtórzy się scena nakarmienia słowem i Chlebem, i chcieliby powtórzyć za św. Piotrem: „Panie, dobrze nam tu być”. Od kapłana, który jest sługą słowa, oczekują, że będzie to słowo nie tylko komentarza do Ewangelii, ale i słowo radosnego świadka Chrystusa. A on czasami jest nieudolny, zmęczony pracą i problemami.

A całe gromady dzieci i młodzieży – w szkole, przy parafii, na pielgrzymce, w salce ministranckiej, na szlakach oazowych – oczekują, że ich proboszcz błysnie salezjańskim charyzmatem radości i talentu wychowawczego. Tego oczekują także rodzice, którym coraz trudniej uporać się z wychowaniem młodzieży. Często przydałoby się także, żeby umiał zredagować gazetkę parafialną, poprowadzić audycję religijną w lokalnym radiu, posługiwać się komputerem. Powinien mieć też talent administratora, budowniczego i jeszcze kilka innych. A nad to wszystko powinien być *alter Christus*, otwarty na słabych, poranionych przez życie, ciągle gotowy spieszyć z pociechą do chorych, czekający na grzeszników w konfesjonale, kancelarii – i pełen pogody na co dzień.

Oczywiście, nie należy sądzić, że tego wszystkiego uda się nauczyć na zapas, że da się przewidzieć wszystko, co w przyszłości będzie potrzebne. Są jednak pewne umiejętności czy postawy, które kandydaci do kapłaństwa powinni osiąść na etapie seminaryjnego przygotowania. Nie każdy będzie świetnym kaznodzieją, administratorem, ale każdy winien być kapłanem Jezusa Chrystusa posłanym do wspólnoty wierzących. I dlatego stawia się pewne warunki, które muszą spełniać, i jest pewien okres dany po to, aby w miarę słusznie rozeznaczyć ich przydatność. Będzie to możliwe wtedy, gdy środowisko seminaryjne stanie się rzeczywiście środowiskiem kształcącym i formacyjnym.

Nielatwe drogi odnowy

Wychowanie człowieka stało się dziś skomplikowanym procesem. Kiedyś wystarczała intuicja, doświadczenie, uczciwość. Dziś nie przestały one pełnić fundamentalnej roli, ale już nie wystarczają. Do roli wychowawcy trzeba być przygotowanym, wykształconym, oczywiście zakładając, że ma się w tym kierunku jakiś charyzmat, Boży dar, bo charyzmatu wychowawczego nie zastąpi urzędowa nominacja. Dziś potrzebna jest refleksja nad wychowaniem, wiedza, czym ono jest i do czego zmierza.

Przed kilku laty pytał ks. Marek Starowieyski: „Kto dziś w Polsce organizuje szkolenie pracowników seminaryjnych różnych szczebli? Uczelnie twierdzą, że nie mają czasu ani ludzi. Wydaje się, że niebezpieczeństwem Kościoła w Polsce jest brak odwołów; wszyscy poszli na pierwszą linię w duszpasterstwo, natomiast uczelnie katolickie rozlatują się z braku pracowników, podobnie jak seminaria” („W Drodze” 6/1991). Jest wiele racji w tym stwierdzeniu i chyba jeszcze długo zachowa ono słuszność.

Na ogół wszyscy są zgodni co do tego, że wiele powinno się zmienić w życiu i pracy seminariów duchownych. Już gorzej z nakreśleniem jakiejś nowej wizji przełożonej na konkrety. Są środowiska seminaryjne, które przy współudziale przełożonych i studentów podejmują próbę szukania czegoś nowego, współtworzenia takiej wizji seminarium, która nie rezygnując z zachowania zasadniczych zrębów tradycji, chce dostosować życie seminaryjne do wymogów nie tylko aktualnych dokumentów Kościoła o seminaryjnej formacji, ale i do wymogów życia, które zaraz po święceniach dość brutalnie stanie przed młodym księdzem. Zauważa się wszakże w niektórych środowiskach niechęć do przyjęcia nowych struktur i metod wychowania. W imię złe pojętej lojalności wobec Kościoła preferuje się bezkrytyczne podejmowanie tego, co robiło się „od zawsze”, bez zbadania, czy te metody wychowania i sposób funkcjonowania wspólnoty seminaryjnej przynoszą realne owoce w postaci dobrej formacji i rzetelnego wykształcenia. Możliwe działania paraliżuje lęk, że to, co nowe, mogłoby zawieść. A podporą dla tego lęku jest często odwoływanie się do chlubnych tradycji i wypróbowanych struktur.

Nie zdają egzaminu pewne unowocześnienia, które dotyczą drugorzędnych przejawów życia seminaryjnego. Zachowują one często tę samą strukturę, tylko przybraną w nowe odzienie. Takie próby ożywienia działalności seminarium przypominają zachowanie lekarza, który troszczy się o to, aby usunąć objawy choroby zamiast likwidować jej przyczyny.

U źródeł formacji

Każdy z nas nosi w sobie dziedzictwo wychowania w rodzinie. Na nim dopiero można budować. Dobrze, jeśli wyniesione z domu postawy i nawyki stanowią pozytywną wartość. To, że ciągle jeszcze jest wielu kandydatów do kapłaństwa, to znak, że życie wiary w rodzinach stanowi mocny fundament, na którym można budować postawy ofiary, wyrzeczenia, poświęcenia i służby. Ale przecież kryzys współczesnego życia rodzinnego odbija się i na alumnach. Wielu z nich przychodzi z rodzin rozbitych czy związków niesakramentalnych. Także z rodzin dotkniętych patologią. Nie musi to automatycznie oznaczać, że kandydaci z takich rodzin już z góry skazani są na niepowodzenia życiowe i powrót do etosu środowiska, z którego wyszli. Jest jednak niemal pewne, że wymaga to specjalnych działań wychowawczych, że jakoś naznacza to współczesną formację seminaryjną.

Wielu z nich przychodzi z rodzin o słabym poziomie życia religijnego i słabej identyfikacji z nauką Kościoła. Niektórzy pochodzą ze środowisk zlaicyzowanych, nie byli w uporządkowany sposób ewangelizowani, nie zawsze uczęszczali na religię. Wielu przychodzi z obciążeniami środowiska rodzinnego i społecznego zwłaszcza w dziedzinie etyki pracy, uczciwości stosunków międzyludzkich, etyki małżeńskiej i rodzinnej, bardzo nieraz słabego środowiska szkolnego. Przyproceedził ich jakiś nieokreślony *sensus catholicus*, czasami uznanie dla społecznej pozycji kapłana. Bardzo potrzebne byłoby więc na początku prawdziwe nawrócenie, inicjacja w chrześcijaństwo, uporządkowanie wizji kapłaństwa i Kościoła.

Po środowisku rodzinnym decydujący wpływ na formację kandydata do kapłaństwa ma środowisko wspólnoty kościelnej, w której dorastał. Powołanie rzadko rodzi się bez kontaktu z życiem parafii, bez formacyjnego wpływu księdza katechety czy duszpasterza. Czasami ten wpływ jest tak wielki, że przeważa nad wpływem formacji semianaryjnej. Student teologii sporo czasu spędza w środowisku swej rodzinnej parafii i jest pod wychowawczym wpływem kapłanów z tego środowiska lub innych zaprzyjaźnionych. Z doświadczenia wiem, że wpływ ten może być nawet decydujący dla modelu życia i posługiwania przyszłego kapłana. Nie zawsze jednak księża, pod których wpływem jest alumn seminarium, do końca uświadamiają sobie, jak ważne jest ich oddziaływanie. Nie dostrzegają, że często przejmują on ich zachowania, hierarchię wartości, a niejednokrotnie także i wizję swej przyszłej kapłańskiej posługi. W seminarium wyraźnie widać konstruktywny lub destrukcyjny wpływ środowiska kapłańskiego i wspólnoty parafialnej. Wychowawcy seminaryjni mogą poświęcać wiele energii na formację alumna, ale często ta misterna budowla będzie zburzona jednym cynicznym zachowaniem starszego brata w kapłaństwie, który postara się młodemu wybić z głowy „nieżyciowe brednie”, jakimi karmiono go w seminarium. I na odwrót – neoprezbiter może umocnić się na całe kapłańskie życie, gdy w życiu i stylu pracy innego kapłana odkryje sens ofiarnej służby.

Duże znaczenie wychowawcze ma środowisko diecezjalne z biskupem na czele. To jest ta wielka rodzina, która oddycha życiem Kościoła Powszechnego, wczuwa się w jego tętno i jednocześnie formuje w poczuciu dumy i radości z przynależności doń. Alumn oddycha tą atmosferą, wchodzi w dziedzictwo historyczne Kościoła Powszechnego i wspólnoty lokalnej. Gdy środowisko to ma szczęście posiadać w swoich szeregach kapłanów natchnionych duchem ewangelicznym, znaczących dla Kościoła, stwarza to bardzo sprzyjający klimat wychowawczy. Nie chodzi tu tylko o autorytety urzędowe, bo one dziś już nie zawsze muszą być na pierwszym miejscu, ale o wybitne jednostki, które mogą się stać dla młodych modelami czy punktami odniesienia. Ważne jest też, aby środowisko Kościoła lokalnego było otwarte na kulturę nie tylko klerykalnego kręgu. Ważne jest, aby wyraźnie opowiadało

się za wartościami duchowymi. Jeden z młodych księży wyraźnie podkreślił, iż nic tak nie demobilizuje w pracy i posłudze, jak pobłażanie dla sytuacji jednoznacznie niemoralnych. Nie chodzi tu o brak miłosierdzia czy miłości, ale o przymykanie oczu i tolerowanie zła w postawach czy stylu życia. Taka sytuacja rodzi przekonanie, że najważniejsze są układy i pozycja, a nie wartości nadrzędne. O takiej atmosferze i takim sposobie dochodzenia do znaczenia najwcześniej dowiadują się alumni seminarium, ponieważ oni bardzo się interesują życiem Kościoła lokalnego, a od swoich starszych kolegów otrzymują wskazówki, co naprawdę się liczy i jak się ustawić, aby było bezpiecznie i wygodnie. Im mniej w życiu Kościoła lokalnego tego rodzaju filozofii życiowej, tym łatwiejsze wychowanie młodego pokolenia, tym pewniejsze, że będą to ludzie duchowi, a nie jedynie duchowni.

Kościół lokalny wypracowuje także własne kryteria oceny kapłańskiej aktywności. Jeżeli sprawdzianem tej aktywności są jedynie działania zewnętrzne, szybko ustali się model kapłana-działacza, a nie duszpasterza. Od pewnego czasu obserwuje się pokusę ucieczki w działanie i prace materialne od obszaru znacznie trudniejszego, jakim jest życie religijne i duchowe wspólnoty wiernych. Gdy kapłan zostaje mianowany na nową samodzielną placówkę parafialną, od swoich kolegów czy nawet przełożonych słyszy najczęściej, że trzeba zacząć od wymiany dachu, malowania... Rzadko słyszy, że musi zadbać o katechizację, o życie sakramentalne, ewangelizację zaniedbanych środowisk duszpasterskich. I tak powoli rodzi się przekonanie, że jedynym prawdziwym kryterium oceny skuteczności kapłańskiej będą sukcesy materialne. Jeżeli to jednocześnie staje się wyłącznym lub przeważającym kryterium nagradzania, to wrażliwsi na wyróżnienia zaczęną lekceważyć te dziedziny kapłańskiej pracy, które należą do jej istoty. Nie oznacza to bynajmniej osłabiania wagi pracy i misji kapłanów trudzących się przy budowie kościołów czy innych obiektów. Zapominanie o ich trudzie, zostawianie samym sobie, byłoby także bardzo wielkim błędem. Chodzi tu raczej o taką wizję pracy kapłańskiej, która będzie odróżniała to, co naprawdę istotne, od tego, co istotne mniej.

I jeszcze jeden formacyjny element ważny w wychowaniu przyszłych kapłanów. Nasze duszpasterstwo cierpi m.in. na brak wizji pracy organicznej. Bardzo często oparte jest o programy bazujące na kolejnych rocznicach, jubileuszach. Przesyt tego typu duszpasterskich „imprez” powoduje najpierw zmęczenie organizatorów, a następnie nudę uczestników, ponieważ imprezy te są często stereotypowe i poza przeświadczeniem, że się odbyły, niewiele po nich zostaje. Tak ukształtowany młody ksiądz wyrasta w przeświadczeniu, że jeśli jest niewiele lekcji religii w szkole, to właściwie w parafii nie ma co robić. Z tego typu mentalnością młodych kapłanów spotykam się niemal na co dzień. Oddziałuje ona na kolejne pokolenia adeptów duszpasterskiej posługi.

Wskazane wyżej środowiska formacji kandydatów do kapłaństwa, choć odgrywają ważną rolę wychowawczą, są jednak wtórne w stosunku do roli, jaką odgrywa środowisko *per se* temu służące, czyli seminarium duchowne. Nie miejsce tu na przypomnienie zadań tego środowiska, określonych i sformułowanych przez współczesne dokumenty Kościoła na ten temat. Chciałbym tylko podkreślić, że poprzez refleksję nad tym problemem przewija się pytanie, czy współczesne seminarium duchowne przygotowuje do nowych wymogów ewangelizacyjnych. Pytanie takie zrodziło mi się przed wielu już laty, gdy nowo wyświęcony ksiądz po kilku miesiącach pracy na parafii przyjechał po radę, jak się prowadzi grupy modlitewne i zespoły duszpasterskie, bo nie nauczone go tego w seminarium. I tu rodzi się pytanie o całość kształcenia kapłana dziś, a więc o zakres przekazywanej wiedzy i o poziom oddziaływań wychowawczych.

Formacja umysłowa

Model kształcenia seminaryjnego ciągle jest modyfikowany, choć w swej podstawowej strukturze studium filozoficzno-teologicznego nie podlega większym przemianom. Rozrzut możliwości i faktycznego poziomu naukowego jest jednak znaczny. Rocznik statystyczny Kościoła w Polsce podaje imponującą liczbę seminariów duchownych – diecezjalnych i zakonnych. Jest ich razem 84. Gdyby chodziło tylko o cyfry, byłby tu powód do radości. Gdybyśmy jednak przyjrzeni się rzetelnie wartości tych ośrodków, należałoby zmienić tonację naszych odczuć. Wszystkie one mają w nazwie: „wyższe seminarium duchowne”, czyli zgłaszają pretensje do uznania ich za wyższe uczelnie. Nie chciałbym dokonywać klasyfikacji ich wartości czy ustalać, które z nich faktycznie mają coś wspólnego z uczelnią wyższą. Ale jeśli na terenie jednej diecezji funkcjonuje niekiedy kilka różnych seminariów, a niektóre z nich nie przekraczają 25 studentów na wszystkich latach studiów, to rodzi się pytanie, jak można w takich warunkach zadbać o kadrę naukową, jaki jest sens takiego rozdrobnienia katolickiego szkolnictwa. Zrozumiałe, że każde, nawet najmniejsze zgromadzenie zakonne i najmniejsza diecezja chce mieć własne seminarium duchowne, ale w ten sposób stają się one niekiedy raczej pomaturalnymi szkołami diecezjalnymi. Wprawdzie afiliacja do uczelni katolickich czy papieskich wydziałów teologicznych podciąga te ośrodki w liczbie nadawanych stopni magistra teologii, ale przecież nie jedynie o stopień tu chodzi.

Aby przygotować księdza do prowadzenia człowieka po duchowych bezdrożach współczesności, nie wystarczy okazały gmach. Trzeba raczej stworzyć ambitne środowisko naukowe i duchowe, otwarte na wszechstronną wymianę, trzeba uformować ludzi gotowych podjąć dialog ze współczesnością, gotowych nie tylko do dowodzenia zasadności swej wiary, ale

i przygotowanych do pełnienia roli przewodników duchowych. Nie zapewnią tego środowiska karłowate, chrome, które chronią każdego, nawet niewydolnego intelektualnie, po to, aby móc się cieszyć, że nasze dzieło się rozwija. Jest oczywiste, że takie ośrodki nie mogą zapewnić zaplecza dla rozwoju naukowego i duchowego kandydatów do kapłaństwa. Ich kadra naukowa rekrutuje się najczęściej z ludzi zajmujących się na co dzień czymś zupełnie innym. Nikt ich zresztą z działalności naukowej nie rozlicza i nikomu nie przeszkadza to, że przez przeszło trzydzieści lat pracy w seminarium nie napiszą nawet jednego artykułu naukowego czy choćby popularnego tekstu. Nie ma to żadnego wpływu na ocenę ich pracy. Jak się to ma do uczelni wyższych, gdzie po każdym semestrze rozlicza się kadrę z dokonań naukowych i dydaktycznych? Obecny stan tej sprawy w seminariach to jednak tylko odprysk ważniejszej sprawy, a mianowicie braku jasnego statusu wykładowcy seminarium duchownego.

Zamiłowanie do akcyjności w życiu Kościoła zdewaluowało w oczach wielu młodych ludzi wartość pracy naukowej i po prostu solidnego uczenia się. Taryfa ulgowa na egzaminach sprawia, że jest często tak, jak mi to opisał jeden z młodych kapłanów: „Demoralizująca jest łatwość zdawania egzaminów: można przejść całe studia nie kalając się solidną wiedzą teologiczną. To uczy bylejakości, prześlizgiwania się przez życie.”

Nie znaczy to wcale, że nie ma ambitnych diecezjalnych i zakonnych środowisk naukowych. Są i tworzą często ważne zaplecze duszpasterskiej pracy Kościoła. I nie wolno pomniejszać ich roli. Ale niepokojem musi napawać taki rozrzut inicjatyw w tym zakresie, nie pozwalający na stworzenie środowisk o poważnym autorytecie naukowym i znaczeniu moralnym.

Można by wiele mówić o przygotowaniu do studiów dzisiejszych absolwentów szkół średnich. Sprawa ta była wielokrotnie omawiana w bardzo poważnych gremiach. Ks. Marek Starowieyski już parokrotnie mądrze pisał o humanistycznej formacji alumnów seminariów duchownych i ja nic ciekawszego od siebie nie dodam. Kandydaci przychodzą do seminariów bardzo często po słabych szkołach średnich, w większości zawodowych, gdzie wiedza humanistyczna jest ograniczona do minimum. I nagle w seminarium każą im się uczyć filozofii, języków obcych, do tego – o zgrozo! – łaciny. A oni wiedzą, że do budowania kościołów, organizowania pielgrzymek, głoszenia kazań, udzielania sakramentów, zbierania tacy i jeszcze kilku ważnych czynności – wcale im się ta łacina czy greka nie przyda. Nie przekonuje ich to, że nie można zgłębiać dziedzictwa Kościoła, nie można zrozumieć i owocnie przyswoić sobie podstawowych założeń teologii bez – choćby podstawowej – formacji w zakresie kultury klasycznej. Z konieczności więc w seminarium przymyka się oko na te dziedziny, obniża się poprzeczkę wymagań naukowych, aby nawet największy fajtlapa i nieudacznik mógł ją pokonać. A gdzie tu mówić o kontakcie z literaturą piękną, rodzimą czy obcą!

Sami zresztą wykładowcy seminariów rzadko kalają się braniem do ręki czegoś, co nie byłoby związane z ich zawodową profesją.

Nieobecność w formacji przyszłych kapłanów elementów kultury humanistycznej jest jednym ze źródeł ciasnoty myślenia, bardzo jednostronnej wizji rzeczywistości, wizji, którą śmiało można nazwać klerykalno-zobobną. Przejawia się to także w reakcji na problemy świata, w którym żyjemy. Jeden z młodych księży napisał bardzo znamienne słowa: „Wykładowcy dzielą się niekiedy swoim widzeniem rzeczywistości (społecznej, politycznej czy kościelnej), a perspektywa ich myślenia jest bardzo mało teologiczna. Zarażają swoim pesymizmem, czasami wręcz cynizmem. Stąd młodzi księża już zaraz po święceniach, a czasami także jeszcze w czasie formacji, nabierają przekonania, że wszystkiemu winne są knowania »sił laickich«, »masonerii«, »liberałów« itp.” I te uproszczenia w wizji rzeczywistości, wynikające z braku wiedzy, spójnej wizji światopoglądowej i lenistwa umysłowego, dla wielu z nich będą kluczem do rozumienia życia raz na zawsze! Co gorsze, oni ten „klucz”, a raczej wytrych, wnoszą w przepowiadanie, katechezę. Taka atmosfera może łatwo stać się wylęgarnią klerykalizmu, choroby naszych struktur i szeregów, jakże trudnej do uleczenia!

Teologia, której uczą się studenci seminariów, jest przecież nie tylko dyscypliną naukową, przedmiotem, który się im wyklada, ale jednym z podstawowych źródeł formacji wychowawczej. Seminarium chce przecież najpierw uformować dobrego człowieka, chrześcijanina, ucznia Chrystusa, a dopiero potem przekazać podstawową wiedzę teologiczną. Powinno więc być samo środowiskiem wiary. Czasami student może odnieść wrażenie, że liczą się przede wszystkim wyniki, a nie życie religijne, dlatego też zamiast rozwoju tego życia obserwuje się niekiedy, jak w miarę postępu w studiach następuje jego uwiąd. Jest to zjawisko dość powszechne, a niejeden przełożony mówi wyraźnie studentom o tym, że najbardziej pobożni to oni byli na pierwszym roku studiów. Potem już było z tym coraz gorzej. Wydaje się, że powinno być akurat odwrotnie.

Formacja duchowa

Osobnym i trudniejszym problemem jest koncepcja nie tyle naukowej, ile formacyjno-duchowej strony tych środowisk. Tu pojawia się najwięcej obaw przed dopuszczeniem trochę innego stylu niż ten wypróbowany długą tradycją. Oczywiście są środowiska, które nie boją się podejmować inicjatyw wychowawczych trochę innych od utartych. O takiej próbie pisał kiedyś na łamach „Ateneum Kapłańskiego” diakon (dziś już kapłan) Tymon Chmielecki, opisując doświadczenia papieskiego seminarium w Rzymie, stawiającego na samodzielny trud w formowaniu siebie i opierającego formację na solidnym życiu duchowym i sakramentalnym. O podobnej sprawie pisali na łamach „W Drodze” księża Kroplewski i Nowak, ukazując ekspe-

ryment gorzowskiego i koszalińskiego środowiska. Proponują oni formację opartą na modelu sugerowanym przez dokumenty soborowe i ideały Ruchu dla Lepszego Świata. Idea ta znana jest także w Polsce pod nazwą Nowy Obraz Parafii (NOP).

Nie umniejszając wagi tych ważnych prób, można powiedzieć, że proces seminaryjnego wychowania w większości wypadków nie przeszedł metamorfozy przystosowującej je do wymogów współczesnego apostołstwa. A przecież seminarium powinno być awangardą odnowy religijnej, nie zaś jej ariergardą, jak bywa w rzeczywistości. Niejednokrotnie przychodzący do seminarium młody człowiek, który otrzymał niezłą formację życia religijnego w rodzinie, a potem w grupie religijnej czy ruchu apostołskim, nagle zauważa, że wpadł w jakiś kierat, czego symptomem jest brak spontaniczności w życiu wiary. „Poczułem się jak pies Pawłowa, który reaguje tylko na dzwonek” – powiedział mi nie tak dawno młody ksiądz.

Instytucjonalizacja staje się chorobą paraliżującą naturalne ukierunkowanie życia religijnego. Jest to bardzo trudny problem, ponieważ seminarium samo z siebie jest instytucją i nosi na sobie wszystkie skażenia instytucjonalne. Jeżeli jednak są one petryfikowane, a nie stymulowane prawdziwą atmosferą wspólnoty ludzi żyjących wiarą na co dzień, łatwo o bardzo formalne odniesienia na linii wychowawcy – klerycy.

Brak poczucia prawdziwej wspólnoty wiary środowiska seminaryjnego nie rodzi u młodych myślenia kategoriami eklezjalnymi. „Seminarium nie jest czymś naszym. Nie myślę o Kościele jako o naszym, czymś, za co jestem odpowiedzialny i potrafię dla dobra tej konkretnej wspólnoty coś uczynić, z czegoś zrezygnować” – pisze młody ksiądz. Bardzo często nie ma tej wspólnoty w samym gronie wychowawców i wykładowców, a studenci to czują, widzą. „I nie bujajmy się, nie mówmy o wspólnocie, gdy profesor lub wychowawca nie czuje potrzeby sprawowania Eucharystii ze swoimi studentami, a koncelebrowania ze swoimi kolegami wychowawcami, lub gdy klerycy nie czują potrzeby przeżycia jej ze swoimi profesorami i wychowawcami oraz nie odczuwają, że ona łączy ich między sobą” – pisał ks. Starowiejski. Niedawno jeden z księży przyznał, że dobrze wspomina czasy, gdy w jednym pokoju seminaryjnym mieszkało ich po kilku i gdy była możliwość wzajemnego kontaktu, wspierania się. Zapewne, tamte trudne warunki nie były ideałem. Nowoczesne seminaria, gdzie studenci mieszkają bardzo często pojedynczo, zapewniają im godziwe warunki mieszkaniowe i standard już nowoczesny, ale atomizują seminaryjną społeczność.

Ducha wspólnoty owianej wiarą i wzajemną miłością nie da się stworzyć automatycznie, mocą dekretu. To zależy głównie od przewodzących wspólnocie seminaryjnej, od autentycznego charyzmatu formatorów oraz – co wcale nie jest bagatelne czy drugorzędne – od rzetelności ich wiary, od temperatury osobistego życia religijnego, modlitwy, umiłowania Kościoła.

Nie można być wychowawcą nie zdając sobie sprawy z tego, na czym wychowanie polega. F. W. Frobel podał bardzo skrótową definicję wychowania: „Wychowanie to dobry przykład i miłość – nic nadto.” Dodałbym jeszcze jedną, także skrótową definicję G. Kerschensteinera: „świadomość urzeczywistnienia wartości w kimś jest wychowaniem innych”. Obie te definicje łączy wskazanie na wychowawczy kontakt, przez który są przekazywane wartości i przez który wychowawca oddziałuje na wychowanka. Model takiego wychowawczego oddziaływania został podany na kartach Pisma Świętego. Pedagogia Przymierza opiera się na zasadzie obecności Boga pośród swego ludu. „Być z” staje się podstawową zasadą wychowania, której prazródło otrzymaliśmy w Objawieniu. O zasadzie tej nie wolno zapomnieć w seminariach. Niestety, w ośrodkach króluje model wychowania, który powszechnie nazywa się represyjnym: wychowawcy podają regulamin, wyjaśniają go na konferencjach i potem egzekwują jego wykonanie. Sami zaś często pełnią kilka innych, bardzo absorbujących funkcji, nie mając czasu na wychowawczy kontakt z alumnami. Tymczasem wychowawcy powinni być oddani przede wszystkim wychowaniu. Wspominany tu już ks. Starowieyski zauważył kiedyś, że wychowanie seminaryjne przeżywa kryzys podobny do kryzysu życia rodzinnego, gdy rodzice zajęci życiem zawodowym zupełnie nie mają wychowawczego kontaktu z dziećmi.

Tradycja wychowania zna oparty na Biblii system wychowania prewencyjnego zastosowany szczególnie w działalności św. Jana Bosko. Zakłada on obecność wychowawcy nie w celu represji czy nadzorowania, ale w celu towarzyszenia dorastaniu duchowemu młodych ludzi. Nie można wychowywać bez znajomości wychowanków. A tego nie osiągnie się jedynie śledząc ich, czy biorą udział w zajęciach i modlitwie, lecz przez wspólnotę uczestnictwa. Aby to uczestnictwo było sensowne, tworzy się dziś zespoły czy grupy formacyjne prowadzone przez konkretnego wychowawcę. Zespoły te przechodzą kolejne stadia inicjacji w życie duchowe i dla tych stadiów organizowane są konferencje, spotkania. Są już u nas w Polsce takie środowiska seminaryjne, które dopracowały się tutaj wielu dobrych doświadczeń. Klerycy pracujący w takich grupach nie muszą być bacznie dogładani, oni są razem, przyjmują na siebie zobowiązania wynikające z obecności w grupie czy zespole, a wychowawca grupy wie nie tylko, ilu ich nie ma na jakimś ćwiczeniu, ale także dlaczego.

Nie będę pisał o potrzebie specjalnej inicjacji alumnów pierwszego roku studiów, bo potrzebę tzw. roku propedeutycznego wskazują dokumenty Kościoła. Chciałbym tu wskazać na potrzebę indywidualnego prowadzenia duchowego. Młodzieży dziś przychodzącej do seminarium nie wystarcza bowiem masowe prowadzenie, tak jak to było przed laty. Aby nie odkrywać Ameryki, pozwolę sobie powtórzyć to, co na ten temat napisał przed paru laty ks. Starowieyski: „Kilka lat temu bawił w Polsce pewien benedyktyn, wielo-

letni i wytrawny mistrz nowicjatu, głęboki znawca życia duchowego. Na widok kościoła seminaryjnego przepelnionego klerykami twarz mu rozpromieniała i mszę wyśpiewał najcudniejszymi falkami gregoriańskimi. Przy kolacji, jeszcze pełen zachwytu, zapytał, ilu jest seminarzystów. Na odpowiedź, że jest ich około trzystu, postawił następne pytanie, ilu jest ojców duchownych. Gdy mu powiedziano, że jest ich dwóch, poprosił o przetłumaczenie jeszcze raz na język polski pytania. Gdy otrzymał tę samą odpowiedź, oczy mu się zaokrągliły w najwyższym zdumieniu i wykrztusił: »Ale jak mogą oni ich wprowadzić w życie duchowe.«” No właśnie. Ale też trzeba zapytać: czy oni swoją misję widzą w tych kategoriach? Czy nie raczej w kategorii kapłanów, którzy odprawiają nabożeństwa i wygłaszają konferencje? Dla wielu bowiem kapłanów ideałem ojca duchownego jest ciągle mąż, który ładnie odprawia, mówi sensowne konferencje, do którego chodzi się raz do roku, bo taki jest nakaz regulaminu, ale który nie jest mistrzem życia duchowego, nie jest przewodnikiem wtajemniczającym w arкана modlitwy, w pracę nad sobą. Tu mamy chyba do czynienia z istotą problemu seminariów w Polsce.

Życie kapłańskie będzie domagało się od dzisiejszych alumnów ogromnej dojrzałości, odpowiedzialności i samodzielności. A przecież istniejąca struktura seminariów ciągle – przynajmniej tak jest w znanych mi środowiskach – to poczucie odpowiedzialności i samodzielność skutecznie zabija. Życie w seminarium jest od początku do końca tak zorganizowane, że właściwie wystarczy tylko na dzwonek zjawić się na zajęciach, a inni już pomyślą o wszystkim. Odejmuje się tym młodym możliwość decydowania i nawet w drobiazgach konieczna jest decyzja przełożonego. Wychowuje to jednostki infantylny, osobowości niedojrzałe, stłamszone wewnętrznie i sztuczne. Studenci mają wtedy wrażenie, że są uczniami szkoły średniej w kościelnym internacie, zaczynają się zachowywać po sztubacku i o wiele mniej dojrzałe niż koledzy w ich wieku, często już na stanowiskach czy studiujący na uczelniach, uczący się i pracujący jednocześnie, podejmujący niejednokrotnie poważne decyzje życiowe.

Na Synodzie biskupów o kapłaństwie mówiono o pasywności alumnów i niechęci do podejmowania samodzielnego wysiłku. Z doświadczenia wiem, że nie zawsze jest to ich wina. Najczęściej jest to wina formatorów i złych regulaminów – obozwładniających, a nie zapraszających do współodpowiedzialności. Gdy uda się alumnów zaprosić do niej i gdy traktuje się ich podmiotowo, odpowiadają bardzo poważnym podejściem do sprawy. Ale muszą czuć, że to wynika nie z doraźnych działań, lecz z pewnego i jasnego systemu życia seminaryjnego.

Otwarcie na człowieka

Całość formacji powinna zmierzać do syntezy życia duchowego i intelektualnego jednostki, ale także do otwarcia jej na drugich. Seminarium ma

bowiem przygotowywać do posługi ludziom, do ustawicznego dzielenia się z drugimi. Muszą więc w nim istnieć jakieś zorganizowane i wychowawczo uzasadnione formy apostołskiej obecności alumnów w życiu Kościoła. Nie oznacza to, że seminarium ma się zamienić w placówkę misyjną czy świadczącą usługi w zakresie pomocy duszpasterskiej okolicznym parafiom. Oczywiście, powinno ono być ze swej natury misyjne i nie może całkowicie zamknąć się nawet na doraźną pomoc duszpasterską. Apostolskie zaangażowanie powinno jednak być wmontowane w system wychowawczy, a nie stanowić tylko element składowy jakichś akcji duszpasterskich. Bez dobrego podkładu duchowego łatwo wychować postawy społecznikowskie, a nie postawy zakorzenione w duchu ewangelicznym.

Seminarium powinno więc dawać wiele okazji autentycznej służby ludziom, aby przełamywać skłonność do wejścia w wygodne tory spełniania posług, egoizm i lekceważenie prostych, ludzkich spraw. Aby obudzić i utrwalić w alumnach postawę wrażliwości, dąży się do tego, aby mieli okazję zetknięcia się ze służbą chorym, niepełnosprawnym, społecznie zaniedbanym. Jest to dziś ważny odcinek pracy Kościoła i zrozumienie tej sprawy powinno być istotną częścią wyposażenia otrzymanego w seminarium. Daje to alumnom możliwość przeżycia radości z posługiwania drugiemu człowiekowi i może być także okazją sprawdzenia autentyczności powołania. Uczy przeżywania miłości do drugiego człowieka w wymiarze oblubieńczym i przygotowuje do realizacji miłości w ofiarnym geście oddania siebie bez reszty na służbę w Kościele. Może być także zapowiedzią tej radości, która jest udziałem kapłana w codzienności duszpasterskiej.

Zakończenie

Zdaję sobie sprawę, że wiele spraw zostało tu ledwie zaanonsowanych. Nie wspominałem na przykład o doświadczeniu wychowawczym seminarium Drogi Neokatechumenalnej czy o innych ciekawych doświadczeniach Kościoła w tym zakresie. Zadaniem seminarium, jak mi się zdaje, jest na pierwszym miejscu towarzyszyć zrastaniu i rozwojowi daru powołania, z którym przychodzi każdy młody człowiek przekraczający furkę seminarium. Owo towarzyszenie nie polega przecież na biernym przyglądaniu się, ale na twórczym udziale i współpracy całego środowiska Kościoła lokalnego, a szczególnie seminaryjnego, w procesie wychowania i ukształtowania przyszłego księdza. W procesie tym będą pojawiały się coraz nowe zadania i wyzwania. Kościół z pewnością będzie na nie zawsze otwarty.

KS. JERZY BAGROWICZ, ur. 1938, wieloletni redaktor naczelny „Atencum Kapłańskiego”, profesor katechetyki w ATK i pedagogiki w UMK w Toruniu.

KSIĄDZ W PARAFII

Ks. Mieczysław Nowak

Mam za sobą 37 lat kapłaństwa. Pracowałem w 10 placówkach duszpasterskich, w tym jako proboszcz w 4 parafiach. Właśnie przekazałem następnemu księdzu moją ostatnią placówkę, którą tworzyłem od początku, której nadawałem styl, formowałem ją i przez to także siebie. I to chyba jest najciekawsze – owa twórczość, wzajemne oddziaływanie. To doświadczenie Chrystusa we wspólnocie Ludu Bożego jest przeżyciem głęboko angażującym.

Ksiądz nie jest tylko urzędnikiem. Wręcz trudno mi sobie wyobrazić taką postawę kapłana. Oznaczałoby to okaleczenie jego powołania. Normalny ksiądz żyje parafią. To jest jego pasja, jego miłość, jego życie. I dlatego udana praca w parafii uszczęśliwia go głęboko, a nieudana – frustruje i wpycha w nerwicę. Myślę, że wielu z nas płaci za to zdrowiem, zgorzknieniem i świadomością zmarnowanej szansy. Niejeden z nas jest zostawiony samemu sobie, bez pomocy z góry i z dołu. Dlatego wielu nie wie, co robić, nie ma żadnej wizji życia w parafii. Praca duszpasterska jest wtedy tylko ciągłą improwizacją. Dobrze, jeśli ktoś to jasno widzi, bo stwarza to szansę na wyjście z tego stanu.

Każda parafia jest inna. I każda jest darem od Boga dla księdza i dla wiernych. Jest ogromną szansą do wykorzystania, szansą, że spotykamy się w niej w ewangelicznym braterstwie, że razem, choć każdy na swój sposób, będziemy służyć Bogu, że Mu się przydamy do dzieła głoszenia Dobrej Nowiny i zbawiania ludzi przez ludzi.

Rodzi to więc także ogromną odpowiedzialność. Wchodzimy w najgłębsze Boże i ludzkie sprawy. Pracujemy gdzieś w głębi i w korzeniach. Owoc nie zawsze będzie widoczny od razu. Ale trzeba siać i pracować z wielką ufnością i długomyślnością. Nawet nas samych nieraz zaskakuje to, co mówią ludzie. Gdy byłem ostatnio na prymicjach jednego z moich dawnych ministrantów, podeszła do mnie kobieta, która bardzo się ucieszyła na mój widok. Spotkaliśmy się 15 lat wcześniej, ale słowa, które jej wówczas powie-

działem, według jej świadectwa bardzo jej pomagały przez cały czas i dzięki nim przetrwała trudne chwile. Mimo że często zdarza mi się słyszeć podobne wyznania, za każdym razem się nimi zdumiewam.

Bóg posługuje się nami jako narzędziami. Ale to narzędzie musi nadać się do celu, jaki On chce osiągnąć. Trzeba więc myśleć o tym, jakiej parafii chce Bóg i w jakiej parafii chcą żyć nasi wierni. Potrzebna jest nie tylko perspektywa wiary i nieustannego słuchania tego, co mówi Bóg do Kościoła, ale i postawa nieustannego słuchania ludzi i dialogu z nimi. Nieustannego uczenia się.

Przy mnogości naszych zajęć to trudne. Często na to narzekamy. Ale to także efekt złej organizacji pracy i liczenia tylko na siebie, niedopuszczania innych do współpracy. Traci na tym nie tylko sam kapłan, ale i cały Kościół. Właściwe wykorzystanie charyzmatów każdego kapłana i każdego świeckiego jest więc sprawą pilną. Zmarnowane dary Boże oskarżają nas.

To, co najtrudniejsze w parafii, to brak właściwych modeli praktycznych. Praca parafialna za bardzo jest improwizacją, działaniem w ciemno, próbowaniem i szukaniem, a za mało świadomym, metodycznym i konsekwentnym realizowaniem tej wizji Kościoła, jaką dał nam Sobór Watykański II. Ta wizja jest wspaniała, może pociągnąć i nas, i świeckich. Trzeba ją jednak zgłębić, pokochać. I znaleźć właściwy sposób jej realizowania. Dlatego tak ważna jest wiara, wyobraźnia i odpowiednia strategia. Bez niej nawet wielkie wysiłki mogą pójść na marne.

Ważne jest powołanie Rady duszpasterskiej, ale jeszcze ważniejsze budowanie braterstwa w parafii. Nie zajęcie się jedną elitarną grupką, ale prowadzenie całej parafii ku temu, by wszyscy wierzący, przez udział w małych grupach sąsiedzkich, mieli jedno serce i jedną duszę. Tak się buduje Kościół. Ważna jest analiza życia parafii dokonywana wspólnie ze świeckimi. Ważne jest szukanie podstawowego problemu duszpasterskiego, diagnoza i rozeznanie, postawienie sobie celów na każdy rok. Ale najważniejsze jest wytyczenie drogi Ludu Bożego i pójście nią krok za krokiem.

Patrząc wstecz na przeżyte lata kapłańskie, widzę, że niezmiernie ważne jest znalezienie wspólnego języka z braćmi w kapłaństwie i ze świeckimi. Podejmujemy dzieło wspólne – budowanie wspólnoty kościelnej. Tego nikt nie robi w pojedynkę. Potrzebne są zaangażowanie i dary wszystkich. Trzeba więc jakoś zdobyć sobie tych współpracowników. Miłość duszpasterska jest czymś konkretnym, wymagającym i podobnym do miłości małżeńskiej w tym, że trzeba ciągle zaczynać od nowa, ufać sobie, nie zrażać się niczym, przebaczać sobie ciągle i dawać sobie nieustannie znaki miłości. Na płaszczyźnie tylko ludzkiej łatwo o zniechęcenie i frustrację. Dlatego tak ważne, by we wszystkim, co robimy, widzieć Chrystusa i Jego Oblubienicę. Ja wiem, że to słowo archaiczne, ale ono wprowadza nas w tajemnicę tak głębokiego zespolenia, jakie mamy szansę przeżyć w parafii.

Do realizacji tego potrzebne jest zarówno doświadczenie starszych, jak i zapał młodych księży, gorliwość duszpasterska duchownych i zaangażowanie świeckich. Jan Paweł II potwierdza, że nie ma odwrotu od apostołstwa świeckich, że w komunii Kościoła i w jego misji zajmują oni ważne miejsce. Ich działanie i zaangażowanie w Kościół nie wynika z łaskawego zezwolenia duchowieństwa, ale z powołania zawartego w Chrzcie i Bierzmowaniu, z samego udziału w Ciele Chrystusa, jakie tworzą razem z innymi.

Sprowadzić wszystko do spraw kancelaryjnych, tylko formalnych, to zubożyć całe posługiwanie kapłańskie, spłaszczyć je do wymiaru rytualno-finansowego czy administracyjnego. Tym się nie buduje Kościoła. Przeciwnie: właśnie poprzez to się go rujnuje. Prędzej czy później ludzie poznają, że księdzu chodzi o ich dobro, nawet wtedy jeśli w imię wiary i z miłością postawi im duże wymagania.

Tym, co mnie osobiście najbardziej przeszkadza w pracy, jest nieszczęsny stereotyp myślenia o Bogu i religii w kategoriach prawie magicznych. Podchodzenie do najgłębszych spraw życia sakramentalnego, które przecież stanowią najgłębszy nurt życia parafialnego, bez wiary i właściwej świadomości. Istnieje prymitywny „beton” katolicki, którego prawie nie da się ruszyć. Wszystko, co jest żywe, twórcze, nowe, może być zaduszone przez swoistą mieszankę absurdałnego prawie tradycjonalizmu i formalizmu. Jeden z moich parafian wyraził to mocno i wyraźnie: „Ja nie potrzebuję, żeby mi się tu coś zmieniało.”

Rodzi to smutek, gdy przy pożegnaniu parafii ludzie mówią: „Nie rozumieliśmy Księdza dostatecznie i nie nadażaliśmy za nim. Może własne leniwość i stereotypy myślowe były nam droższe niż droga, którą ukazywał nam Ksiądz w imię Boga.” Sam to w różnej formie parę razy słyszałem. Ale to znak, że może my, duszpasterze, mając nawet piękne programy i wizje, za mało ludzi w nie wprowadzamy. Przestrzegalbym młodszych współbraci w kapłaństwie przed mniemaniem, że jeśli raz lub trzy razy coś się powiedziało, to wierni już to sobie przyswoili. Praca parafialna jest pracą od podstaw i ciągle trzeba na różne sposoby ukazywać cel życia we wspólnocie i wyraźne etapy drogi. Życie w parafii nie może stać się chodzeniem w kółko, ale pielgrzymką naprzód – ku wyznaczonemu celowi.

Praca w parafii jest niezmiernie absorbująca. Także wyczerpująca – psychicznie i fizycznie. Nasi wierni powinni sobie z tego zdawać sprawę i łątwiej nam darować różne rozdrażnienia czy nietakty płynące nieraz z najlepszej woli i gorliwości, ale także z przemęczenia i braku zrozumienia ludzi. Bez współpracy świeckich ten ciężar jest nie do udźwignięcia. Dlatego tylko o tyle i tam udało mi się coś zrobić, gdzie istniał klimat dialogu, życzliwości, współpracy, otwartości, wzajemnej troski i modlitwy za siebie. Nieraz człowiek bywał krańcowo wyczerpany, ale szczęśliwy, gdy widział, że może liczyć na braci i siostry.

Jeden z podstawowych tematów do przemyślenia i realizowania w parafii to, według moich doświadczeń, temat duchowości wspólnotowej. Chodzi tu o ciągle wychodzenie z myślenia tylko indywidualistycznego czy w kategoriach małej, pobożnej grupy, która działa prawie jak sekta, ku duchowości bycia we wspólnocie, myśleniu w kategoriach całości, dobra wspólnego całej parafii.

Jeśli ksiądz zostanie sam – to zagrożona jest jego główna misja jako ojca i brata, jako przewodnika Ludu Bożego. Pozostanie mu tylko administrowanie, dyrygowanie ludźmi, którzy nie rozumieją i z boku krytykują wszystko, nie podejmując żadnej odpowiedzialności. Jak możemy wtedy budować większą wspólnotę? Jak możemy odpowiedzieć na wezwania Boże dochodzące do nas przez wydarzenia i znaki czasu? Jak możemy być w komunii, w jedności?

To, co najbardziej daje się we znaki księżom, to brak czasu nawet na sprawy najważniejsze: modlitwę, rozważanie w wierze wszystkiego, co parafia przeżywa, i szukanie nowych dróg. Prawie zawsze jest to jednak wynik braku właściwie zorganizowanej pracy, forma paternalizmu, skutek niewiary w to, że Bóg działa i chce działać „we wszystkich i przez wszystkich” (Ef 4, 6).

Jestem wdzięczny Bogu, że w Ruchu dla Lepszego Świata dał mi nie tylko przeżyć twórczą ideę parafii, która ma się stawać powoli prawdziwą wspólnotą małych, sąsiedzkich wspólnot, ale że mi pozwolił ją realizować. Widzę dzisiaj, że to były najlepsze, najciekawsze lata mojej pracy kapłańskiej. To był też prosty sposób na to, by zdobyć ludzi dla wielkiej sprawy Bożej, zaangażować ich w konkretne wydarzenia dokonujące się w parafii, razem z nimi planować drogę, pokonywać na niej trudności i cieszyć się owocami wspólnego trudu.

W Ruchu dla Lepszego Świata kładziemy duży nacisk na formację chrześcijańską poprzez sesje wspólnotowe pozwalające nam przeżyć Kościół, zobaczyć cały radykalizm wezwań Ewangelii (Błogosławieństw). Uczymy się modlitwy, dialogu, rozeznania, ciągłego zaczynania od nowa, udziału we Mszy św., chrześcijańskiego wymiaru pracy. Wakacyjne spotkania grupujące młodzież i małżonków z dziećmi są podstawą Parafialnego Ruchu Młodych i Ruchu Rodzin. To owocuje potem w parafii. Jesteśmy przekonani, że tyle będzie mądrej akcji – ile jest formacji postaw i zaangażowań.¹

KS. MIECZYSLAW NOWAK, ur. 1937, kapłan diecezji warszawsko-praskiej, dr teologii, główny odpowiedzialny za Ruch dla Lepszego Świata w Polsce.

¹ Tych, którzy chcą się bliżej zainteresować projektem odnowy duszpasterskiej w tym duchu, odsyłam do swoich książeczek: *O nową wizję parafii*, *Misje parafialne 2000* i *Bogactwo Mszy świętej*. Tam można znaleźć konkrety, o których nie sposób tu pisać, a które decydują o kształcie naszej pracy w parafii i jej efektach.

STARSI KOŚCIOŁA

Ks. Tomasz Węcławski

„Starszych, którzy są wśród was, proszę, ja również starszy, a przy tym świadek Chrystusowych cierpień oraz uczestnik tej chwały, która ma się objawić: paście stado Boże, które jest przy was, strzegąc go nie pod przymusem, ale z własnej woli, jak Bóg chce; nie ze względu na niegodziwe zyski, ale z oddaniem; i nie jak ci, którzy ciemieją gminy, ale jako żywe przykłady dla stada. Kiedy zaś objawi się Najwyższy Pasterz, otrzymacie niewiedzący wieniec chwały” (1 P 5,1-4).

Tekst ten, powstały na przełomie pierwszego i drugiego stulecia, możemy odczytać jako świadectwo dokonanego we wczesnym chrześcijaństwie określenia miejsca „starszych” (czyli prezbiterów) we wspólnocie Kościoła. Możemy w nim dostrzec najważniejsze elementy tego określenia – odniesienie do tajemnicy Chrystusa, Najwyższego Pasterza, zadanie przewodzenia gminom i przestrożę przed niebezpieczeństwami płynącymi z władzy i ze związanego z powołaniem „starszych” wyróżnienia. Normatywny charakter tekstów Nowego Testamentu przejawia się także w trwałej potrzebie takiego wyjaśnienia i takiej przestrogi. Dobre rozumienie powołania prezbiterów i ich miejsca w Kościele również dzisiaj wymaga wysiłku nie tylko od najbardziej zainteresowanych, ale też od całego Kościoła. Łatwo byłoby zapewne powiedzieć, że zrozumienie miejsca i roli prezbiterów w Kościele wymaga dzisiaj szczerego wysiłku. Przełom cywilizacyjny, którego jesteśmy świadkami, odchodzenie w przeszłość wielu dotychczasowych oczywistości i pojawianie się oczywistości zupełnie nowych, domaga się zrozumienia i zdecydowanego działania – i to niezależnie od tego, czy rodzaj wyzwań, przed którymi stajemy, oraz kierunek działania, który one wyznaczają, odpowiada nam czy nie.

Sprawa jest złożona, dziedzina, o którą chodzi, ważna, czuła i delikatna, dlatego też propozycje czy tym bardziej próby narzucenia na tym polu szybkich i łatwych rozwiązań, podobnie jak wszelkie futurologiczne gdybania, są tu zupełnie nie na miejscu. Piszę to, żeby się ubezpieczyć przed nieporozumieniem, którym byłoby przyjęcie poniższych uwag jako „projektu reformy” stanu prezbiterów w Kościele. Świadomie nie formułuję w tym rozważaniu wyraźnych wniosków czy reformatorskich postulatów. Mój zamiar i cel jest bowiem inny. Z pomocą dwu zasadniczych pytań chciałbym jedynie zwięźle przedstawić niektóre rysujące się dzisiaj przed „starszymi Kościoła” możliwości. Tworzą one na użytek tego rozważania dość uproszczone alternatywy, których nie należy traktować zbyt dosłownie – służą one bowiem jedynie uporządkowaniu naszej wyobraźni i wydobyciu pewnych nie zawsze dosyć wyraźnie nazywanych wątpliwości. Zdaje się jednak, że to właśnie istnienie takich alternatyw i towarzyszących im wątpliwości odpowiedzialne jest z jednej strony za to, co dzisiaj nazywa się „kryzysem tożsamości kapłańskiej”, z drugiej za pojawiające się wciąż na nowo postulaty przemyślenia i nowego określenia miejsca i okoliczności służby księży (prezbiterów) w Kościele i stawianych im wymagań. Jak już zauważyliśmy, alternatywy te, podobnie jak związane z nimi wątpliwości i napięcia, nie są bynajmniej niczym nowym. Tak czy inaczej stawało wobec nich każde pokolenie prezbiterów. Bywały też przez kolejne pokolenia różnie rozstrzygane. Suma tych rozstrzygnięć składa się na dzisiejszy stan rzeczy.

Rozważanie to traktuję zatem jako czysto teoretyczne. Nie stawiam koniecznego skądinąd pytania, czym przedstawione tu możliwości są w oczach tych, którzy z racji swojego powołania i urzędu decydują o przyszłości kościelnych instytucji. Mam jednak silne przekonanie, że w najbliższych dziesięcioleciach zostaną w tej dziedzinie podjęte zasadnicze i dalekosiężne decyzje. Mogłoby się wprawdzie wydawać, że zostały one już podjęte i że możemy je znaleźć we współczesnym nauczaniu Kościoła – począwszy od soborowego dekretu *O postudze i życiu kapłanów*, przez dyskusje i dokumenty posoborowe, synodalne i posynodalne¹ oraz bardzo zasadniczą wypowiedź papieską na temat niemożliwości udzielania przez Kościół Katolicki święceń kapłańskich kobietom (1995), aż po szereg dokumentów i wskazań szczegółowych zawartych w instrukcjach Kongregacji Wychowania Katolickiego skierowanych do biskupów i wszystkich odpowiedzialnych za seminaria duchowne. Niezależnie jednak od wagi i aktualnego prawnego znaczenia wszystkich tych dokumentów nie odpowiadają one jednoznacznie i ostatecznie na pojawiające się pytania, trudności i wątpliwości.

¹ W szczególności: encyklika *Sacerdotalis caelibatus* (1967), dokument synodalny *Ultimis temporibus* (1971), konstytucja współczesnych seminariów duchownych, którą jest *Ratio fundamentalis institutionis sacerdotalis* (1985), adhortacja apostolska *Pastores dabo vobis* (1992), oraz *Dyrektorium o postudze i życiu kapłanów* (1993).

Stawiam dwa zasadnicze pytania. Pierwsze dotyczy dzisiejszego i przyszłego „organizacyjnego” kształtu Kościoła i miejsca w nim prezbiterów. Pytanie to może w pierwszej chwili wyglądać na kwestię czysto pragmatyczną, jednakże odpowiedź na nie wymaga istotnych rozstrzygnięć teologicznych. Pytanie drugie dotyczy świętości kapłaństwa sakramentalnego i wypływającej stąd kapłańskiej godności; jest zatem najpierw fundamentalnym pytaniem teologicznym, które jednak ma oczywiście również poważne konsekwencje praktyczne. Oba pytania są nierozłączne, a odpowiedzi na nie ściśle współzależne.²

Pytanie o „organizacyjny” kształt Kościoła i o społeczne usytuowanie kapłanów

Usytuowanie społeczne (a w pewnym sensie także czysto fizyczne) większości księży w Kościele wyznacza utrwalony długą tradycją organizacyjny kształt społeczności kościelnej – czyli terytorialna struktura diecezji i parafii. Przez „miejsce społeczne” rozumiem tu nie tylko samą zasadę pracy „księdza parafialnego”, a w szczególności proboszcza, ale także i zwłaszcza liczbę wiernych objętych duszpasterstwem jednego księdza, oraz sposób, w jaki duszpasterz się z nimi wiąże. Warto sobie uświadomić, że w obu tych dziedzinach zaszły w ciągu stuleci znaczne zmiany.

Po pierwsze więc, dzisiejsza duża parafia często odpowiada liczbą wiernych średniowiecznej albo starożytnej diecezji. Nie musimy na tym miejscu wchodzić w statystyczne szczegóły i wypływające z nich wnioski pastoralne. Jest jednak rzeczą jasną, że kierujący dużą parafią proboszcz staje dzisiaj wobec zadań porównywalnych z tymi, przed którymi kiedyś stawali biskupi. Zarazem jednak sakramentalna i jurysdykcyjna władza proboszcza i płynące stąd uprawnienia są nieporównanie mniejsze. Oznacza to, że zarówno w dziedzinie posługi sakramentalnej, jak też jeszcze silniej w sprawach administracyjnych jest on wobec wiernych reprezentantem biskupa, który w ten sposób pośrednio kieruje wspólnotą parafialną. W bardzo ograniczonym stopniu bywa też odwrotnie: w określonych wypadkach proboszcz reprezentuje wiernych wobec biskupa, wyjednując im takie czy inne dobra (np. dyspensy). Wielkość diecezji i parafii oraz mnogość sakramentalnych i administracyjnych zadań spowodowała też konieczność odstąpienia od

² Wydaje mi się, że właśnie w próbach rozłącznego odpowiadania na oba pytania tkwi przyczyna nieporozumień, jakie budzą obie występujące dzisiaj skrajne wizje roli prezbiterów w Kościele: wizja skrajnie tradycjonalistyczna (która godność i świętość stanu kapłańskiego traktuje jako właściwość daną ludziom zupełnie obiektywnie, podkreślając zarazem jej boski charakter) i wizja zsekularyzowana (która w konsekwencji prowadzi do traktowania powołania i godności prezbiterów jako przedmiotu swego rodzaju wewnątrzkościelnej umowy, którą można prawie dowolnie zmieniać i dostosowywać do potrzeb i realiów czasu).

pierwotnej zasady „jeden Kościół – jeden biskup”, i odpowiednio „jedna wspólnota Stołu Pańskiego – jeden prezbiter”. Dzisiejsza praktyka (biskup diecezjalny i biskupi pomocniczy, proboszcz i wikariusze), uzasadniona pragmatycznie, nie jest jednak obojętna teologicznie – ma istotne konsekwencje dla samookreślenia się Kościoła i stanowi o najważniejszej różnicy w stosunku do pierwotnej eucharystycznej zasady tego samookreślenia.

Po drugie, dawniejszy (trzeba przyznać: mało skuteczny i podatny na nadużycia) sposób przygotowania kandydatów do kapłaństwa głównie przez proboszczów w parafiach został z początkiem nowożytności zastąpiony systemem seminaryjnym. Regulacja Soboru Trydenckiego, nakazująca przygotowanie przyszłych kapłanów w stworzonych w tym celu w każdej diecezji seminariach, zapewne w realiach nowożytnego Kościoła niezbędna, oznacza jednak, że mimo zasady terytorialnej organizacji Kościoła związek duszpasterza ze wspólnotą, w której ma on pracować, jest mniej lub bardziej przypadkowy. Wprawdzie to nie przypadek, ale świadomy swojej odpowiedzialności biskup decyduje, któremu kapłanowi powierzy określoną wspólnotę, jednakże w realiach wielkich diecezji i stosunkowo niewielkiej liczby kapłanów pole swobodnej decyzji biskupa okazuje się zazwyczaj dość wąskie. Wiąż między duszpasterzem a wspólnotą, której on przewodzi, nie jest zatem w większości wypadków dana z natury (prezbiter jako „starszy” wyrósł we wspólnocie, której ma służyć), ale musi zostać świadomie zbudowana, co czasem udaje się świetnie, nierzadko niestety nie najlepiej.

Zmiany, które się dokonały i dokonują w obu tych dziedzinach, oczywiście silnie i wielokierunkowo oddziałują na rozumienie miejsca księdza nie tylko w społeczności lokalnej, ale w społeczeństwie w ogóle. Trudno jednoznacznie ocenić skutki tego oddziaływania. Warto jednak zauważyć po pierwsze, że klerykalizacja Kościoła rozumianego jako hierarchiczna struktura społeczna jest owocem nie tylko pewnych historycznych decyzji czy też utrwalonych w Kościele nowożytnym tendencji teologicznych, kulturowych i politycznych późnego średniowiecza. Konsekwencje tamtych decyzji i tendencji zostały w istotnym stopniu wzmocnione przez okoliczności znowu czysto pragmatyczne: praca duszpasterska w realiach nowożytnej i współczesnej parafii stawia tego rodzaju wymagania, że oznacza to konieczność traktowania jej jako jedynej i zupełnego zadania życiowego prezbitera. Oznacza to także, że za klerykalizację Kościoła odpowiedzialna jest paradoksalnie nie tyle zbyt wielka, ile raczej zbyt mała liczba kapłanów. Warto zauważyć po drugie, że w Kościele współczesnym działają również dość wyraźne tendencje do odwrócenia procesów, o których mówimy (zmniejszanie diecezji, by przybliżyć biskupa wiernym, coraz większa personalizacja duszpasterstwa, dbałość o silniejszą więź seminariów z parafiami itd.). Tendencje te są jednakże wciąż jeszcze zbyt słabe i niezdecydowane, żeby miały odwrócić kierunek trwających od kilku stuleci przemian. Sprawą

kluczową wydaje się przy tym kwestia rodzaju i charakteru związku między kościelną wspólnotą i jej duszpasterzem. Sprawa ta jest, jak powiedzieliśmy, ściśle związana z dominującą zasadą terytorialnej organizacji życia kościelnego, czyli w konsekwencji także z liczbą i rodzajem powołań do prezbiteratu w dzisiejszym Kościele.

Trudno się spodziewać, by podstawowa zasada terytorialnej organizacji życia Kościoła miała zostać zarzucona. Czy jednak zostanie zachowana w całej rozciągłości i z taką oczywistością jak dotąd? Pewne – skądinąd bardzo ważne, dynamiczne i dobrze dostosowane do okoliczności naszego świata – zjawiska w dzisiejszym Kościele wskazują na możliwy inny sposób rozumienia obecności i kościelnego miejsca prezbiterów. Chodzi przede wszystkim o Prałaturę „Opus Dei”, Drogę Neokatechumenalną, a także o przynajmniej niektóre sprawdzone formy „wspólnot bazowych” czy też drogi wspólnego życia wiernych złączonych wyborem pewnego rodzaju duchowości (co zazwyczaj oznacza także wybór duchowych kierowników). Przy wszystkich poważnych różnicach między tymi społecznościami i wszystkich możliwych wątpliwościach, które mogą one budzić w patrzących z innej perspektywy, nie dzielających ich wizji Kościoła, duchowości, sposobów działania itd., jedno jest im wspólne: odpowiadają one o wiele lepiej nowemu typowi cywilizacji, który rodzi się na naszych oczach. Szczególnie wymowny jest tu przykład „Opus Dei”, ponieważ pokazuje on, że można tę zupełnie nową formę gromadzenia i tworzenia Kościoła przyjąć i podjąć w całkowitej wierności katolickiej tradycji.³

Tak czy inaczej, przykłady te pokazują nowe możliwości (w istocie już przez Kościół zaakceptowane), a tym samym przynajmniej kierunek możliwych zmian. Nie jest to jednak jedyny możliwy kierunek. Jeśli przyjmiemy, że Kościół zaakceptuje w przyszłości na skalę większą, niż to było kiedykolwiek dotąd, współistnienie i przenikanie się różnych form kościelnej organizacji (terytorialnej i personalnej), możemy się spodziewać, że sytuacja taka nie pozostanie bez wpływu na tradycyjny kształt parafii i diecezji. Może się przy tym zdarzyć, że to właśnie personalizacja związku między prezbiterem a wspólnotą kościelną, której on służy, doprowadzi do zatrzymania błędnego koła, jakim jest wzrost liczby osób objętych duszpasterstwem jednego księdza z powodu braku dostatecznej liczby powołań i zarazem brak powołań wynikający m.in. z powodu słabości więzi osobowych między duszpasterzami a wiernymi w duszpasterstwie masowym.

³ To zresztą jest, jak się zdaje, jedna z głównych przyczyn niepokoju, jaki w niektórych budzi dynamizm Prałatury i jej rola we współczesnym Kościele – nie bardzo wiadomo, co z tym Dziełem zrobić: wydaje się zbyt tradycyjnie klerykalne, jak na wzorzec Kościoła przyszłości, a zarazem zbyt radykalnie inne i nowoczesne, jak na typowe zgromadzenie katolickich tradycjonalistów.

Wiąże się z tym jeszcze jedna trudna dla dzisiejszego Kościoła kwestia. Na tym miejscu tylko ją zasygnalizuję. Chodzi o wybór prezbiterów także spośród mężczyzn żonaty, o sprawdzonej wierze i chrześcijańskiej dojrzałości. Sprawa jest trudna i delikatna, ponieważ bardzo silnie związała się z kwestią kapłańskiego celibatu; postulaty wyświęcania dojrzałych mężczyzn żonaty są dlatego często odbierane jako próby „zniesienia celibatu tylnymi drzwiami” – skoro stało się jasne, że nie można tego zrobić wprost. Wydaje się jednak, że mamy tu do czynienia z niepotrzebnym nieporozumieniem. Te dwie sprawy bynajmniej nie muszą być i wcale nie są ze sobą ściśle związane. Kościół ani nie musi, ani nie powinien, ani przecież nawet nie jest w stanie zrezygnować z wyświęcania na kapłanów tych, którzy chcą na jego służbę oddać cały swój czas, wszystkie swoje siły, wszystkie możliwości i wszystkie uczucia. Obawa, że kiedykolwiek zabraknie Kościołowi ludzi gotowych i zdolnych do wypełnienia takiego zamiaru, jest małoduszna (nawet jeśli niektórym z nich taki zamiar się nie powiódł czy nie powiedzie). Nie znaczy to jednak, że Kościół nie może powoływać do prezbiteratu także tych, którzy służbę tę mogą podjąć pozostając w życiu rodzinnym. Motywem i kryterium nie powinno tu być nic innego, jak tylko rzeczywista potrzeba życia i istnienia kościelnych (to znaczy: eucharystycznych) wspólnot – tam wszędzie, gdzie chcą one i mogą istnieć. Jest rzeczą oczywistą, że potrzeba ta jest nierównie większa niż odpowiedź, którą jest „stan prezbiterów Kościoła” w swoim obecnym kształcie.⁴

Pytanie o świętość kapłaństwa i godność prezbiterów

Jak zauważyliśmy we wstępie, na żadne z pytań postawionych wyżej w związku ze społecznym usytuowaniem prezbiterów w dzisiejszym i przyszłym Kościele nie powinniśmy nawet próbować odpowiadać bez uprzedniego odniesienia do sprawy zupełnie podstawowej, to jest do pytania o źródło ich kapłańskiej świętości i godności. To pytanie musimy zatem postawić także w tym rozważaniu. Zagadnienie jest bardzo obszerne, dlatego na tym miejscu zwrócę uwagę na jeden tylko jego aspekt – ten, z którym najściślej związana jest możliwość rozstrzygnięcia przedstawionych wyżej kwestii pragmatycznych. Pytanie brzmi zatem, jakich to ludzi Kościołowi wolno ustanawiać prezbiterami.

⁴ Warto dlatego uważnie przyjrzeć się doświadczeniom niektórych Kościołów lokalnych wymuszonym przez okoliczności, w jakich przyszło im żyć (np. doświadczeniom czeskim ostatnich dziesięcioleci). Istniejące obok i w ramach klasycznych wspólnot parafialnych kierowane przez prezbiterów „kościół domowy” nie muszą mianowicie być traktowane jedynie jako zjawisko nienormalne i przejściowe, co nie znaczy, że wystarczy zwyczajnie kontynuować tamte formy życia Kościoła – wypracowane przecież rzeczywiście w nienormalnych warunkach.

Aktualne szczegółowe odpowiedzi na takie pytanie można znaleźć w Kodeksie Prawa Kanonicznego⁵ i we wspomnianych wyżej dokumentach współczesnego kościelnego nauczania. Nam jednak chodzi na tym miejscu nie tyle o szczegółowe przepisy, ile raczej o podstawową zasadę wyboru prezbiterów. Doskonałą i autorytatywną ilustrację tej zasady znajdujemy w liturgii święceń. Liturgia święceń prezbiteratu (podobnie jak święceń diakonatu) zaczyna się mianowicie od wywołania ze zgromadzenia kościelnego kandydatów, którzy stają przed biskupem, po czym następuje taki oto dialog:

Kapłan: Czcigodny Ojcze, święta Matka Kościół prosi, żebyś tych naszych braci wyświęcił na urząd kapłanów.

Biskup: Czy wiesz, że są tego godni?

Kapłan: Po zasięgnięciu opinii wiernych i osób odpowiedzialnych za ich przygotowanie zaświadczam, że uznano ich za godnych święceń.

Biskup: Z pomocą Pana Boga wybieramy tych braci naszych na urząd kapłanów.

Wszyscy: Bogu niech będą dzięki.

Warto uważnie przyjrzeć się temu dialogowi, jego teologicznej konstrukcji, a w jej ramach zwłaszcza pytaniu i odpowiedzi dotyczącej godności tych, którzy mają być wyświęceni. Ściśle biorąc, dopiero w tym momencie kandydaci zostają powołani do prezbiteratu. Oczywiście wywołanie kandydatów ze zgromadzenia Kościoła w tym momencie jest *sit venia verbo* swego rodzaju „symboliczną fikcją” – wszyscy już dawno wiedzą, którzy to są powołani i kto ma zostać wyświęcony. Jednakże ta „symboliczna fikcja” nie znalazła się w liturgii bez głębokiej teologicznej przyczyny. Uprzytamnia ona bowiem zasadę powoływania prezbiterów ze zgromadzenia Kościoła, któremu oni mają służyć. Dlatego też nie są bynajmniej figurą retoryczną słowa „święta Matka Kościół prosi, byś ich wyświęcił” – prezbiterzy są wybierani spośród Kościoła i wyświęceni na jego prośbę i według jego potrzeby.⁶ To Kościół zatem znajduje wśród siebie kandydatów do służby prezbiterów i uznaje ich za godnych święceń.

Na jakiej podstawie jednak „uznano ich [tych właśnie teraz wywołanych kandydatów] za godnych święceń”? W miarę oczywista odpowiedź brzmi: najpierw ze względu na zadeklarowaną przez nich wolę poświęcenia się służbie kapłańskiej w Kościele, następnie ze względu na ich przymioty ludzkie, moralne i duchowe⁷, dalej ze względu na zdobyte przez nich specjalne przy-

⁵ Kanony 1024-1052.

⁶ Potrzeba taka stanowi również prawnie tzw. tytuł święceń; biskup może wyświęcać prezbiterów jedynie, jeśli wie, że są oni potrzebni w służbie jego lokalnego Kościoła (lub ewentualnie dla innego Kościoła lokalnego, wtedy wyświęca ich za pisemną zgodą właściwego przełożonego – tzw. *litterae dimissoriae*).

⁷ W tej perspektywie umieszcza się też zazwyczaj wymaganie od kandydatów do kapłaństwa w kościele rzymskim zobowiązania się do zachowania celibatu.

gotowanie (duchowość, studia) i wreszcie ze względu na ich sprawdzoną przydatność do pracy duszpasterskiej. To jest odpowiedź na pytanie, dlaczego tych oto kandydatów dopuszczono do święceń. Nie jest to jednakże odpowiedź na pytanie, czy i dlaczego są oni święceń rzeczywiście godni. Na to pytanie nikt na ziemi nie może udzielić jednoznacznej i wiążącej odpowiedzi. Możemy natomiast powiedzieć zupełnie spokojnie i bez żadnej przesady, że godność prezbiteratu otrzymują w gruncie rzeczy wcale nie godni tego ludzie, i to bez żadnej własnej zasługi. Co zatem jest prawdziwym źródłem tej godności? Odpowiedź brzmi: związanie się z nimi Chrystusa, który chce ich dla siebie i dla swojego Kościoła, czego sakramentalnym znakiem jest włożenie na nich rąk i modlitwa biskupa, w którym przecież nie działa nikt inny, jak tylko Chrystus. Odpowiedź ta może się wydać zupełnie oczywista. Zwróćmy jednak uwagę, że dopełnia ona i potwierdza jakby „z drugiej strony” to, co przed chwilą powiedzieliśmy o niewystarczalności spełnienia kościelno-prawnych warunków dopuszczenia do święceń. Włożenie rąk i modlitwa biskupa, czyli sakramentalna czynność Kościoła, nie jest przecież w istocie niczym innym, jak tylko ujawnieniem wyboru dokonanego przez Chrystusa. Jedynym źródłem tego wyboru i ujawniającej go w Kościele sakramentalnej czynności jest Chrystus. Stąd też płynie nieodwołalny charakter tak ujawnionego powołania do prezbiteratu – jego istoty nie może naruszyć ani tym bardziej zniszczyć żaden spowodowany przez wybranego do prezbiteratu człowieka wypadek moralny czy prawny.

Oznacza to wezwanie do skorygowania szeroko rozpowszechnionego potocznego sposobu myślenia o godności prezbiteratu jako swego rodzaju przywileju udzielanego przez Kościół wyróżniającym się chrześcijanom, którzy przyjmując ten przywilej zostają jeszcze bardziej wyróżnieni.⁸ Pierwszym kryterium nie jest bowiem „wyróżniające się chrześcijaństwo” kandydatów, ale wola Chrystusa, którą Kościół zobowiązany jest odczytywać zarazem uważnie i odważnie. Możliwy jest bowiem w tej dziedzinie grzech nierozwagi, przed którym ostrzega swojego ucznia Paweł Apostoł: „Rąk na nikogo pośpiesznie nie wkładaj” (1 Tym 5,22), ale możliwa jest też (choćby podyktowana czystymi intencjami) nadmierna ostrożność, która również może przeszkodzić wypełnieniu zamiaru Chrystusa. Chrystus chce nie tylko prezbiteratu w Kościele, ale także poszczególnych prezbiterów – tych właśnie, a nie innych ludzi – i to On pierwszy wie, których chce. Chrystus wie to przecież nie dla siebie samego, ale dla swojego Kościoła (to jest dla nas) – co znaczy, że i Kościół może wiedzieć, których Chrystus chce. Dalej: Chrystus chce ich tą samą wolą, którą chce istnienia i działania swojego Kościoła – to znaczy chce prezbiterów wszędzie tam, gdzie może i ma być Jego Kościół – „gdzie dwaj albo trzej zgromadzeni są w Jego imię” i „po wszystkie dni aż do skończenia świata” (por. Mt 18,20 i 28,20). Także

⁸ Kto tak myśli, łatwo wpada w pułapkę domagania się równego dostępu do tego przywileju dla wszystkich – mężczyzn i kobiet, żonatych i niezonatych itd.

tutaj nie chodzi o Kościół „w ogóle”, o „jakikolwiek Kościół”, tylko o ten, którym mogą stać się konkretni ludzie na swoim własnym miejscu i w swoim własnym czasie. Właśnie dlatego pierwszym pytaniem, które musi sobie stawiać w tej sprawie Kościół (i każdy, kto ponosi za Kościół odpowiedzialność), jest: gdzie jeszcze, kiedy i przez jakich ludzi Chrystus chce urzeczywistnienia swojego Kościoła. Pytanie to może się wydać zbyt ogólne, a jednoznaczna odpowiedź na nie w większości realnych sytuacji bardzo trudna. Jednakże nie możemy nie wierzyć, że pytanie to, otwarcie i odważnie stawiane, zawsze doczeka się odpowiedzi. Możemy też spokojnie przyjąć, że – tak jak to było w Kościele zawsze – w miarę znajdowania tych odpowiedzi będziemy też znajdowali rozstrzygnięcia tych wszystkich kwestii pragmatycznych, na które zwróciliśmy uwagę w pierwszej części tego rozważania.

Słowo na koniec

Zakończę słowem, które w pierwszej chwili może się wydać bez związku z rozważanymi tu sprawami, a jednak wiąże się z nimi istotnie. W zbiorze powiedzeń Ojców Pustyni można mianowicie znaleźć następującą krótką opowieść:

Opowiadał pewien starzec o tym, jak to pewien biskup któreś niedzieli wybrał się na wieś i rzekł do swoich diakonów: „Poszukajcie kapłana tej wioski, niech sprawuje z nami Eucharystię”. Diakoni znalazłszy go – a był to typowy wiejski prostaczek – przyprowadzili do biskupa, a ten poprosił go o sprawowanie Ofiary. Gdy ów kapłan zbliżył się do ołtarza, biskup zobaczył go całego w ogniu, który go jednak nie spalał. Po zakończonej Eucharystii biskup poprosił kapłana do pomieszczenia dla diakonów i rzekł mu: „Pobłogosław mnie, czcigodny sługo Boga”. Ów kapłan jednak się wzbraniał: „Jakże to kapłan może błogosławić biskupa, który go wyświęcił?! To ty, ojcze, mnie pobłogosław!” Na to biskup: „Nie mogę pobłogosławić kogoś, kto składając Ofiarę cały ogarnięty jest płomieniami. W każdym razie to niższy otrzymuje błogosławieństwo od godniejszego.” W odpowiedzi na to rzekł kapłan: „A czyż jest gdzieś, czcigodny ojcze, taki biskup albo kapłan, który sprawując święte tajemnice nie byłby ogarnięty Bożym ogniem?!” To usłyszawszy biskup odszedł pełen podziwu dla czystości i prostoty tego człowieka.⁹

Inaczej mówiąc: Ten, który dał sobie radę z tamtym „typowym wiejskim prostaczkiem”, da sobie też radę z każdym innym biedakiem, którego jeszcze zechce dla siebie i dla swojego Kościoła.

TOMASZ WĘCŁAWSKI, ur. 1952, prof. dr hab. teologii fundamentalnej, dziekan Papieskiego Wydziału Teologicznego w Poznaniu. Ostatnio wydał powieść *Sieć* (1997).

⁹ Z rękopisu Coislin, nr 639, tłum. Włoskie: L. Mortari, *Vita e detti dei Padri del deserto*, tom II, Roma 1975, s. 262n.

FARYZEUSZ I APOSTOŁ

Ks. Dariusz Oko

Aby lepiej rozumieć kapłaństwo – ale też żeby w ogóle rozumieć chrześcijaństwo – dobrze jest zastanowić się nad tym, czym jest faryzeizm. Te dwie religijne postawy pomimo podobieństw różni coś bardzo istotnego, a ponieważ kontrast wyostrza kontury, dostrzeżenie różnicy pomaga zrozumieć tożsamość kapłana (i chrześcijanina). Faryzeizm dobrze jest poddać refleksji również dlatego, że wydaje się on (może największym) zagrożeniem i wynaturzeniem zarówno kapłaństwa i chrześcijaństwa, jak i wszelkiej religijności, nawet bardzo żarliwej. Przecież faryzeusze byli największymi religijnymi gorliwcami, najbardziej świadomie wyczekującymi Mesjasza, najusilniej przygotowującymi się na Jego przyjęcie. Najbardziej oczekujący najbardziej rozminęli się z oczekiwanym. A zagrożenie faryzeizmu jest przynajmniej tak trwałe, jak trwałe są społeczne i osobowe struktury i procesy, które sprzyjają jego powstaniu. Jest ono też od początku obecne w Kościele, co przypominają słowa Pawła o „nieszczerym postępowaniu” Piotra (Gal 2, 13), apostołskie nawoływanie do „odrzucenia wszelkiego podstępu i udawania” (1 P 2, 1) oraz ostrzeżenie przed tymi, którzy „obłudnie kłamią” (1 Tm 4, 2).

Chrytusowe „biada”

Wiecznie daje do myślenia fakt, że właściwie przed żadnym innym zagrożeniem Chrystus tak nie ostrzega, właściwie niczego tak często i zdecydowanie nie potępia jak właśnie faryzeizmu. Szczególnie w zestawieniu z Jego postawą ogromnego miłosierdzia wobec innego rodzaju grzeszników, słowa kierowane do faryzeuszów szokują swoją twardością i nieubłaganym tonem. Oczywiście (jak w przypadku każdej ludzkiej grupy) nie oznaczają one ogólnego potępienia wszystkich, nie każdy faryzeusz jest w tym samym stopniu obciążony faryzeizmem w dzisiejszym znaczeniu. Chrystus

również w nich widzi dobro, docenia ich gorliwość (Mt 5, 20; 23, 3.15), przyjmuje ich zaproszenia (Łk 7, 36; 11, 37; 14, 1), spotyka się z nimi (J 3, 1-21), spośród nich powołuje apostoła, którego praca misyjna przyniesie najwięcej owoców (Dz 9, 1-19). Niektórzy faryzeusze bronią Chrystusa i chrześcijan (J 7, 50n; 9, 16; Dz 5, 34; 23, 9). Jednak słów potępień jest tak wiele i są tak mocne, że w powszechnym odbiorze zagłuszyły słowa uznania, sprawiły, że pojęcie faryzeizmu nabrało w chrześcijaństwie zdecydowanie negatywnego znaczenia, stało się synonimem religijnej obłudy.

Aż trudno uwierzyć i trudno się nie przerazić, że ze słów skierowanych przez tak dobrego i łagodnego, „cichego i pokornego serca” Jezusa pod adresem faryzeuszów można ułożyć taką oto litanie: „obłudnicy”, „plemię przewrotne i wiarołomne”, „plemię zmijowe”, „węże”, „głupi i ślepi”, „ślepi przewodnicy ślepych”, „groby niewidoczne”, „groby pobielane pełne kości trupich i wszelkiego plugastwa”, „pomijający sprawiedliwość, miłosierdzie, wiarę i miłość Bożą”, „ze względu na waszą tradycję przestępujący, znoszący przykazania Boże”, „przecedzający komara, a połykający wielbłąda”, „mówiący, a sami nie czyniący”, „spełniający wszystkie swe uczynki po to, aby się ludziom pokazać”, „wkładający na ludzi ciężary nie do uniesienia, a sami nie dotykający ich jednym palcem”, „biorący klucze poznania, sami nie wchodzący i nie pozwalający wejść innym, zamykający królestwo niebieskie przed ludźmi”, „czyniący nowo pozyskanego współwyznawcę dwakroć bardziej winnym piekła niż wy sami”, „pełni obłudy, nieprawości, zdzierstwa, niepowściągliwości, niegodziwości”, „synowie morderców proroków”, „zabójcy proroków, mędrców i uczonych” (por. Mt 15, 1-20; 16.4; 23, 1-36 i Łk 11, 37-53; tę listę można by jeszcze wydłużyć). Chrystus wielokrotnie, jak refren, powtarza: „Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy” (Mt 23, 13-29), zwłaszcza im grozi wieczną karą, która jest właśnie „wyznaczeniem miejsca z obłudnikami” (Mt 24, 51), a więc bycie obłudnikiem określa jako coś samo-potępiającego (!). Nic dziwnego, że ostrzega przed nimi (Mt 16, 6; Mk 12, 38, Łk 20, 45), a szczególnie przed ich obłudą (Łk 12, 1).

Ten permanentny, narastający spór z faryzeuszami jest jednym z głównych tematów Ewangelii i Chrystus nie wycofuje się z niego, nie łagodzi słów, pomimo że z powodu tego konfliktu nieraz ociera się o śmierć i to on właśnie stanie się główną przyczyną Jego ukrzyżowania.

Negacja istoty Dobrej Nowiny

O ile w ogóle możemy zrozumieć, jakie są racje takiego postępowania Chrystusa, to należy do nich zapewne fakt, iż faryzeizm niszczy to, co najważniejsze: wspólnotę pomiędzy Bogiem i ludźmi oraz możliwość jej odbudowania, czyli zbawienie. Do istoty Ewangelii należy twierdzenie, że każdy

człowiek przed przyjęciem łaski jest (bardzo wielkim) grzesznikiem, czyli tak mocno i tak beznadziejnie obciąża go wina odziedziczona (w tym grzech pierworodny) oraz wina osobista, że sam nie jest zdolny wrócić do stanu czystości koniecznej dla wspólnoty z Bogiem, czyli sam nie może się zbawić – nawet podejmując największe, heroiczne wysiłki. Wina, którą niesie, może mu być jedynie darmo, z łaski, odpuszczona. Zbawionym można być jedynie na podstawie łaski, a nie uczynków. Podkreśla to zwłaszcza, jak żaden inny autor Nowego Testamentu, św. Paweł – były faryzeusz, uczeń rabinów, teolog starotestamentalny, doskonale rozumiejący tę duchową postawę, najlepiej wyczuwający fundamentalną różnicę pomiędzy nauką faryzeuszy i nauką Chrystusa. Słowo „łaska” (gr. *cháris*) występuje w pismach Pawłowych ponad siedem razy częściej niż w pozostałych księgach Nowego Testamentu.

Nauka i postawa faryzeuszy zdaje się zaprzeczać tej istocie Dobrej Nowiny, mimo iż miała być najczystsza, najbardziej konsekwentną wykładnią Starego Przymierza. Faryzeusze chcą je doskonale zachować, doskonale wypełnić prawo Mojżesza, bo wierzą, że jego wypełnienie, dobre uczynki – prowadzą do Boga, dają zbawienie. Dlatego tworzą i – nieraz bardzo rygorystycznie, kosztem wielkiego wysiłku (zwłaszcza gdy czynią to na oczach innych) – zachowują setki drobiazgowych, nieraz bardzo uciążliwych przepisów, mających być szczegółowymi zastosowaniami prawa w dniu powszednim. Intencje zapewne jak najlepsze. Jednak fundamentalny błąd faryzeuszy (nie mówiąc już o błędzie usiłowania całkowitego ujęcia życia w sztywne reguły prawa) polega na przekonaniu, że rzeczywiście udaje im się w wystarczającym stopniu zachować i zrealizować prawo Starego Testamentu, przekonaniu tym silniejszym, im wymyślniejsze są realizowane przez nich przepisy. Błąd faryzeuszy polega zatem na negacji faktu, że pomimo wszystkich małych, częściowych zwycięstw, globalnie ponoszą – jak wszyscy ludzie – klęskę. Im bardziej czują się doskonali i czyści, wyniesieni ponad „nie znający Boga tłum”, tym bardziej są przekonani, że nie potrzebują czegoś takiego jak łaska, nie potrzebują zbawienia, oni sami je sobie wypracowują – swoimi uczynkami. Od Mesjasza oczekują bardziej wyzwolenia politycznego niż moralnego. Zbawienie jest dla nich raczej zapłatą niż darem. W ten sposób zamykają się na ratującą siłę Ewangelii.

Na tym właśnie polega istota ich tragedii. Chrystus może uleczyć każdą chorobę, ale warunkiem wstępnym jest uznanie, że w ogóle jest się chorym. Moralna choroba faryzeuszy polega między innymi na przekonaniu o własnym zdrowiu; Chrystus piętnuje ich tak mocno – o wiele ostrzej niż celników i nierządnic – aby przedrzeć się przez szklaną ścianę ich iluzji doskonałości, aby dołali dosłyszeć Jego głos z wyżyn własnych rojeń. Dlatego też w kontekście polemiki z nimi mówi o jednym, najcięższym grzechu, który nie może być odpuszczony, o grzechu przeciw Duchowi Świętemu (por.

Mt 12, 22-37). Odpowiada w ten sposób na zarzut o działanie mocą złego ducha. Bo rzeczywiście, wyjątkowa zaciętość, wyjątkowe wewnętrzne zakłamanie, wyjątkowa zdrada najbardziej pierwotnego, źródłowego poznania prawdy, zdrada siebie – pozwala widzieć Chrystusa, najświętszą, najpiękniejszą osobę, jaka kiedykolwiek była w tym świecie, czuć Jego niezwykłe, dobroczynne promieniowanie, widzieć dobroć Jego czynów... i nie ugiąć się, nie skruszeć, nie dać się przekonać, nie uznać Jego prawdy.

W ten sposób faryzeizm uderza w samo centrum relacji do Boga, do prawdy, w ten sposób niszczy moralny (i bytowy) kręgosłup człowieka. Dlatego jest tak potępiany, bo jest tak samo-potępiający. Zamyka drogę zbawienia samemu faryzeuszowi, a przez niego może ją zamknąć również tym, którzy są pod jego wpływem, są przez niego prowadzeni (Mt 23, 13 i Łk 11, 52). Faryzeizm zabija prawdziwą religijność, jest tylko jej pozorem, udawaniem żywej wspólnoty z Bogiem i ludźmi. Jak każde permanentne kłamstwo, jak każde trwałe bycie-w-nieprawdzie ma tragiczne konsekwencje dla samej osobowości faryzeusza i jego międzyosobowych relacji również tutaj, w tym świecie, już na tej ziemi. Spotkanie z nim albo staje się więc łatwo obustronną (mniej lub bardziej świadomą) pomyłką, albo prowadzi do konfliktu. Obłuda już tutaj czyni go samotnym, a samotność człowieka, który jest powołany do najgłębszej wspólnoty z Bogiem i ludźmi, który może istnieć jedynie dzięki życiodajnej wymianie z nimi, zabija go bardziej niż cokolwiek innego. To zło faryzeizmu, jak każdy fundamentalny grzech, ma też wiele innych fatalnych następstw. Choćby smutek, gorycz samotności, frustrację, wyczerpanie sił w wielkim teatrze ciągłego udawania, nienawiść wobec tych, którzy nie chcą uznać kłamstwa obłudnika, zazdrość i agresję wobec tych, którzy żyją bardziej w radości, bo bardziej w prawdzie.

Ważne jest, byśmy sobie uświadomili, że to wszystko może się zdarzyć człowiekowi szczególnie religijnemu, szczególnie – wydawałoby się – poszukującemu Boga. Również religijność może przybrać tak wypaczone, tak chore i zdegenerowane formy, że staje się gorsza nawet od letniości, obojętności i ateizmu. Jak to możliwe?

Przypuszczalny mechanizm powstawania faryzeizmu

Powyższa ocena faryzeizmu jest oczywiście świadomym wyostrzeniem i daleko jej do wyczerpania złożoności zjawiska, jakim był faryzeizm historyczny. Faryzeizm rozumiany jako uniwersalna postawa życiowa ma przeróżne stopnie i odcienie, w każdym z nas szczerłość może w przeróżnych proporcjach łączyć się z obłudą. Są zachowania, które pomimo pewnych podobieństw do faryzeizmu nim nie są, tak samo jak są takie, które pomimo pewnych niepodobieństw nim są (na tym też między innymi polega jego przewrotność). Trzeba na przykład odróżnić faryzeizm od pohamowywania

siebie, które jest częścią wewnętrżnej walki o siebie samego, walki nigdy do końca nie wygranej. Nie jest też faryzeizmem przemilczanie części zarówno negatywnej, jak i pozytywnej prawdy o sobie. Innemu można przekazać najwyżej małą cząstkę tej prawdy, ogromna większość pozostanie nie wypowiedziana. Konieczne przemilczenie, konieczna pasywna postawa wobec olbrzymiej części prawdy o sobie nie jest obłudą, ale jednym z naszych nieusuwalnych ograniczeń.

Natomiast rzeczywisty faryzeizm jest aktywną postawą wobec religijnej nieprawdy, aktywną manipulacją kłamstwem o sobie jako istocie religijnej dla osiągnięcia określonych celów. Ta obłuda może mieć dwie zasadnicze formy. Może być całkiem świadomym, cynicznym udawaniem, nihilistyczną grą dla osiągnięcia określonych korzyści. To w pełni świadomy siebie faryzeizm, można powiedzieć faryzeizm kliniczny. Częściej wszakże mamy do czynienia z formą, którą nazwać można faryzeizmem chronicznym. Faryzeusz chroniczny nie ma tak jasnej świadomości życia w religijnej nieprawdzie o sobie, ale jednak jakaś świadomość w nim kiełkuje, bo inaczej w ogóle nie byłby faryzeuszem, a jedynie pozostawałby w nie zawinionym błędzie co do siebie. Faryzeizm kliniczny przechodzi też często w faryzeizm chroniczny, bo zwykle nikt – bez pomocy wyszukanych środków racjonalizacji, deformacji sumienia – nie jest w stanie długo żyć w pełni świadomym, wewnętrżnym rozdwojeniu, w pełni świadomym buncie wobec wartości. Główną przyczyną faryzeizmu jest brak zgody na prawdę o tym, jak bardzo nie dorasta się samemu do prawd, które się wyznaje i głosi. Zjawisko to ma też podłoże socjalne. Wobec każdego powołania są pewne słuszne oczekiwania społeczne, pewne powszechnie przyjęte minimum konieczne do jego wypełniania. Od nauczyciela, wychowawcy oczekuje się szczególnego zainteresowania postępami i zachowaniem podopiecznych, od psychologa – szczególnej zdolności współodczuwania i wrażliwości, od księdza – tych wszystkich cech łącznie oraz szczególnego pogłębienia postawy chrześcijańskiej. Jeśli tych warunków się nie spełnia, przyznanie się do tego może być bardzo trudne. Może się wówczas wydawać, że odebrałoby nam ono podstawy naszej duchowej i materialnej egzystencji. Udawanie staje się „prawie” nieuniknione. Jeśli zaś długo nosi się maskę, można zapomnieć, jak wygląda własna twarz, można tak utożsamić się z rolą, którą się gra, że zapomina się swego prawdziwego ja.

Obok podciągania się do poziomu własnych i społecznych wymagań nie poprzez rzetelną pracę nad sobą i autentyczne nawrócenie, ale poprzez tworzenie pozorów, drugą zasadniczą przyczyną faryzeizmu może być nałożenie się głoszonej szczytnej prawdy na prawdę o sobie. Ponieważ kapłan (ale także wielu ludzi religijnych) bardzo często i bardzo dużo mówi innym o największym i najświętszym Bogu, może łatwo mu się zacząć wydawać, że sam partycypuje w tej wielkości i świętości Bożej. O złudzenie to tym łatwiej, że mowa

księdza jest zwykle monologiem bez możliwości natychmiastowej korekty i z niewielką szansą na korektę późniejszą. Im bardziej krytykuje się i potępia innych, tym łatwiej też popada się w skłonność do przeceniania siebie. Najtrudniej nawrócić tych, którzy zawodowo nawracają innych.

Nawrócenie z faryzeizmu bywa jednak o tyle trudne, że niekiedy może on rzeczywiście stanowić szczyt religijnych możliwości danego człowieka, a niekiedy od samego początku może być integralną częścią religijnego „powołania”, swoistym jego „grzechem pierworodnym”. Może to być nawet osobiście nie zawinione, jeśli na przykład wyrasta się w środowisku, w którym kapłaństwo jest postrzegane głównie jako droga awansu społecznego, a za mało jako wielka szansa życia bardziej *z i dla* ducha. Chęć zdobycia większego społecznego znaczenia, wynikająca z przesadnej ambicji i wygórowanego mniemania o sobie, może tak bardzo stanowić część wyobrażenia o swej roli, że rezygnacja z tego zagraża samemu „powołaniu”. Jeżeli jest się szczególnie aktywnym na polu religijnym przede wszystkim po to, aby powetować sobie niewielkie szanse albo porażki na innych polach, negacja tej formy rekompensaty może wydać się życiową katastrofą, zawaleniem się świata. Jeżeli do „wiary” faryzeusza integralnie należy przecenianie siebie, to wyrzeczenie się tej postawy może mu się jawić jako „nie-wiara”. Jeżeli dotąd jego „bóg” to był właściwie w dużej mierze on sam, jeżeli dotąd jego „wiara” to była swoista mieszanina religijności i megalomanii, uznania Boga i egoizmu, początek nawrócenia może mu się jawić jako ateizm.

A faryzeizm przybiera najbardziej skrajne, najbardziej uciążliwe i groźne formy, gdy łączy się z fanatyzmem, gdy jest przez niego dodatkowo napędzany. Fanatyzm powstaje zwykle z połączenia trzech elementów – z jednego rozumienia i dwóch pomyłek: z rozumienia czegoś z wielkości Boga, a zarazem nierozumienia własnej małości i wielkości innych ludzi. Fanatyk rozumie już coś z absolutności Boga i dlatego jest dla Niego gotowy na wiele, nawet na wszystko, ale nie rozumie jeszcze, jak nie-absolutne jest to jego rozumienie Absolutu, jak ograniczone, jak wypaczone, jak mogłoby zostać ubogacone, skorygowane i rozwinięte przez innych, przez dialog z nimi. Nie rozumie też, jak wielka jest godność innych, wartość ich wolności, którą nawet sam Bóg szanuje o wiele bardziej niż on. Dlatego chce im narzucić – nawet przy pomocy bardzo brutalnych i nieczystych środków – to swoje rozumienie, które właśnie z racji jego ubóstwa i prymitywizmu jest dla innych nie do przyjęcia. Faryzeusz-fanatyk, myśląc, że służy największemu Bogu, w rzeczywistości służy jedynie swojemu małemu, choremu wyobrażeniu o Nim, obrazowi Boga na miarę swojego ciasnego, schorowanego serca. Nie tyle służy Absolutowi, co absolutyzuje swoją niewiedzę.

A określone rozumienie Boga wiąże się z określonym rozumieniem i kształtowaniem ludzkich relacji do Niego. Faryzeusz-fanatyk może chcieć

całe życie swoje i innych dopasować do swojego rozumienia Boga przy pomocy mnóstwa szczegółowych przepisów, które (zwłaszcza stosowane z nieubłaganą konsekwencją) są tak przeciwne głębokim prawom życia, tak je ograniczają i pętają, jak faryzejskie pojmowanie Boga jest przeciwne Jego istocie, jak ją zubaża i pęta. Tak powstaje faryzejski formalizm, który chorym nie pozwala w szabat prosić o uzdrowienie i przyjąć jego, a głodnym zabrania łuskania kłosów. Tak powstaje religijność sztywna i martwa. Przepisy, które miały regulować odniesienie człowieka wobec Boga, obracają się przeciw głębi życia religijnego. Zaczynają wieść własne, autonomiczne życie, służące już nie tyle wierze i dobru człowieka, ile raczej demonstracji władzy i znaczenia tych, którzy je wymyślili lub ich strzegą. Zamiast podnosić, spychają w dół. Wypełnienie wymyślonego przez faryzeusza przepisu staje się ważniejsze niż elementarna, fundamentalna wierność wartościom. Ale człowiek ma w sobie wielką potencję wiary w absurd. Wystarczy, że uwierzy, iż czegoś chce Bóg, a gotów jest to czynić – nawet jeśli skądinąd byłoby to oczywistym nonsensem. Dlatego tak ważne jest krytyczne, mądre szukanie, czego właściwie Bóg chce; tak ważna jest racjonalność religii, gotowość do korekty i nawrócenia w obrębie niej samej. Jesteśmy tym bliżej Boga, im bliżej jesteśmy choćby najtrudniejszej, najbardziej bolesnej prawdy – obojętnie ile odrzuconych złudzeń miałoby nas to kosztować.

Drogi nawrócenia

Co robić, żeby nawet pomimo wielkiej gorliwości nie zejść na drogi chorej religijności, na drogi religijnej obłądy (albo żeby z nich zawrócić), żeby coraz mniej być faryzeuszem, a coraz bardziej autentycznym chrześcijaninem, apostołem i księdzem? Faryzeizm nie jest przecież tylko sprawą przeszłości. Kapłani i ludzie szczególnie religijnie gorliwi mogą być kuszeni podobnymi iluzjami samodoskonałości, zajmują przecież w strukturze społecznej te same miejsca przywódców i wzorów religijnych, które właśnie faryzeusze zajmowali w czasach Jezusa, a więc przynajmniej częściowo podlegają takim samym mechanizmom społecznym i duchowym. Tak samo mogą żyć pozorami, tak samo mogą budować barokowe fasady przed ruinami swoich serc. Faryzeizm to rodzaj „choroby zawodowej” ludzi religijnych. Tym bardziej, że cała społeczna sytuacja może sprzyjać rodzeniu się postaw faryzejskich. W społeczeństwie, które w wielu wymiarach swojego życia jest jeszcze bardzo dalekie od Ewangelii, które jest właściwie przedchrześcijańskie (a nie post-chrześcijańskie, jak chcieliby niektórzy krytycy i przedwcześni grabarze Kościoła), a w którym powszechnie, na wyrost, używa się chrześcijańskich obrazów i pojęć, którego symbole, a nie serca, są schrystianizowane, pustą przestrzeń pomiędzy rzeczywistością i ideałem łatwo zapełnia się właśnie udawaniem, pozorami, patetycznym „chrześcijańskim”

językiem, który mniej lub bardziej świadomie przesłania pogaństwo mówiących. Faryzeizm może też być potęgowany przez samą religijną wspólnotę, o ile za bardzo ceni się w niej to, co zewnętrzne – pozycję, władzę, sławę i znaczenie – a za mało to, co wewnętrzne i najważniejsze – dobroć, mądrość, miłość, które niesie się w sercu. Jak tego uniknąć, jak z tego się wyzwolić?

Naszą szansą jest wpatrywanie się w osobę Chrystusa, który jest największym przeciwnikiem faryzeizmu. Tajemnicą życia Jezusa jest wspólnota-bycia-w-miłości-z-Ojcem, z której wyrasta i która całkowicie kształtuje Jego wspólnotę-miłości-z-ludźmi (por. J 10, 22-42; 15-17). „Ja i Ojciec jedno jesteśmy” (J 10, 30). Jego słowa, Jego myśli, Jego czyny wypływają z tego najgłębszego, najczystszeźo źródła i dlatego właśnie są takie, jakie są. Serce Jezusa jest napełnione Bogiem i dlatego jest nasycone, ukojone, nie potrzebuje specjalnie o nic więcej zabiegać przed ludźmi, nie potrzebuje nic udawać. Wspólnota-miłości-z-Bogiem: jedyne, najwyższe, co można osiągnąć. Wszystko inne jest dobre, ma sens, o ile służy temu, aby również inni jak najgłębiej w tę wspólnotę weszli i sami zakorzenili się w Bogu, stali się jak najbardziej nieodłączalni od Niego. A więc aby mieli największe szanse na wytrwanie nawet w najtrudniejszych okolicznościach i na ostatecznie, po ziemsku i eschatologicznie, uratowane i udane życie. Oto istota powołania apostoła i kapłana. Taka postawa, takie otwarcie na Boga i innych jest tajemnicą świętych, tajemnicą najpiękniejszych chrześcijan i najpiękniejszych apostołów, tajemnicą ich prostoty, pokory i cichego szczęścia, które mogą dzielić z innymi.

W takim stopniu, w jakim rzeczywiście jest się we wspólnocie-miłości-z-Bogiem, w jakim żyje się z łaski, czyli samo-udzielenia się Boga, w takim też największe problemy są już właściwie rozwiązane, a największe pokusy – przewyciężone. Ale też na odwrót – w stopniu, w jakim nasza wspólnota z Bogiem jest jeszcze niedoskonała, niepełna, kaleka, w jakim odchodzi się od łaski, w takim też jest się niejako skazanym na namiastki, na zdobywanie ich choćby najbardziej niesprawiedliwymi sposobami. Serce otępiałe, zamknięte na Boga, pozbawione wrażliwości na Niego, nieraz nawet smutne produkty choroby swojego ducha bierze za głos Boży. To jest sedno problemu: w jakiej mierze jest się poza łaską, poza wspólnotą z Bogiem, w takiej nie ma się po prostu sił na dochowanie wierności prawdzie o sobie i o Bogu, właściwie musi się ją zdradzić – również przez faryzeizm.

Dopiero gdy człowiek wchodzi w autentyczną wspólnotę z Bogiem, największe problemy życia – problemy wolności i odpowiedzialności, winy i zbawienia – stają się w ogóle rozwiązywalne. Odzyskując miłość Boga, odzyskuje się też pierwotną, fundamentalną uczciwość, pierwotną otwartość na prawdę i dobro. O ile faryzeizm jest odrzuceniem fundamentalnej, źródłowej wierności prawdzie i dobru, to nawrócenie jest jej odzyskaniem. Jeśli – jak się

mówi – obłuda jest hołdem, jaki występki składa cnotcie, a więc wyrasta jednak z jakiegoś bezsilnego uznania dla niej, to dopiero człowiek żyjący łaską ma siłę, aby cnotę urzeczywistnić. Nie musi „grać” doskonałego, może przyznać się do bycia celnikiem, bo doświadcza już miłosierdzia większego od jego win i miłości większej od jego pragnienia jej. Ponieważ nie neguje swoich chorób, może być uzdrowiony. Ponieważ jest zdolny do przyjęcia gorzkiej prawdy o sobie, jest otwarty na krytykę, przepuszcza ją przez swoje serce – zostaje oczyszczony jak rzeźba pod mocnymi strumieniami wody zmieszanej z piaskiem. Wtedy też może pomóc innym, skutecznie ewangelizować – nie poprzez natrętne moralizowanie, którego sam (jak inni to dobrze czują i widzą) nie realizuje, ale poprzez łagodne promieniowanie swej osobowości, poprzez promieniowanie doświadczeniem Boga.

W jakiej mierze serce człowieka ukojone jest Bogiem, w takiej też staje się on wolny od przesadnego zabiegania o rzeczy tego świata, o władzę, o ludzi – ponad to, co konieczne i słuszne. Nie musi się afiszować swoimi dobrymi czynami, swoją jałmużną, modlitwą i postem. Przyjmuje też właściwy stosunek do wszelkiego prawa, wszelkich formuł, również tych religijnych. Wie, że prawo samo w sobie jest dobre i należy je zachowywać – ale nie za wszelką cenę. Prawo jest powołane do obrony wartości, do służby im, i jest dobre, uzasadnione, o ile rolę tę spełnia. Dlatego – obok szacunku dla prawa i jeszcze bardziej od niego – trzeba w sobie zachować pierwotną, źródłową wrażliwość na wartości, a w przypadku sytuacji nieraz nieuniknionego konfliktu zawsze wartości postawić ponad prawem. Żyć z prawdy źródła, również źródła wszelkiego prawa. Jak Chrystus uzdrawiający w szabat i w szabat pozwalający łuskać kłosa, jak Chrystus rezygnujący z kamienowania cudzołożnic. Jak On zachować żywe, wrażliwe serce, serce we wspólnocie z Bogiem i człowiekiem, serce zatroskane o losy tej wspólnoty, serce nieomylnie czujące, co w danej sytuacji będzie dla człowieka najlepsze – niezależnie od tego, co by na to powiedziało prawo. Serce otwarte na pojawienie się pośród nas kogoś tak niezwykłego i tak roszadającego nasze schematy i wyobrażenia jak Chrystus. Serce otwarte na nowe i nieprzewidywalne, a nie uwięzione w starych formułach, pojęciach i prawach, we własnych wyobrażeniach o Bogu, świecie i człowieku. Chrystus przychodzi zawsze trochę inny, zawsze trochę nieoczekiwany, bo zawsze w trochę innej kulturze, w trochę innej sytuacji...

Żeby się z Nim nie rozminąć, żeby Go rozpoznać i przyjąć, trzeba starać się w całkowitej, bezwarunkowej, pierwotnej, źródłowej, absolutnej otwartości na prawdę, również na tę, że nasze mówienie i pisanie o faryzeizmie może być znowu jedynie, niestety, inną jego formą.

KS. DARIUSZ OKO, ur. 1960, dr filozofii i dr teologii, wykładowca PAT w Krakowie. Publikował w „Tygodniku Powszechnym” i „Znaku”. Wydał: *Łaska i wolność. Łaska w Biblii, nauczaniu Kościoła i teologii współczesnej* (1997).

KAPŁAŃSTWO W HISTORIĘ WPISANE

Ks. Jan Kracik

Kapłanem, Prorokiem i Królem, ustanowionym przez Ojca, jest Chrystus. Cały Lud Boży uczestniczy w tych trzech jego funkcjach: przez wiarę, przez chrzest, przez godność służenia ubogim i cierpiącym. Potem, dopiero potem, Katechizm Kościoła Katolickiego uczy o hierarchicznej strukturze Kościoła, podkreślając, że nawet różnice między jego członkami służą jedności posłannictwa tej społeczności (nr 783-786, 871-873).

Gdyby któryś z pierwszych chrześcijan mógł dziś zapytać przeciętnego katolika o jego odniesienie do Najwyższego Kapłana i kapłaństwa, byłby zapewne zdumiony, dlaczego odpowiedź dotyczy papieża i proboszcza, nie zaś Chrystusa i ogółu wiernych. Przecież – rzekłby – nikt z poszczególnych uczniów Jezusa ani tych, których oni ustanawiają po sobie, nie jest w Nowym Testamencie nazwany kapłanem. Miano to dawane jest tylko wszystkim razem: nowy Boży Lud to „królewskie kapłaństwo” (1 P 2, 9) wybranych już nie z jednego (por. Wj 19, 6), a z wielu narodów, by tworzyli kapłańską korporację tych, którzy swą wolną decyzją ofiarują Bogu swe życie, kierując się nauką Jezusa.

Przełożeni tej społeczności nazywani są przy pomocy określeń branych nie z sakralnego, a potocznego języka: nadzorujący, starszy, sługa, czyli z grecka: biskup, prezbiter, diakon. To, co winni oni czynić z polecenia Chrystusa, ma umożliwić innym udział w Jego posłannictwie, które nosi charakter kapłański (Hbr 7, 24). Stąd – brzmi katolicka wykładnia – uprawnione używanie tego tytułu, choć poskapiono go w Nowym Testamencie starszyźnie chrześcijańskiej, by podkreślić, że jej funkcje nie mają nic wspólnego z tym, co pod pojęciem kapłaństwa rozumiał ówczesny judaizm czy pogaństwo. Kierowanie gminą i przewodniczenie zgromadzeniom liturgicznym przez starszyznę kościelną, poświadczane przez Nowy Testament, uprawniają – jak przypomina Vaticanum II (*Presbyterorum ordinis* 5) – także or-

dynowanych następców pierwszych przełożonych gmin chrześcijańskich do uczestnictwa „w specjalny sposób”, czyli różny istotowo, a nie tylko co do stopnia, w jedynym kapłaństwie Chrystusa.

Praktyczne wnioski wyciągane z tych podstawowych danych pierwotnych mogą być jednak rozmaite – i takie były w ciągu wieków. O tworzących historię przemianach decydowała wszak nie tyle egzegeza Biblii, co konteksty wielce zmiennych warunków funkcjonowania Kościoła, kształtujące dobór, kwalifikacje i świadomość jego biskupów i prezbiterów. Ich autorytet w porównaniu z pozycją charyzmatyków i wędrownych misjonarzy był pierwotnie niewielki. Skromne też były wymagania stawiane pierwszym pokoleniom owej lokalnej starszyny gmin chrześcijańskich.

Kandydat na takie stanowisko miał być człkiem przyzwoitym, opanowanym, rozsądnym, gościnnym, takim, co nie wdaje się w kłótnie, a tym bardziej bójkę, który nie jest chciwy, a wino pija z umiarem. Żeby potrafił nauczać. I żeby był pierwszy raz żonaty, dzieci miał uległe i dobrze kierował własnym domem. Bo jeśli tego nie potrafi, jakże będzie w stanie zatroszczyć się o Kościół Boży jako jego biskup? Takim bowiem warunkom – według najmłodszych ksiąg Nowego Testamentu (1 Tm 3, 1-12; Tt 1, 5-8) – miał odpowiadać ten, którego gmina wybierała sobie na przełożonego (zarówno biskup, jak prezbiter i diakon).

Do III wieku główną rolę w tych wyborach odgrywali wierni, od IV – sąsiedni biskupi i metropolita, a w przypadku ważniejszych biskupstw – cesarz, już chrześcijański. Procedury nie były jednolite, jednomyślność zdarzała się rzadko, a ogólnikowe wskazówki z Tm i Tt wyborczym swarom oczywiście zapobiec nie mogły. Od III stulecia wymagano, by święceń udzielało elektowi co najmniej trzech biskupów. Miało to powstrzymać przed arbitralnością takich ordynacji. Biskup piastował swój urząd dożywotnio, nie zmieniając diecezji. Związek z nią ujmowano jako rodzaj mistycznego małżeństwa, zwąc translację cudzołóstwem (św. Atanazy). Praktyka takiej nierozzerwalności zaniknie z czasem, służąc w poszczególnych przypadkach sensownym przeniesieniom, albo też (tak będzie np. w Polsce przedrozbiorowej) poczuciu tymczasowości w oczekiwaniu na awans.

W okresie pokonstantyńskim, gdy chrystianizacja zaczęła powszechnie docierać i na wieś, miejskie gminy chrześcijańskie stały się centrami wielkich okręgów diecezjalnych. Biskup nie mógł spełniać wszystkich obrzędów w liczniejszej teraz i rozległej owczarni. Część jego funkcji przejmą więc, co zaczynało się już w III wieku, ludzie z grona jego doradców, czyli prezbiterów – starszych, porównywanych do senatu biskupiego. Będzie on odtąd działał w rozproszeniu, w terenie, by wyřeczając biskupa sprawować Eucharystię i prowadzić działalność charytatywną. Na najwcześniej schryistianizowanych obszarach wiejskich, jak w Małej Azji, już od II wieku działali biskupi wiejscy, chorepiskopi, zależni od biskupa miejskiego. Bez jego zgody nie mogli wy-

święcać prezbiterów czy diakonów; zakazywały tego synody od IV wieku. Na Zachodzie występował rzadko; mając sakrę biskupią, lecz nie posiadając swej stolicy, mogli tylko wyręczać nieobecnego biskupa miejskiego. II sobór nicejski (787) zakazał ustanawiania chorepiskopów. Ze względu na potrzebę utrzymania jedności władzy biskupa w diecezji i jego rangi chorepiskopi znikli też w krajach zachodnich w IX-XII wieku.

Wyraźny trójpodział kleru wyższych święceń – biskup, prezbiter, diakon – ukształtował się dużo wcześniej niż lokalnie zróżnicowane grupy kleru niższego. Wszędzie występowali tylko lektorzy i subdiakoni. Lektor, często młody chłopiec, czytał Pismo Święte w czasie nabożeństwa i śpiewał psalmy. Już jednak pod koniec IV wieku, gdy odczytywanie świętych tekstów podczas liturgii przejęli prezbiterzy i diakoni, a śpiew psalmów wykonawcy o odpowiednich głosach, lektorat stał się tylko stopniem do wyższych święceń. Subdiakoni wykonywali funkcje dzisiejszych zakrystianów; nie pełnili funkcji liturgicznych. Akolici w Rzymie III wieku pomagali w rozdzielaniu komunii i nosili ją do chorych. W Afryce mogli tylko zapalać świece przy ołtarzu i podawać wino. We wczesnym średniowieczu bezpośredni kontakt z Eucharystią przejęli od akolitów duchowni wyższych święceń. Akolitat (podobnie jak ostiariat, czyli funkcja odźwiernego) stał się tylko jednym z czterech niższych stopni do prezbiteratu. (Na nowo funkcję akolity określił Paweł VI w 1972.) W III wieku pojawił się też w Rzymie osobny urząd egzorcysty, jako jedno z niższych święceń. Od soboru trydenckiego zakazano egzorcystom publicznego korzystania z władzy tych nadal udzielanych święceń („miej władzę wkładania rąk na opętanych”), które przetrwały w Kościele aż do zniesienia ich, wraz z ostiariatem i tonsurą, w 1972 roku przez Pawła VI.

Ustanowieni przez Apostołów diakoni (Dz 6, 1-6), na których, podobnie jak na biskupów i prezbiterów, wkładano ręce, administrowali dobrami materialnymi, ale także nauczali i chrzcili, jak Szczepan czy Filip. Z czasem diakoni nie tylko zawiadywali sprawami charytatywnymi, lecz także podczas liturgii czytali Ewangelię, rozdawali komunię, błogosławili małżeństwa, udzielali chrztu. Diakonat był hierarchicznie niższym stopniem niż prezbiterat, ze skromniejszymi uprawnieniami liturgicznymi, ale gdy diakon był współpracownikiem nie terenowego prezbitera, a biskupa, administrując diecezjalnymi finansami i kierując dobroczynnością, miał zwykle większy niż prezbiterzy wpływ na sprawy lokalnego Kościoła (wyrazi się to z czasem tytułem archidiacona). W IV-V wieku często zostawał następcą rządcy diecezji. Święcono go wtedy od razu na biskupa, co oburzało niejednego.

W średniowieczu zaniknął diakonat jako stałe święcenie, stając się tylko stopniem przejściowym do kapłaństwa. Sobór trydencki zamierzał przywrócić stały diakonat, do czego jednak nie doszło. Myśl o jego wznowieniu pojawiła się w środowisku niemieckiego Caritasu przed i po II wojnie świa-

towej. Pius XII uznał to za ideę „jeszcze nie dojrzałą”. Podjął ją II Sobór Watykański i mimo że projekt udzielania diakonatu także żonатыm napotkał wiele sprzeciwów, Konstytucja dogmatyczna o Kościele przywróciła stały diakonat – w zależności od decyzji konferencji biskupów i aprobaty papieża – zarówno dla celibatariuszy, jak żonatyh. Przepisy prawne w tej mierze wydał Paweł VI (1967).

Wróćmy jeszcze do początków. Długo brakowało systemu kształcenia czy procedur sprawdzania kwalifikacji kandydatów do poszczególnych grup kleru. Jego członkowie, łącznie z biskupami, nie zajmowali się jedynie swymi funkcjami kościelnymi. Nie byli jeszcze wyłączani z normalnego życia społecznego, ubierali się jak pozostali, wykonywali różne zawody, mieli żony i dzieci. Synowie obejmowali nierzadko kościelne stanowisko po swych ojcach, gdy uzyskali zaufanie wyborców, czyli gminy. A że były to społeczności zróżnicowane, ten sam tytuł święcenia miał odpowiednio inną rangę w rozmaitych ośrodkach. Biskupa lokalnego Kościoła, liczącego kilkuset, a tu i ówdzie nawet kilkudziesięciu prostych jak on ludzi, oraz biskupa parudziesięciu tysięcy wiernych w Rzymie, Aleksandrii, Kartaginie, Antiochii czy Mediolanie różniła przepaść kwalifikacji, prestiżu, środków. Pomniejsi i słabsi oglądali się na silniejszych, podobnie jak od dawna małe miasta oglądały się na wielkie metropolie, a niższy urzędnik na wyższego. Biskup w stolicy prowincji zaczynał przewodzić pozostałym biskupom tejże prowincji. Jego ambicje w tym względzie sprzyjały zdroworozsądkowemu tworzeniu nadrzędnych struktur kościelnych (metropolie, patriarchaty), na podobieństwo państwowych. Usankcjonują to pierwsze sobory w IV wieku.

Chętnych do wejścia w szeregi kleru nie brakowało. Oprócz motywów ściśle religijnych rolę odgrywał tu społeczny prestiż, częściowy udział w ofiarach i produktach składanych przez wiernych, a za Konstantyna Wielkiego i jego następców także ulgi podatkowe dla duchownych. Kościół stał się wszak w Cesarstwie instytucją państwową, uprzywilejowaną i potężną. Biskupi zyskali niektóre uprawnienia sędziowskie i senatorską tytulaturę – *illustris* (znakomity, dostojny). Zaczęli się ubierać jak arystokracja, żyć wystawnie. Skromna dotąd liturgia sięgnęła po ceremoniał cesarskiego dworu, wzorując strój celebrysa na galowych szatach dygnitarzy państwowych. Ze świeckich i sakralnych rytów pogańskich przejęto świece, kadzidła, baldachimy. Bogactwo barw, ozdób, złoto i srebro naczyń kościelnych miały przyćmić obrzędy starych religii.

Hierarchiczny charakter kleru wyrażał się nie tylko w gradacji poszczególnych święceń, ale i w obrębie każdej grupy. Rangę wyznaczało miejsce na liście, do której dopisywano nowo wyświęconych. Lista określała kolejność przy ołtarzu, stole, na procesji. Karą za wykroczenie było cofnięcie na koniec wykazu – degradacja; przy większych występkach nawet do niższych święceń lub stanu świeckiego. Papież Syrycjusz (384-399) określił

zasady kościelnej kariery, ustalając odstępów lat w przechodzeniu od niższych stopni do wyższych (tzw. intersticja): „Gdy otrzyma chrzest, niech będzie włączony do pocztu lektorów lub egzorcystów, pod warunkiem jednak, iż wiadomo jest, że miał lub ma jedną żonę, pojętą w dziewiczym stanie.” Za dwa lata może zostać akolitą lub subdiakonem, po pięciu – diakonem, później zaś prezbiterem lub biskupem, „jeśli padanie na niego wybór kleru i ludu”. Duchownych zawierających drugie małżeństwo należy pozbawić godności kościelnej, dopuszczając ich tylko do komunii wraz ze świeckimi. Mnichów także można dołączyć do kleru, pilnując przy tym zachowania odstępów między święceniami. Syryjusz postępował tu wedle starej rzymskiej zasady określającej *cursus honorum*, czyli tempo awansów na urzędach publicznych. Ten model, podobny piramidzie, po której stopniach wstępuje wolno tworzący ją kler, nie zawsze przystawał do życia. „Członkowie bogatych rodzin robili błyskawiczne kariery, »skokiem« zdobywając tron biskupi; nie po to wyciągano z klasztorów pobożnych mnichów, by kazać im latami tkwić na najniższych szczeblach hierarchii.”¹

Masowy, pokonstantyński Kościół instytucjonalizował się mocno. Skromna niegdyś starszyzna kościelna, teraz uprzywilejowana przez władców, wyrastała ponad ogół wiernych. Powiększył się przy tym dystans biskupa wobec reszty kleru. *Laos*, czyli lud, i *kleros* (potocznie: dziedzicząca majątek elita społeczna), czyli pierwotnie wybrana przez Boga część ludzkości, tzn. ogół chrześcijan, zaczynały zyskiwać przeciwstawne znaczenie. Wyświęceni przestali w pewien sposób należeć do tego Bożego Ludu. Ten Lud zaś przestał tworzyć społeczność „królewskiego kapłaństwa”.

Jeszcze bardziej – bo od swego zaistnienia w IV wieku i z wyboru – wydzieloną grupą stali się mnisi. Łącząc ewangeliczny radykalizm z niechęcią do świata, od którego uciekali, budowali własną tożsamość nie tylko na afirmacji. Wynosząc wysoko ducha, poniżali lekceważone ciało, poddając je nie zawsze umiarkowanej ascezie. Wieczność miała rosnać w cenę przez deprecjację doczesności, a celibat – małżeństwa. Postrzegając swój status w kategoriach doskonałości, przeciwstawianej życiu ogółu chrześcijan, ci adherenci ducha najmocniej przyczynili się do usytuowania pozostałych w roli istot cielesnych a światowych. Nie duchownych, a świeckich właśnie. Monastyczna elita ducha – stanowiąca także wyraz sprzeciwu wobec konformizmu masowego a letniego chrześcijaństwa i nazbyt powiązanego z władcami episkopatu oraz reszty też „światowo” żyjącego kleru – została podporządkowana owej elicie urzędowej (sobór chalcedoński, 451), tj. hierarchii.

Ten nadzór, a zwłaszcza przenikanie się obu formacji: powoływanie biskupów także spośród mnichów, wyświęcanie coraz większej części zakonników, początkowo unikających święceń, coraz powszechniejsze w ciągu

¹ E. Wipszycka, *Kościół w świecie późnego antyku*, Warszawa 1994, s. 32-41.

wieków wprowadzanie w diecezjach elementów monastycznych – jak celibat i brewiarz – wzmocniły więzi obu elit (stąd i kler z czasem zwać się będzie duchowieństwem), utrwalając oddzielenie od reszty wiernych. Kończyło się nowotestamentowe myślenie, według którego „duchownym” był ten, kto przyjął Ducha Świętego, tj. każdy chrześcijanin, a „świeckim” ktoś, kto kierował się zasadami świata, tj. nieochrzczony lub wielki grzesznik.

Gdy po upadku Cesarstwa Zachodniego w V wieku biskupi i mnisi stali się nie tylko nauczycielami wiary w Europie barbarzyńców, ale i współtwórcami administracji, szkolnictwa, opieki społecznej, mecenatu w nowych krajach germańskich czy słowiańskich, dystans między stanami powiększył się. Średniowieczny laik oznaczał człowieka nieoświeconego, nie znającego języka ludzi wykształconych (łacina) i liturgii. Społeczne i kulturowe zróżnicowanie odbije się i w eklezjologii. Kościół będzie coraz bardziej utożsamiany z duchowieństwem. Reakcją na nadmierną klerykalizację Kościoła będą ruchy ubogich XII-XIII wieku, potem husytyzm i reformacja, odrzucająca w ogóle kapłaństwo hierarchiczne na rzecz wspólnego. W starym Kościele tym bardziej więc będzie się bronić tego pierwszego, długo przemilczając lub postępując drugie. Korzenie tych problemów tkwią w znacznej mierze w nieprzewidywanych skutkach zbawiennej skądinąd reformy gregoriańskiej XI wieku.

W średniowiecznym przemieszaniu boskiego z cesarskim za Karolingów i Ottonów biskupi stawali się urzędnikami panujących, a ich urzędnicy biskupami. Pomniejszy graf, choć nie był pomazańcem, był u siebie prawie suwerenem i niczym władca rozporządzał w swych włościach klasztorami i kościołami, ustanawiając wedle swego uznania ich rządców. Od papieża po skromnego kapelana byli duchowni lennikami, sługami i (na niższych szczeblach) wręcz poddanymi panów ziemskich, którzy ich mianowali. Nadając im w dożywotnie użytkowanie związane ze stanowiskiem dobra (beneficjum) lub przejmując ziemię kościelną i utrzymując duchownego, oczekiwali w zamian niezłomnej lojalności i rozmaitych posług, nie tylko duchowych. Były to powinności wasala, łącznie z wystawianiem w razie potrzeby zbrojnego pocztu przez prałata, udawaniem się z poselstwem, pracą w administracji czy kancelarii.

Te wtórne obowiązki i potrzebne do nich kwalifikacje decydowały o doborze personelu Kościoła bardziej niż jego własne tradycje. Papież stał się drobnym władcą rzymskim, obdarzonym przez Pepina (w połowie VIII wieku) Państwem Kościelnym, lennikiem swego cesarskiego seniora. Biskup lub opat – przywódcą okolicznej szlachty, prezbiter – obsługującym kościół poddanym pana miejscowej włości. Przeważnie żonatym. Nazywanie go konkubinariuszem jest przedwczesne. Święcenia kapłańskie były jeszcze do pogodzenia z małżeństwem, w jakim żyło wielu duchownych.

Kanoniczne więzi znaczyły w tym feudalnym układzie mniej niż osobiste powiązania pozahierarchiczne. Prezbiter zależał bardziej od dziedzica niż

biskupa, a ten związany był mocniej z władcą niż metropolitą czy papieżem. Wynagradzanie zasług i zjednywanie zwolenników określały w dużym stopniu politykę personalną fundatorów i ich spadkobierców. Ich pobożne darowizny stanowiły rodzaj podwójnej inwestycji: z jednej strony obiecywały korzyści duchowe (msze i modły obdarowanych o grzechów odpuszczenie i darowanie doczesnych kar za nie), z drugiej – pozwalały w dużej mierze nadal dysponować tym, co się ofiarowało Bogu czy świętemu.

Rosnące dobra kościelne sprzyjały negatywnej selekcji kandydatów. Korupcja schodziła nawet do poziomu zwykłej sprzedaży stanowisk, zwanej symonią. Żonaty kler skłonny był dbać raczej o swe rodziny niż o zasadę nienaruszalności używanych dóbr kościelnych. Duchowni chętnie też zapewniali następstwo po sobie własnym synom. W ten sposób z dwu stron następowało uprzywatnienie Kościoła. Potomstwo kleru stawało się zagrożeniem kościelnego stanu posiadania, a dominacja możnych – jakości kandydatów do kapłaństwa. Wielka reforma Kościoła XI-XII wieku skupi się więc na walce o inwestyturę i o celibat.

Ta reforma, zwana gregoriańską, stanowiła ogromny wysiłek wielu osób i środowisk, zmierzających wytrwale do moralnej odnowy całego społeczeństwa. Miało ją prowadzić duchowieństwo poddane jedynie kościelnej władzy i dyscyplinie. Reformę rozpoczęły już w X wieku benedyktyńskie klasztory, wiążące się w tym celu spontanicznie w kongregacje, skupione wokół burgundzkiego Cluny, lotaryńskiego Brogne oraz Gorze (koło Namur i Metz). Odzyskiwanie prawa wyboru opatów przez mnichów łączyło się z egzekwowaniem przestrzegania reguły. Wielu obserwujących te osiągnięcia utwierdzało się w przekonaniu, że uzdrowienia opłakanego stanu doboru i życia kleru dokonać można tylko przez zaprowadzenie w nim monastycznych porządków. Linia ta zacznie zwyciężać, gdy w połowie XI wieku mnisi uzyskają na kilkadziesiąt lat wielki wpływ na papieństwo, obejmując stolicę Piotrową lub stanowiąc krąg najbliższych współpracowników biskupa Rzymu.

„Monachizacja” Kościoła wyrazi się w mocnym oddzieleniu duchownych od świeckich (w tym przeciwstawieniu mnisi szukali wszak od początku swej eklezjalnej tożsamości). Kler wyodrębniony w osobną korporację podlegać miał odtąd już nie świeckim panom, lecz biskupom, a razem z nimi papieżowi, niczym naczelnemu opatowi czy seniorowi. Kanoniczna obsada stanowisk, zastępująca dawną inwestyturę laików, polegać miała, jak w klasztorze, na wyborze przełożonego: biskupa przez kanoników katedralnych, papieża przez kardynałów. Skupiona w papieżu władza kościelna miała stać się przeciwwagą dotychczasowej dominacji władców i możnych nad duchownymi.

W świecie przepołowionym na panów i poddanych, emancypacja zmieniła się łatwo w dążenie do zmiany ról. Przywracając rangę przytłoczonych dotąd struktur kościelnych, znacznie podwyższono wysokość hierarchicznej piramidy, naśladując proporcje i funkcjonowanie ówczesnej piramidy

feudalnej. Desakralizacja władzy świeckiej poprowadzi więc do zeświecczenia kościelnej. I na długo – dłużej niż potrwa jeszcze feudalizm – następcy skromnej niegdyś starszyny kościelnej zaabsorbowani zostaną, kosztem wielu istotnych dla religijnej społeczności spraw, problemami swej władzy, jej maksymalnego zasięgu, atrybutów, egzekwowania własnych prerogatyw w ciągłym sporze z władcami. Przemawiać będą częściej językiem nakazów niż perswazji, ustanawiając prawa, uderzając opornych mieczem ekskomuniki czy interdyktu. Ich zaferowanie administracją swych (wreszcie swych!) włości, ich wielkopański tryb życia, rezydencje, orszaki służb w papieskich i biskupich pałacach i cała reszta prestiżowego blichtru, będą w sporej mierze następstwem, trudnym wtedy do przewidzenia, owego gregoriańskiego wyrywania nie tylko kleru, ale i jego majątków, z rąk świeckich. Otoczone nimbem nietykalności dobra kościelne bezżennego duchowieństwa rosnąć będą spokojnie wskutek darowizn, nie zagrożone rozdaniem czy dziedziczeniem, jak w dobie inwestytury i klerogamii. Tłuste chleby kościelne zaś przyciągać będą nie wyłącznie najgłodniejszych.

Obawa przed przejmowaniem majątku kościelnego przez potomstwo duchownych stanowiła ważki powód walki gregorian o celibat. I tak już synod w Toledo w 531 roku zabraniał prezbiterom wyznaczania swoich spadkobierców. Synod w Sewilli w 592 roku przypominał, że własność Kościoła ma przy nim pozostawać. Dzieci duchownych uznał więc za nieprawe, a przez to niezdolne do dziedziczenia. Postanowienia takie powtarzały potem synody wielu krajów, a w XI-XII wieku synody reformistyczne, którym przewodniczyli papieże (np. Benedykt VIII w 1022 roku w Pawii) i delegowani przez nich mnisi. Leon IX (1049-54) przemierzał Europę od Aachen po Kalabrię, odbywając synody, na których zdejmowano ze stanowisk symoniackich biskupów i opatów. W oparciu o zarządzenia tego papieża kameduła-kardynał Piotr Damiani wydawał gwałtowne odezwy przeciw klerogamii. Małżeństwa zawarte po święceniach ogłaszał za nieważne, a kobiety w tych związkach za konkubiny i nierządnice. Grzmiał: „Ręce przeznaczone, by przygotowywać pokarm anielski, nie wzdrygają się przed obscenicznym i brudnym dotykaniem kobiet.”

Mikołaj II, Aleksander II i Grzegorz VII zabraniali wiernym uczestniczyć we mszy sprawowanej przez żonatych kapłanów. Grzegorz VII na synodach i poprzez swych legatów słanych do różnych krajów domagał się od duchownych celibatu, zakazując im synom udzielania święceń. Na synodzie w Reims (200 biskupów z kilku krajów) papież Kalikst II (były mnich z Cluny) zagroził prezbiterom i diakonom, którzy nie zaprzestaną pożycia z żonami czy konkubinami, pozbawieniem ich urzędu. II sobór laterański (1123) powoławszy się, bezpodstawnie zresztą, na sobór nicejski (325), zakazywał kapłanom pożycia nawet z prawowitymi ich małżonkami. Nie dyskutowano jeszcze sprawy nieważności małżeństw duchownych, usiłując osiągnąć cel przez powtarzanie dawnych nakazów powściągliwości małżeńskiej po przyjęciu święceń.

Dopiero zwołany przez Innocentego II w 1139 roku II sobór laterański (około 500 biskupów) postanowił, że zawierający małżeństwo duchowny wyższych święceń, od subdiakona wzwyż, traci urząd i beneficjum, a małżeństwo takie jest nieważne. Następne sobory, III i IV laterański (1179-1215) nadal występowały ostro przeciw nielegalnym już teraz związkom duchownych z kobietami, grożąc winnym starymi karami i ogłaszając nowe. Niektóre synody XIII wieku ogłaszały też rozmaite sankcje wobec dzieci z takich związków, krewnych ich matki, a także biskupów opieszających w walce o celibat.²

Nie tylko zaprowadzenie celibatu przychodziło z trudem. Także wywalczony wielkim kosztem samorząd kleru nie był łatwy do obrony. Kolegium kardynalskie czy kapituła katedralna też podlegały naciskom panujących przy wyborach papieża lub biskupa. Z czasem papieństwo (XIV wieku) przejęło z rąk kanoników obsadę biskupstw, ale wkrótce podzieliło się tą prerogatywą z władcami (nie tylko wskutek ich nacisku, ale i dla uzyskania poparcia własnych celów politycznych), którzy będą rekomendować Rzymowi własnych kandydatów. Analogicznie prawo patronatu wykonywali i kolatorzy (dziedzice) parafii, prezentując biskupowi protegowanych na probostwo. Była to bardziej czy mniej złagodzona postać starej inwestytury, kontrolowanej w jakiejś mierze przez władze kościelne.

Warunkiem otrzymania wyższych święceń było uprzednie uzyskanie za poleceniem patrona stanowiska, czyli beneficjum, lub zatrudnienia przez beneficjanta. Ta starochrześcijańska zasada święcenia dla konkretnej gminy w miarę jej potrzeb, skrzyżowana z prawem patronatu, kościelnym legalizmem, z jednej strony, a z drugiej z możliwościami zawieszania prawa (dyspensy), dawała efekty przedziwne. Najpierw – pogoń za stanowiskami, traktowanymi często jako źródła dochodu, a nie wynagrodzenia za osobistą pracę duszpasterską. Stąd kanonicy, plebani, nawet biskupi, którzy objawszy stanowisko jako warunek święceń (tzw. tytuł kanoniczny), wcale nie kwapili się z ich przyjmowaniem. Jedni nie mieli wymaganego do tego wieku, inni wahali się latami, poprzestając na niższych święceniach i ciągnąc dochód z beneficjum, a w spełnianiu związanych z nim obowiązków wyřęczając się wyświęconym zastępcą. Ciągłe mając otwartą drogę do małżeństwa lub kapłaństwa, tkwili chętnie dłużej na tym dochodowym, a nie wiążącym rozdrożu. Małżeństwo, zgodnie z postanowieniami II soboru laterańskiego, wykluczało bowiem dalsze korzystanie z beneficjum. Niektórzy mieli ich po kilka, uzyskawszy wspomniane dyspensy i wyřęczając się zastępcami.

Beneficjalny system zrosł się nie tylko z dziejami Kościoła, ale i z jego pojmovaniem. Objęcie beneficjum decydowało o uprawnieniach i o udzielaniu mandatu wyświęconemu sufraganowi, substytutowi, wikariuszowi. Stąd absurdalne sytuacje biskupów bez sakry i plebanów bez święceń. Nie

² G. Denzler, *Die Geschichte des Zolibats*, Freiburg i. Br. 1993, s. 34-43, 96-98.

ich posiadanie, a stanowisko decydowało o randze duchownego, którym stawało się przez przyjęcie tonsury. Samo kapłaństwo nie było w średniowieczu cenione tak wysoko: prałat bez święceń znaczył o wiele więcej niż zastępujący go prezbiter. Liczebność kleru zależała nie tyle od potrzeb duszpasterskich, co od owych „etatów”, których znaczna część nie była związana z obowiązkami duszpasterskimi (kanonie, kolegia prebendarzy, altarie), lecz wyłącznie ze sprawowaniem liturgii wedle życzeń fundatorów.

Późne średniowiecze nie wypracowało pozytywnego modelu kapłana. Są tylko liczne kanony, dekrety i statuty nawołujące kler do godnego życia, unikania kobiet, karczmy, handlu i świeckich strojów.

Idei kapłaństwa wyłącznie wspólnego, wysuniętej przez Reformację, przeciwstawiono w Trydencie – na zasadzie obrony tego, co kwestionowane – wzmocnienie hierarchicznego aspektu Kościoła. Przedział między świeckimi a duchownymi miał być umocniony, a społeczny prestiż kleru podniesiony. Miało temu służyć zapewnienie dostatecznych środków utrzymania, większe zdyscyplinowanie i lepsze wykształcenie. Sobór, choć akcentował duszpasterskie zadania duchowieństwa, skupił się na dogmatycznych podstawach kapłaństwa i walce z nadużyciami, nie zaś na budowaniu pozytywnych wzorów. Czynili to inni, sięgając po Biblię i Ojców Kościoła. Powstały traktaty (Jodok Clichtovius, 1519, i Pedro Soto, 1558) rysujące model kapłana moralnego, pobożnego, oderwanego od dóbr materialnych, pasterza dusz, a nie tylko wykonawcy zgodnego z przepisami kultu. Pierwsza z tych poczytnych prac miała w XVI wieku 14, a druga 8 wydań. Niektóre z zawartych w nich refleksji przypominają akcenty spotykane w tekstach Vaticanum II.³

W Trydencie potwierdzono dawne kanony dotyczące prawa celibatu. Pomyślano przy tym wreszcie o systematycznej edukacji i formacji kandydatów do kapłaństwa, nakazując zakładanie seminariów. Ich wpływ na stan umysłów i postawy potrydenckiego duchowieństwa długo jeszcze pozostawał niewielki. Zakładano je bowiem prawie wszędzie w trybie dość opieszłym, uposażając marnie, kształcąc krótko i jednostronnie (głównie kazylistyka konfesjonalowa). W Polsce w połowie XVII wieku seminaria posiadało jedenaście na dziewiętnaście diecezji metropolii gnieźnieńskiej, ale łącznie było w nich miejsce tylko dla stu kilkudziesięciu alumnów. Jeszcze w XVIII wieku nauka trwała tam rok, dwa a później trzy lata. Znaczną rolę w poprawie aktywności duszpasterskiej duchowieństwa katolickiego odegrały reformacyjne zagrożenia, drukowanie kazań, częste synody, a zwłaszcza egzekwowanie ich rozporządzeń przez biskupich wizytatorów i ożywienie kongregacji dekanalnych, na których księża m.in. roztrząsali kwestie teologiczne oraz problemy duszpasterskie, z powołaniem się na publikacje teologiczne.

³ H. Jedin, *Das leitbild des Priesters nach dem Tridentinum und dem Vaticanum II*, „Theologie und Glaube”, Jh 60: 1970, s. 103-105, 108-111, 114.

Duchem Trydentu Kościół żył w praktyce aż do Vaticanum II. Oznaczało to ciągle niedowartościowanie świeckich i ich wspólnego z prezbiterami kapłaństwa, budowanie samoświadomości tych drugich przez przeciwstawienie laikom, wzmacnianie podmiotowości kleru przez uprzedmiotowienie wiernych, zapominanie, iż pasterze owiec to najpierw i ciągle wraz z nimi owce Jedyne Pasterza.

Trwał tedy przez wieki potrydencki rząd dusz (*regimen animarum*) czy – jak mówiono jeszcze w pierwszej połowie XX wieku – praca nad duszami. Dziś mówi się ciągle o posłudze, co nie brzmi zgrzytliwie tylko wtedy, gdy wykonawca tejże uprawia ją właśnie w trybie służebnym, nie zaś dominacyjnym. Lepiej bowiem być obsługiwany przez przedstawiciela świętej władzy (hierarchii), niż zostać potraktowanym paternalistycznie czy biurokratycznie przez pełniącego posługę. Zaś dopóki stare mocuje się z nowym, warto rzecz całą zakończyć – na pamiątkę odchodzącej w przeszłość potrydenckiej wizji Kościoła wojującego i jego kapłaństwa – klarowną jak sztych panoramą nakreślaną przy użyciu bojowych akcesoriów przez jej rodzimego współarchitekta ks. Piotra Skargę:

Kościół Boży tu, na ziemi, jest jako wojsko na wojnie pięknie uszykowane, na trzy części rozdzielone: w jednej są księża jako urzędnicy, w drugiej żołnierze laicy, w trzeciej z obu części przebrani zakonnicy i mniszy (...) Pan Jezus, będąc najwyższym cesarzem i hetmanem swego wojska, a mając inne wojsko wielkie, niebieskie i podziemne, w niebie się tylo w widomej obecności stawia, a na ziemi będąc niewidomy, ma od siebie namiestnika Piotra świętego i jego następniki, papieża rzymskie. Którym dał moc swoją na rządzenie wojska swego, nad którym jest sam jeden, jako najwyższy hetman, papież. Po nim są biskupi jako pułkownicy, którzy częściami prawnymi wojska władną. Po nich są kapłani abo plebani, jako rotmistrzowie i setnicy. Po nich dyjakoni i poddyjakoni, i inni, którzy rotom służą: jako chorążowie, trębacze, bębownicy, szpiegowie i inni do mniejszych posług w rocie każdej naznaczeni. A drudzy są zakonnicy i mniszy, jedni jako na zamkach i wieżach rozsadeni, i w nocy, i we dnie straż trzymają. Drudzy przed ufami biegają i nieprzyjacielskie wojsko trwożą i trapią. Drudzy na harcach pojedynkowych żołnierze zaprawują i sami mężnie wygrywają i dobrą myśl a serce mężne drugim czynią. Na te takie porządki około wojny i wojska Chrystusowego siedm jest stanów kleryków abo księży: trzy więtsze i przedniejsze, a cztery mniejsze. Przedniejszy są, jako urzędnicy: kapłan, dyjakon, poddyjakon. Niższy i najmniejszy są: akolit, czytelnik, zaklinacz i odźwierny.⁴

KS. JAN KRACIK, ur. 1941, profesor historii Kościoła PAT. Autor kilku książek, systematycznie publikuje recenzje i szkice w „Tygodniku Powszechnym”, „Znaku” oraz czasopismach historycznych.

⁴ P. Skarga, *Kazania przygodne*, Kraków 1600, s. 155.

TWARZE KAPŁAŃSTWA

Choć w numerze niniejszym wypowiadają się wyłącznie księża, rozestana wśród nich ankieta spełnia rolę szczególną. Naszych respondentów prosiliśmy mianowicie o świadectwa, które ukazywałyby, jaki jest dzisiejszy polski ksiądz – jak wyglądało i wygląda jego życie, jego wiara, świadomość kapłańska, relacje z innymi ludźmi; jak myśli, czuje, ocenia rzeczywistość; jakim językiem mówi o swoich sprawach. Oto pytania, jakie zadaliśmy:

1. Dlaczego zostałem księdzem? Jak objawiło mi się powołanie i jaką miałem wówczas wizję kapłaństwa?

2. Czy ta wizja zmieniła się (lub stale zmienia), a jeśli tak, to co wpłynęło i wpływa na te zmiany? W czym pomogły mi lata spędzone w seminarium, a czego w wykształceniu seminaryjnym zabrakło?

3. Co stanowi największą trudność na drodze powołania: samotność? celibat? zbyt duża ilość obowiązków? zagrożenie rutyną? brak dostatecznej formacji duchowej? trudności w kontaktach ze świeckimi? postawy innych księży (kolegów, przełożonych)?

4. Co utwierdza w powołaniu, przysparza największej radości i satysfakcji, przekonuje o słuszności dokonanego wyboru? Co chroni przed rutyną, bylejakością, „zrędnictwem”? Co robię, aby moje powołanie stale wzbogacać?

5. Jak wyglądają moje relacje ze świeckimi? Co – wedle mojego rozeznania – myślą o mnie inni, jak mnie oceniają? Jak z nimi współpracuję? Czy w ostatnich latach coś się w tych relacjach zmieniło?

Józef Augustyn SJ

1. Moc słowa. W moim kapłańskim życiu wielokrotnie było mi dane doświadczyć mocy „kapłańskiego słowa” wypowiedzanego w różnej formie: w indywidualnym dialogu w kierownictwie duchowym, w głoszeniu homilii, rekolekcji, jak również w formie słowa pisanego. Wydaje mi się jednak, że istnieje bardzo ścisła zależność pomiędzy mocą głoszonych słowa a prawdą Słowa przeżywaną wewnątrznie. Kiedy słowo wypowiedzane przez księdza nie jest zakorzenione w jego osobistym doświadczeniu, brzmi

„mało prawdziwie”. W takiej sytuacji pokusą jest zakrywanie „nieprawdy głoszonego słowa” intelektualnym bogactwem czy też estetyczną formą. Ludzie, którzy w kontakcie z księdzem szukają przede wszystkim Boga, nie dają się łatwo oszukać. Wyczuwają pustkę naszych słów, także wówczas, kiedy przyjmują one piękną formę.

Stając twarzą w twarz wobec wielu ludzi, którzy proszą nas, księży, o posługę, doświadczamy nieraz głębokiego wewnętrznego rozdarcia. Jesteśmy bowiem zobowiązani do wypowiedzania słów, które nas przerastają; i jesteśmy wówczas świadomi, iż nie przeżyliśmy jeszcze prawdy, jaką usiłujemy przekazać innym. W tej niełatwej sytuacji wewnętrznej potrzebna jest nam wielka szczerość. Ogromnym pocieszeniem i źródłem odwagi było dla mnie odkrycie, iż „wystarczy” wówczas wewnętrzne zawstydzenie przed Słowem. Z owego pokornego stawania przed sobą, przed ludźmi i przed Słowem spontanicznie rodzi się pragnienie wprowadzenia we własne życie tego, co głosi się innym. Pragnienie to jest łaską. Ksiądz głosi Słowo nie tylko innym, ale także i samemu sobie. I chociaż winien on widzieć dalej i głębiej od tych, których ma prowadzić, to jednak „ludzką rzeczą jest”, iż sam także daje się poprowadzić wiernym, którym posługuje. Nie tylko ksiądz jest przewodnikiem dla wiernych, ale także wierni są dla księdza przewodnikami.

2. Modlitwa. Ważnym problemem kapłańskiego życia jest łączenie codziennej aktywności ludzkiej i duszpasterskiej z życiem modlitwy: z medytacją, kontemplacją, adoracją. Kiedy bowiem ksiądz staje w sytuacji bezradności (cudzej i własnej), wówczas modlitwa jest naprawdę jedyną „deską ratunku” dla innych i dla niego samego. Kiedy rezygnujemy z modlitwy, skupienia i ciszy, narażeni jesteśmy na zatracanie się we własnych lub cudzych obawach i lękach, w różnorodnych pożądaniami, zapracowaniu itp.

Nierzadko doświadczamy bolesnego napięcia pomiędzy naszą aktywnością ludzką i duszpasterską a „aktywnością duchową”. Dopóki cenimy sobie to napięcie, podtrzymujemy je w sobie i odpowiadamy na jego wyzwanie, nasza równowaga wewnętrzna jest uratowana. Winniśmy jako księża obawiać się takiej sytuacji, w której brak modlitwy, skupienia i adoracji przestanie nas wewnętrznie niepokoić.

Życie modlitwy księdza nie może być jednak budowane z odwołaniem się jedynie do obowiązku, czy tym bardziej „kapłańskiego poczucia winy”, które niekiedy bywało wpajane w czasie formacji seminaryjnej. Ono samo nie wystarcza. Konieczne jest odwołanie się do wewnętrznego smaku, pragnienia, głodu Boga, do świadectwa wiernych, z którymi często spotykamy się w naszej posłudze. Pragnienie i smak modlitwy są jednak rzeczywistością ludzką i dlatego są one bardzo kruche. Można je utracić. Brak głębszego życia modlitwy – to nierzadko zasadniczy problem naszego kapłańskiego życia. Autentyczność naszej posługi przychodzi poprzez naszą modlitwę. Ale nawet przy „minimalnym choćby wysiłku modlitwy” Duch Boży przywraca nam ów smak spotkania z Bogiem, dialogu z Nim. W czasie rekolekcji dla kleryków i kapłanów byłem wiele razy świadkiem, jak ksiądz łatwo

może odzyskać pragnienie modlitwy, jeżeli autentycznie zaangażuje się w wewnętrzne nawrócenie oraz szukanie intymnej więzi z Bogiem. I to właśnie jest źródłem mojej nadziei na przemianę najpierw nas, kapłanów, a później tych, którym pomagamy.

3. Ojcostwo. Ojcostwo i macierzyństwo w ostatnich dziesiątkach lat obecnego wieku weszło w głęboki kryzys. Niewątpliwie związane jest to między innymi z rozbiciem życia małżeńskiego i rodzinnego oraz z oddzieleniem ludzkiej seksualności od miłości małżeńskiej i rodzicielskiej. Wielu uważnych obserwatorów przemian społecznych i cywilizacyjnych stwierdza, iż żyjemy w epoce bez ojca i bez matki. Człowiek jednak nie znosi życia w pustej przestrzeni. Stąd też pojawiają się zastępcze postacie ojca, które mają wypełnić pustkę. Nie tylko scena polityczna została zapełniona takimi postaciami. „Nie podając w wątpliwość dobrych intencji wielu współczesnych »guru« i innych zastępczych postaci ojca, należałoby jednak postawić poważne pytanie, czy stają oni na wysokości swojego zadania. W ten sposób rodzi się słuszne podejrzenie, że osoby co dopiero wyzwolone, idąc za swoimi »nowymi ojcami«, narażają się na jeszcze większe zniewolenie” (Gabriel Bunge).

W niedawnej jeszcze przeszłości, kiedy małżeństwo i rodzina były rzeczywistością bardziej stabilną i bardziej scaloną, rola kapłana mogła ograniczyć się do roli nauczyciela, szafarza sakramentów, w sytuacjach szczególnych – społecznika. Dziś wielu ludzi, szczególnie młodych, poszukuje u kapłana także ojcowskiego wsparcia. Jest to nowe, wielkie kapłańskie wyzwanie naszych czasów. Dziś celibat winien być przeżywany przez księży także jako wyzwanie do pełnienia duchowego ojcostwa. Szczególnym miejscem ojcostwa kapłańskiego jest pogłębione sprawowanie sakramentu pokuty oraz kierownictwo duchowe. Jeżeli wielu wiernych uskarża się, iż trudno im znaleźć kierownika duchowego wśród księży, to między innymi dlatego, że nie umiemy jeszcze przyjmować na siebie roli ojca.

Ojcostwo dla wielu młodych księży i kleryków jest dzisiaj doświadczeniem trudnym, wręcz bolesnym. Sami bowiem wywodzą się nierzadko z rodzin o zranionym obrazie ojcostwa. Ponieważ sami nie mieli możliwości doświadczyć troskliwego i czułego, a jednocześnie mocnego i bezinteresownego ojcostwa, nie umieją przyjąć takiej postawy. W powołaniu do kapłaństwa zawarta jest łaska duchowego ojcostwa, stąd też zawsze możliwe jest pokonanie wszystkich ograniczeń i zranień na drodze do niego. Ta „trudniejsza” nieraz ludzka sytuacja młodych księży, jeżeli zostanie przez nich podjęta i zintegrowana, może zaowocować większą ojcowską wrażliwością. Doświadczenia wielu księży, których poznałem, wskazują, że jest to możliwe.

Ojcostwo kapłańskie musi być jednak zawsze pokorne. Jest ono bowiem na „służbie” ojcostwa samego Boga. Kapłan nie obdarza życiem duchowym, ale wskazuje jedynie drogę do niego; nie daje też poczucia bezpieczeństwa, a raczej ukazuje, gdzie można je znaleźć.

Osobiście było mi dane doświadczyć wiele razy radości duchowego ojcostwa; nie brakowało jednak także trudu z nim związanego. Jest wiele

takich ludzkich sytuacji w życiu księdza, w których pełnienie roli ojcowskiej jest proste i przynosi niemal natychmiastową ludzką satysfakcję. Ale zdarzają się nierzadko i takie sytuacje, w których ksiądz boleśnie doświadcza duchowego ojcostwa. Jak w życiu rodzinnym radości, trudy i ofiary ojcostwa fizycznego stają się miejscem wyrastania młodych mężczyzn z ich różnych niedojrzałości, uwikłań i nałogów, podobnie może być także w życiu kapłańskim. Ich ojcostwo duchowe winno być jednym z zasadniczych motywów dojrzewania osobowego i kapłańskiego.

4. **Otwartość na wszystkich.** Bardzo trudnym, wręcz bolesnym zjawiskiem polskiej rzeczywistości jest wielka polaryzacja poglądów i postaw w wielu dziedzinach życia. Może najwyraźniej ujawnia się ona w dziedzinie politycznej. Polaryzacja ta dotyka także ludzi pracujących w Kościele i dla Kościoła. Dotyczy to zarówno świeckich, jak i duchownych.

W ostatnich latach było mi dane spotykać się z wieloma ludźmi „z bardzo różnych środowisk”. Zdarza się niekiedy, że uprzedzenia do Kościoła uwidaczniają się w przykrych zachowaniach wobec księdza „Bogu ducha winnego”. Ale muszę wyznać, iż takie sytuacje były niezmiernie rzadkie. Wiele razy doświadczyłem natomiast, iż minimum dobrej woli, ludzkiej życzliwości i partnerskiego traktowania sprawiło, iż łatwo nawiązywał się życzliwy kontakt z osobami, które przez długi okres konsekwentnie dystansowały się wobec Kościoła. Wierzę, że takie spotkania nie pozostają bez wpływu na ich sposób odnoszenia się do Kościoła i w ogóle do spraw ducha. Zdecydowana większość ludzi, którzy dzisiaj dystansują się wobec Kościoła, była kiedyś (najczęściej we wczesnym dzieciństwie) z nim związana.

Ich dzisiejsza postawa jest często wynikiem zranienia. Jako księży grzeszymy ciężko przeciwko naszemu kapłaństwu, jeżeli ludzi tych traktujemy z góry, potępiamy ich, oskarżamy, zrywamy z nimi kontakt. Powinniśmy bardziej otworzyć się na wszystkich, którzy potrzebują naszej duchowej pomocy. Jeżeli zaś nie stać nas, aby to uczynić „dzisiaj”, winniśmy przynajmniej wyznawać przed sobą i przed Bogiem nasz brak odwagi i zaniechanie. Dzięki takiej szczerości – być może – stanie się to możliwe „jutro”.

Wychodząc do ludzi dystansujących się wobec Kościoła, musimy liczyć się z tym, że nie zawsze od razu będziemy przyjęci ze zrozumieniem. Ale autentyczność naszego powołania kapłańskiego zależy w dużym stopniu od pokornego przyjmowania wszystkich ludzkich reakcji, także tych negatywnych i przykrych. I choć nie zawsze są to reakcje proporcjonalne do naszych zachowań, pomyłek czy błędów (nierazko bywają przesadnie zwielokrotniane), to jednak zawsze mogą być one przez nas odebrane jako znak. Kiedy reakcje te są słuszne i prawdziwe, są ważnym wezwaniem do wewnętrznego nawrócenia. Zarówno wierzący, jak i niewierzący (takich naprawdę jest mało) wybaczą nam wiele grzechów, jeżeli dostrzegą, iż – podobnie jak oni sami – także i my zmagamy się z naszą słabością. Ale także wówczas, kiedy ludzkie słowa i reakcje są przesadzone i niesprawiedliwe, stają się szczególnym wezwaniem do miłowania Jezusa w Jego Tajemnicy Paschalnej.

Uważam, że w przeszłości łatwiej było spełniać funkcję kapłańską. Byliśmy chronieni przez mocne struktury kościelne i społeczne. One pomagały nam przetrwać w chwilach niepewności, zagubienia i słabości ludzkiej. Silna społeczna tożsamość księdza mogła być pewną pomocą i uzupełnieniem w sytuacji braku osobistej tożsamości. Dziś od nas, księży, życie wymaga większej jasności – głębszej tożsamości osobowej i kapłańskiej. Tożsamość ta winna być pełniej zakorzeniona w osobistym doświadczeniu wewnętrznym.

JÓZEF AUGUSTYN SJ, ur. 1950, przyjął święcenia w 1976, kierownik duchowy i kolekcjonista Centrum Duchowości w Częstochowie.

Ks. Henryk Bolczyk

1. W moim wypadku początki myślenia o kapłaństwie sięgają dzieciństwa, czasów ministranckich. Nikt jednak o tym nie wiedział, nie mógł wiedzieć. Głośne wypowiedzenie wewnętrznych pragnień kapłaństwa uchodziłoby za zuchwałość, przejaw pychy i wyniosłości. Nawet najbliższa rodzina nie miała prawa o tym wiedzieć. W tym przekonaniu kryła się najwcześniejsza interpretacja kapłaństwa jako tajemnicy, z szacunku dla Pana, który daje powołanie bez związku z przymiotami człowieka.

Kapłani mojego dzieciństwa byli dobrymi kapłanami, ale to nie oni ani inni dobrzy kapłani, których spotkałem w latach młodości, byli dla mnie wzorem do naśladowania. Nawet święci księża, i ci z dobrej literatury hagiograficznej, i ci współcześni, jak Sługa Boży ks. Franciszek Blachnicki, nie uosabiali w pełni owego ideału Kapłana, ideału realnego, aczkolwiek niewyrażalnego i stale nieosiągalnego. Dziś, z perspektywy 35 lat kapłaństwa, widzę w tych wzorcach i marzeniach lat dziecięcych Twarz Jezusa, Jedyne Kapłana, który coraz bardziej zbliża się do mnie w swojej wielkiej miłości i pokorze, chcąc mnie ostatecznie zjednoczyć ze sobą. Czy łatwo przychodzi Jezusowi pozyskać mnie całego?

2. W ostatnich latach mojej posługi kapłańskiej, związanej całkowicie z Ruchem Światło-Życie, z jego darami i trudnościami różnej natury, odkrywam dziwny związek znaków Bożej Opatrzności danych mi w latach młodości, nie zawsze czytelnych, których wymowę dopiero dzisiaj rozumiem. Nie wchodząc w szczegóły, mogę wyznać, że Bóg bardzo uważnie prowadzi każdego człowieka.

Podstawówkę kończyłem w 1952 roku, a więc w okresie ostrego ataku ideologii materialistycznej. Miałem pójść do najbliższego gimnazjum, ale przewidywano, że od nowego roku nabierze na wskroś laickiego charakteru, wyrażonego w nazwie TPD. Proboszcz przestrzegał przed taką szkołą i ta

przeestroga zaprowadziła mnie do gimnazjum św. Jacka, które dla ocalenia swojej egzystencji przemianowało się na Niższe Seminarium Duchowne. Szkoła miała internat, byli w niej świetni wychowawcy, codzienna Msza święta, wysoki poziom nauki i różnorodne zajęcia sportowe. Stalinizm przeszedł nade mną jak przejściowa chmura burzowa. Była, minęła. Zatrzęsło się w ostatnim roku: po wcześniejszym zaarrestowaniu biskupów przyszła kolej na naszą szkołę; powyrzucano wspaniałych profesorów, kapłanów-wychowawców. Ale mnie te wydarzenia zastały w klasie maturalnej. Jeszcze *tableau* przypieczętowała nazwa Stalinogród zamiast Katowice (tam mieściła się szkoła)... i wio do świata. On się stopniowo zmieniał. Zbliżał się październik. Wstąpiłem do Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie, resztkami sił praktykującego wspólne wykłady z klerykami krakowskimi u profesorów Wydziału Teologicznego UJ, których Ojciec Święty z wdzięcznością wymieniał w czasie ostatniej pielgrzymki.

Na obrazku prymicyjnym zaznaczyłem wymowę roku naszych święceń kapłańskich: „1962 – rok II Soboru Watykańskiego”. Czy mogłem wiedzieć, w jaki czas Kościoła wchodzę? Czy umiałem zdefiniować Kościół, w którym otrzymałem urząd pasterza? Pamiętam z wczesnych lat seminaryjnych popularną lekturę Tadeusza Brezy *Spizowa brama*. Wyłaniał się z niej Kościół wysokiego urzędu lub *acies bene ordinata*. Wszystko w nim jest na swoim miejscu. A jaki był obraz Kościoła w moim sercu? Owszem, niezłe stopnie na studiach pozwoliły mi uspokoić się, że jestem przygotowany, ale drżałem na myśl o szerokim *spectrum* zadań Kościoła, duszpasterstwie od najmniejszych dzieci do dorosłych, od ludzi prostych, którzy mnie zawstydzali pięknem i prostotą swej wiary, do grup akademickich stawiających wiele pytań, których rezonans słyszałem i we własnym sercu. Czy Kościół jest instytucją doskonałą, zamkniętą? Co właściwie w nim podlega badaniu?

3. Pierwsze lata mojego kapłaństwa cechowała gorliwa praca, stosunkowo łatwy kontakt z wszystkimi grupami parafialnymi, radość sakramentów, z przykładami cudów nawrócenia, zwłaszcza w święta maryjne i w te zniesione przez władze cywilne. Szlaki pielgrzymek parafialnych i wakacyjne obozy młodzieżowe, sportowe rozgrywki, bardzo familijne odwiedziny kołędowe, braterski klimat życia kapłańskiego na plebanii i wiele przeżyć religijnych, które były ściśle powiązane z życiem parafian, ich pracą zawodową w dwóch typowych śląskich zakładach: kopalni i hucie – to przykład pewnej epoki, której kształt przypisuję wcześniejszym pokoleniom gorliwych duszpasterzy śląskich „z ludzi wziętych i dla ludzi postawionych”. Dziękuję Bogu, że mogłem żyć na krawędzi tej epoki i cieszyć się jej wartościami.

Zbliżał się przełom w Kościele. Sam, mimo pozytywnych wspomnień z tamtych lat, oczekiwałem zmian. Nie umiałem sprecyzować, czego się spodziewam, ale byłem pewny, że coś zacznie się dziać. Przemiany zawsze kosztują. Niewielu ludzi przeżywa je naprawdę głęboko. Większość pozostaje na powierzchni zmian i traktuje je jak przejściową modę. I tak „nowe” utożsamia się z „lepszym”. Nowinkarskie podejście do nauki soborowej pociągnę-

ło za sobą niejedną ofiarę. W piątym roku mojego kapłaństwa odszedł z naszych szeregów kolega. Odchodził dziwnie uradowany, jak człowiek wolny. Nie umiałem się zgodzić z tak pojętą wolnością. Czy niewiernością można budować miłość?

W Kościele zrobił się przeciąg. Kardynał Danielou w jednym z wczesnych wywiadów wyznał, że otwarte przez Jana XXIII drzwi Kościoła Paweł VI pozostawił uchylone, aby przeciąg jednym zaszkodził, a innych wywiął. Ale to chyba był żart.

To „nowe”, które przyszło do Kościoła razem z Soborem, ma sens jedynie biblijny, a nie socjologiczny, czyli o tyle jest „nowe” w Kościele, a przeto i „lepsze”, o ile jest następstwem tchnienia Ducha Świętego, który odnawia oblicze ziemi, raz i na zawsze. W mojej pierwszej placówce duszpasterskiej nieźle, jak mi się zdawało, „poukładanej” modlono się dużo, a w dniach sesji soborowych bardzo dużo, w tym i nocami. „Nowe” zastało mnie już na drugiej placówce.

4. Zaczęło się od letniej oazy kapłańskiej w 1968 roku w Krościenku nad Dunajcem. Mój starszy kolega Damian był tam rok wcześniej i zachęcił mnie do wyjazdu. Dobrze mi znany, bo ze śląskiej diecezji pochodzący ks. Franciszek Błachnicki prowadził Oazę Żywego Kościoła. Narodziła się fascynacja. Rosła ona przez najbliższe lata w kolejnych formach oaz rekolekcyjnych, nie bez moich wewnętrznych oporów, ale stopniowo i konsekwentnie. Najwcześniej pozyskała mnie idea Żywego Kościoła. Od dotychczas przeważającego we mnie obrazu Kościoła *acies bene ordinata*, a więc dość zewnętrznego, zostałem wezwany do wnętrza, od obrazu organizacyjnego do organicznego, od Kościoła instytucji wielu parafii do więzi osobowej, która ma swoje źródło i odniesienie w jedności Osób Bożych.

Drugą inspiracją stała się nauka o człowieku-osobie, „który nie zrealizuje siebie w pełni inaczej, jak tylko poprzez bezinteresowny dar z siebie”. Ks. Franciszek powtarzał to zdanie konstytucji soborowej *Gaudium et spes* nieskończoną ilość razy, ale ja dzięki tym powtórkom przejąłem się tym zdaniem i... zrozumiałem.

Po trzech latach, nieco przymuszony brakiem kapłana, zdecydowałem się poprowadzić oazę rekolekcyjną dla dziewcząt. To, co usłyszałem z ich ust po piętnastu dniach w formie podziękowania, nie miało uzasadnionego związku ze mną. Tak mi się zdawało. Przez całe 9 lat dobrej chyba służby kapłańskiej nie spotkałem się z taką wdzięcznością jak tutaj po 15 dniach. Nie miałem wątpliwości: Bóg złożył w oazie swój wielki dar. Z czasem pojąłem, że jest to dzieło Niepokalanej, Matki Kościoła, że myślą wiodącą, chrystologiczną jest ideał Chrystusa Sługi, że Światło rozumu, sumienia, Objawienia Bożego, Osoby Chrystusa i Kościoła – stanowi podstawowe źródło Życia.

Odtąd w moim kapłaństwie łatwiej rozpoznawałem naukę Soboru Watykańskiego II na szlaku rodzącego się ruchu odnowy człowieka, Kościoła-wspólnoty, ruchu nowej kultury.

Jako metropolita krakowski kardynał Karol Wojtyła mówił w 1972 roku do kapłanów: „Oaza to jest przetłumaczona na język pewnego ruchu, pewnego działania eklezjologia *Vaticanum Secundum* w jej elementach centralnych: osoba, wspólnota Ludu Bożego, wspólnota apostołska w najbardziej podstawowym znaczeniu tego słowa.”

5. Czy jest to nadal wypowiedź o kapłaństwie? Można by zrobić zarzut, że się temat „rozjechał”, bo bardziej widać oazy niż kapłana. Czy nie jest to piękne, gdy kapłan jest postrzegany w świeckich, w młodzieży, w rodzinach, w dzieciach, a potem razem się gromadzą w liturgii i kapłan jest niezastąpiony, zdecydowanie wyróżniony jako przewodniczący: prorok, pasterz, kapłan? A jednak czy jego jest słowo? „Tylko Ty masz słowa Życia”, powiedział Piotr Apostoł o Jezusie. Czy kapłan prowadzi? „Ja jestem dobrym pasterzem.” Wszyscy inni są złodziejami. Czy człowiek jest kapłanem? Jedyne *in persona Christi*.

KS. HENRYK BOLCZYK, ur. 1938, przyjął święcenia w 1962. Krajowy moderator Ruchu „Światło – Życie”.

Ks. Zdzisław Chlewiński

Na wstępie muszę zaznaczyć, że w moim kapłańskim życiu – a jestem księdzem od lat czterdziestu trzech – nie wydarzyło się nic sensacyjnego ani specjalnie dramatycznego. Było ono – i jest – bardzo zwyczajne, „prozaiczne”, chociaż dla mnie osobiście, jak je oceniam w retrospekcji – ciekawe.

Wraz z całym pokoleniem przeżyłem doświadczenie dwóch totalitaryzmów i towarzyszyło mi przeświadczenie, że zostałem pozbawiony wielu swobód i uprawnień przysługujących obywatelom wolnych politycznie krajów, że jestem anonimowym, pozbawionym wpływu na wydarzenia życia publicznego, szarym mieszkańcem Peerelu. Ale te sprawy wykraczają poza pytania ankiety.

Dlaczego zostałem księdzem? Odpowiedź na to pytanie kryje w sobie nie do końca jasne i objęte refleksją warstwy motywów psychologicznych, ale również, w co wierzę, jeszcze bardziej tajemniczą warstwę przyczyn nadprzyrodzonych („nie wyście mnie wybrali...”). Ograniczam się do tych pierwszych. Rekonstrukcja własnej drogi do kapłaństwa z konieczności musi mieć charakter hipotetyczny. Zdana jest bowiem na kruchą pamięć o przeszłości, tym bardziej, że trzeba sięgać daleko wstecz – być może aż do pierwszych, dziecięcych jeszcze pytań egzystencjalnych, a zarazem religijnych: o Boga, o śmierć, o życie wieczne itd. Pamiętam swoje pierwsze „przeżycie metafizyczne”, jeszcze z okresu przedszkolnego: uczucie głębokiego

smutku, że wszystko przemija i ulega zniszczeniu – a chodziło o nietrwałą zabawkę. Na moją formację religijną z pewnością wywarła wpływ otwarta, uczciwa, życzliwa ludzima atmosfera domu rodzinnego, a także wczesne, dziecięce i młodzieńcze utożsamienia z osobami dla mnie ważnymi. Myśl, że w przyszłości zostanę księdzem, nasunęła mi się dość wcześnie, ale nikt mnie do tego nie nakłaniał. Ze szkolnych lekcji religii wyniosłem dość powierzchowną orientację w kwestiach wiary.

Okres dojrzewania przeżywałem „typowo”: jako stan wewnętrznej rozterki, niepokoju, niezadowolenia z siebie, a także stan „przyciągania” i „odpychania” w dziedzinie religijnej – zapewne pod wpływem lektur. Zwątpienia pojawiały się „same przez się”, przeżywałem je głęboko i emocjonalnie – bywało, że jako utratę sensu życia. Ksiądz, do którego zwróciłem się o pomoc, zbagatelizował moje kłopoty, potraktował je jako „zjawisko normalne”, nie podjął rozmowy.

Dysponowałem nielicznymi książkami o treści religijnej – odpowiedzi na moje wątpliwości szukałem między innymi w dość „suchym” podręczniku do nauki religii w szkołach średnich. Wracałem często do zwięzłe tam wyłożonych argumentów za istnieniem Boga. Zapadło mi głęboko w pamięć przeczytane gdzieś zdanie św. Augustyna: „stworzyłeś nas dla siebie i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie”. Preczytałem też *Naśladowanie Chrystusa* i wiele z tej książki, przypisywanej Tomaszowi à Kempis, skorzystałem.

Nawyk myślenia, racjonalnej konfrontacji z coraz to nowymi pytaniami i wątpliwościami w kwestiach wiary utrwalił się we mnie na stałe. Uczyłem się radzić sobie w sposób coraz bardziej dojrzały z intelektualną materią wiary i religii. Własny rozwój religijny postrzegam jako samodzielną pracę wewnętrzną. Myśl o zostaniu księdzem coraz częściej mi towarzyszyła, choć nie w postaci kategorycznej decyzji. Wszystko to działo się podczas II Wojny Światowej, w niewielkim mieście powiatowym na Wileńszczyźnie.

Decyzję wstąpienia do seminarium duchownego podjąłem mając lat siedemnaście. Lata tam spędzone (1949-1954) przypadły na okres stalinowski – przygotowywano nas na wszelkie ewentualności z prześladowaniami włącznie. W roku 1951 rząd PRL usunął z diecezji ordynariusza, ks. Edmunda Nowickiego. Obawialiśmy się, że seminarium zostanie zamknięte. W roku 1953 aresztowano Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Krążyły pogłoski, że władze komunistyczne zamierzają utworzyć w Polsce jedno zbiorowe seminarium duchowne, jak to praktykowano w innych krajach „demokracji ludowej”. Urząd do Spraw Wyznań (gałąź Urzędu Bezpieczeństwa) łatwiej mógłby wówczas kontrolować tok nauczania i tryb zatrudniania wykładowców. W seminarium nie było paniki. Byłem, wraz z innymi, świadomy, że sprawy mogą potoczyć się tak jak w Związku Radzieckim, gdzie księża więziono, zsyłano do łagrów, mordowano. To wszystko należało wpisać w koszty zostania księdzem w tamtych czasach. Działał wówczas bardzo aktywnie PAX. Nakłaniano księży, aby w ramach organizacji „księża patriotów” szli

na współpracę z reżymem. Organizowano różne propagandowe imprezy (zjazdy „obrońców pokoju”). Zdecydowana większość nie godziła się na podejmowane kompromisy. I ja się nie zgodziłem.

W seminarium moja wizja kapłaństwa nie zmieniła się, ale pogłębiła intelektualnie. Chociaż edukacja seminaryjna pozostawiała wiele do życzenia (nie było na przykład zajęć z liturgiki w sensie wprowadzenia w liturgię, a nie drobiazgowego studiowania rubryceli; inne zajęcia oceniałem jako przeładowane zbyt wieloma informacjami lub wręcz niepotrzebne), sporo się tam nauczyłem. Najbardziej inspirowały mnie wykłady z filozofii (ks. Gerarda Dogiela), miałem też świetnego wykładowcę bibliistyki (ks. Józefa Wójcickiego) – do dziś wracam do jego egzegezy listów św. Pawła. Pogłębiło się również moje życie wewnętrzne. Wiele w tej mierze zawdzięczam ojcu duchownemu seminarium (ks. Zydzorowi Żdziebło) – nie był on typem intelektualisty, ale człowiekiem głęboko wierzącym, szczerym, życzliwym, skłonny do słuchania i rozumienia drugich. Cenne okazały się lektury: niewielka książeczka *Sacerdos* ks. Aleksandra Żychlińskiego pomogła mi wniknąć w misterium Mszy świętej; *Posiew kontemplacji* Tomasza Mertona, drukowany w odcinkach w „Znaku” i urwany bez ostatnich rozdziałów, na skutek zamknięcia tego pisma przez władze (dokończyłem lektury po roku 1956), oraz klasycy mistyki – św. Jan od Krzyża i św. Teresa z Avila – wszystkie te dzieła ukształtowały mnie duchowo. Z zapałem studiowałem także medytacyjne teksty na temat Mszy świętej ks. Jana Pietraszki (późniejszego biskupa), dostępne wówczas w maszynopisie. Muszę wspomnieć ponadto o pracach z zakresu etyki o Jacka Woronieckiego, a także o „Tygodniku Powszechnym” i „Znaku” – pismach czytanych przeze mnie regularnie, którym pozostałem wierny do dziś.

Święcenia kapłańskie przyjąłem w pełni świadomie. Mszę prymicyjną, koncelebrowaną z biskupem Herbertem Bednorzem, przeżyłem jako wielkie misterium uobecnienia Rzeczywistości Nadprzyrodzonej. Przez wszystkie lata nigdy nie zwątpiłem w jego sens i nie doświadczyłem kryzysu swojej kapłańskiej tożsamości. Od chwili przyjęcia święceń „bycie księdzem” stało się głównym nurtem mojego życiowego doświadczenia, integrującym rozwój intelektualny i świadomość religijną.

Zawsze wiele zawdzięczałem lekturom, których zakres tematyczny stopniowo się poszerzał. Czytam z reguły „dogłębnie”, z intencją uwewnętrznienia treści dla mnie cennych. Czuję się zobowiązany wymienić autorów, którym szczególnie wiele zawdzięczam: Leszka Kołakowskiego (zwłaszcza jego *Obecność mitu* i *Jeśli Boga nie ma...*), spośród teologów – Karla Rahnera, a z polskich pisarzy – Antoniego Gołubiewa, Tadeusza Żychiewicza, Witolda Gombrowicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Czesława Miłosza. Z przejściem obcowalem z literaturą „łagrową”, zwłaszcza z książkami Aleksandra Solżenicyna. Moim czytelnicznym *hobby* są prace popularnonaukowe z zakresu astronomii i kosmologii (m.in. ks. Michała Hellera), które nie tylko karmią moją poznawczą ciekawość, ale również nastrajają kontempla-

cyjnie i poszerzają perspektywy metafizycznego oglądu świata. Ostatnio lubię czytać Ryszarda Legutkę, którego cenię za przenikliwe diagnozy kulturowe i polityczne, a także Annę Świderkową, świetną, teologicznie głębką, popularyzatorkę Biblii.

Bardzo wiele, rzecz jasna, zawdzięczam spotkaniom z ludźmi – świeckimi i duchownymi, którzy nauczyli mnie, jak być chrześcijaninem i jak być księdzem. Bez takich spotkań moje rozumienie życia i drugich byłoby na pewno uboższe. Sądzę, że mam szczęście natrafiać na ludzi interesujących i wartościowych – uważam to za wielki dar losu.

Czy doświadczam ciężaru samotności? Z racji trybu życia wypełnionego kontaktami ze studentami i współpracownikami na uczelni oraz zaangażowania w pracę naukową raczej poszukuję samotności, niż od niej uciekam. Ale wiem, że dla wielu księży, zwłaszcza pracujących na parafiach, jest to dotkliwy problem.

A celibat? Cóż, wybór jakiejś wartości wysokiej z reguły pociąga za sobą rezygnację z innej – równie cennej. Tak widzę alternatywę: małżeństwo – celibat. Decydując się na wstąpienie do seminarium, dokonałem świadomego wyboru, biorąc pod uwagę całą przyszłość. Byłem przekonany o prawdziwości mojego powołania, wierzyłem w siebie, ufałem, że sprostać jego wymaganiom, bez względu na trudności, jakie mógłbym w przyszłości napotkać. Celibat zaakceptowałem dobrowolnie i możliwość jego „obejścia” – podwójnego życia, czyli w gruncie rzeczy zakłamania – z góry wykluczyłem. Takie nastawienie „przyszłościowe” psychologowie nazywają metadecyzją. Myślę, że bez tego perspektywicznego wyznacznika wszystkich dalszych decyzji, jakie wypadnie podejmować w przyszłości, trudno byłoby mówić o zobowiązaniu do wierności i o jej dochowaniu – czy to w celibacie, czy w małżeństwie.

Seksualność traktuję jako ważny i wartościowy współczynnik ludzkiej osobowości. Z obowiązku psychologa wiele na ten temat czytałem, myślałem, trochę pisałem. Wychowanie i samowychowanie tej sfery wymaga uznania własnej płciowości jako pozytywnego zadania, które zakłada odpowiedzialność i szacunek dla własnej i cudzej osobowej autonomii. Jestem przekonany, że tak zwana czystość (coś więcej niż tylko powściągliwość seksualna) jest szczególną postacią miłości – siebie i bliźnich. Ani miłość, ani seksualność nie są związane wyłącznie z prokreacją. W gruncie rzeczy każdy normalny kontakt międzyludzki zawiera pewien komponent emocjonalny, związany również z seksualnością, która może się urzeczywistniać na różne sposoby, ulegać transformacji, bo jest podatna na przeobrażenia zwane w psychologii sublimacją. Tak też dzieje się w celibacie, w którym jest miejsce na duchowe ojcostwo, przyjaźń, służbę innym.

Myślę, że w tej sprawie istotną rolę odegrało u mnie stopniowe nabywanie umiejętności nawiązywania wartościowych kontaktów z kobietami. Nie reagowałem lękowo na „płeć odmienną”, ale dbałem o zachowywanie właściwego dystansu. Z czasem nabrałem praktycznego, intuicyjnego wy-

czucia, w jakiej mierze, z kim, w jakich okolicznościach taki dystans utrzymywać. Ważne w tym było kontrolowanie samego siebie, samokrytycyzm, by nie manipulować uczuciami innych, co tak często się zdarza, bo łatwo w tej materii o samooszukiwanie się.

Trudności. Problemem jest dla mnie wielość i różnorodność obowiązków. Rodzi to dylemat, czemu w danej sytuacji dać pierwszeństwo – pracy dydaktycznej i naukowej czy duszpasterstwu. Praca intelektualna wzbogaciła moje horyzonty poznawcze (choć oczekiwiałem, że można poznać więcej...), pozwoliła spojrzeć głębiej i lepiej zrozumieć wiele ludzkich problemów w sposób, jak sądzę, niedostępny dla laika. Okazała się też pożyteczna w kształceniu świeckich studentów i kleryków, z którymi zajęcia, a zwłaszcza dyskusje, bywają korzystne dla obu stron. Ale podstawowy dylemat utrzymuje się w mocy: różni ludzie – starzy, chorzy, osamotnieni – byłiby mi wdzięczni, gdybym ich częściej odwiedzał, a ja jestem wciąż zajęty „własnymi sprawami”. Z drugiej strony, jestem zobowiązany przekazywać swoim słuchaczom i uczniom wiedzę rzetelną, przemyślaną, aktualną, a to pochłania mnóstwo czasu i energii. A ponadto, zdaję sobie sprawę, że to, co wiem i co wykładam, jest przemijające. Psycholog Donald O. Hebb pisał w roku 1975: „Každy, kto skończył studia mniej więcej dziesięć lat temu, zrozumie mnie, gdy powiem, że większość tego, co jako student musiałem umieć, było już wtedy bezużyteczne lub w krótkim czasie takim się stało; była to wiedza nieistotna, trywialna, często wręcz błędna. Większość tego, co dzisiaj przedstawiamy studentom, musi mieć taki charakter – jest to wiedza ważna dzisiaj, ale bez znaczenia jutro. Co z tej wiedzy wybierać?” Jest to dylemat każdego pracownika nauki, zwłaszcza w dziedzinie, która się dynamicznie rozwija i gdy wciąż wzrasta liczba publikacji. Mam coraz więcej pytań, coraz mniej odpowiedzi. Oczywiście, poprawnie sformułowane pytanie jest czasem bardziej interesujące niż odpowiedź.

W początkach mojego kapłaństwa pracowałem w dużej parafii miejskiej, gdzie miałem wiele obowiązków. Żaden z nich nie sprawiał mi zasadniczych trudności, pracę duszpasterską lubiłem, ale moją piętą achillesową była katecheza, zwłaszcza dzieci. Nie z powodu braku przygotowania – w seminarium mieliśmy i wykłady, i praktyki z tego zakresu – lecz braku talentu. Przeżywałem głęboką frustrację, połączoną z poczuciem winy. To niefortunne doświadczenie zasiało we mnie wątpliwość, czy byłbym kiedykolwiek dobrym księdzem parafialnym. Życie „terenowego” duszpasterza oceniam odtąd jako o wiele trudniejsze niż to, które stało się moim udziałem. Mam więcej czasu na myślenie, czytanie, pisanie, dyskusje. Wybrałem życie kapłańskie w znacznej mierze łatwiejsze.

Stosunki z przełożonymi. Muszę wyznać, że nie miałem z nimi żadnych konfliktów – być może dlatego, że prawie całe życie spędziłem poza rodzimą diecezją, byłem więc daleko od swojej bezpośredniej władzy. Wszyscy biskupi, którym podlegałem, byli dla mnie zawsze bardzo życzliwi.

Kontakty z innymi księżmi. Nie przysparzają mi większych kłopotów – z jednym zastrzeżeniem. Martwi mnie, że u pewnej grupy księży

(z różnych środowisk) zauważam brak krytycyzmu wobec stereotypów i uprzedzeń pleniących się w naszej kulturze, skłonność do ciasnego nacjonalizmu, ksenofobii, spiskowej teorii dziejów, a także do obsesyjnego „epitetowania” ludzi inaczej myślących i przypisywania im złych intencji. Wiadać w tym wyraźną agresję. Jako psycholog próbuję nawet badać to zjawisko. Istnieje ono zresztą nie tylko w Polsce. Smutny to fakt, skoro dotyczy ludzi, którzy opowiadają się za Ewangelią. Jak można, uznając i głosząc Ewangelię, manifestować tak sprzeczne z nią postawy bez wewnętrznego dysonansu? Jak można zapominać, że Chrystus szukał i szuka każdej zagubionej owcy? Tymczasem często potępia się nawet katolików o orientacji bardziej otwartej na dialog, tych, którzy ludzi odmiennych przekonań nie uważają tym samym za swoich wrogów, chociaż może ich dzielić wiele, niemal wszystko.

Co utwierdza w powołaniu? Mówiąc skrótowo, intensywne życie wewnętrzne. Moja religijność jest chrystocentryczna, od czasów seminarium centralne znaczenie ma dla mnie Msza święta, prawda, że jesteśmy wszyscy przybranymi dziećmi Boga, Pismo Święte, medytacja. Nie pociągają mnie praktyki folklorystyczno-dewocyjne. Oczywiście, nie lekceważę ich, ale myślę, że zbyt często różne elementy marginalne przestaniają w naszej obyczajowości religijnej to, co w chrześcijaństwie naprawdę istotne. I to wprowadza wiernych w dezorientację. Najważniejsze jest, według mnie, pogłębione życie wewnętrzne – „w Duchu i w Prawdzie” – a to nie sprowadza się do kwestii czysto psychologicznej czy socjologicznej. Chrystus w jednej ze swych przypowieści mówi o „drogocennej perle”: gdy się ją znajdzie (a nigdy nie można być pewnym, że się ją posiada i trzeba pamiętać, że łatwo ją utracić), wszystko inne wydaje się mało znaczące – i właściwie z wszystkiego poza nią można zrezygnować.

Co mi przysparza najwięcej radości i satysfakcji? Małych radości przysparza praca naukowa, dydaktyka, odkrywanie prawd, które się wprawdzie znało, ale nagle stały się osobiście ważne, przyswojone. Wielką radością jest to, że można służyć innym, że się jest potrzebnym, że się komuś pomogło. Uczciwie biorąc, księdzu trudno jest ocenić własne życie, bo to, co było i co jest w jego działalności wartościowe i, jak wierzę, nieprzemijające, pozostaje niewymierne, a przede wszystkim – nie należy do niego. Byłoby pychą przypisywać sobie zasługi z racji tego, że się po prostu spełniło swój obowiązek („mówcie i wy, gdy uczyniliście wszystko, co wam polecono: »słudzy nieużyteczni jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać«” – Łk 17,10). Kto z nas odważyłby się powiedzieć, że zrobił w życiu wszystko, co do niego należało?

Myślę, że mądrze jest nie liczyć na żadne satysfakcje i zdawać sobie sprawę, iż nasze samooceny i oceny innych są w znacznej mierze złudne.

Relacje ze świeckimi. Wydaje mi się, że podczas swego, długiego już, życia kapłańskiego nauczyłem się nawiązywać kontakt z ludźmi. Nabyłem umiejętności słuchania innych, rozumienia ich problemów, pytań i wą-

pliwości, a równocześnie akceptowania ich jako niepowtarzalnych jednostek. Słuchając innych, sam się uczę. Uczę się przede wszystkim pomagać innym w formułowaniu ich własnych problemów, a także w pozbywaniu się złudzeń, że istnieją proste i łatwe odpowiedzi na trudne pytania. Często ludzie oczekują odpowiedzi rozstrzygającej: „tak” lub „nie”, a najczęściej takich odpowiedzi nie ma. I nie można tego przed nimi ukrywać. Czasem też trzeba powiedzieć, że my wszyscy nie bardzo rozumiemy Pana Boga...

Dość wcześnie ukształtowała się we mnie otwartość na „inne” myślenie, „inne” przekonania. Nie potrafię ustalić, co na to wpłynęło. Jeszcze w szkole średniej doszedłem do wniosku, że w różnych kierunkach filozoficznych kryją się jakieś „cząstkowe prawdy”, tak też myślałem między innymi o marksizmie (*nb.* nauka o Polsce współczesnej w mojej klasie licealnej była wykładana interesująco, bez indoktrynacji). Będąc młodym, religijnym człowiekiem, nie miałem mentalności „posiadacza prawdy”, więc byłem otwarty na różne źródła, skąd można by ją czerpać. Jako student przeczytałem u jednego z filozofów, że historia filozofii nie jest zbiorem błędów, ale świadectwem bogactwa rzeczywistości i dlatego ludzie mogą ją badać z różnych punktów widzenia, posługując się różną aparaturą pojęciową. Takie rozumienie poszukiwań poznawczych, nie tylko na terenie filozofii, otwiera drogę ku Tajemnicy. Wielki wpływ na moje myślenie wywarł Sobór Watykański II, zwłaszcza gdy chodzi o postawę wobec ludzi inaczej myślących i wierzących (Dekret o ekumenizmie, Deklaracja o stosunku do religii niechrześcijańskich).

Nie wolno zapominać, że świeccy, jako członkowie Kościoła, są za niego współodpowiedzialni. Powinno się częściej ich angażować do nauczania (katechizacji w różnych postaciach), pracy charytatywnej oraz w szerszym zakresie korzystać z ich inicjatywy w Kościele. Uważam to za sprawę palącą. Izolacja duchownych od świeckich jest czymś wysoce „niemoralnym”. Ale nie jest to na pewno sprawa łatwa.

Jak mnie widzą świeccy? W moim odczuciu nie mam większych kłopotów w kontakcie ze świeckimi. Nie wiem jednak, co o mnie myślą i jak mnie oceniają. W środowisku tak dużym jak uniwersytet osobowości i poglądy ludzi są bardzo zróżnicowane. Mogą więc rozmaici ludzie różnie o mnie myśleć. Podejrzewam jednak, że większość wcale o mnie nie myśli. Natomiast sam chciałbym o nich myśleć i traktować ich jak swoich bliźnich, niezależnie od ich zapatrywań na moją osobę.

KS. ZDZISŁAW CHLEWIŃSKI, ur. 1929, przyjął święcenia w 1954; kapłan diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, profesor psychologii, kierownik Katedry i Zakładu Psychologii Eksperymentalnej na Wydziale Nauk Społecznych KUL.

Ks. Michał Czajkowski

1. Aż wstyd napisać: nie było wielkich zmagañ, nawrócenia, świadomej decyzji. Byłem niejako predestynowany do służby kapłańskiej, może jednak nie tyle przez pobożnych i praktycznych rodziców (dzieci Pan Bóg dał w nadmiarze, jednego więc można Mu było oddać), ile przez samego Boga? Brzmi to zuchwale, ale tak właśnie tłumaczyłem sobie banalne zdanie z wczesnego dzieciństwa, o którym mi kiedyś rodzice opowiedzieli: ksiądz chodzący „po kołędzie”, obdarowawszy dzieci obrazkami i opuszczając już nasze mieszkanie, zauważył jeszcze jednego malca smacznie śpiącego w łóżeczku i pobłogosławiwszy go powiedział: „a ten mały to będzie księdzem”. Zemsta za zlekceważenie osoby duchownej czy skłonność do snu jako znak powołania kapłańskiego? Pewnie pobożny żart księzowski. Ale czy Pan Bóg nie może wyrazić swej woli przez dowcip lub złośliwość swego sługi?... Tak to w rodzinie odczytaliśmy, i wzrastałem ze świadomością tej woli Bożej jako czegoś zupełnie naturalnego. Oczywiście byłem ministrantem, oczywiście poszedłem do niższego seminarium duchownego, a przedtem z równą oczywistością w odpowiedzi na pytanie klasówki: „Kim chcę być i dlaczego?”, napisałem, że misjonarzem; pani kazała głośno odczytać tylko wypracowanie kolegi, który uzasadniał, dlaczego chce być piekarzem, i moje – odtąd zwany byłem w szkole proboszczem (dlaczego proboszczem? nowa złośliwość?)... Rzecz jasna potem przyszły wątpliwości i trudności, wybory i decyzje. Ale zawsze towarzyszyła mi radość i wdzięczność (i zaskoczenie: to ja? dlaczego ja?).

Moja „wizja kapłaństwa” była idealna, pobożna, naiwna i klerykalna.

2. Ta wizja zmieniała się i chyba nadal zmienia, ale nie co do istoty powołania i misji księdza. Więcej we mnie realizmu, nie brakuje rozczarowań i klęsk, ale radość, wdzięczność i zaskoczenie pozostają. Noszę też w sobie dług wdzięczności wobec seminarium duchownego, wychowawców, profesorów, mimo że zdaję sobie sprawę z mankamentów tamtego nauczania i wychowania (przed Soborem). Za mało było Biblii, nie było ekumenizmu, w teologii królował system scholastyczny, liturgia była sformalizowana, za mało było zaufania do nas, wychowywania do dojrzałości, do braterstwa ze świeckimi... Ale ja tego wtedy tak nie odczuwałem, wyniosłem jednak wiele korzyści, byłem szczęśliwy, rzadko się buntowałem, serdecznie wspominam tamte lata, wszystkich wykładowców, większość wychowawców, kolegów... Z kolegami kursowymi, których ubywa, spotykamy się zresztą co roku (chyba że coś ważnego komuś z nas przeszkodzi).

Moja świadomość „bycia księdzem” zmieniała się – chyba jednak na lepsze (co nie znaczy, że obecnie jestem lepszym księdzem!). Po prostu to „bycie księdzem” stało się mniej klerykalne, mniej wynoszące mnie nad innych (odkrycie kapłaństwa wszystkich wiernych!), mniej zamykające mnie w liturgii (którą bardzo Kocham!), bardziej solidarne z siostrami i braćmi „świeckimi” tudzież ze światem...

3. Największe trudności? Chyba nie samotność (ciągle mi jej za mało) i nawet nie celibat w sensie dosłownym, czyli jako bezżenność (przecież od dziecka byłem na nią przygotowany). Raczej brak miłości, także płciowej, brak tego drugiego człowieka, tego najdroższego (tej najdroższej). A więc jednak – mimo nadmiaru ludzi – także samotność... Na szczęście nie jestem mizantropem i na co dzień doświadczam prawdy słów Jezusa, że nikt „nie opuszcza domu, braci, sióstr, matki, ojca, dzieci i pól” z powodu Jego i Ewangelii, „żeby nie otrzymał stokroć więcej teraz, w tym czasie, domów, braci, sióstr, matek, dzieci i pól” (Mk 10, 29-30). Bez tej wielkiej rodziny duchowej celibat byłby chyba dla mnie katogą nie do zniesienia. Z innych trudności wymienionych w ankiecie przyznaję się jeszcze do zbyt dużej ilości obowiązków i braku dostatecznej formacji duchowej. Pewnym utrudnieniem są też dla mnie postawy niektórych przełożonych.

4. Co utwierdza, przysparza, przekonuje...? Ludzie. Potrzebujący, wdzięczni. Ci, którym pomogłem, i ci, którym nie potrafiłem pomóc. To oni mnie ratują przed rutyną, poczynając od wspólnie sprawowanej Eucharystii. Czasem odważam się powiedzieć młodemu księdzu już „zurredniczałem”: z kościelną babcią rozmawiaj jak z księdzem biskupem, komunię świętą rozdawaj, jakby to było pierwszy raz, nie odmawiaj (byle jak, bezmyślnie, szybko) modlitw mszalnych, lecz rozmawiaj z Panem Bogiem i obecnymi tutaj siostrami i braćmi naturalnie i z szacunkiem... Co robię, aby moje powołanie wzbogacać? Uczę się – od ludzi, zwłaszcza krytycznych (także wobec mnie!), z książek i z prasy. Jakże wiele uczę się od Jana Pawła II. Chyba za mało formuję się ściśle religijnie, ale staram się stale dokształcać, i to nie tylko w sensie zawodowym, ale szerszym, intelektualnym, humanistycznym – to także bardzo wzbogaca powołanie i służbę (i życie religijne).

5. Wielkim odkryciem było dla mnie, że jestem tylko (i aż) księdzem (prezbiterem), że kapłaństwem muszę się podzielić ze „świeckimi”, bo jest ono nam wspólne, z łaski Chrystusa Kapłana. Z tego odkrycia, z tego szczerego przekonania, z tego radykalnego przewrotu teologicznego, rodzi się autentyczna cześć dla świeckich sióstr i braci, dostrzeganie ich charyzmatów, uczenie się od nich i cieszenie się nimi, współpraca dla Królestwa tutaj, na tym małym skrawku ziemi. Czasem dochodzi jeszcze dar przyjaźni. Wzbogaca również przyjaźń, albo choćby znajomość (jakże gorsząca dla niektórych katolickich ortodoksów), z ludźmi, którzy nie są moimi braćmi czy siostrami w wierze. Jeśli czasem coś daję ludziom, zwłaszcza stojącym z daleka, to daję tylko to, co sam od Pana otrzymałem i otrzymuję przez ludzi, także przez tych, którzy nie należą – albo wydają się nie należeć – do Jego owczarni.

Wkraczam w czterdziesty rok kapłaństwa służebnego (które nie zawsze było i nie zawsze jest służbą). Co mnie jeszcze czeka? Jeśli Bóg uzyczy mi jeszcze trochę lat, bardzo bym pragnął, żeby to nie był czas zgorzkniałego starucha, lecz szczęśliwego księdza: Panajezusowego sługi i ludziom brata.

KS. MICHAŁ CZAJKOWSKI, ur. 1934, przyjął święcenia w 1958, prof. dr hab., biblista, kapłan archidiecezji wrocławskiej, wykładowca ATK.

Ks. Roman Indrzejczyk

Jestem już starym albo przynajmniej bardzo dorosłym księdzem. Świecenia otrzymałem w grudniu 1956 roku. Mam więc teraz za sobą prawie 41 lat kapłaństwa, ale ciągle cieszę się nim i jestem przekonany, że dobrze wybrałem swoją „drogę życiową”...

Moje powołanie nie dokonało się w jakiś nadzwyczajny sposób. Po prostu czułem, że moje miejsce jest przy ołtarzu, wśród ludzi, którym będę mówił o Bogu. Nikt mnie nie popychał, nie namawiał. Widziałem siebie w roli kapłana. Chciałem być księdzem.

Wybierając drogę kapłaństwa, wybierałem równocześnie drogę nauczyciela religii. Chciałem uczyć i robię to dotychczas. W to niby przekleństwo „bodaj byś cudze dzieci uczył” wchodziłem świadomie i chętnie i ciągle traktuję to jako jedno z moich głównych zadań. Lubię to, co robię.

Czy miałem jakąś wizję swego kapłaństwa? Chyba nie. Zwyczajnie – chciałem być księdzem. Chciałem pracować w Kościele. Pragnąłem służyć Bogu. Ukazywać wielką wartość wiary, być pośrednikiem i świadkiem, uczyć religii, poświęcać się i być gorliwym w posłudze.

W tych miesiącach i latach, które mijały, coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że trzeba być dla ludzi nie tylko kapłanem, ale również człowiekiem. Dojrzywałem, dorastałem do świadomości, że niejednokrotnie nie wystarczą wspaniałe, mądre, nadprzyrodzone prawdy, a potrzebne są zwykłe ludzkie słowa, słowa przyjaźni i zrozumienia, i że czasem właśnie te ludzkie mogą doprowadzić do Boga albo złagodzić niechęć do Kościoła.

Pamiętam z mojego szkolnego życia pewnego księdza. Przez kilka lat podziwiałem go jako prawego, gorliwego, pracowitego kapłana. Bardzo go lubiłem, ale miałem mu za złe, iż często się denerwował, a czasami był tak surowy i wymagający, że aż nieludzki. Nie mieściło się to w mojej wizji kapłaństwa. Już wtedy postanowiłem sobie, że on będzie dla mnie wzorem, choć stanowczo nie będę na nikogo patrzeć „z góry” – będę dobry dla każdego, tak, by było widać, że lubię ludzi, jestem dla nich, im służę...

Razem z tymi, którzy się wokół mnie gromadzą, a szczególnie z młodzieżą, próbuję tworzyć wspólnotę ludzi mądrych, wrażliwych i dobrych, ludzi radosnych, a równocześnie tak zwyczajnych, że aż świętych – traktujących zasady Chrystusowej Ewangelii jako zasady kształtujące styl ich życia. Próbuję im pokazać, że życie parafialne może być również okazją do wartościowych spotkań towarzyskich, do radosnych przeżyć, pogłębiania przyjaźni, dobrych wyborów moralnych i wszechstronnego rozwoju człowieka. Wiem, że nie w pełni się to udaje, wiem też, że niektórzy obserwują to z wielkim krytycyzmem i dezaprobatą.

Wierzę głęboko, że stworzenie świata pokoju, dobra i prawdy, zrozumienia, prawdziwej sprawiedliwości, współpracy i miłości leży „w zasięgu naszej

ręki”, jest możliwe właśnie przez pośrednictwo Kościoła, również przez moją posługę kapłańską – mimo że ludzie są tacy oporni i wydaje się, że w gonitwie za dobrami materialnymi coraz bardziej od Kościoła odchodzą...

Wierzę w sens i konieczność każdego dobrego czynu i w to, że chrześcijanin ma moc łagodzenia napięć w najbardziej nawet skłóconych środowiskach. Wierzę – powiem z patosem – że przyszłość należy do ludzi wiary, że odejścia od Boga są tylko jakimś epizodem życia. I to jest moja rola jako kapłana: pomagać im to rozumieć, nawet wtedy, gdy na nawrócenie trzeba długo i cierpliwie czekać.

Na pytanie, czy jestem szczęśliwy, odpowiadam: tak, oczywiście, jestem szczęśliwy, co nie oznacza, że zawsze jestem wesoły jak skowronek. Czasami jest mi bardzo trudno. Wielokrotnie jestem zgnębiony, niezadowolony, zmartwiony. Często padam ze zmęczenia, a widzę nieproporcjonalnie małe efekty swej pracy. Zdarza się też, że w moim poświęceniu inni dostrzegają tylko bezsens – albo przewrotność.

Powiedział mi pewien „mądry” człowiek: „jesteś naiwny albo zakłamanym”, „szukasz taniej popularności” albo ktoś inny: „przecież my i tak księży powiesimy na latarniach”.

Pamiętam, że kiedy byłem jeszcze bardzo młodym księdzem, kilku licealistów przestało chodzić na lekcje religii i wydawało się, że mnie unikają. Zaprosiłem ich na rozmowę i wtedy usłyszałem: „Mówi ksiądz, że religia uszlachetnia człowieka. My nie czujemy, żeby nas uszlachetniała, dlatego odchodzimy.” Niewiele brakowało, żebym się całkowicie załamał. To był wtedy ogromny cios. Podobnych klęsk przeżyłem w życiu wiele.

Już dawno w moim dorosłym kapłaństwie pogodziłem się z myślą, że nie zbawię i nie uszczęśliwię wszystkich, że są tacy, którym moje pośrednictwo nie jest potrzebne, ale nie zaakceptowałem tego w pełni. Uważam to ciągle za jakiś błąd mój i mojego Kościoła.

Jak wyglądają moje relacje ze świeckimi? Nie prowadzę tzw. życia towarzyskiego, ale jestem prawie bezustannie między ludźmi. Spotykam się z nimi w kościele i kancelarii parafialnej, na lekcjach religii w szkole, na dyskusjach, wykładach, zebraniach i rozmowach prywatnych...

Jest też wiele osób, również innych wyznań lub niewierzących, które mnie uważają za przyjaciela. Odwiedzam tych, którzy mnie zapraszają z racji oficjalnych wizyt duszpasterskich, a także z innych okazji religijnych, rodzinnych czy prywatnych. Nie idę ze specjalnie przygotowanym „orędziem”, nie po to, żeby nawracać, pouczać czy wypytywać w celu założenia jakichś akt personalnych – ale podejmuję te tematy i problemy, z którymi zwracają się do mnie gospodarze. Staram się uszanować każdego człowieka wraz z jego poglądami i nie „wchodzić z butami” do ludzkich serc. Wiele osób uważa, że umiem słuchać, i niektórym to bardzo pomaga. Sami się otwierają i powierzają mi swoje tajemnice, swoje serca, czasem bardzo zbolełe i zranione.

Oczywiście, jestem samotny, wiem to. Czasami czuję się też bardzo osamotniony w swoich poglądach. Zdarza się, że chętnie bym uciekł „na ko-

niec świata”, bo mam wszystkiego dość. Ale nie uciekam i nie narzekam na samotność, nie czuję się nieszczęśliwy. Uczestniczę w wielu ludzkich sprawach. Ludzie wiedzą, że ich szanuję, że ich po prostu kocham. Wydaje mi się, że mnie akceptują i wsłuchują się w to, co mówię. Chcą być ze mną. Nie jestem więc sam.

Są tacy, którzy potrafią publicznie powiedzieć, że nauczyli się przy mnie, co to znaczy być człowiekiem. Mówią też o mnie: „zaszczepił ksiądz w nas żyłkę przekształcania świata i czynienia go lepszym”, „ostatni romantyk Rzeczypospolitej, który głosi, że świat jest piękny, a człowiek powinien i może być dobry dla innego człowieka...” – więc nie mogę być nieszczęśliwy. Wiem, że służę dobrej sprawie i to mnie na nowo uskrzydla, dodaje sił. Widzę, że moje pośrednictwo w wierze, moje mówienie o Bogu i moja obecność wśród nich coś zostawia i jest jakąś wartością.

Oczywiście, widzę krytyczny, wrogi stosunek do Kościoła, widzę ludzką przewrotność, odejścia od Boga, laicyzację i zło. Bardzo się tym martwię, ale nie uważam, że trzeba się obrażać. Próbuję zrozumieć tych ludzi, którzy mają do nas pretensje. Czasem wynikają one ze zwykłego nieporozumienia, ale przecież często są konsekwencją niewrażliwości, surowości czy innych niewłaściwych postaw przedstawicieli Kościoła. I wtedy chciałoby się powiedzieć (ale właśnie Kościołowi): „Nie mówcie nam o świętości, pokażcie, jak się to robi.” Świat oczekuje od nas nieskazitelności i wiarygodności, lecz często jej nie zauważa. Uważam, że głosy krytyki pod naszym adresem powinny być też impulsem do szczerego rachunku sumienia. W zmieniającej się rzeczywistości, pełnej agresji i wyrachowania, trzeba doprowadzić do takiego stanu, żeby znów mówiono o nas: „patrzcie, jak oni się miłują...”

Jako ksiądz żyjący i pracujący wśród ludzi, wiem, że muszę pomagać w łagodzeniu wszelkich sporów i kontrowersji. Czuwać nad tym, byśmy o religii nie rozmawiali językiem nienawiści i walki, lecz szacunku i miłości. Jest to zadanie trudne.

Kiedy w atmosferze emocji i sporów o wartości, o wspólne dobro i przyszłość, o wybór „tak” czy „nie” wzywałem w kościele, żeby nie używać języka nienawiści, a wypowiadać się zgodnie z sumieniem, według swoich najlepszych przekonań, i z szacunkiem uznawać poglądy inaczej myślących, spotkałem się z ostrą krytyką niektórych pobożnych ludzi. Nie potrafię się z taką postawą utożsamiać – i właśnie w swojej służbie kapłańskiej mam zamiar wzywać do dialogu, szacunku i uznawania tego, co dobre, również u ludzi innych przekonań.

KS. ROMAN INDRZEJCZYK, ur. 1931, przyjął święcenia w 1956. Kapłan archidiecezji warszawskiej, ceniony spowiednik.

O. Wojciech Jędrzejewski OP

Jeszcze w szkole średniej, poprzez kontakt z protestantami, odkryłem Pismo Święte. Doświadczenie poznawania Boga w Jego Słowie poprowadziło mnie dalej, do gorącego pragnienia, aby mówić o Nim innym. Byłem zdumiony widząc, jak ludzie, z którymi rozmawiałem, łaknęli prawdy o Bogu. Ich pragnienie było na tyle mocne, że nie zniechęcał ich nawet mój drażniący zapach neofity – człowieka, który nie umiał słuchać i któremu sprawiało frajdę nimb niezwykłości i podziwu („Taki młody, a jak przemawia”). Prowadząc grupę młodych osób, byłem świadkiem, jak spotkanie z Ewangelią przemieniało wielu z nich. Do dziś utrzymujemy z niektórymi kontakt i okazuje się, że dobry początek nie był tylko chwilowym zapachem.

To doświadczenie mocy głoszonej Ewangelii było bezpośrednim powodem decyzji o kapłaństwie. Z oczywistych powodów wybrałem Zakon Braci Kaznodziejów (dominikanie). Moja wizja kapłaństwa w tamtym czasie była naznaczona hiperkrytycznym podejściem do „sług Bożych”, z jakim spotkałem się wśród protestantów (adwentystów). Miałem jednak szczerze pragnienie, nie wolne od zarozumiałości, żeby zmieniać przez moją przyszłą posługę i postawę ten wizerunek kapłana. Być sługą Słowa, kochającym ludzi i wprowadzającym ich w świat Ewangelii. Być ubogim, żeby nie gorszyć; dużo się modlić, zamiast marnować czas na „głupoty”.

Seminarium było czasem oczyszczenia. Odkryłem, jak bardzo liczę na osobisty wdzięk i własną „świętość” (pożal się Boże...). Niezwykle ważne było spotkanie z moimi braćmi w zakonie – całą galerią osobowości – którzy pomogli mi odrobinę spokornieć i dostrzec potrzebę głębszych studiów, szerszych horyzontów, większego wsłuchania w otaczającą rzeczywistość. Cenna była możliwość spotkań i rozmów z ojcami, którzy już pracowali jako duszpasterze. Relacje te – wolne z ich strony od paternalizmu i „nadętego” poczucia wyższości – umacniały pewność, że można przeżywać swoje kapłaństwo w sposób mądry, odpowiedzialny i ewangeliczny. Miałem okazję poznać wielu wykładowców – świeckich i duchownych profesorów, uczących przez swoje zaangażowanie miłości do Prawdy i duszpasterskiej troski o ludzi, którym głosi się Słowo Boże. Do dziś pamiętam stale spóźniającego się profesora Stróżewskiego, który łączył kompetencję z wielką pasją i świeżością swoich poszukiwań.

Teraz, po trzech latach kapłaństwa, największą trudność i zagrożenie dla siebie widzę w nadmiernej aktywności duszpasterskiej, która jest na tyle atrakcyjna, że spycha na drugi plan relację z Jezusem. Trwanie na modlitwie, słuchanie Boga i wyczulanie się na Jego prowadzenie jest – w sferze emocji – mniej atrakcyjne niż spotkania z ludźmi czy inne zaangażowania. Nieumiejętność samoograniczenia w duszpasterstwie deklasuje także dalszą formację intelektualną, która jest – szczególnie dzisiaj – warunkiem odpowiedzialnej służby w Kościele.

Największą pomocą w przeżywaniu mojego kapłaństwa jest szczerzy, przyjacielski kontakt z moimi współbraćmi w zakonie. Przyjaźń ta polega między innymi na dawaniu sobie prawa do *correctio fraterna*. Mam poczucie bezpieczeństwa płynące z pewności, że jeśli zacznę w swoim życiu duchowym obniżać poprzeczkę albo robić rzeczy niemądre, mogę liczyć na pomoc ze strony ludzi, z którymi razem szukamy autentyczności w naszym powołaniu. Doświadczenie tak przeżywanej wspólnoty stwarza również szansę dawania bardziej adekwatnej odpowiedzi, jakiej domaga się sytuacja Kościoła w Polsce, w którym przychodzi nam być sługami Jezusa. Niebezpieczeństwo, jakie zawsze grozi księdzu, to zła samotność – znoszenie w pojedynkę niepowodzeń i własnych błędów. Przyjaźń, której doświadczam w relacji z wieloma moimi braćmi, pozwala w inny sposób podchodzić do wszelkich napotykanych trudności: można je dzielić ze sobą i uczyć się poprzez nie tajemnicy krzyża. Wspólnota pomaga przyjmować krzyż: chroniąc przed frustracją, nie jest bynajmniej miejscem ucieczki, lecz wymagań stawianych z miłością.

Pozwolę sobie na uproszczoną z konieczności klasyfikację świeckich, których spotykam jako ksiądz: ludzie o religijności tradycyjnej – nieregularnie korzystający z sakramentów, niezbyt rozmodleni, dość krytycznie nastawieni wobec hierarchii Kościoła; otwarci na Ducha Świętego, ale mający kłopoty z odkryciem Kościoła z jego hierarchią i Tradycją; lojalni wobec Kościoła, z dużo mniejszą niż pierwsza grupa wrażliwością na Boga; wreszcie ci, którzy łączą osobiste poznanie Jezusa, Jego Ewangelii z odkryciem wagi i piękna bycia we wspólnocie Kościoła. Ta ostatnia grupa jest oczywiście najmniej liczna, była jednak dla mnie ogromną pomocą w nawracaniu się, zrzucaniu balastu księżowskiej rutyny i odkrywaniu powołania.

Najtrudniej mi kochać i towarzyszyć katolikom świeckim, którzy nauczanie Kościoła traktują na sposób ideologiczny, wybierają z przyjmowanej doktryny elementy najlepiej korespondujące z ich poglądami politycznymi i postawami wobec świata. Nie lubię tej części polskiej prawicy, która bardziej jest przywiązana – jak wspominałem, wybiórczo – do społecznego nauczania Kościoła i jego moralnych wskazań niż do Jezusa, którego często wiele osób z tego grona nie zna i nie czci jako religijnego, ale politycznego Mesjasza.

Jestem jednak przekonany, że jako ksiądz reprezentuję w Kościele polskim grupę, która zgrzeszyła – i wciąż to czyni – wieloma zaniedbaniami, zwłaszcza w stosunku do naszych siostr i braci świeckich. Dlatego ciągle przypominam sobie, że nie tylko przez wierność Ewangelii, ale też dla spłacenia rachunku naszych zaniedbań i win nie wolno mi się obrażać na wspomniane i nie wymienione przejawy niedojrzałości wśród laikatu. Wspólna troska o Kościół nie jest kwestią wyboru opcji duszpasterskiej, ale sprawą wierności Ewangelii i naszemu Mistrzowi.

WOJCIECH JĘDRZEJEWSKI OP, ur. 1968, przyjął święcenia w 1994. Duszpasterz, publicysta religijny.

Ks. Franciszek Kamecki

1. Moja droga do kapłaństwa nie była poprzedzona ani analizą intelektualną, ani specjalnym przygotowaniem rekolekcyjnym, ani żadnym olśnieniem duchowym czy nagłym nawróceniem. Nie mam przeżyć Szawła spod Damaszku, który w tajemniczym spotkaniu z Panem Jezusem dowiedział się, że prześladowanie Kościoła jest prześladowaniem Jego samego. Bliski mi jest mój patron św. Franciszek z Asyżu, syn bogatego kupca, który znalazł rozwiązanie problemu nierówności i nędzy przez rozdawanie ojcowskich bławatów biednym, ponieważ usłyszał pomysł na życie od Jezusa: „Franciszku, trzeba odbudować Kościół.” Kiełkowały we mnie idee Franciszkowe: nie mieć nic, wyrzec się wszystkiego i iść za Jezusem.

Rezygnuję z liści
skóry gałązek konarów
wyrzekam się pnia
korzeni źródła
ziemi
i początku
i oparcia

Zapadam się
w Twoją wielką wodę Boże
bo Ty jesteś moją wilgocią
i powietrzem
i łąką i słońcem
i poranną ziemią
i tysiącem pszenicznych kłosów
pomnożonych w następne tysiące
i zmielonych na mąkę i na chleb
dla milionów

2. Wychowałem się w wiejskiej rodzinie. Bogu dziękuję za to, że miałem pobożnych rodziców. Ich postawa: Pan Bóg był, jest i będzie poza jakąkolwiek dyskusją i mędrkowaniem. To fundament wszelkich odniesień. Matka odpowiadała niekiedy na trudności i pytania: nie możemy do końca znać mądrości Boga. Franek, wiesz, Pan Bóg wszystko obmyślił dobrze, my wiemy mało i musimy być pokorni. Musimy Boga szukać i odnajdywać. Jego głos trzeba chcieć usłyszeć. Tylko głupi uważa, że Bóg milczy. On nie milczy. On mówi cicho, łagodnie; rozumie, a czasem nawet krzyczy. Nie możemy podskakiwać z pięściami i czerwonym nosem przed Panem Bogiem. Zobacz, jaki jest słoń, a jaka jest pchła. Albo jaki jest wszechświat, a jaka szpileczka. My jesteśmy jak te szpileczki. Piękne są szpileczki, nawet błyszczą, potrafią ukłuć i coś przymocować. Ale z nich nie zbudujesz drabiny do nieba.

Ojciec mało się wypowiadał. Jeździliśmy na ryby i całymi godzinami bez słów trzymaliśmy stare, bambusowe kije nad wodą, przyglądając się drob-

nym błyskiem fal, zmieniającym się kolorom wody. Czasem plusk rybki wyskakującej ponad tafelę jeziora albo większe chlupnięcie, albo rechot zaby.

Oprócz mnie starsza o 4 lata siostra Zdzisława, dziś z mężem i dwoma synami, oraz dwóch braci – pierwszy, młodszy o 6 lat Feliks, jest księdzem, drugi, o 13 lat młodszy Andrzej, ma żonę i czterech synów. Stolarnia ojca, 2 ha ziemi matki – jeden kawałek z łąką i polem, drugi – nad jeziorem z bardzo stromą górą i lucerną, dwa ogrody, struga, za płotem staw, niedaleko duży neogotycki kościół z wysoką wieżą. Gęsto zabudowana duża wieś Cekcyn w Borach Tucholskich z kilkoma przedwojennymi piętrowymi gmachami... Od 6 roku życia jako ministrant kręciłem się blisko kościoła. Nieraz kosiłem koniczynę lub saradelę dla owiec księdza proboszcza. Malowałem coś przy kościele. Potem często odwiedzałem księdza, ilekroć wracałem na wakacje. Ksiądz proboszcz Paweł Rynkowski był człowiekiem z humorem. Dużo się modlił. Dawał mi pieniądze na książki, a potem na farby, pędzle, papier akwarelowy i płótno. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek uczynił coś, co byłoby dla mnie zgorszeniem lub odpychało od kapłaństwa. Lata 1953-54 były dla niego niedobre. Wiem, że wielokrotnie nocował po kryjomu u moich rodziców albo ojciec szedł do plebanii na noc. Bardzo przeżywałem wówczas grozę stalinizmu. Wieczorami radio „Pionier” ciągle „brzęczało” w sypialni rodziców, ponieważ ojciec słuchał Wolnej Europy.

Kończyłem szkołę podstawową. Byłem jedynym uczniem, który jeździł na zimowe zawody sportowe (powiatowe, wojewódzkie i ogólnopolskie) i przywoził dyplomy. Często pracowałem na rzecz szkoły, malując i rysując różne gazetki, tabele, plansze. Lubilem być zajęty. Organizowaliśmy grupy wojskowe z drewnianymi karabinami i pozorowaliśmy walki między jednym a drugim końcem wioski. Robiłem samoloty ze śmigłami, które kręciły się na wietrze. Hodowałem różne odmiany królików, także małe kurki i ozdobne hałaśliwe koguciki. Montowałem ości na kiju do łowienia szczupaków w rowach przy łąkach, co zostało potem zakazane jako kłusownictwo i kaleczenie ryb. Występowałem też w szkolnym zespole tanecznym i recytatorskim. Na początku VII klasy (szkoła podstawowa miała wówczas tylko siedem klas) wszyscy otrzymaliśmy legitymacje ZMP. W domu matka obejrzała legitymację, dała mi w twarz („w pysk”) i kazała legitymację oddać w szkole. Dziś wiem, że to był rodzicielski gest edukacji politycznej syna. Pewnego razu pani wychowawczyni powiedziała: „Dam ci taką opinię, iż nie dostaniesz się do żadnej szkoły średniej.” W maju 1954 ksiądz proboszcz ogłaszał nabór uczniów do Collegium Marianum w Pelplinie. Pamiętam dobrze tę niedzielę, kiedy późno w nocy trzeba było glanspapierem wypucować trumnę w stolarni i polakierować ją, aby w poniedziałek rano mogła być zabrana. Ojciec mnie zapytał: – Czy chcesz się uczyć? – Chciałbym – odpowiedziałem. I to był ten jeden z momentów przełomowych mojego życia. Otrzymałem zapewnienie od ojca: postaram się o jakąś szkołę dla ciebie.

3. U mnie w domu nie było kultu książek. Przeskok do poziomu inteligentnego był trudny i długi. Nie wiem, dlaczego ojciec chciał, abym się

uczył (w latach 50. niewielu ze wsi szło do średnich szkół). Widocznie to była ta jego intuicja i otwartość na nowe możliwości dla syna. Po maturze był zdziwiony moją decyzją wstąpienia do seminarium. Myślał, że będę stolarzem (ponoć najlepiej się nadawałem). Ojciec był konsekwentny: uważał za swój obowiązek, aby omijając powiatowe miasto, ulokować mnie w jakiejś szkole. Znał osobiście paru księży, między innymi ks. Józefa Roślawskiego, który przyjaźnił się z naszym księdzem proboszczem. Egzamin w Collegium Marianum w Pelplinie zdałem, ale się nie dostałem z powodu dużej ilości zgłoszeń. Po raz drugi na egzamin jechałem z ojcem do Wejherowa za Gdynię (200 km) i tam dostałem się do małej szkoły kościelnej Leoninum, bez praw państwowych.

Po ośmiu miesiącach – podczas sportów zimowych – zdarzył mi się wypadek, który miał i ma dla mnie przełomowe znaczenie: kości prawej nogi wyszły zupełnie ze stawu kolanowego. Pobyt w czterech kolejnych szpitalach, wydatki rodziców, bo szkoła nie miała ubezpieczeń; noga kulawa do dzisiaj, bez żadnej renty. W szpitalach poznałem cierpienie, ludzi chorych oraz książki w bibliotece. Bo ja byłem zdrowy, głowa cała, żołądek też, tylko noga dokuczwała i uniemożliwiała chodzenie. Miałem okazję do rozmyślań. Głębiej musiałem patrzeć na ludzki los. Zdawało mi się, że jestem bardziej dorosły niż moi koledzy. I dziś myślę podobnie. Życie mnie hartowało. Potrafiłem rozerwać przysłowiową paszczę lwa.

Od 15 roku życia musiałem z czegoś rezygnować. Już wiedziałem, że noga mnie ogranicza. Że muszę się liczyć z realiami i z cierpieniem. Doszedłem do wniosku, że cierpienie jest potrzebne, jest niezwykle twórcze. Że Pan Bóg nas „zadrapał” bólem, abyśmy mieli łatwość myślenia o rzeczach naprawdę ważnych. Że nasza egzystencja jest z natury ułomna, krucha, niesamodzielna, niesamowystarczalna... Nie jesteśmy sami z siebie. Te rozmyślenia, lektury, notki czytającego (w piętnastym roku życia miałem już za sobą dwukrotną lekturę *Trylogii* Sienkiewicza), próby ujęcia wszystkiego jednym słowem, obrazem, dobrym sformułowaniem doprowadziły mnie do... malowania oglądanego świata, a potem do zapisywania bardziej prawdziwej rzeczywistości: mało rozpoznawalnej jego głębi. Głębi tego świata w nas i obok nas. W *Epilogach Jakuba* (kolejnym tomiku poezji) umieściłem motyw zranionego Jakuba, który został naznaczony przez Boga w tajemniczym zmaganiu się i przeżywaniu głębi Niewidzialnego pod osłoną nocy.

W tych to okresach życia najwyraźniej kształtował się wybór: pomysł na życie. Jezusowa oferta człowieczeństwa. Był to wybór kapłaństwa.

Kalectwo nogi eliminowało mnie z towarzystwa, z pierwszeństwa na zabawie lub w sporcie. Pokornie przyjmowałem te jego skutki jako dające do myślenia, a nie jako przegraną. Dość wcześniej zaakceptowałem taki kulawy sposób na życie. Z którymś kolejnym gipsem stałem nawet na bramce, aby nie rezygnować z gry w piłkę nożną. W sali gimnastycznej ćwiczyłem na poręczach, aby nogi były zwolnione z wysiłku. Matka potem mówiła: widzisz, Franek, jakie to mądre, Pan Bóg dał ci sutannę, aby nie było widać zbyt

mocno krzywej nogi. Wobec tego kalectwa wymyśliłem sobie franciszkową rolę „zapchajdziury”. Kiedy ktoś gdzieś czegoś odmawia, godzę się na zastępstwo i na zaradzenie trudnościom. Jest dla mnie najlepiej, gdy dopiero po czyjejs rezygnacji otrzymuję zaproszenie. Czuję, że taki „zapchajdziura” też jest pożyteczny. Wprawdzie nie potrafię zapchać wielkich dziur w Kościele (jeżeli w ogóle takie istnieją, przy zachowaniu tej metaforyki), ale małe dziurki na pewno są i warto je zasmarować, naprawić. Polubiłem pozycję „ostatniego”. Ostatni będą pierwszymi. Ale zapewne pierwsi w miłosierdziu Bożym nie będą ostatni. To dobra pozycja w samym kącie życia. Nieraz mówiłem sobie lub pisałem do znajomych: zajmuję teraz miejsce na tyłach tego świata, skąd przesyłam pozdrowienia. Ktoś jest z przodu i ktoś z tyłu.

Gdzie ogrody i wodospady
w krainie cudów pod okiem opatrności
pod gołębiem pod krzyżem
schylałam się nisko
aby uznać trójcę osób
jedno w wielości
jeden punkt na linii prostej
jedynek konieczną przed tysiącem pustych zer
aby nigdy nie było nicości
aby nigdy nie było łatwo
aby nigdy nie było prosto

Wystarczy jedyne słowo
które stało się ciałem
skoro połączyło nieziemskie z piaskiem
doczesną trumnę wydłużyło w nieskończoność
pył przestał być kurzem
rdza zaczerwieniła się
robak zamilkł
śmierć spaliła się ze wstydu.

Jestem wdzięczny wielu ludziom: profesorom, pisarzom, filozofom, artystom, kapłanom, kolegom, młodzieży, oazowiczom, grajkom-gitarzystom i innym, zwłaszcza studentom, absolwentom wyższych uczelni, bliskim mi niektórym młodszym twórcom kultury, parafianom, licznym ludziom świeckim w parafii, przyjaciółom, z którymi tyle godzin dyskutowałem, rozmyślałem wspólnie pod namiotami, słuchając muzyki, tekstów, podziwiając wszelką twórczość, indywidualność, to, co ludzie sami z siebie mogą i potrafią, co nie jest powtarzaniem czyichś poglądów... Współpracownikom, którzy z niczego potrafią wyczarować sens i dobro... Najbardziej przecież piękne jest to, co moje, co wynika z moich decyzji, przemyśleń, darów Bożych. Dziękuję tym, którzy pobudzili mnie do hemingwayowskiego wysiłku starego człowieka na morzu, walczącego z przeciwnościami, aby nie utracić swojej złowionej ryby, tym, którzy pomogli mi wierzyć, że człowiek nie jest stworzony do klęski...

Wtedy krystalizowało się moje powołanie. Powiedziałem Panu Jezusowi: wyrzekam się dla Ciebie, Panie Jezu. Tak sensownie ułożyło się moje życie, że wyrzekanie się jest moją ścisłą dyscypliną i ascezą. Biorę kawał mojego drzewa i idę za Tobą. Dokąd?

4. Entuzjazmowałem się zmianami w Kościele. Jan XXIII został papieżem, gdy byłem na I roku w seminarium. Czytałem w „Tygodniku Powszechnym” wszystko, co się ukazywało o tym papieżu, o Soborze Watykańskim II, o Pawle VI. Nowe spojrzenie zaczęło dominować w Kościele, ekumenizm, szacunek dla każdej religii, szczególne uznanie dla tych, którzy prawdziwie Boga szukają, którzy pragną prawdy... przekonanie, że i oni należą do Kościoła. To znaczy, że inaczej trzeba rozumieć tezę, iż poza Kościołem nie ma zbawienia. Że jest znakiem jedności. Że Kościół jest wielki, powszechny, dla każdego. Że jest otwarty dla poszukujących. Że ja jako ksiądz jestem dla wszystkich. Nie jestem dla jednej osoby ani dla jednej rodziny, ani dla jednej partii, ani dla jednej orientacji intelektualnej czy teologicznej.

Moje kapłaństwo musiałem poszerzać. Seminarium nie dało mi nowego spojrzenia na Kościół, chociaż miałem wybitnych profesorów i uważnie ich słuchałem (Buxakowskiego, Znanięckiego, Piszczka, młodego wówczas Pasierba). Nie przykładałem się za bardzo do egzaminów, bo wiedziałem, że schematy teologiczne mnie nie interesują. Czytałem Biblię często i chętnie. Czytałem literaturę, poezję. Wtedy debiutowałem w „Tygodniku Powszechnym” i dużo publikowałem w „Więzi”. Lektury były dla mnie olśnieniem. Czytałem Camusa, Sartre’a, Kołakowskiego. Artykuły w „Znaku”. Bardecki, Turowicz, Skwarnicki, Herbert, Grochowiak, Mroźek, Krzysztóń, Jastrun... Egzystencjalizm, personalizm. Potem miałem szczęście słuchać Hryniewicza na KUL-u, Blachnickiego, Kudasiewicza, Majewskiego, Szafrąńskiego, Sawickiego, Krapca, katechistów z Włoch, wielu gości odwiedzających KUL. Były sympozja, rozmaite „tygodnie”, poznawałem nowe ruchy w Kościele... Od 15 lat jestem proboszczem i przerobiłem dom katechetyczny w Grucznie na rekolekcyjny. Odbywają się u mnie rekolekcje oazy rodzin podczas wakacji, w innych miesiącach różne ORAR-y, konwiwencje neokatechumenalne, ewangelizacyjne spotkania młodzieży, a także dni kultury chrześcijańskiej, na które zapraszam nowych twórców, promuję świeże grupy, parafianom umożliwiam kontakt z tzw. wielką sztuką czy sztuką eksperymentalną.

5. Piszę o tym, aby uzasadnić tezę o potrzebie przeciwstawienia się rutynie. Rutyna, oswojenie się z byciem księdzem, formalizm – to, najogólniej mówiąc, największe z dwóch istotnych zagrożeń dla księdza. Ksiądz musi się przeciwstawić „łatwości bycia księdzem”. Przecież rok kościelny jest, jaki jest, i niedziele są po sobotach. I ksiądz nie może przestawić niedzieli na środę. I kręci się w tej karuzeli zegarka i dni. Jak w tej anegdocie: czy ksiądz jest, czy go nie ma, o określonej godzinie msza wychodzi. To jest bardzo jednostajny rytuał. I może się okazać, że to jest ładne i kolorowe, ale nie jest twórcze, nie jest naznaczone moją osobowością.

Otóż ja staram się często siadać przed pustą kartką i wciąż od nowa programować swoją pracę. Muszę mieć kolejny pomysł szczegółowy na przeżycie dnia, tygodnia, miesiąca. I tu pojawić się może drugie zagrożenie: brak wiedzy, brak lektury, brak bieżącej orientacji w dynamice Kościoła. Po prostu brak formacji. To tak jakbym wszedł na wielki stadion i nie wiem, gdzie usiąść, i nie wiem, co będzie i jak mam się zachować. Trzeba poświęcać kilka godzin dziennie na przeżywanie Kościoła, swojej wiary w Kościele, swoich powinności wobec wiernych i wobec świata. Tyle jest dokumentów Kościoła, tyle przemówień Ojca Świętego, tyle rzymskich instrukcji... Tyle rzeczy jest do zrobienia w Kościele, że aż głowa boli od niemożności. Dam jeden przykład. Bardzo ważna rzymska instrukcja sprzed 10 lat o przeżywaniu tajemnicy paschalnej. Kto ją zna? Ile razy była drukowana w Polsce? Wspaniałe inspiracje dla nas, mądre sprostowania, zalecenia i postulatory! A my nic o niej nie wiemy! Dlatego siadam przed pustą kartką, aby coś z tych kościelnych zaleceń wprowadzić w życie. Niczego nie wymyślam. Nie słucham giełdy kapłańskiej, która jest fałszywą perspektywą (kapliczką, a nie Kościołem – jak to określił biskup Życiński; w kręgu księży szkoda czasu i energii na pseudofilozofie o dziejowym spisku, o masonerii i Żydach, na pseudopomysły duszpasterskie). Wyzwalanie się z rutyny i śledzenie reformującego się Kościoła jest moim programem kapłańskim. To mnie satysfakcjonuje i sprawia mi radość. Nieraz ta radość jest okupiona latami kryzysu i konfliktu. Na przykład 10 lat musiałem być na pozycji przegranej wobec władz kościelnych, które nie zgodziły się na sensowne projekty adaptacji liturgicznej wewnątrz kościoła neogotyckiego. Dopiero w tym roku pozwolono mi zrealizować sensownie część wnętrza. Parafianie się cieszą. Księża mi gratulują. Wyszło lepiej, niż myślałem. Nikt nie wie, ile cierpienia musiałem w sobie znieść. Musiałem udawać przegranego, głupio pokornego, posłusznego.

6. Moja praca ze świeckimi układała się dobrze. W ciągu 15 lat nigdy nie kolektowałem; ani ja, ani wikariusz (obecnie od dłuższego czasu jestem bez wikariusza). Nigdy nie ogłaszałem niczego ważnego, jeżeli nie zostało przedyskutowane na zebraniu jednej z rad parafialnych. Nigdy nie działałem w pojedynkę. Robię często zebrania i spotkania ze świeckimi (z radami, a mam cztery: programowa, ekonomiczna, duszpasterska i młodych), z katechetkami (mam osiem wykształconych, a będę miał niebawem dwanaście), z zespołem Caritas, z pracownikami (parafia ma dwadzieścia rejonów, w których świeccy kierują m.in. rozdawaniem opłatków, pomagają biednym, zgłaszają sprawy ze swego rejonu). Mam sześciu nadzwyczajnych świeckich szafarzy Komunii świętych. Jest Klub Symeona i Anny (gromadzi emerytów – członków i sympatyków). Jest sześć kręgów różańca misyjnego. Jest Akcja Katolicka (w fazie początkowej, na razie będzie się zajmować bardziej turystyką i zabawami parafialnymi; obecnie raz w tygodniu jest prowadzony przez instruktorkę aerobik z modlitwą). Jest apel papieski prowadzony przez świeckich każdego 16. dnia miesiąca. Uważam Mszę świętą bez włą-

czania świeckich (czytania, modlitwa wiernych, ewentualnie śpiewanie psalmu, składanie darów ofiarnych itp.) za niezbyt poprawną.

W kontaktach i w całej postawie księdza jest konieczny dialog. Dialog jest nie tylko zasadą Kościoła dzisiaj, ale wymogiem współczesności. Bez dialogu nie może być więzi ze świeckimi. Poprzez dialog ewangelizuję, idę w ten świat zbuntowanych ludzi i ukrytego Boga, który jest, ale nie narzuca się. Jestem ewangelizatorem, więc zawsze po stronie Boga, zawsze po stronie miłości, zawsze po stronie słabych. Uczę się od mojego Mistrza Jezusa, który kazał schować miecz, nadstawić drugi policzek, przebaczać, zło dobrem zwyciężać.

KS. FRANCISZEK KAMECKI, ur. 1940, przyjął święcenia w 1964. Kapłan diecezji pelplińskiej, poeta. Wydał tomy wierszy: *Parabole Syzyfa* (1974), *Sanczo i ocean* (1981), *Epilogi Jakuba* (1986).

Paweł Kozacki

1. Dlaczego zostałem księdzem? Bo Pan Bóg władował mnie do zakonu, a kapłaństwo było tego konsekwencją. Stało się to podczas drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Pod Jasną Górą. Skakałem w szale radości, trzymając ebonitowe rurki kilkumetrowego transparentu z napisem „Młodzież od dominikanów”, gdy nagle zadałem sobie pytanie: „Co ja tu robię?” Nie potrafiłem na nie odpowiedzieć. Przestałem skakać, siadłem na plecaku. Pytanie o terażniejszość przemieniło się w pytanie o przyszłość. Przeczuliem, że trzeba będzie wstąpić do zakonu. Chodziłem wtedy z dziewczyną, miałem rozpocząć studia, nie chciałem zostawiać kolegów, z którymi działaliśmy w konspirze. Wszystko było barwne i ciekawe, a bycie w zakonie wcale tak bardzo mi nie odpowiadało. Trochę się broniłem. Zdążyłem zdać na polonistykę i otrzymałem indeks. Coś jednak tak bardzo wpychało mnie w zakon, że już po dwóch miesiącach od tej pierwszej myśli chodziłem w habitcie.

Wstąpiłem do dominikanów, bo należałem do dominikańskiego duszpasterstwa prowadzonego przez ojca Jana Górę. Jeżeli miałem wtedy jakąś wizję kapłaństwa, to ucieleśniał ją mój duszpasterz. Zapamiętałem go z tamtego czasu jako przebojowego w działaniu, błyskotliwego w dialogach, bezpośredniego w kazaniach, otoczonego sporą grupą młodych ludzi, z którymi się spotykał, wyjeżdżał na wycieczki i wakacje. Chciałem zostałem zostać drugim Janem Górą.

2. Czy ta wizja się zmieniła? Tak, radykalnie. Miejsce Jana Góry zajął Pan Jezus. To, co w chwili powołania uważałem za istotę kapłaństwa, okazało się zaledwie jedną z jego form. Dopiero gdy przestąpiłem progi klasztoru, zacząłem poznawać życie zakonne. Dowiedziałem się, na czym polegają śluby po-

słuszeństwa, czystości i ubóstwa, doczytałem, co stanowi o istocie charyzmatu dominikańskiego. Dowiedziałem się też dziesiątków innych rzeczy, których istnienia wcześniej nie podejrzewałem. Przed wstąpieniem nie byłem zbyt pobożny. Niedzielna msza święta i pacierz, najczęściej odklepywany, zupełnie mnie satysfakcjonowały. Dopiero w zakonie zacząłem codziennie uczestniczyć we mszy świętej, systematycznie się modlić, czytać Pismo Święte. Wszczępiony w zakon czerpałem pełnymi garściami z jego tradycji i bogactwa. Myślę, że najważniejsza była dla mnie formacja zakonna. Dopiero na jej gruncie odkryłem powołanie do ojcostwa, dojrzywałem do kapłaństwa. Muszę dodać, że wstępowałem do zakonu jako osiemnastolatek. Siedem lat formacji, jaką przeszedłem, było okresem intensywnego poznawania świata. Miałem szczęście wzrastać u boku moich starszych współbraci: Aleksandra Hauke-Ligowskiego, Jana Andrzeja Kłoczowskiego, Jacka Salija, Macieja Zięby... Siła ich osobowości, styl ich duszpasterzowania, polecane przez nich lektury, kontakty z bardzo różnymi ludźmi, jakie stały się moim udziałem, kształtowały moje kapłaństwo. Nie do przecenienia jest też dar życia wspólnego, jakiego zaznałem podczas studiów. W zakonie zrodziły się moje najistotniejsze przyjaźnie. Starsi bracia, wchodzący w kapłaństwo przede mną, dzielili się swoimi doświadczeniami. Nie jestem w stanie policzyć, przez ile godzin omawialiśmy blaski i cienie kapłaństwa. Dzięki szczerości święconych wcześniej braci nie wchodziłem w życie kapłańskie po omacku. Miałem w pamięci zarys drogi, jaką oni przebyli. Choć bowiem moje posługiwanie kapłańskie okazało się oczywiście jakoś inne od ich drogi, to ich rady pomogły wybrnąć z niejednej trudnej sytuacji.

3. Muszę od razu wyjaśnić, że nie ma w moim życiu takiej trudności, która stawiałaby pod znakiem zapytania moje powołanie. Dzięki Bogu nie było takiego momentu, w którym żałowałem swojej decyzji o naśladowaniu Pana Jezusa na drodze zakonnej i kapłańskiej. Trudności, o których piszę poniżej, mogły popsuć mi humor, odebrać zapał, osłabić na jakiś czas zaangażowanie, ale nigdy nie podważyły wiary w sens tego, co robię.

Pierwszy rok kapłaństwa zbiegł się z pierwszym rokiem nauczania katechezy w szkołach. Szybko zdałem sobie sprawę, że doskonale wiem, co chcę przekazać, tylko nie wiem, jak to zrobić. Cała mądrość teologiczna okazała się nieprzydatna w sali pełnej rozwrzeszczanych dzieciaków, a żaden z moich wykładowców nie wspominał, jak postępować ze znudzonymi licealistami. W ogólniaku na pierwsze lekcje religii przyszło sto procent młodzieży. Potem było ich coraz mniej. Gdy po trzech miesiącach wszedłem do sali lekcyjnej, nie było w niej nikogo. Przez piętnaście minut siedziałem, mając poczucie absolutnej kłębki.

Inną trudnością była dla mnie samotność. Przez kilka lat żyłem we wspólnocie, w której nie miałem bliskiego przyjaciela. Kogoś, komu można zaufać do końca, powierzyć swoje tajemnice, trudności, nastroje, niepowodzenia. W obliczu najtrudniejszych spraw byłem sam. Żyłem w poczuciu, że daję z siebie wszystko, by wyprowadzić ludzi z bardzo powikłanych sytuacji,

a gdy stawali na nogi, odchodzili. Nie mogłem mieć o to do nich jakichkolwiek pretensji. Po dwóch latach takiego życia przyjechałem do Krakowa na święcenia kapłańskie moich młodszych współbraci. Po przybyciu dowiedziałem się, że jeden z neoprezbiterów, mój przyjaciel Jarek Głodek, ma przybyć do Szczecina. 24 godziny później okazało się, że Jarek zostaje w Krakowie, a do Szczecina przyjdzie ktoś zupełnie inny. Wtedy płakałem po raz pierwszy od czasów dzieciństwa.

Jeszcze inną trudnością są chwile bezradności. Nie jest łatwo być świadkiem czyjegoś odchodzenia od Pana Boga. Wielokrotnie towarzyszyłem ludziom, którzy przez długie tygodnie czy nawet miesiące zmagali się ze swoją słabością, niewiarą, poczuciem bezsensu. W końcu na moich oczach odchodzili w niewiarę, podejmowali wybory sprzeczne z duchem Ewangelii, pogrążali się w różnego rodzaju kretynstwach, które niszczyły ich życie, rujnowały ich rodziny. Pozostaje modlitwa i gorzka myśl, że może czegoś z mojej strony zabrakło, może nie wykorzystałem jakiejś szansy, a może w którymś momencie popełniłem błąd, którego dałoby się uniknąć.

Drugim rodzajem bezradności jest bezowocność mojego głoszenia Ewangelii. Nie jest to nawet bezradność wobec ludzi niewierzących czy zupełnie inaczej myślących, którzy odrzucali moje przepowiadanie, negowali mój sposób widzenia świata. Bardziej bolesne są sytuacje, w których ludzie deklarujący się jako osoby wierzące tak naprawdę utrzymują bardzo luźne związki z Panem Jezusem. Zdarza się, że przychodzą do mnie bliźsi lub dalsi znajomi, bo chcą, bym pobłogosławił ich małżeństwo lub ochrzcił dziecko. Jest mi bardzo przykro, gdy okazuje się, że czekająca nas uroczystość będzie w dużym stopniu imprezą folklorystyczną. Formalnie bez zarzutu, wewnątrznie bez treści przeżytej przez zainteresowanych. Próbuję rozmawiać, tłumaczyć, ukazywać. Bywa jednak, że trafiam na mur nie do przeskoczenia. Prowadzimy dialog głuchych, bo ja próbuję doprowadzić tych ludzi do prawdziwego spotkania z Panem Jezusem, a oni nie wiedzą, o co mi właściwie chodzi. Zbliża się dzień sakramentu, wychodzę do ołtarza bez wiary w sens tego, co się dzieje. Mam poczucie, że coś schrzaniłem, że moja wiara była zbyt letnia, a świadectwo zbyt blade, skoro nie potrafiłem przekazać tym ludziom skarbu, którym sam żyję. Pozostaje zaufanie, że Pan Jezus znajdzie jakiś sposób, by przebić się do ich serc, ale w danym dniu wiem, że są zamknięci na łaskę.

Ciągłą bolączką jest zbyt mała ilość czasu w stosunku do liczby wezwań. Po pierwszym roku posługi kapłańskiej, gdy zakończył się rok szkolny i minęło największe napięcie, organizm się zbuntował. Przez tydzień miałem wysoką gorączkę. Musiałem podjąć wysiłek rezygnacji z niektórych funkcji, uświadomienia sobie, że nie jestem zbawicielem świata, że bez sześciu godzin snu mój organizm przestaje spełniać pokładane w nim nadzieje i dlatego nie zdołam odpowiedzieć na wszystkie wezwania, jakie pojawiają się na horyzoncie. Czasem bardzo trudno jest odmówić człowiekowi, który przychodzi i prosi o pomoc, a ja wiem, że mogę mu jej udzielić tylko kosztem kogoś innego. Dylemat, czy w danej chwili być z rozpadającym się małżeń-

stwem, nastolatką, która zaszła w ciążę, czy kimś uwikłanym w jakieś sekty, nigdy nie jest łatwy.

4. Co utwierdza mnie w powołaniu? Na to pytanie najtrudniej mi odpowiedzieć. Moje kapłaństwo niesie w sobie tyle pięknych i radosnych chwil (nawet tych trudnych), że przekonanie o słuszności wyboru tej drogi jest jakoś oczywiste. Jednak największą radością jest chyba świadomość, że udało się komuś pomóc w drodze do Boga. Bycie kapłanem daje niepowtarzalną okazję towarzyszenia ludziom w ich wzroście, przełamywaniu słabości płynących z grzechu, wzrastaniu w łasce. To niesamowite być świadkiem działania Boga w człowieku.

Obrona przed rutyną, bylejakością i zurzędniczeniem? Myślę, że w moim wypadku ważniejsza jest obrona przed wyjąłowieniem. Mam bowiem czasem wrażenie, że już wszystko powiedziałem, że moje kolejne kazanie jest powtarzaniem myśli, które wszyscy już słyszeli. Obrona ta polega na codziennym zmaganiu się, by nie popaść w aktywizm, by znajdować czas na osobistą modlitwę, przygotowanie homilii czy konferencji, przeczytanie książek, których w danym momencie nie muszę akurat czytać. Jest to rzeczywista walka, nawał zajęć jest bowiem tak ogromny, że można by z powodzeniem wpaść w czysty pracoholizm.

5. Gdy po święceniach udawałem się na moją pierwszą placówkę do Szczecina, zakładałem, że zawsze i wszędzie będę współpracował z ludźmi świeckimi. Założenie to wypływało z doświadczeń krakowskich, spotkań z ludźmi, którzy chcieli robić coś przy swoich parafiach, a natrafiali – jak twierdzili – na opór lub bierność swoich duszpasterzy. W Szczecinie okazało się jednak, że świeckich chętnych do współpracy nie ma tak znowu wielu. Napotkałem raczej bierność i sporo czasu minęło, zanim udało się stworzyć rzeczywiście działającą grupę. Myślę, że choroba klerykalizmu tak samo drażni świeckich, jak i duchownych. Z jednej strony księża nie zapraszają świeckich do współpracy, z drugiej zaś świeccy wcale nie palą się do podejmowania inicjatywy.

Aktualnie we wszystkich moich zaangażowaniach współpracuję z ludźmi świeckimi. Przy redagowaniu miesięcznika „W drodze”, jako kapelan ruchu „Wiara i Światło” oraz wspólnot osób świeckich pragnących żyć duchowością dominikańską.

Najbardziej cenię sobie takie formy współpracy, w których ludzie świeccy oczekują ode mnie, że będę księdzem. Wbrew pozorom nie jest to takie oczywiste. Wielokrotnie zdarzało mi się, że oczekiwano, bym organizował imprezy imieninowe i karnawałowe, wyjazdy, bilety, wejściówki, autokary i pociągi, miejsca wypoczynku wakacyjnego itp. Obecnie w mojej posłudze duszpasterskiej odprawiam msze święte, spowiadam, rozmawiam z ludźmi, którzy tego potrzebują. Gdzie tylko mogę, staram się odpowiedzialność za sprawy techniczne i organizacyjne przenosić na ludzi świeckich.

PAWEŁ KOZACKI OP, ur. 1965, przyjął święcenia w 1990. Duszpasterz, redaktor naczelný miesięcznika „W drodze”.

Ks. Andrzej Luter

Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą, cóż więc otrzymamy?

1. Dlaczego zostałem księdzem? Nie lubię tego pytania, bo nie wiem, jak na nie odpowiadać. Dlaczego Bóg mnie, studenta prawa Uniwersytetu Łódzkiego i zanurzonego po szyję w politykę działacza NZS (był rok 1981) powołał do kapłaństwa? Gdyby ktoś w liceum zasugerował mi, że zostanę księdzem, powiedziałbym mu, że jest chyba niespełna rozumu. Szkoła średnia to były ogromne rozterki w wierze i wątpliwości. A jednak Bóg jest nieodgadniony. Studia, NZS, stan wojenny, podziemie i Ten Głos: idź służyć bliźniemu. Potem choroba i szpital, które wytrąciły mnie z polityki. Kiedy wyzdrowiałem, nie miałem już wątpliwości. Poszedłem za Głosem. Pan Bóg w swojej nieskończonej miłości zaryzykował i dał mi łaskę powołania.

Jaką miałem wtedy wizję kapłaństwa? Jak to określa kardynał Jean-Marie Lustiger: opuścić znajome wybrzeże i wyruszyć ku ziemiom niechrześcijańskim, które są wokół nas, również tu, w Polsce. Być otwartym, zgodnie ze słowami św. Pawła: aby stać się „wszystkim dla wszystkich”. Mimo słabości i trudności na drodze kapłańskiej staram się być wierny tej wizji po dzień dzisiejszy.

2. Celibat jak dotąd nie stanowi trudności na drodze mojego powołania. Więcej, uważam go za wielką wartość kapłaństwa; wartość, która tkwi w całym misterium Kościoła. Ci, którzy chcą zniesienia celibatu, powinni zadać sobie fundamentalne pytanie o obecność Chrystusa w Kościele. Czy likwidacja celibatu przybliży ludzi do Boga? Bo celibat nie jest przecież problemem „samym dla siebie”. Jak to określa ks. Józef Tischner: „Jest świadectwem tego wielkiego Misterium, które się snuje gdzieś na dnie Historii.” Celibat jest też tajemnicą ojcostwa Bożego; oto księdzu zostało powierzone duchowe rodzenie dzieci Bożych. Wiem jednak, że dla wielu księży celibat jest ogromnym wyzwaniem, szczególnie gdy nie zaakceptują dystansu i frustracji, mimo wszystko nieodłącznych od tego duchowego ojcostwa. Nie otrzymują wtedy płynącej z niego radości, która nie jest urojona. Bo ta radość sprawia, że to wszystko da się przetrzymać. Mówi o tym w *Wyborze Boga* kardynał Lustiger, a kardynał Martini w swoich rozważaniach o kapłaństwie pisze, że podstawową cechą naszego posługiwania powinna być właśnie radość, połączona z zawierzeniem Bogu. Nawet jeśli rodzi się z cierpieniem, czyli poddana jest przeciwnościom posługiwania. Jest to zapewne wizja nieco wyidealizowana. Powinniśmy do niej jednak dążyć i otworzyć się na nadzieję.

Staram się zrozumieć moich kolegów, którzy porzucili kapłaństwo. Na „roku” było nas wyświęconych czterdziestu czterech. Odeszło czterech.

Niech Bóg rozsądzi. Zdecydowali się na dramatyczny krok życiowy. Nie uważam ich, jak to zwykle bywa, za odszczepieńców i zdrajców. Nie mam do tego prawa.

3. Co stanowi największą trudność? Moje słabości oraz tak zwane stonunki wewnątrzkościelne. Nie chodzi tu o nieporozumienia w relacjach kapłańskich, nieporozumienia, które są nieuniknione. Nie chodzi też o trudności w kontaktach biskup – kapłan, które mogą wynikać z ludzkich pomyłek księdza i biskupa. Chodzi raczej o swoistą „spiskową” mentalność części duchowieństwa, która objawia się na przykład w poszukiwaniu Żydów i masonów tudzież wrogów Kościoła w jego szeregach. Gdyby nie sprzysiężone siły laickie wiadomego pochodzenia, odnosilibyśmy same sukcesy duszpasterskie! Nie chcę uprawiać prywatnej pryncypialności, ale przyznaję szczerze, że nie mogę tego znieść. Nie podejmuję dyskusji. Zamykam się w gronie bliskich przyjaciół, księży i świeckich. Na prywatnych spotkaniach dyskutujemy otwarcie. Rozmawiamy o Bogu, o Kościele, o wierze, o naszej rzeczywistości – w zupełnie innym wymiarze. Wymiarze chrześcijańskim.

Sądzę, że takie ksenofobiczne myślenie dużej części moich braci w kapłaństwie jest reliktem komunizmu. Bardzo często także – po prostu niewiedzy. Brak świadomości, że mówi się głupstwa, to okrutne zjawisko. A może jest tak, że najwięcej wśród nas takich, którzy chcą „rzucić ogień” i wypalać zło, nie bacząc na to, że człowiek jest mieszaniną pszenicy i kąkolu. Na takie pojmowanie kapłaństwa nie ma zgody. Byłaby to bowiem prosta droga do postawy skupiającej się na demaskacji wroga, a nie na ewangelizacji. Pisał o tym ks. Józef Tischner w tekście *O kapłaństwie i złym świecie* („Tygodnik Powszechny” nr 27/97). Dokonał tam trafnego rozróżnienia postaw kapłańskich.

Ja nie chcę wypalać kąkolu, jeśli miałby na tym ucierpieć jeden kłos pszenicy, który może być w każdym z nas. Nie chcę bowiem doprowadzić się do stanu, w którym spełniałbym obrzędy bez dostrzegania ich sensu. A jest to największy dramat posługiwania kapłańskiego. Jak twierdzi kardynał Martini, nikt nie może powiedzieć, iż doszedł do punktu, w którym nie grozi mu utrata poczucia sensu spełnianych przez siebie świętych czynności, nawet biskup.

4. Jest jeszcze problem „teczek”. Nie chodzi tylko o teczki personalne każdego księdza, które przechowywane są w kurii. Sensu ich istnienia kwestionować nie sposób. Jest to wyraz roztropności Kościoła. Chodzi przede wszystkim o tak zwane „teczki pamięci”, niekiedy być może tożsame z teczkami kurialnymi. Kilka miesięcy temu byłem świadkiem przygnębiającej sceny. Oto osoba bardzo wysoko postawiona w strukturze diecezjalnej (nie w mojej diecezji) powiedziała: „Mieliśmy księdzu X powierzyć funkcję w kurii, ale 20 lat temu jego kuzyn o tym samym nazwisku porzucił kapłaństwo i ten ogon wlecze się za księdzem X.” Najbardziej przerażające było to, że ów wysoko postawiony duchowny nie widział nic niestosownego w tym, co powiedział. A pomyślmy o księżach, którzy przeżyli autentyczny kryzys

w kapłaństwie (kobiety, alkohol). Znam takie przypadki. Mój przyjaciel przeżył podobny dramat. A przecież jakże często człowiek, o którym się sądzi, że nie stać go już na zbyt wiele, potrafi dokonać ogromnie dużo. Staje się świadkiem nawrócenia, prawdy, świętości, a może po prostu „tylko” rzetelnie posługuje na parafii.

A poza tym jest jeszcze przebaczenie, które stanowi, mówiąc za kardynała Martinim, najwyższy znak boskości chrześcijaństwa. Św. Ignacy Antiocheński zauważył, że jeśli umiem przebaczyć, to znaczy, że znalazłem się w sercu Ewangelii i zaczynam być chrześcijaninem.

Niektórzy mówią, że za dużo jest u nas księży, bo gdyby było ich mniej, bardziej szanowano by sakrament kapłaństwa. Bo to jest sakrament! Dlatego trzeba go ratować, nawet w pozornie beznadziejnej sytuacji.

5. Trudność stanowi również sformalizowanie Kościoła w Polsce. Przejawia się to m.in. w polityce personalnej. Mówił o tym w czasie sesji na KUL-u ks. dr Ignacy Bokwa. Parafia nie powinna być rozumiana jako beneficjum, szczebel kościelnej kariery. O konkretnych nominacjach powinny decydować takie cechy, jak otwartość, elastyczność i głęboka duchowość księdza. To bardzo ważna sprawa w dzisiejszej, pluralistycznej, rzeczywistości. Sam wiek czy staż w kapłaństwie nie są i nie mogą być kryterium decydującym. Trzeba umieć odkryć możliwości i charyzmaty kapłana przed posłaniem go na placówkę duszpasterską, nie można ulegać plotce środowiskowej, że ten czy ów ksiądz jest na przykład „kontrowersyjny”, co nie przecież nie znaczy. Trzeba zatem zaufać księdzu, który został ważnie wyświęcony, i wyzbyć się mentalności „teczkowej”, pozostając jednocześnie roztropnym.

6. Co utwierdza w powołaniu? Modlitwa! Ksiądz musi być człowiekiem modlitwy, rozmodlenia. A rozmodlenie to oparcie się na Panu Bogu, kiedy następuje jakiś kryzys. Oprzeć się na Panu Bogu! To uchroni również przed rutyną, bylejąkością czy „zurredniczeniem”. Najważniejszym punktem oparcia jest rytm modlitwy wyznaczany przez nasze posługiwanie duszpasterskie.

7. Co przysparza największej radości w kapłaństwie? Oczywiście przeżycie Eucharystii i sakramentu pojednania. Dla mnie szczególnie ważny jest konfesjonał. Przyznaję, że nie mógłbym żyć jako ksiądz bez tej szafy w kącie kościoła. Świadomość, że ktoś, po wielu latach, pojednał się z Bogiem, nadaje sens mojemu kapłaństwu. Dla jednego uśmiechu, błysku szczęścia w oku człowieka, który podnosi się z klęczek, warto było zostać księdzem. Warto było pójść za Jego Głosem.

KS. ANDRZEJ LUTER, ur. 1956, przyjął święcenia w 1990. Kapłan diecezji łowickiej, publicysta, pomysłodawca programu telewizyjnego *Rozmowy na koniec wieku*.

Ks. Jan Machniak

1. Powołanie. Może to zabrzmieć zbyt prosto jak na wypowiedź dla poważnego pisma, którym jest „Znak”, muszę jednak powiedzieć, że bycie księdzem jest sprawą powołania, czyli głosu Boga w duszy, który mi mówi, że trzeba zostać kapłanem. Głos ten odkryłem dosyć późno, jako student polonistyki UJ w Krakowie. Momentem decydującym była pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, szczególnie spotkanie z młodzieżą na Skałce i Msza święta na Błoniach. Mimo że już wówczas podjąłem decyzję, do seminarium zgłosiłem się dopiero po zakończeniu studiów.

Kapłan kojarzył mi się w tym czasie z moim proboszczem zapamiętanym w dzieciństwie, który duszpasterzował w małej wiejskiej parafii, troszcząc się o drewniany kościół i niewielką trzódkę Ludu Bożego. Był to kapłan rozmodlony, oddany swojej wspólnotcie, wygłaszający wspaniałe kazania. Mimo zewnętrznej surowości przyciągał do siebie ludzi. Często można go było spotkać z różańcem lub brewiarzem w rękę spacerującego w cieniu lip wokół kościoła. Codziennie przed Mszą świętą siadał w konfesjonale. Rozwijał nabożeństwo pierwszych piątków i pierwszych sobót miesiąca, dlatego pilnował regularnej spowiedzi.

W czasach, kiedy rodziło się moje kapłaństwo, ksiądz w naszym kraju cieszył się dużym autorytetem moralnym i politycznym. Kapłan był przewodnikiem duchowym dla wierzących i niewierzących, którzy kontestowali ideologię komunizmu. Bycie księdzem dawało wówczas psychiczny komfort wewnętrznej wolności, możliwości wyznawania i głoszenia poglądów bez potrzeby udawania i nakładania masek. W obecności księdza, w pociągu czy w poczekalni, ludzie otwierali się, odważnie wyrażając swoje zdanie na temat panujących stosunków społecznych. To dawało duże poczucie akceptacji i ułatwiało nawiązywanie kontaktów. Bycie księdzem było czymś prostym, wręcz oczywistym.

Ruchy młodzieżowe i wspólnoty, które powstawały w Kościele po Soborze Watykańskim II, były w tamtych czasach szczególną szansą umacniania tożsamości kapłańskiej i pogłębiania życia duchowego. W archidiecezji krakowskiej taką możliwość dawał przede wszystkim Ruch Światło-Życie oparty na świadomym przeżywaniu liturgii Mszy i czytaniu Pisma Świętego. Ruch ten stworzył płaszczyznę dzielenia się wiarą, dał możliwość – szczególnie w trakcie rekolekcji wakacyjnych – rozmawiania z drugim człowiekiem o swojej relacji z Bogiem i przekładania prawd wiary na konkretne postawy moralne, mobilizował do życia sakramentalnego. Z Ruchu wywodzi się większość powołań kapłańskich i zakonnych z lat 70. i 80. Kapłanom dał on impuls do pogłębiania życia duchowego, szczególnie przez świadectwo wiary i posługę wobec szukających Boga.

Gwałtowne procesy polityczne i ekonomiczne lat 90. zmieniły diametralnie sytuację kapłana w społeczeństwie. Odeszła do historii wizja kapła-

na będącego symbolem niezależności i wolności myśli. Stało się coś więcej, kapłan reprezentujący naukę Kościoła, szczególnie w dziedzinie przekazywania życia, został oskarżony o konserwatyzm, ciasnotę myśli, a nawet totalitaryzm. Radykalna zmiana sytuacji bardzo mocno uderzyła w księdza, prowadząc do wewnętrznych kryzysów. Broniąc życia, nierozzerwalności małżeństwa, uczciwości małżeńskiej, czystości, kapłan narażał się na zarzut, że chce narzucać swoje poglądy w sytuacji, gdy społeczeństwo hołduje wolności wyboru. Przyzwyczajenie do bycia autorytetem w dziedzinie politycznej zaowocowało angażowaniem się wielu księży w kolejne akcje wyborcze, co było różnie postrzegane przez siły polityczne i społeczeństwo.

Do dziś nikt nie podziękował kapłanom za to, że przez tyle lat stawali w obronie praw człowieka przyczyniając się do upadku systemu totalitarnego, organizowali pomoc charytatywną pomimo zakazu działalności społecznej Kościoła, budowali świątynie, salki katechetyczne, katechizowali, nie otrzymując regularnego wynagrodzenia, a żyjąc tylko z ofiar wiernych. Sprawa finansowania Kościoła i księży była przez 40 lat komunizmu fenomenem na skalę światową, budząc podziw społeczeństw zachodnich. Katoicy utrzymywali budynki kościelne i swoimi ofiarami wspierali kapłanów, dzieląc się też chętnie z bardziej potrzebującymi. Uzależnienie księdza od ofiarności wiernych dawało mu poczucie związania z Ludem Bożym i rodziło potrzebę służenia; czasami upokarzające księdza sytuacje uczyły go pokory i szacunku dla ofiarodawców.

2. Wychowanie seminaryjne. Seminarium jest czasem niezwykle intensywnej pracy wewnętrznej opartej na dyscyplinie, bliskim kontakcie z Chrystusem-Mistrzem i przeżywaniu powołania we wspólnocie, która pomaga wytworzyć więzy trwające przez całe życie. Seminarium ma kształt „trydencki”, to znaczy jest oparte na dyscyplinie wymuszanej przez regulamin. Może być odbierane jako instytucja represyjna, jeśli kandydat do kapłaństwa nie zaakceptuje reguł i nie dostrzeże w nich osobistego dobra. Wczesne wstawanie (5.30 rano), poranna medytacja przed świtem, gdy myśli biegną w kierunku ciepłego łóżka, zachowanie ścisłego milczenia w godzinach wieczornych, posiłki o określonych porach – mogą sprawiać wrażenie szkoły, gdzie produkuje się automaty, a nie wychowuje przyszłych kapłanów. Seminarium przez surowy regulamin uczy dyscypliny życia, organizacji czasu, by każdą chwilę spożytkować dla budowania Królestwa Bożego. Proszę zauważyć, że w Kościele nie istnieją sankcje karne wobec kapłanów, natomiast pełnienie kapłańskich obowiązków dokonuje się na zasadzie wolności, służenia dobru drugiego człowieka, poczucia obowiązkowości i szacunku dla drugiej osoby. Jeśli kapłan nie nauczy się wewnętrznej dyscypliny, szybko dojdzie do lekceważenia i poniżania człowieka.

Jeśli dziś ktoś krytykuje „trydencką” dyscyplinę seminariów i próbuje łagodzić surowe zasady, to znaczy, że nie jest w stanie przyjąć praw w duchu wolności. Wydaje się, że jego wolność jest ograniczona przez samowolę, spełnianie zachcianek, hołdowanie wygodnictwu, co nie ma nic wspólnego

nego z postawą służby. Zresztą tendencje te są powszechne w społeczeństwie nastawionym bardziej na konsumpcję niż na dawanie.

Formacja seminaryjna oparta jest na bliskim kontakcie z Bogiem w modlitwie, sakramentach, w miłości bliźniego. Modlitwa obejmuje codzienną medytację opartą na rozważaniu tekstów biblijnych. Jest to wysiłek intelektualny sprawiający na początku wiele trudności kandydatom do kapłaństwa. Wymaga przełamania znużenia i obudzenia zainteresowania Chrystusem, którego ukazują Ewangelie.

Niebezpieczeństwem formacji stawiającej jedynie na osobisty kontakt z Bogiem w modlitwie (bardzo ważny!) jest to, że kandydat do kapłaństwa może mieć trudność w dzieleniu się wiarą z ludźmi. Młody kapłan posiada duży zasób wiedzy teologicznej, której nie potrafi przełożyć na komunikatywny język kazania. Jego słowa są często schematycznymi formułami dogmatyczno-moralnymi, które padają z ambony ponad głowami wiernych. Ukazując prawdy wiary, kapłan nie potrafi mówić odważnie o doświadczeniu wiary, czyli o miejscu Chrystusa w swoim życiu. Dlatego jego słowa mogą często wydawać się papierowe, zbyt „gładkie”, nie przystające do rzeczywistości.

Innym problemem formacji seminaryjnej jest przygotowanie do celibatu, który Kościół proponuje kandydatom do kapłaństwa jako wielkie dobro, mimo częstych słów krytyki padających z różnych stron. Celibat zakłada dojrzałość emocjonalną wyrażającą się w umiejętności rozpoznawania i opanowania pierwotnych emocji (gniew, złość, radość, sympatia, antypatia) oraz rozpoznania i kierowania popędem seksualnym stanowiącym istotny element osoby i ściśle związanym ze sferą uczuć. Formacja przedsoborowa kładła duży nacisk na samodyscyplinę zarówno w dziedzinie porządku zewnętrznego (regularny tryb życia, modlitwy, zajęć), jak i porządku wewnętrznego (dyscyplina uczuć), która często była utożsamiana z tłumieniem emocji. Współczesna psychologia, przeniknięta determinizmem libidinalnym, zachęca do realizowania uczuć, prowadząc do niebezpiecznej pułapki. Pomaga bowiem w odkrywaniu uczuć w relacji do płci przeciwnej, nie mówi jednak, w jaki sposób wkomponować je w całość osobowości kapłana żyjącego bezżeństwem dla Królestwa niebieskiego. Wmawia, że dojrzała osobowość jest realizowaniem wszystkich „naturalnych” emocji, przestrzegając dyskretnie przed nienaturalnością i nienormalnością grożącą celibatariuszom.

Niemożliwe jest kształtowanie dojrzałej osobowości celibatariusza bez odniesienia do płaszczyzny nadprzyrodzonej relacji z Bogiem. Warunkiem wolnego przyjęcia ograniczenia celibatu jest żywa relacja z Chrystusem, Najwyższym Kapłanem, który dał niedościgniony wzór kapłaństwa służebnego, realizującego się w ofierze z samego siebie. Związek ten wyraża się w modlitwie, w naśladowaniu postaw Jezusa, w regularnym sprawowaniu Najświętszej Ofiary i korzystaniu z sakramentu pokuty. Ostatecznie chodzi o świadomość św. Pawła, że wielki skarb nosimy w naczyniach glinianych, które należy chronić przed rozbięciem, nie narażając je na niepotrzebne niebezpieczeństwa.

3. Zagrożenia kapłaństwa. Największym zagrożeniem dla kapłaństwa i kapłanów jest materializm konsumpcyjny, który wchodzi natarczywie w nasze społeczeństwo. Księża mogą zostać zupełnie obezwładnieni w swoim działaniu i zapale apostołskim przez dobra materialne i konsumpcyjny styl życia. Widziałem w USA kapłanów, którzy myśleli tylko o tym, jak uzbierać milion dolarów, by zabezpieczyć parafię finansowo, nie troszcząc się prawie w ogóle o duszpasterstwo. W świecie, w którym wszystko, albo prawie wszystko, oparte jest na pieniądzu, trudno o zaufanie Bogu i postawienie tylko na Niego. Ciągłe pozostaje pokusa zabezpieczania siebie, parafii w sposób czysto ludzki.

Księża nie należą do najbogatszej grupy społecznej. Napady rabunkowe na plebanie w ostatnich latach udowodniły ubóstwo kapłanów i Kościoła w Polsce. Trzeba jednak przyznać, że księża nie są też biedni: żaden z nich dotychczas nie umarł z głodu. Katolicy w Polsce są bardzo ofiarni. Nie tylko budowali kościoły, plebanie i salki katechetyczne, ale również utrzymywali kapłanów i siostry zakonne w czasach, gdy Kościół był pozbawiony ubezpieczeń społecznych, lecznictwa i innych świadczeń społecznych. Brak stałej pensji i uzależnienie księży od wiernych może być okazją do większego zaufania Bogu i otwarcia na świeckich. Może jednak niekiedy wyzwalać prymitywne odruchy skąpstwa, zdzierstwa i odkładania za wszelką cenę na „czarną godzinę”, gromadzenia na koncie, by utrzymać kościół, mieć na ogrzewanie i remonty. Najlepszym dowodem, że ofiarność wiernych w Polsce nie słabnie, jest Radio Maryja utrzymywane z ofiar słuchaczy. Ksiądz musi pamiętać o pokorze w relacji do wiernych, musi umieć prosić i przyjmować z wdzięcznością.

KS. JAN MACHNIAK, ur. 1957, przyjął święcenia w 1985. Ojciec duchowny w seminarium archidiecezji krakowskiej.

O. Andrzej Madej OMI

Nie miałem objawień. Gdy byłem dzieckiem, ojciec spytał mnie: może i ty poszedłbyś na księdza? Poszedłem, mając niespełna 14 lat. Jestem księdzem i chcę nim być. Z trudem znajduję czas na modlitwę; wielu modli się za mnie. To, że pozostaję na tej drodze mimo zachwiań, uważam za łaskę.

Raz w życiu otarłem się fizycznie o Boga. To doświadczenie uchyliło mi drzwi zaufania i pozostaje światłem mego powołania. Byłem wtedy seminarzystą. Połykałem książki egzystencjalistów, którzy rozprawiali o absurdzie i nicości. Pod wpływem tych lektur uzbierało się we mnie wiele, niebłahych jak na dwudziestolatka, pytań: dlaczego cierpią niewinne dzieci? dlaczego

tak często tryumfuje zło? dlaczego ludzie muszą umierać? dlaczego wielu uważa swoje istnienie za nonsens? dlaczego jest aż tylu samobójców?

Byłem wtedy o krok od zwątpienia w to, czego nauczał mnie Kościół. Zacząłem poszukiwać dowodów na istnienie Boga – nerwowo kartkowałem grube tomy filozofii Boga, filozofii religii, apologetyki... Odpowiedź nie przyszła z książek. Pamiętam dokładnie tamten cichy poranek w lasku nad Obrą. Ogarnęło mnie poczucie, że wszystko jest darem. Może to była iluminacja? Może wtedy otrzymałem łaskę wiary? Był to prezent od Stwórcy na moje dwudzieste piąte urodziny. W ów jesienny dzień w jednej sekundzie rozwiały się moje wątpliwości. Stało się dla mnie jasne, że świat jest Boży, choć w nasze ziemskie istnienie wpisane są imiona ciemności. Zdecydowałem się pójść dalej za tym światłem pośród nocy.

Kiedyś mówiłem długie kazania o miłości człowieka do Boga. Dzisiaj z większym przekonaniem głoszę miłość Boga do człowieka. Przed laty wstydiłem się chodzić w sutannie. Dziś, wkładając sutannę, myślę: nie dorastam do tego, czego znakiem jest mój zakonny strój, ubieram się „na kredyt”. Ta świadomość czasem boleśnie mnie upokarza. Pytam wtedy: dlaczego Mszy świętej grzeszników nie przewodniczą aniołowie? Biblia odpowiada: „kapłan z ludu jest wzięty”. Jest zatem jednym z grzeszników i „dla grzeszników ustanowiony”. Godzę się z tym, gdyż tak rozporządził Ktoś większy od nas, miłosierny, kto przyjmuje nas pomimo bezmiaru naszych grzechów. Jest więc nadzieja. Rodzi się zdumienie.

Człowiek krząta się przy Bożych cudach. Jest tej „krzątaniny” czasem tak dużo, że zapomina się o Tym, kto te cuda czyni. Takie „przeoczenia” są tylko potwierdzeniem niesłychanej dyskrekcji i pokory Chrystusa, który sam zajął ostatnie miejsce i cały czas nam służy. Jezus uzdrowia nas przez tych, których do Niego przyprowadzamy. Zawsze więcej otrzymujemy, niż dajemy. Zresztą czy mamy coś – jak pytał św. Paweł – czego byśmy sami wcześniej nie otrzymali?

Spośród wszystkich linijek Ewangelii najdroższe są mi słowa Pana przedstawiającego się nam jako lekarz, który przyszedł do chorych. Kościół jest bardziej szpitalem niż uniwersytetem. A kto z nas nie potrzebuje uzdrowienia? Jezus kładzie swą dłoń na ludzkich okaleczeniach. Brak wiary w uzdrawiającą moc Chrystusowych ran sprawił, że duże obszary chrześcijaństwa przeniknięte zostały duchem cierpiętnictwa. Jestem wdzięczny świeckim, którzy prosili mnie, abym leczył ich w imię Jezusa. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tam, gdzie jest głoszona Ewangelia, nie może zabraknąć wstawienniczej modlitwy za ludzi, gdyż Chrystus pragnie i dzisiaj potwierdzać znakami fakt, że przybliżyło się Królestwo Boże.

Prawie co roku jeździłem na festiwalu muzyki rockowej do Jarocina, gdyż w tych, których tam spotykałem, odnajdowałem moje młodzieńcze bunt i przekorę; do dziś zresztą mam swoje porachunki ze światem. W młodych jest jakieś NIE, które brzmi autentycznie, gdyż jest znakiem ich wrażliwości, tęsknoty do ideałów, które w sobie noszą. Istnieje jednak pokusa, że

poprzestaną na samym sprzeciwie. Cieszyłem się, że mogłem ukazywać im bunt jako jeden z etapów na drodze ku budowaniu piękniejszego świata.

Jako rekolekcjonista usiłuję dzielić się z ludźmi tym, czego nauczyła mnie Ewangelia: nie utożsamiamy Chrystusa z prawem kanonicznym, nie redukujemy go do zasad teologii moralnej. Wiara chrześcijańska to zaproszenie do życia pełnią człowieczeństwa. Prawa, obowiązki i przepisy religijne są tylko drogowskazem, a droga jest wąska i krzyżowa. Dlaczego? Nie wiem. Tak po prostu jest.

Nie pojmuję jednak, dlaczego chrześcijaństwo kojarzy się wielu ludziom z ograniczeniem wolności, z nakazami i zakazami, tak jakby miały być one celem same w sobie. Przecież Droga Krzyżowa wiedzie do Zmartwychwstania, a wierzący w Chrystusa już tu, na ziemi, mają udział w zwycięstwie życia, którym Jezus obdarza nas w całej pełni.

Na wszystko jest lekarstwo krzyża. Zachęcam innych do jego „używania”, wzdrygając się nawet przed najmniejszą jego dawką. Zachęcany przez innych chrześcijan do wstępowania na królewską drogę krzyża, powtarzam: masz krzyż, dziękuj za krzyż. Nie ma nieszczęść, są tylko gorące – nieraz bardzo – pocałunki miłości. Ogień prosto z Wieczernika.

To, co robię, to zaledwie kropla w morzu dobra, które „zadaje się” mojej modlitwie i pracy. Trudno pogodzić się ze swoimi ograniczeniami. Zaniedbane dobro boli mnie bardziej niż uczynione zło. Ale przecież pomimo „podgryzającego” mnie czasem zwątpienia, jest coś, co każe trwać, pozostać wiernym: chwila modlitwy, spowiedź, czyjś uśmiech... Sprzeczności rozpraszają się wówczas jak mgły o słonecznym poranku.

Codziennie ocieramy się o coś, co nas przerasta. Pokorniejemy w obliczu zaskakujących dotknięć łaski. Dzielimy los zdumionych świadków Zmartwychwstania. Codziennie łamię na ołtarzu chleb, by pomóc innym i sobie także (!) uwierzyć, że nie jesteśmy pozostawieni sami sobie. W Eucharystii mogę rozpoznać – choć nie poznać – Zmartwychwstałego. Staram się każdego dnia sprawować Mszę świętą.

Wciąż nie wiem do końca, dlaczego to ja zostałem powołany do kapłaństwa, dlaczego mnie spotkała łaska bycia misjonarzem Jezusa Chrystusa. Może to jest jedyny cud, który do dzisiaj trwa w moim życiu? Nie chciałbym go nigdy stracić. Noszę ten cud w glinianym naczyniu.

Czuję, że najważniejsze jest wciąż przede mną. Przeczuję w sobie źródła, które dopiero odkrywę, dary, które pomnożę, miłość, którą Bóg pomoże mi wypełnić. Nie wiem, jak się to stanie. To, co ma nastąpić, jest łaską. Dlatego powierzam się Bogu, który zechciał się mną posługiwać. Niech On dopełni wszystkiego wedle swojego odwiecznego planu. Tymczasem pakuję swą misjonarską torbę – Kościół posyła mnie do Azji Centralnej, do Aszchabad.

Ks. Henryk Małecki

Patrząc wstecz na moje życie, dostrzegam kilka ważnych przeżyć i wydarzeń, które mnie ukierunkowały i pomogły podjąć decyzję o wyborze drogi kapłańskiej.

Ze wspomnień wczesnego dzieciństwa wyłania się doświadczenie misterium Mszy świętej i Kościoła. W wieku 4 lat brałem z rodzicami udział w uroczystej sumie. Mając na względzie możliwości uczestnictwa dziecka w tak długiej liturgii, rodzice zatrzymali się przy wyjściu z kościoła. Po jakimś czasie ojciec posadził mnie na stojącym w pobliżu katafalku, skąd dobrze było widać wnętrze świątyni. Zobaczyłem wielu ludzi, znanych i nieznanych, kornie stojących razem i razem się modlących. Uświadomiłem sobie, że dzieje się coś wielkiego, skoro mój ojciec i inni mężczyźni klękają na jedno kolano, inaczej niż kobiety, i biją się w piersi, a wielu z nich ukrywa swe twarze w spracowanych rękach. Fascynowało mnie też to, co działo się w prezbiterium – ksiądz w złocistym ornacie, kłęby dymu wydobywające się z kadzielnicy stojącej przed ołtarzem. Było w tym coś niepojętego, a zarazem bliskiego, niemal namacalnie doświadczalnego. Zacząłem stawiać pierwsze pytania dotyczące tej tajemnicy. Wiele razy naśladowałem na różne sposoby księdza wobec rodzeństwa i kuzynostwa, a na pytanie „kim będziesz?” odpowiadałem z przejęciem: „księdzem”, by za chwilę z odrobiną żalu dodawać: „albo żołnierzem”. W domu rodzinnym panował bowiem kult munduru.

Tuż przed rozpoczęciem nauki w szkole podstawowej zostałem ministrantem. Była to wierna służba. O każdej porze roku pokonywałem codziennie dwukilometrowy odcinek biegnącej obok cmentarza drogi, by być na Mszy świętej i usłużyć Panu Jezusowi. Lubiłem też o różnych porach dnia wejść do otwartej świątyni, by z jej wnętrza, z progów ołtarza spoglądać na główną ulicę mojej wioski. Czułem wyraźnie, że Pan Jezus ukryty w Najświętszym Sakramencie patrzy i błogosławi trującym się ludziom, a nawet tej stałej grupie, codziennie zamroczonej alkoholem, stojącej w polowie drogi do kościoła. Obserwując uważnie księży z mojego otoczenia, w mglistym przeczuciu doświadczałem innego świata. Wydawali się ludźmi nie z tej ziemi. Założyłem się nawet z kolegą o to, czy ksiądz nosi spodnie pod sutanną.

Pamiętam mojego katechetę z pierwszej klasy szkoły podstawowej, a także jego aresztowanie po wygłoszeniu kazania w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu. Przypomniwał w nim obowiązki chrześcijanina i tradycję Kościoła odnośnie do praktyk postnych. Odczytano to jako atak na towarzyszy partyjnych, hucznie zabawiających się po Środzie Popielcowej w budynku szkolnym. Serdecznie wspominam mojego pierwszego proboszcza ks. Adama Gąsiewskiego, który wprowadził mnie w świat dobrych lektur. To on w drugiej klasie szkoły podstawowej kazał mi codziennie z wyjątkiem niedziel

przez 30 minut czytać głośno w jego obecności którąś z książek Sienkiewicza. Gdy po lekturze powieści Gąsiorowskiego odtwarzałem któregoś dnia z kolegami na plebańskiej grobli bitwę o Olszynkę Grochowską, wyrwany ze sjęsty naszymi krzykami ksiądz proboszcz rozbroił nas, a do mnie – woźdza – przy wszystkich chłopakach powiedział: „a ty i tak będziesz księdzem!” Przeżyłem to bardzo, gdyż na tym etapie dojrzewania byłem zdecydowany zostać oficerem.

Zdobycie matury przez młodego człowieka z rodziny o niedobrych orientacjach politycznych i tak związanego z Kościołem nie było łatwe. Wtedy już też krytycznie i ostro oceniałem moich księży. Wydawało mi się, że są niezyciowi, oddzieleni otaczającym plebanie murkiem nie tylko od parafian, ale i od realiów życia, które nieraz i mnie przerażało swoją ludycznością, brutalnością i trywialnością. Zdecydowałem w końcu, że będę księdzem. Będę księdzem, bo ludziom jest bardzo potrzebny ktoś, kto by był dla nich bez reszty i kto by ich kochał i rozumiał. Wydawało mi się, że ja, wyrosły z biedy, będę rozumiał tych najbiedniejszych. Będę mógł im pomóc. To były motywy mojego pójścia do seminarium.

Po latach rozumiałem, że najważniejsze jest być ubogim, to znaczy Boga mieć na pierwszym miejscu, Jego słuchać, być do dyspozycji i robić to, co Kościół każe, a nie realizować swoje wizje i fantazje. Po latach dał mi Bóg łaskę poznania swoich słabości i sprawiedliwej oceny. Pozwoliło mi to na nowo zobaczyć i dowartościować pracę moich księży z tamtych „lat durnych i chmurnych”. Po pierwszym roku seminarium zostałem powołany do służby wojskowej w jednostce kleryckiej w Bartoszycach. Tam boleśnie uczyłem się odpowiedzialności za Kościół. Wielokrotnie, aby nas zniechęcić do kapłaństwa, szydzono z wszystkich przywar, słabości i grzechów duchowieństwa. Na cotygodniowych wielogodzinnych wykładach usiłowano nam zaszczepić światopogląd naukowy, a szkolenie taktyczne na poligonie kończyło się niejednokrotnie krańcowym wyczerpaniem psychicznym i fizycznym. Każda forma modlitwy była zabroniona i karana. Pamiętam mówioną na raty modlitwę „Ojcze nasz”, przerywaną przekleństwami i rozkazami. Pamiętam „suche Msze święte”, to znaczy czytanie tekstów liturgicznych w konspiracji w koszarach i na poligonach. Zabierano nam książki o treści religijnej, jeżeli ich ilość przekraczała 3 sztuki (obrazek o treści religijnej z nadrukiem traktowano jako książkę i to najczęściej obrazek właśnie złośliwie pozostawiano). Nieustannie też inwigilowani byliśmy przez kolegów-aktywistów, zwerbowanych specjalnie do tej jednostki. Niektórzy z nich byli stażystami IV Wydziału, przyuczającymi się do walki z klerem i Kościołem. Wyrosła z tych doświadczeń pewność, że moją drogą jest kapłaństwo, mimo że kuszono mnie mirażami innego życia. Po powrocie z wojska na furcie seminaryjnej zastałem ofertę studiów i atrakcyjnej, dobrze płatnej pracy. Zderzenie doświadczeń „Kościoła katakumb”, jakiego w pewnym stopniu doświadczyłem w wojsku, z uładzoną rzeczywistością życia seminaryjnego rodziło wewnętrzny niepokój. Tam walka, by zachować god-

ność człowieka, chrześcijanina i kleryka, a tu proza życia, jak mi się wydawało, zbyt ułożonego, statycznego.

Na szczęście Dobry i Cierpliwy Bóg postawił na tym etapie mojego życia kapłana niezwykłego – ks. Bronisława Bozowskiego, który miał tak zwaną parafię personalną w Warszawie. Składała się ona z ludzi różnych wiekiem, wykształceniem, pochodzeniem, doświadczeniem. Ks. Bozowski docierał do lumpów pod mostem, ubeków, eks-księży, aktorów, cór korynckich. Ukazał mi inny styl bycia księdzem. Uzupełnił swoją praktyką życia kapłańskiego moją wizję i wiedzę o misterium Kościoła jako wspólnoty grzesznych z Najświętszym Zbawicielem. Spełnił w nadmiarze mój wymarzony, w okresie dojrzewania, ideał kapłana, który szuka, wychodzi poza Kościół, by zrealizować mandat Chrystusowy „idźcie i nauczajcie wszystkich” (Mk 16, 15), „szukajcie, co zginęło” (Łk 5, 31n). Równoległe do tego doświadczenia przeżywałem i na nowo odkrywałem więź z moim proboszczem, który zamieszkał w domu emerytów i uczył, że kapłaństwo to nie tylko działanie duszpasterskie, piękne homilie, chrzty dorosłych, spowiedź apostatów, neofitów i reszty; że najważniejsza jest codzienna wierność Bogu i składanie ofiary Mszy świętej, a wraz z nią siebie samego ze swoim światem cierpienia, samotności, zapomnienia. Przez czas formacji seminaryjnej tych dwóch kapłanów pomogło mi wzrastać w łasce powołania.

Jakże głębokie było moje wzruszenie, kiedy się dowiedziałem, że moją pierwszą placówką duszpasterską będzie parafia św. Franciszka z Asyżu w Izabelinie. Na progu kapłaństwa wszedłem we wspaniałe dziedzictwo świętego proboszcza Aleksandra Fedorowicza, który żył autentycznie ubóstwem, pierwszy w Polsce tworzył parafię posoborową, pierwszy odprawił Mszę świętą twarzą do ludzi, który kochał ich i gromadził na Eucharystii w klimacie Wieczernika. Umierając ofiarował za nich swoje cierpienia nowotworowe. Jego następca ks. Andrzej Santorski prowadził ze mną, jak to przewiduje współczesny dokument papieski *Pastorem dabo vobis*, permanentną formację intelektualną, a więc dyskusje teologiczne przy stole i lektury. Pozwolił mi na studia w Akademii Teologii Katolickiej. To pod jego kierunkiem odkryłem piękno liturgii i jej głębię, a także na nowo odkryłem znaczenie Biblii w duszpasterstwie.

Moja świadomość bycia księdzem stale się doskonaliła i doskonali. W następnej parafii – pod wezwaniem Wszystkich Świętych, w centrum Warszawy – odkrywałem, że Kościół to wspólnota wspólnot, że ksiądz, który jest autentyczny i stara się mimo słabości być wierny Chrystusowi i służyć swoim czasem i sobą, nigdy nie jest sam. Doświadczałem, co znaczą słowa Pana Jezusa: „stokroć więcej otrzymasz (...) braci, sióstr, matek i dzieci” (Mk 10, 30).

Po 12 latach kapłaństwa zostałem ojcem duchownym w Seminarium. Było to nowe i na początku niezwykle trudne doświadczenie, związane z odpowiedzialnością za formację młodych ludzi idących do Chrystusowego kapłaństwa. Starłem się towarzyszyć im i dzielić przede wszystkim moim

doświadczeniem, a także dać im możliwość dostrzegania moich zmagania, by pomóc im dochować wierności Panu Jezusowi i Jego Kościołowi. Staralem się uczyć ich miłości do ludzi, czyli Kościoła. Towarzyszyłem dwóm licznym rocznikom (w sumie około 100 kandydatów do kapłaństwa), a kiedy doczekałem się ich święceń, przeżyłem ogromną radość i ulgę.

Był też epizod rocznego pobytu we Francji, który pozwolił na dystans wartkiego i bogatego w różnorodne napięcia życia seminaryjnego. Pozwolił doświadczyć życia innego Kościoła lokalnego. Po powrocie do domu seminaryjnego zlecono mi obowiązki wicerektora.

Tym, co mnie uczy pokory i co jest najważniejszą trudnością w życiu kapłańskim, jest moje poczucie grzeszności. To doświadczenie pozwala mi odkryć sens ciągłego zaczynania od nowa. Ono również pozwala na odkrywanie tajemnicy Bożej Opatrzności, która posługuje się mną niegodnym w dziele zbawienia.

Co sprawia mi największą radość w kapłaństwie? To, że mogę odprawić Mszę świętą z bojaźnią niemalże prymicjanta. Także i to, że Bóg wiele razy posłużył się mną w spotkaniu z ludźmi, których obdarzył łaską chrztu w wieku dojrzałym, łaską nawrócenia. Tyle razy Go spotkałem, że mogę powtórzyć za apostołami: bracia, „nie za wymyślonymi bowiem mitami postępowaliśmy...” (2 P 1,16).

Dziś już nie przeżywam tak wielkiego stresu, gdy padają słowa niezyczliwe czy pytania poszukujących. Już nie czuję trwogi, że o istnieniu i miłości Pana Boga nie zdołam wszystkich przekonać, że nie zdołam obronić Kościoła i świętego stanu kapłańskiego. Z pokorą, doświadczywszy miłości Boga, chcę powiedzieć (za André Frossardem), „że On jest, ja Go spotkałem”. I codziennie ze wzruszeniem powtarzam przed Komunią z Nim: „nie dozwól mi odejść od Ciebie”.

KS. HENRYK MAŁECKI, ur. 1951, przyjął święcenia w 1976. Kapłan archidiecezji warszawskiej, wykładowca w Studium Teologii dla Świeckich i asystent na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie.

Ks. Marek

Gdy ktoś mnie pyta, dlaczego zostałem kapłanem, zwykle odpowiadam jednym słowem: „powołanie”. Oznacza ono dla mnie cały splot zdarzeń, przeżyć, refleksji, a ponad wszystko jakąś tajemnicę, której jądra sam ciągle nie potrafię schwycić w najgęstszą nawet sieć zdroworoządkowej logiki.

Podobnie tajemnicą jest dla mnie samo kapłaństwo. Odczułem to bodaj najmocniej w samej chwili święceń. Nie jestem skłonny do egzaltacji, jednak wracając na swoje miejsce w katedrze po tym, jak Kardynał w sakramentalnym geście włożył ręce na moją głowę, czułem, że z oczu płyną mi łzy,

a usta same wypowiadają słowa: „*Magnificat anima mea Dominum; et exultavit spiritus meus in Deo salvatore meo, quia fecit mihi magna qui potens est et sanctum nomen eius*”.

„*Quia fecit mihi magna*” – czułem tylko, że „stało mi się” coś wielkiego. Nie wiem, dlaczego mówiłem po łacinie – nigdy nie byłem w tym dobry – może dlatego, że łacińskie słowo „*magna*” w tym kontekście najlepiej oddawało tajemniczy bezmiar wielkości Daru, który otrzymałem. Jan Paweł II, nadając swojej książce o kapłaństwie tytuł *Dar i Tajemnica*, najcelniej ujął w słowa to, co uważałem za doświadczenie istoty kapłaństwa. Dlatego właśnie, odpowiadając na pytanie: „co stanowi największą trudność na drodze powołania?”, muszę powiedzieć, teraz, po blisko dziesięciu latach kapłaństwa, że najtrudniejsze jest dorastanie do wielkości Misterium Daru, który został mi dany i zadany.

Wcześniej, w latach seminaryjnych, na trzecim-czwartym roku, patrzyłem na kapłaństwo głównie jako na stan wymagający określonych wyrzeczeń. Napisałem wtedy wiersz:

Samotność
 tęskny krzyk
 szafy
 o sukienki w pastelowe kwiaty
 i swetry zimowe robione na drutach
 podłogi
 o porzrzućane zabawki
 tupot bosych nóg budzący mnie rano
 ścian
 o duety tercety kwartety
 na śmiech zamilczenia
 i zwyczajne codzienne słowa
 krzyki
 falują w polifonicznych dysonansach
 jakby chciały ukołysać mnie do koszmaru

po tym jak upłynie już półtorej wieczności
 stężonej w ekstrakcie kilkuminutowym
 wsiąkąją
 w wiszący nad łóżkiem
 krzyż

Tak wyobrażał sobie celibat kleryk, tak zegnał się z możliwością małżeństwa i ojcostwa dwudziestosześcioletni mężczyzna. Być może całe to przeżywane wówczas dramatyczne napięcie potrzebne było po to, aby trzydziestoparoletni kapłan mógł stwierdzić, że jego życie w celibacie jest zasadniczo wolne od dramatycznych napięć, nie niesie ze sobą poczucia osamotnienia, wyrzeczenia czy niedopełnienia, że jest pełnym życiem człowieka,

który znalazł swoje miejsce w świecie, który ma poczucie samorealizacji przez to, co otrzymuje od innych, i to, co stara się im dać.

Prowadziłem kiedyś w czwartej klasie liceum katechezę o sakramencie kapłaństwa. Temat był przygotowany wcześniej, głównie przez lekturę i omówienie Pieśni nad pieśniami. Księga ta była dla mnie inspiracją do wypracowania teoretycznej wizji kapłaństwa opartej na porównaniu kapłaństwa do małżeństwa. Przeczytałem moim uczniom zapis z notatnika pochodzący z okresu poprzedzającego święcenia diakonatu.

„Tak jak w małżeństwie mąż dopełnia żonę, a żona męża, iż stają się »jednym ciałem«, tak w kapłaństwie prezbiter dopełnia Kościół i jest przezeń dopełniany. Tak jak w małżeństwie realizuje się zjednoczenie osób, płodność i uświęcenie, tak w kapłaństwie ma się realizować komunია prezbitera z Chrystusem w Jego Mistycznym Ciele, duchowa płodność i duchowe ojcostwo oraz uświęcanie wiernych przez całość sakramentalnej i pozasakramentalnej posługi, która jest równocześnie drogą do osobistej świętości prezbitera. Specyfika »dopełnienia« urzeczywistniającego się w kapłaństwie polega na pochodzącej z wybrania i powołania zdolności »dopełniania się« prezbitera nie jedną osobą, jak w małżeństwie, ale wielością osób stanowiących wspólnotę Kościoła. Komunია kapłana i Kościoła ma wymiar uniwersalny; zjednoczenie z Kościołem Powszechnym (Liturgia Godzin, Msza święta *etc.*) i wymiar partykularny; posługa wobec wspólnoty konkretnych osób, do której kapłan zostaje posłany przez biskupa. W tej specyficznej zdolności dopełniania się przez Kościół ma swoją podstawę i wyraz kapłański celibat.”

Uczniowie wysłuchali tego wykładu oraz stosownych wyjaśnień względnie spokojnie, ale zaraz potem zasypali mnie pytaniami typu:

- jak konkretnie wygląda to „dopełnianie się Kościołem”?
- jak to jest w codziennym życiu, jak ksiądz to przeżywa?
- w jaki sposób kapłaństwo może dopełniać mężczyznę tak jak małżeństwo?

Starałem się odpowiadać szczerze, zrozumiale, obrazowo.

– Uważam to za łaskę stanu, że dzięki codziennym kontaktom duszpasterskim, towarzyskim, koleżeńskim z wieloma różnymi kobietami mój popęd seksualny nie tylko nie koncentruje się na jakiejś jednej osobie, ale wręcz „sublimuje się”, tak jakby wielość i różnorodność relacji powodowała rozbitcie *libido* na cząstki tak małe, że aż niezauważalne. Równocześnie mam poczucie zaspokojenia potrzeby „kontaktu”, akceptacji ze strony płci przeciwnej, możliwości pomocy, wspierania i bycia wspieranym.

Mój „instykt ojcowski” realizuje się w kontaktach z dziećmi, z którymi spotykam się głównie w szkole, czyli dzięki wam. Nikogo z was nie uważam szczególnie za swoje dziecko, ale wszystkich, których uczę, uważam szczególnie za moje dzieci, dlatego bardzo mnie cieszy każdy przejaw osobistego zaangażowania każdego z was w to, co wspólnie robimy, każdy przypadek, w którym mogę pomóc komuś, kto o taką pomoc prosi.

Moje wywody przerwała Agnieszka, zadając pytanie, które brzmiało mniej więcej tak: Skoro ksiądz posiada taką charyzmatyczną zdolność dopełniania się wieloma osobami, to znaczy, że został ksiądz powołany właśnie dlatego, że nie pragnął i nie pragnie mieć własnych dzieci?

Milczałem przez dłuższą chwilę, szukając stosownej odpowiedzi, a ponieważ żadna stosowna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy, zdecydowałem się na zwierzenie:

– Wiesz, Agnieszko, kiedyś napisałem kilka listów do mojej córki, małej córeczki, wygadanego szkraba z niebieską kokardą we włosach, wspinającego się na moje kolana, ściskającego mnie z całej siły za szyję, przytulającego policzek do mojego policzka po to, żeby za chwilę z oburzeniem wykrzyknąć: „no wiesz, znowu kłujesz jak dziki jeź!” Napisałem te listy, żeby przeprosić ją, że jej nie ma i nigdy nie będzie. Bo przecież nie mam córki i nie będę jej miał. Jest dla mnie tylko „osobą możliwą”, ale przecież ją kocham. To właśnie musiałem napisać – że ją kocham. Ona nie ma twarzy, określonego koloru włosów i oczu. Dlatego właśnie potrafię odnajdywać ją w Tobie, Agnieszko, w Joasi, w każdej z Was. Gdybym nigdy nie pragnął mieć dzieci, nie mógłbym być nigdy „ojcem duchowym”.

Mniej więcej rok temu, przebywając w kapłańskim gronie, rozwinąłem swoją koncepcję celibatu na tle przedstawionej wyżej wizji kapłaństwa. Zaprezentowałem następujące tezy:

1. Celibat należy do istoty kapłaństwa, gdyż kapłan usiłujący dopełnić się jedną osobą i dopełnić jedną tylko osobę zaprzecza swemu powołaniu do komunii z Kościołem, czyli wielością osób.

2. Celibat nie może być pojmowany jedynie jako bezżenność, czyli rezygnacja z dzielenia codziennego życia z drugą osobą, oraz jako wstrzeźliwość seksualna. Powinien być pojmowany szerzej – jako „wolność serca” od wszystkiego, co mogłoby w jakikolwiek sposób ograniczać dyspozycyjność kapłana – wykonawcy woli Chrystusa.

3. Czyż wszystkie trzy śluby zakonne: posłuszeństwa, czystości i ubóstwa nie sprowadzają się do tak rozumianej „wolności serca”?

Wywiązała się dyskusja, w jej trakcie jedni uznali mój wywód nie tylko za spójny logicznie, ale i za zgodny z własnymi odczuciami, inni usiłowali uzasadnić mniej radykalne poglądy, ale ich argumenty zdawały się nie wytrzymywać poważniejszej polemiki.

Zanim temat został wyczerpany, zanim wyciągnięto stosowne wnioski, zanim przegłosowano przyjęcie takich czy innych tez, towarzystwo – jak to towarzystwo – zaczęło rozchodzić się do domów. Poszedłem i ja. W korytarzu zatrzymał mnie ksiądz o kilka lat ode mnie starszy, z którym znamy się od czasów seminarium. Popatrzył mi w oczy i powiedział:

– Życzę ci, żebyś się zakochał. Nie, przepraszam; żebyś pokochał kobietę i doznał jej wzajemności. Żebyś pokochał miłością prawdziwą; taką, która nie jest zdolna myśleć o własnym dobru, ale tylko o dobru i szczęściu ukochanej. Żebyś pokochał miłością, w której to, co duchowe, stapia się

z tym, co cielesne, w której pożądana nie da się oddzielić od uczucia, w której pieśczęta nie jest poszukiwaniem przyjemności, tylko językiem wyrażania tego, czego nie da się wyrazić słowami.

Pokochaj tak i pozostań w pełni kapłanem, pozostań czysty, a wtedy dowiesz się, czym naprawdę jest celibat; co to jest bezżenność – niemożność dzielenia codzienności z tą, którą kochasz – i czym jest „czystość” – niemożność oddania całego siebie i przyjęcia jej całej – wypowiedzenia miłości językiem w pełni ludzkim: duchowo-cielesnym.

Słuchałem zahipnotyzowany tonem jego głosu, jego spojrzeniem, w którym była prawda. Dopiero gdy przestał mówić, spuściłem głowę. Myśli produkowały coraz to nowe kontrargumenty. Nie byłem w stanie wypowiedzieć choćby jednego słowa.

Poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

– Skoro tak kochasz teorię, a boisz się życia, przeczytaj sobie książkę Rondeta *Celibat ewangeliczny we współczesnym świecie*, Wydawnictwo Księży Marianów, Warszawa 1995.

Książkę przeczytałem i szczerze polecam ją wszystkim jako lekturę obowiązkową.

Nie mogę powiedzieć, aby to wszystko zasadniczo odmieniło moje pojmowanie celibatu, choć muszę przyznać, że je na pewno mocno poszerzyło.

Za każdym razem, kiedy wspominam tę rozmowę, czuję się jak człowiek kultury *voo doo* słyszący słowa klątwy wypowiedane przez szamana i siłą woli muszę powstrzymać się od splunięcia przez lewe ramię czy wykonania innego gestu dla odczynienia uroku.

Na koniec o jednej jeszcze trudności często spotykanej w kapłańskim życiu; o trudności, jaką jest dorastanie do wizerunku samego siebie w oczach innych.

Na *image* kapłana składają się zasadniczo dwie rzeczy: autokreacyjne działania samego księdza i wynikająca z tęsknoty za kapłaństwem idealnym idealizacja (a z czasem mitologizacja i kanonizacja) żywego człowieka – księdza – dokonywana przez pewną grupę wiernych.

Kłopot z kapłańskim *image* (nie mają tego kłopotu kapłani megalomani wkładający cały swój wysiłek w autoreklamę) bierze się jednak głównie z działania „opinii publicznej”. Najzwyklejsza w świecie uprzejmość, życzliwość, uczynność, zaufanie do ludzi, prostota w podchodzeniu do różnych spraw mogą już stanowić przyczynek do „angelizacji”.

Taką już mam naturę, że jestem człowiekiem spokojnym i spokój miłującym – staram się unikać konfliktów, a zaistniałe czym prędzej uśmierzać. Po dwóch-trzech latach pobytu w parafii zebrałem pierwsze wyraźne plony mojej „postawy duszpasterskiej”. Kiedyś, przy okazji życzeń imienninowych składanych mi przez wierne parafianki starszego pokolenia po raz pierwszy wyłonił się i ukazał moim oczom obraz mojej osoby wykreowany przez te właśnie panie. Zrobiło mi się mdło. Później, przez wiele dni byłem w depre-

sji, nastawiony autoagresywnie, wręcz aurodestrukcyjnie. Ulgi doznałem, gdy po wyrażeniu swojej opinii o jednej z popularnych postaci katolickich mediów usłyszałem od tychże pań, że „straciłem u nich wszystko”.

Problem jednak nie zniknął. Nie potrafię być gburowatym formalistą, nie chcę być aniołem. Jaki więc mam być? Większość poproszonych o radę odpowiedziała by zapewne: „bądź sobą”. Ale ja nie chcę być tylko sobą, takim, jakim jestem. Chcę stawać się rzeczywiście lepszy – chcę dorastać. Dorastać nie tyle do wymagań ludzi, z którymi się stykam, nie tyle do własnych wyobrażeń o sobie, co przede wszystkim do wymagań i oczekiwań Mistrza. I mam nadzieję, że On mi w tym pomoże.

KSIĄDZ MAREK, duszpasterz jednej z parafii krakowskich.

Ks. Krzysztof Martwicki

Ta ankieta to poważne sprawy: pozytywny sens kapłaństwa, jaki ksiądz naprawdę jest, jak widzi swoje miejsce w Kościele... Żeby o nich mówić, trzeba szybko pomyśleć, kim się jest i co się robi, i wysnuć refleksję – jedną i zwartą. Na co dzień myśli się o własnym kapłaństwie inaczej – często, ale raczej po kawałku. Ale zanim o tym wszystkim, bardzo ważny i długi nawias:

(W przypadku niżej podpisanego praca w radiu katolickim, a obecnie – w wiejskim duszpasterstwie parafialnym, w środowiskach twórczych oraz studia teologiczne tworzą dość specyficzną wypadkową wydarzeń, zjawisk i związanych z tym kryteriów oceny. Nie znaczy to, by była ona bogatsza czy ciekawsza niż inne. Każdy jednak ma swoją własną „w[y]padkową” i od niej zaczyna.

Tak trudno zmieścić się pomiędzy patosem a milczeniem, kiedy – według pewnej tradycji – do *bon tonu* należy o sprawach podstawowych: wartościach, misji, powołaniu mówić albo na „cis czterokreślnym”, a więc zawiłe i za długo, albo stroić minę „tajemniczo milczącą”. I dlatego, chcąc pozostać w zgodzie z ową tradycją, trudno jasno powiedzieć, o co chodzi, nie narażając się na sprzeniewierzenie wyższego rzędu...)

Można zatem o kapłaństwie mawiać tak, jak się o nim rozmyśla – między jednym a drugim wyjazdem na spowiedź, fragmentarycznie. I taka forma będzie bliższa rzeczywistości, w której ksiądz żyje: na przecięciu dwóch linii, nieba i ziemi, w centrum krzyża. A rozmyśla się mniej więcej tak:

...powoli uświadamiasz sobie, kim jesteś. Rośnie cała jaskrawość tego, co się stało w chwili, gdy zostałeś księdzem. Co zrobił z tobą Bóg. Seminarium, święcenia, prymicja, cała aureola wyjątkowo jasnych wydarzeń ustępuje, pozostawiając poczucie utraconej spokojnej niewinności.

...przychodzi codzienność decyzji, niespodziewanych zwrotów akcji, nowe twarze, problemy, o których nie miałeś zielonego pojęcia. Dzieczejalna formacja seminaryjna, choć zakłada ignacjańską elastyczność w odbiorze wydarzeń wewnętrznych i zewnętrznych, utrwała pewną stałość, jednorodność w ocenie rzeczywistości. To, co jest *sanctum*, ma mieszać się z tym, co *profanum*, w równo odmierzonych proporcjach. Jak tymczasem poradzić sobie z tym, co nijak nie daje się zakwalifikować, umyka ostrości? Jakie znaki szczególnie ma wyraźnie wyznawany deizm, ale w środowisku wiejskim? Co to znaczy, że cała masa ludzi to dziś „praktykujący, ale nie wierzący”? Jak to z tym wszystkim jest?

...gdzieś głęboko kołacze się nie wypowiedziany jeszcze zbyt głośno żal do seminaryjnych wychowawców, że nie przewidzieli, iż może nam być dziś tak trudno. Pisałem kiedyś w „Powściągliwości i Pracy” o tym, że – w teologicznym czy duchowym wymiarze – przeoczyliśmy w Polsce narodziny postmodernizmu. I tak było rzeczywiście. Dlaczego wtedy, w latach osiemdziesiątych, nikt nam, studentom seminarium, nie powiedział: „chłopaki, uważajcie, bo kiełkuje coś, co za kilka lat będzie miało wpływ na wasze kapłaństwo”? Przecież w ówczesnym „okienku na świat”, „Literaturze na Świecie”, gdzieś w 1988 roku pojawiały się już eseje czołowych teoretyków postmodernizmu. Ale z drugiej strony kto wie, może za naszymi plecami czai się już coś innego, o czym nawet nam się nie śni? I znowu ktoś w, dajmy na to, roku dwutysięcznym szóstym będzie miał, tym razem do nas, o coś pretensje? Przecież każde pokolenie ma jakąś skazę, od której zaczyna rachunek sumienia.

...pytania o tożsamość stawia się zwykle w sytuacji kryzysu. Sądzę jednak, że w przypadku kapłaństwa nie można mówić tylko o jakichś konkretnych „czasach kryzysu”. Przecież jest ono w swej naturze sprzeciwem wobec, niezgodą na przykład na duchowy konformizm. Bo kapłaństwo bardziej lub mniej oportunistyczne jest po prostu błazenadą. Pojęte w ten sposób, nie mogło po 1989 roku nie znaleźć się „na cenzurowanym”. I dlatego mamy dziś to, co mamy. Nie jesteśmy już „supermenami w sutannach”. Na szczęście czy – niestety?

...czasami rośnie taki żal do tych przesadnie ugrzecznionych w kancelarii parafialnej niedzielnych katolików, składających życzenia imieninowe księdzu proboszczowi, prywatnie czytelników „NIE”, opowiadaczy kawałów o blondynkach, „czarnych” i Wąchocku. Żal, że nie widzą własnej śmieszności. I żal, że może za kilka lat przyjdą, jak kiedyś, „schować się do kościoła”, by przetrwać, i że wtedy któremuś z nas mogą „puścić nerwy” i zapyta – a gdzie byliście, kiedy nas opluwali, co zrobiliście słysząc o nas najgorsze rzeczy?... Nie ma w tym odwetu, żal po prostu, że w ogóle może kiedyś coś takiego nastąpić.

...najlepiej i najpiękniej jest wtedy, gdy pojawia się człowiek, ludzie w jakiejś sytuacji, zdanie, słowa, a wszystko to pojedynczo albo jakoś razem świadczy, że się nie pomyliłeś wybierając tę „drogę z dziurami po kolana”, jak pisze ks. Twardowski. I to jest wtedy coś p o m i o, choć zaledwie wczoro-

raj zaliczyłeś jakiś dołek. Pozytywny sens kapłaństwa to Jezus Chrystus w konkretnym życiorysie człowieka, w jego codzienności, w której znalazł się jako ksiądz. Dla tego życiorysu zostałem księdzem, dla tej codzienności. Jeżeli są takie sytuacje, zdania, słowa, które o tym świadczą, to warto było.

KS. KRZYSZTOF MARTWICKI, ur. 1965, przyjął święcenia w 1992. Kapłan diecezji plockiej. Zajmuje się związkami literatury i teologii.

Ks. Bogusław Mielec

1. „Dlaczego zostałem księdzem?” Bo uwierzyłem, że chce tego Jezus Chrystus. Jedyna jak do tej pory wątpliwość pojawiła się przed przyjęciem święceń diakonatu. Z jednej strony stawiałem sobie pytanie (wtedy niezwykle dla mnie bolesne, gdyż bardzo tego chciałem): „czy mogę?” Po trwającej pięć lat obserwacji samego siebie znałem mniej więcej swoje słabości, minusy osobowości, skłonność do grzechów itp. Z drugiej strony, „czyściłem” swoje motywacje: czy na przykład nie uciekam od życia małżeńskiego i rodzinnego, całego ryzyka związanego z życiem świeckim? Były to najcięższe, jak dotychczas, chwile w życiu. Przetrwiałem je dzięki zawierzeniu, jakby wbrew obecnemu we mnie „podejrzliwemu ja”. I tak jest do tej pory.

Powołanie „objawiło” mi się w sposób gwałtowny i dość nieoczekiwany. W 1979 roku przyjmowałem Sakrament Bierzmowania w „Arce Pana” w Nowej Hucie i właśnie owego kwietniowego dnia błysnęła myśl, przeżyście – nie wiem, jak to nazwać – nie do końca jasne i sprecyzowane. Było to coś w rodzaju: „a może by” z pewną dozą fascynacji. Do tego dnia podobnej ewentualności nie brałem w ogóle pod uwagę. Ksiądz to był ktoś daleki, obcy i właściwie nudny. Może jakimś „preludium” była trwająca już kilka miesięcy fascynacja Papieżem, ale na początku był On dla mnie „idolem”, dopiero powoli i stopniowo inspirował do wejścia w „inny” świat. Nigdy nie byłem ministrantem, nie należałem do żadnej kościelnej grupy. Typowy nastolatek „spod chóru” (a może, znając topografię „Arki Pana”, trzeba by powiedzieć „spod ołtarza”). Potem, w szkole średniej, ta myśl raz była słabsza, raz silniejsza. Dopiero przed maturą, postawiony „pod ścianą” (trzeba było podjąć jakąś decyzję), „zaopatrzony” przez Opatrzność w pewien prywatny „znak potwierdzający”, z lękiem, ale i dziwną pewnością zdecydowałem. I właściwie do dziś trwa ten paradoksalny stan: doza „bojaźni i drżenia” oraz spokojna pewność, że tak właśnie ma być.

Wizja kapłaństwa, jaką wtedy miałem? Była bardzo naiwna, rzekłbym – romantyczna i marzycielska! Nieraz w gronie kolegów-księży podziwiamy „wychowawczy geniusz” Pana Boga, który stosuje metodę „szpuli z nie-

mi”: powoli rozwija się przeżywanie, rozumienie i akceptacja własnego życia. I o to chodzi!

2. Ta wizja oczywiście się zmienia, to znaczy pogłębia się. Jestem przekonany, że mająca biblijny rodowód, metafizyczna koncepcja prawdy jako „założka” (bardzo pomogła mi książka Claude’a Tresmontanta *Esej o myśli hebrajskiej*) wyjaśnia tu bardzo wiele. Poznanie i rozumienie prawdy narasta, jest nieustannym procesem, chociaż nie dzieje się to bez przeszkód i zahamowań. W moim (ale czy tylko?) przypadku decydują o „zmianie” tej wizji dwa czynniki. Z jednej strony łaska, która stale dokonuje „remanentu” w życiu wewnętrznym. Rozpoznaję ją *post factum* i niestety nie zawsze do końca idę za tym odkryciem. Z drugiej, są „znaki czasu”: pewne okoliczności, wyzwania przychodzące z zewnątrz. Wszystko razem (podział na „strony” jest właściwie sztuczny) sprawia, że nieustannie fascynuje mnie odkrywanie „powołania w powołaniu”. Mam na myśli przyswajanie wizji księdza, jaką ma Kościół (jestem przekonany, że jest to wizja Chrystusa na dzisiaj), w swoim indywidualnym życiu. To zadanie mnie cieszy, nie czuję się wtłoczony w „coś” nie swojego ani pozbawiony osobistej inwencji twórczej. Wręcz przeciwnie!

Seminarium. Trudny okres. Z perspektywy ośmiu lat od jego opuszczenia widzę je w ten sposób: „próg, który trzeba przekroczyć”, aby wejść w życie kapłańskie. Nieraz trzeba wiele dać z siebie, aby przejść. I dobrze, bo to przygotowuje do, rzekłbym, ofiarnego życia (wbrew pozorom nie ma tu taniego patosu). Przede wszystkim w moim przypadku była to konieczna, choć czasem bolesna konfrontacja romantycznej wizji z lekka przyprawionej marzeniami z rzeczywistością (głównie ludzką). Może najbardziej inspirowający był trud szukania Boga w tej niekiedy szarej, banalnej rzeczywistości. Proces dojrzewania pośród własnych i cudzych wad i słabości. „Zaiste bowiem nie aniołów przygarnia, ale potomstwo Abrahamowe” (Hbr 2,16). Głębokie doświadczenie prawdy tych słów uważam za jeden z najważniejszych elementów pomocy ze strony seminarium w kształtowaniu mojej wizji kapłaństwa i bycia w Kościele. Ale to jedna strona medalu. Drugą jest uświadomienie, że o relacje z Bogiem trzeba się mozolnie troszczyć. Tak zwane „praktyki duchowe” mogą rzecz jasna stać się sformalizowane, ale nic nie może ich zastąpić. I to odkrywa się w miarę upływu lat.

Co było zagrożeniem? Instynkt stadny, bezkrytyczne wejście w coś, co można nazwać „subkulturą” kapłańską, która jest klerykalizmem z jego pozytywami i negatywami (trudno w tym miejscu szerzej rozwijać ten temat; warto wspomnieć o dwóch sprawach: poczucie więzi z innymi, a podobnymi ze względu na profil życia, co ułatwia później bycie w środowisku; zagrożenie brakiem otwarcia na świeckich, niebezpieczeństwo pewnej nieautentyczności: „gram swoją rolę”, kiedy jestem poza własnym gronem – „rozluźniam się” wśród swoich). Sądzę jednak, że są to zagrożenia aktualne dla każdej zwartej grupy; wobec duchownych stosuje się tylko ostrzejsze kryteria oceny.

Czego zabrakło w formacji seminaryjnej? Większego otwarcia na wartościową teologię (w jakiejś mierze działa się tak z przyczyn obiektywnych; studiowałem w latach osiemdziesiątych), prezentacji bardziej integralnej i egzystencjalnej wizji chrześcijaństwa, formacji dialogicznej, co teraz widać w szkolnej katechezie (ale nie tylko), gdy wielu z nas podchodzi do uczniów zbyt autorytarnie, i dlatego często popadamy w niepotrzebne konflikty. Może to przeoczyłem, ale nie pamiętam, aby kładziono nacisk na teologię wychodzącą z życia, „od dołu”, od człowieka. Dopiero własne studia, chociażby nad teologią transcendentálną Rahnera czy Lonergana, uświadomiły mi, że istnieje „teoretyczne” opracowanie problemów, które wcześniej przyniosła praktyka duszpasterska. Jedną z głównych słabości polskich studiów teologicznych pozostaje brak ćwiczeń, które uczyłyby aplikacji poznanej „teorii” do konkretnych problemów. Nasuwa mi się jeszcze jeden, kto wie, czy nie fundamentalny brak w owej formacji. Chodzi o zbyt słabe, moim zdaniem, położenie akcentu na wolność jako jeden z fundamentów chrześcijaństwa. Obawiam się, że wielu z nas, księży, ma poważne problemy z włączeniem wolności w swoją wizję życia inspirowanego prawdą Ewangelii. Wolność ewangeliczna, która właściwie jest odpowiedzialnością za obecność Boga najpierw w moim życiu, a dopiero potem w życiu innych (w tym także w życiu społecznym), ciągle czeka na swoich świadków, nie tylko nauczycieli, również wśród nas, duchownych.

Moja świadomość bycia księdzem zmienia się więc na lepsze, co nie znaczy, że jest łatwiej. Wręcz przeciwnie. Konfrontacja tego, „jak powinno być”, z tym, „co jest”, bywa przecież bolesna. Ale pozwala, za cenę pewnej frustracji, smakować sens takich religijnych pojęć jak na przykład: miłosierdzie, przebaczenie, mocniejsza niż mój grzech miłość Boga. I uczy solidarności z penitentami w konfesjonale, pozostawiając świadomość, że to na szczęście nie ja jestem absolutnym gwarantem objawionej prawdy. Tak! Z biegiem czasu wyostrza się poczucie nieskończoności Boga, który objawił, i skończoności tego, kto głosi.

3. „Największa trudność”? Samotność, celibat, przeciążenie pracą, rutyna, trudności w kontaktach ze świeckimi, postawy innych księży? Przyznam, że jakieś szczególnie intensywne natężenie trudności w tych sprawach zostało mi na razie oszczędzone. To, co spotkało mnie do tej pory, traktuję jako zwyczajne, obecne przecież w każdym rodzaju życia problemy, więc nie mogę dramatyzować. Jeśli chodzi o rutynę i celibat, chcę napisać o dwóch sytuacjach, które dały mi wiele do myślenia. Jedną z nich to rozmowa z dziennikarzem, który w pewnym momencie powiedział: „jednak da się poznać księdza, który tylko odmawia brewiarz, a nie modli się”. Ten z pozoru drobny fakt przeżyłem jak uderzenie obuchem. „A ja?” – pytałem siebie. „Jak jest ze mną? Może tylko odmawiam?” Zawsze miałem to szczęście, że w odpowiednim momencie spotykałem kogoś, kto był wyzwaniem, prowokacją. Może dlatego coś, co być może zaczynało się psuć w wyżej wymienionych sprawach, nie przybrało jakichś szczególnie niszczących mnie rozmiarów?

Drugie zdarzenie miało miejsce właśnie w redakcji „Znaku”, w listopadzie 1996, kiedy dyskutowaliśmy o kształcie niniejszego numeru, poświęconego polskiemu księdzu. Redaktor Wojciech Bonowicz niespodziewanie zwrócił się do obecnych tam księży: „A może któryś z was napisałby, jak przeżywa swoją seksualność?” Zapanowała lekka konsternacja i oczywiście żaden z nas nie podjął się tego. Ale, przynajmniej we mnie, pozostało proste: „Dlaczego?” Padła taka propozycja i dlaczego nikt z nas jej nie podjął? Może oceniliśmy ją jako niewłaściwą lub idącą za daleko? Pozostaje jednak fakt. Jak bardzo zmienia się relacja: człowiek świecki – ksiądz. I na ile my, ja osobiście, przyjmujemy jako swoją naukę Kościoła o ludzkiej seksualności. Przyznam, że nadal tkwi we mnie to pytanie o własną autentyczność, gdy przypominam o wymaganiach dotyczących owej sfery i gdy je sam przeżywam. Sygnalizuję jedynie problem, łatwych rozwiązań na szczęście brak, gdyż życie straciłoby wiele ze swojego trudnego uroku. Jeśli wspominam o tych dwóch sprawach, to po to, aby po prostu stwierdzić, że oprócz wpływu naszej przesyconej erotyką epoki działa też łaska, która może sprawić, że ksiądz, zakonnica nie muszą być niespełnionymi frustratami. Istnieje jeszcze inny świat, który przekracza to, co przeżywamy tu i teraz, i nie jest to bajka.

Dla mnie największą trudnością na drodze powołania jest akurat problem nie ujęty w ankiecie. Chodzi o sytuację w kraju, rzutuącą tak mocno na polski Kościół. Wewnętrzne podziały wzbudzające silne emocje, nasycenie życia kościelnego polityką; „mentalność kapliczek”; tendencje do skrajnych i podejrzliwych ocen, tudzież bezkrytyczne i prymitywne przyklejanie etykietek każdemu, kto nie mieści się w bliżej nie sprecyzowanym kanonie „poprawnego” myślenia. Przy czym bynajmniej nie chodzi o kanon ortodoksji wiary. A u podłoża tego wszystkiego leży chyba wizja „innego” jako przeciwnika. Co wyklucza dialog, który dzięki dobrej woli płynącej z miłości Boga i bliźniego zaczyna się od wstępnego założenia, że ten drugi ma jakieś swoje racje, może pomóc odkryć jakiś przeze mnie nie zauważony aspekt prawdy. Jest to największa trudność w moim byciu księdzem tu i teraz. Jak być księdzem dla wszystkich, mając osobiste poglądy, sympatie itp.? Wydaje mi się, że żadna z opcji istniejących w polskim Kościele (jeśli przyjmujemy roboczo ich schemat z książki Jarosława Gowina *Kościół po komunizmie*) nie jest tu bez „grzechu”. Jakie jest miejsce księdza w takiej sytuacji, jaka powinna być jego rola? Wobec takich pytań, dotyczących przecież osobiście, odkrywam na nowo pojęcie „pontifex” – „budowniczy mostów”, które dziś stosowane jest przede wszystkim dla określenia Papieża (*Summus Pontifex Romanus*), ale i dla zwykłego księdza, zwłaszcza w Polsce lat dziewięćdziesiątych, zdaje się być metaforą „dającą do myślenia”.

4. „Co najbardziej utwierdza w powołaniu?” Coraz bardziej świadoma radość, że jestem księdzem w Kościele, którego papieżem jest Jan Paweł II. Piszę te słowa „na gorąco”, tuż po jego ostatniej pielgrzymce do Polski. Przeżyłem ją najbardziej z dotychczasowych. Może najbardziej świadomie

i głęboko. Dla mnie była ona „mistyczna” w pełnym tego słowa znaczeniu. Cały czas miałem i mam wrażenie, że „chwyciłem” tylko niektóre fragmenty jej całościowego sensu. I to mnie cieszy, gdyż najbliższa przyszłość zapowiada się dla mnie szczególnie interesująco w tym względzie. Otwiera się bowiem jakaś przygoda ducha. Dlaczego „mistyczna”? Z jednej strony Papież należy do wąskiej grupy ludzi najbardziej zorientowanych w tym, co dzieje się w świecie. Nie tylko w sensie informacji, jakie spływają na jego biurko (wiedza teoretyczna), ale również z uwagi na liczne pielgrzymki, spotkania i rozmowy z ludźmi. Posiada niewątpliwie wyjątkowy potencjał doświadczenia, przeżyć i płynącej z nich wiedzy praktycznej. Z drugiej zaś strony jego więź z Bogiem, coraz bardziej widoczna, mimo właściwej mu skrytości i oczywistej dyskrecji w dzieleniu się osobistymi przeżyciami w tym względzie, sprawia, że jest on dla mnie jedynym w swoim rodzaju człowiekiem, w którym urząd tak mocno zespała się z osobistym charyzmatem. I kiedy zadaję sobie pytanie: „co to znaczy dla mnie być księdzem dzisiaj?”, właśnie w nim odnajduję kogoś, kto pomaga w poszukiwaniu odpowiedzi. Nie kryję fascynacji jego osobą, choć wiem, że muszę się w tym względzie ostro kontrolować, aby owa relacja nie zamieniła się w jakiś „kult jednostki” przysławiający Tego, kto jest najważniejszy. Zdaję sobie bowiem sprawę, że byłaby to klęska nie tylko moja osobista, ale i Papieża.

Tak! On pomaga odnajdywać prawdziwą, często ukrytą twarz Kościoła jako „miejsca zjednoczenia z Bogiem”, jest wyzwaniem wobec zagrażającej mi rutyny i „bylejakości”, odsłania zapomniane może przeze mnie te aspekty „bycia duchownym”, które dają radość i poczucie satysfakcji. Przyznam, że na nowo odkrywam jego encykliki, adhortacje, listy itp. Czytam je coraz częściej nie jako „dokumenty Instytucji”, ale jako przekaz Osoby, która łączy to, co jest obiektywnym dziedzictwem Kościoła (a więc tak wielu osób) z własnym subiektywnym doświadczeniem wiary. I to zaczyna być jakimś niesamowitym przeżyciem, jakbym przy okazji odkrywał sens swojego bycia w Kościele, własnego doświadczenia religijnego. I to jakoś broni przed „zurredniczeniem”: byciem świadkiem „tego, co nie moje”.

Na nowo przypominam sobie przestrożę pewnego profesora seminarium, iż jednym z największych „zawodowych grzechów” księdza jest niezajomość nauki Kościoła. Wtedy realne staje się niebezpieczeństwo głoszenia własnych poglądów jako nauki Kościoła bądź też tak zwany „zimny przekaz”. Wizja rzeczywistości, jaką ma Jan Paweł II (zdaję sobie sprawę z tego, jak wielu ludziom, poprzez których działał Bóg, ją zawdzięcza), staje się dla mnie coraz bardziej pomocnym drogowskazem. Zabrzmiałoby być może nieco patetycznie, ale odkrywam w sobie przyjazne pomruki swoistej rewolucji duchowej, na którą podświadomie chyba czekałem i teraz bardzo się cieszę. Tak! Odkrywam coraz pełniej duchowe ojcostwo Papieża także wobec mnie. Dar, który – jak to jest w chrześcijaństwie – jest zadaniem; jego przyjęcie oznacza dług, który trzeba spłacić wobec innych. „Promieniowanie ojcostwa”?

5. „Jak wyglądają moje relacje ze świeckimi?” Ośmielę się powiedzieć, że zawdzięczam im ciągle odnawiające się poczucie sensowności bycia księdzem. Tak było przed święceniami, kiedy należałem do grupy posynodalnej przy „Arce Pana” w Nowej Hucie, prowadzonej przez red. Halinę Bortnowską (jeśli będzie czytała te słowa, niech wie, jak jestem Jej wdzięczny). Potem na parafii w Bielsku-Białej świeccy „zrzeszeni” i „niezrzeszeni” uczyli mnie Kościoła i mojego w nim miejsca, a także hojnie dzielili się ze mną swą życiową mądrością. Podobnie jest teraz, choć na razie w pełni nie pracuję w duszpasterstwie. To, co szczególnie cenne w relacjach ze świeckimi, to mobilizacja i wyzwanie do osobistej więzi z Bogiem, bo tylko taki ksiądz, będący po prostu sobą, jest im potrzebny. Chodzi mi w tym momencie o tych, którzy rzeczywiście szukają Boga i widzą w tych swoich poszukiwaniach ważne miejsce dla księdza. Miałem i mam szczęście ciągle spotykać takich ludzi. Ale były i są spotkania trudne, co nie znaczy, że nie twórcze. Spotkania z takimi ludźmi, których chyba najlepiej opisuje tekst napisany czyjąś anonimową ręką na tablicy w sali katechetycznej: „Nie zaznałam miłości. Skąd więc mogę wiedzieć, że Bóg istnieje? Odpowiedz...” I tu zaczynają się prawdziwe „schody”, poprzeczka zdaje się być ustawiona za wysoko.

Dla pełni obrazu nie mogę nie wspomnieć o świeckich, którzy mnie odrzucili właśnie dlatego, że jestem księdzem. Nie było ich do tej pory wielu, ale mocno i boleśnie zapisali się w mojej pamięci. Nie tylko ze względu na agresję, jaka często towarzyszyła tym spotkaniom, ale i moje odkrycie, bardzo cenne, że na przykład moja „inność” wynikająca z bycia księdzem może być niezrozumiała i denerwująca; że na mocy przynależności do określonej grupy trzeba odpowiadać za nie swoje winy; że zranienia w sferze religijnej bywają tak dogłębne; że wreszcie bywa i tak, iż czyjaś niereligijność pozostaje wielką tajemnicą i są sytuacje, kiedy trzeba „zostawić” danego człowieka sam na sam z Bogiem, bo moje pośrednictwo jest jakby niepotrzebne. Wtedy bardzo zaskakiwało i raniło owo odrzucenie, w paru przypadkach chyba nienawiść. Dziś odkrywam, jak konieczne były te spotkania. Bez nich niemożliwe byłoby własne dojrzewanie. Za bycie księdzem się płaci. I dobrze.

Kończę cytatem, który odkryłem niedawno, wertując stare numery „L'Osservatore Romano”. Podczas kolejnego pobytu Jana Pawła II w szpitalu (w lipcu 1992; bardzo to przeżyłem, bo po raz pierwszy znalazłem się w Rzymie, „aby zobaczyć Papieża”) w turyńskiej „La Stampa” (15. 07. 1992) ukazał się artykuł Sergio Romano, z którego wynotowałem sobie poruszające zdanie: „Moja osobista postawa wobec niego (Papieża – przyp. B.M.) jest paradoksalna i wewnętrznie sprzeczna: prawie nigdy nie zgadzam się z tym, co mówi, a jednocześnie pragnę, by nadal to mówił.”

Dla mnie są to słowa nie tylko „ku pokrzepieniu serc”, ale i dobitny wyraz oczekiwania na autentyczność. Jego niespełnienie tłumaczy tak wiele z obecnej sytuacji księdza w świecie. Także – w Polsce.

KS. BOGUSŁAW MIELEC, ur. 1964, przyjął święcenia w 1989. Kapłan archidiecezji krakowskiej, asystent kościelny „Listu”.

Ks. Jan Sikorski

Po ludzku trudno wytłumaczyć, jak zrodziło się we mnie pragnienie zostania księdzem. Wyłączywszy chwilę marzeń okupacyjnego dziecka, by być sprzedawcą nieosiągalnych przysmaków, którymi kusily stragany Placu Narutowicza, czy też gdy jako licealista podlegałem niepokojom dorastającego młodzieńca, w głębi serca zawsze wiedziałem, że będę księdzem.

Pewnie „zawiniła” modlitwa matki, która posiadając dwie wspaniałe córki, zapragnęła do kompletu syna. Jako osoba zdecydowana udała się do Częstochowy, by umówić się z Matką Bożą, że jeżeli urodzi się syn, to odda go do Jej dyspozycji. Umowa zaczęła działać.

Pod kierunkiem wspaniałych księży przeszedłem wszystkie stopnie wtajemniczenia ministranckiego, harcerskiego, Krucjaty Eucharystycznej, pominąłem, prawie obowiązkowe w tych czasach, ZMP. Przed maturą dla zmylenia komisji egzaminacyjnej złożyłem papiery na medycynę. Oficjalna propaganda głosiła w tym czasie rychły koniec „ciemnoty” i „wstecznicstwa”, którymi to sformułowaniami określono Kościół. Mimo to, mając świadectwo w rękę, natychmiast udałem się do seminarium.

W tym czasie, gdy po aresztowaniu „nietykalnego”, zdawałoby się, Księdza Prymasa pogrozki wygłaszane wobec Kościoła w Polsce zaczęły się urzeczywistniać, trudno było mówić o jakiejś konkretnej wizji kapłaństwa. Zawisła nad nami groźba rozwiązania seminarium. O przerwaniu studiów nikt z nas nie chciał myśleć, nawet licząc się z ewentualną konspiracją.

Samo nauczanie seminaryjne, szpikowane gęsto łaciną, straszło czasami swoją teoretycznością. Wobec wspomnianych zagrożeń nie przychodziło do głowy, by kwestionować programy nauczania. Zresztą nie brakło też bardzo ciekawych i praktycznych prelekcji duszpasterskich.

Brak kanonicznego wieku do święceń sprawił, że posiadając ukończone studia, bez święceń kapłańskich otrzymałem tytuł wikariusza i związaną z tym furę lekcji w szkole. Nie było czasu, możliwości ani chęci do rozculania się nad sobą. Wobec wielkiej rodziny parafii, gromady szkolnych dzieci i młodzieży, w wirze duszpasterskich zajęć osobiste problemy spychane były na bardzo daleki plan. Skomplikowane problemy kapłańskiej tożsamości, celibatu, samotności były nam znane bardziej z chętnie czytanych książek współczesnych katolickich pisarzy (Greena, Mauriaca, Chestertona czy Marschalla) niż wartko biegnącej rzeczywistości.

Inne problemy pomagała rozwiązywać rzucona mimochodem uwaga starego proboszcza, która z czasem nabrała symbolicznego znaczenia. „Pamiętaj, ksiądz, na zawsze: parafia im gorsza, tym lepsza... bo więcej jest w niej do zrobienia.”

Trudnym, ale i ciekawym zadaniem jest praca przy codziennym żniwie, gdy dotyka się ludzkich potrzeb, którym niełatwo sprostać. Oddechem sta-

je się wtedy sprawowana liturgia czy Słowo, które szepnie Pan Jezus gdzieś tam w adoracyjnej ciszy. Jest to łaska, która nie dopuszcza wątpliwości co do obranej drogi i za to niech będą Bogu dzięki!

Wielką pomocą w wypełnianiu tych zadań są świeccy, którzy coraz chętniej włączają się w odpowiedzialność za Kościół. Bardzo to szczęśliwy przejaw współczesnego życia. W pracy duszpasterskiej działałem zawsze w przekonaniu, że to, co daje kapłan z racji daru święceń czy swoich osobistych charyzmatów, to tylko szansa i pomoc dana wiernym dla ich osobistej więzi z Bogiem. Chciałoby się, aby z tej szansy skorzystali jak najpełniej, ale trudno wymuszać czyjąkolwiek decyzję w myśl słów Mickiewicza: „Bóg nic darmo nie daje, lecz wszystko otwiera i każdy z Boga tyle ile chce zabiera.”

Moją duszpasterską ambicją było stworzenie przestrzeni dla wyzwalań własnych charyzmatów wiernych, wynikających z ich chrześcijańskiego powołania. W spotkaniach z przedstawicielami grup parafialnych powtarzałem uparcie, że nie chcę być lokomotywą ciągnącą za sobą wagony, ale raczej przez nią popychaną. Taka postawa chroni pasterza od pokusy superaktywności i nadopiekuńczości.

Solidarnościowe wydarzenia w naszej Ojczyźnie ukazały, jak potężny może być przebudzony potencjał chrześcijańskiego ducha. Natomiast ostatnie lata stanowią przestrożę dla wszystkich, którzy chcieliby biernie oczekiwać na kolejne cuda. Naród nasz w chwilach kryzysu bezbłędnie sięga do wartości, które niesie Kościół, ale też niezwykle łatwo ulega pokusom chwili, porzucając chroniące go dotąd skrzydła. Silne i sterowane pokusy w znacznie mniejszym stopniu dotyczą osoby twórczo zaangażowane w misję Kościoła. Czasem – wręcz przeciwnie – jeszcze radykalizują ich ewangelizacyjną żarliwość. Oko duszpasterza ma być czujne, ale nie natrętne. Wyzwalające, a nie paraliżujące. Wzór właściwych relacji między pasterzem i wiernymi stanowi dla mnie Jan Paweł II. Ostatnia pielgrzymka do Ojczyzny i jej już dostrzegalne owoce to nowy wielki dar, tak dla kapłaństwa powszechnego, jak i hierarchicznego.

KS. JAN SIKORSKI, ur. 1935, przyjął święcenia w 1958, naczelny kapelan więziennictwa RP, proboszcz parafii św. Józefa Oblubieńca w Warszawie.

Ks. Jan Sochoń

1. Ach, tak naprawdę nigdy nie pragnąłem zostać księdzem. Nawet dzisiaj nieco anegdotycznie wspominam, że gdy dostrzegałem na Krakowskim Przedmieściu czerń sutanny, natychmiast przechodziłem na drugą stronę ulicy. Być może dlatego, że już wówczas przeczuwałem swoją bliskość z tajemnicą kapłaństwa. Ale czyniłem tak również z powodu drgających w moim umy-

śle, ówczasnie fatalnie ukształtowanych wyobrażeń o życiu księży i kościelnej hierarchii. Nie potrafią oni – rozważałem w młodzieńczej naiwności – odróżnić Heideggera od Platona ani zapewne nigdy nie czytali tajemniczego (bo zakazanego wtedy) Miłozsa. Nic więc dziwnego, że dopiero w późnym wieku, po ukończeniu studiów uniwersyteckich, zdecydowałem się przekroczyć seminaryjny próg. Oczywiście, nie wydarzyło się to ani w sposób prosty, ani – tym bardziej – pozbawiony wewnętrznej walki i niepokoju. Niemniej, jedno pozostaje trwałe: Bóg – jaśniejący w moim sercu dzięki życiowemu świadectwu mamy Franciszki i ojca Józefa – nigdy nie opuścił dróg mojego istnienia, chociaż często próbowałem „zakryć” ten cudowny w istocie fakt. Dlaczego zgodziłem się na przyjęcie kapłańskiego sposobu życia? Doprawdy nie wiem. Mam jedynie świadomość, że będąc na ostatnim roku studiów polonistycznych, odczuwałem wewnętrzny, lecz fizycznie dotkliwy, piekący wręcz ból, że nie czynię tego, co czynić powinienem. Niekiedy, jadąc pociągiem z Wasilkowa (miejsce mojego urodzenia) do Instytutu Badań Literackich – gdzie uczestniczyłem w zajęciach prowadzonych przez prof. Stefana Żółkiewskiego, który (przy okazji dopowiem) powtarzał: „Sochoń, zobaczysz, że skończysz jako kościelny poeta” – chciałem niemal wyskoczyć przez okno wagonu i zapukać w okno seminaryjnego budynku. Jakieś duchowe napięcie kierowało mnie w stronę kapłaństwa. Tyle jestem w stanie napisać. Reszta kryje się w Bożej miłości i Bożej o mnie trosce. Czy miałem określone wyobrażenia o kapłaństwie, wybierając stan duchowny?

Przede wszystkim niemal od dzieciństwa byłem (i jestem nadal) złączony przyjaźnią z księdzem Piotrem Bożykiem, w tamtych latach wikariuszem wasilkowskiej parafii. Proszę wybaczyć, ale rzeczy najbardziej istotne dzieją się w sposób wręcz niepojęty, by nie rzec, mistyczny. Każde mówienie czy pisanie o nich jest tylko, niestety, nieśmiałym, lekliwym przybliżeniem, a osobom postronnym wydać się może nawet czymś groteskowym. Trudno. W każdym razie spotkanie z księdzem Bożykiem zmieniło mój sposób bycia. Zyskałem w nim opiekuna, duchowego przewodnika. Doświadczałem wspólnej modlitwy. Umacniałem nadzieję, że nawet z największych trudności można się wyplątać. Nigdy nie rozmawialiśmy o moim ewentualnym wyborze studiów teologicznych. Ksiądz Piotr był duszpasterzem dyskretnym, delikatnym, choć stanowczym, zdarzało mu się nawet używać pasa. Gdyby nie jego opiekuńcza postawa, być może nie odważyłbym się przyjąć radosnego ciężaru kapłaństwa. Zresztą, w przeciwieństwie do mnie, on wiedział, że w przyszłości będę kapłanem. Aby zostać przyjętym do seminarium, należało przedłożyć opinię od proboszcza rodzinnej parafii o – że tak to nazwę – stanie własnej religijności. Kiedy przyjechałem do księdza Piotra, żeby o nią poprosić, on – lekko uśmiechnięty, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem! – podszedł do biurka, wyjął z dolnej szuflady nieco pożółkły papier, wpisał aktualną datę i już. Można zatem już z dziecięcej barwy oczu i gestów wydobyc przyszłe kolory powołania...

Czas spędzony w warszawskim seminarium uznaję za jeden z najszcześliwszych okresów życia. Nareszcie mogłem sporo czytać, doświadczyłem wartości wspólnej modlitwy i najzwyczajszego przebywania z dużo od siebie młodszymi kolegami. Już wtedy wiedziałem, że będę się starał (jak tylko potrafię) zasłużyć na wejście do grona najbliższych przyjaciół Chrystusa. I chociaż pociągały mnie filozofia i literatura, zmuszały do ogromnego wysiłku perswazyje środowiska artystycznego, zdołałem przygotować się (ufam, że odpowiednio) do podjęcia pracy duszpasterskiej. Rok spędzony w Lubochni, senniejszym mieście, jakby wyjętej z opowiadań Schulza, sprawił, że zrezygnowałem z artystycznych ambicji. Poczulem się potrzebny. Bóg nie musiał wiele sugerować. Stawiał przede mną ludzi uginających się pod ciężarem trudności, cierpienia, potrzebujących wsparcia. Uczyłem się od nich autentyczności, żarliwej, godnej najwyższego uznania wiary i prostoty.

Cóż wtedy uznawałem za sprawę najtrudniejszą? Wcale nie samotność, nadmiar obowiązków (a miałem ich niezliczoną ilość; przemierzałem na przykład kilka razy w tygodniu trasę około 10 km, dochodząc do zagubionego w lesie punktu katechetycznego) ani – tym bardziej – kwestię celibatu. Modliłem się o większą pokorę, abym mógł, bez zbytniego przygryzania warg, przyjmować wszystko, co przychodzi. Abym nie zgorzkniał pod naporem nagłych trudności, lecz by wciąż na mojej twarzy pojawiały się pogodne znaki nadziei. Przecież zawiedziony w swych (najczęściej ponad miarę wybujałych) oczekiwaniach ksiądz łatwo odciąga od wiary. Sam dla siebie staje się kimś nie do zniesienia.

Dzisiaj pracuję wśród kleryków warszawskiego seminarium i studentów Akademii Teologii Katolickiej. Staram się też (w miarę możliwości) aktywnie uczestniczyć w promowaniu kultury chrześcijańskiej. Z tego też powodu na co dzień doświadczam niepokojów obecnego, schyłkowego wieku, spotykam się bowiem z ludźmi, którzy mają określony wpływ (proszę wybaczyć sformułowanie) na medialny obraz Kościoła w Polsce. Ale najradośniejsze wydaje się to, że nie oczekują oni ode mnie, abym zjawiał się przed nimi w roli pisarza, poety czy dziennikarza radiowego. Chcą, abym był dla nich księdzem. Czasem zjawiam się na Woronicza, w molochu telewizji publicznej. Kiedy przemierzam długi korytarz (wszyscy pamiętamy to miejsce z filmu *Wajdy*), nagle obok mnie zaczynają ukradkiem pojawiać się pracownicy telewizji. Słyszę z prawej strony: „proszę księdza, może ksiądz ochrzciłby moje dziecko”; z lewej dochodzi nieśmiały szept: „proszę księdza Jana, mam kłopoty małżeńskie, porozmawiajmy...”; zza szyby spikerskiej dobiega natomiast wyraźne zdanie ostrzeżenia: „ten znowu tutaj”. Idę więc i zbieram religijne zamówienia oraz (dla duszpasterskiej równowagi) gesty rozdrażnienia. Wzbogacony nimi umawiam się na spotkania, niekiedy niosę pocieszenie, a niekiedy tylko uśmiecham, pamiętając, że nigdy nie pozbędę się bezradności – prawdziwego imienia kapłaństwa. Zawsze jednak w takich chwilach odczuwam niepojętą pragnienie, o którym wspomina Pismo: „a język ich wesoło krzyknął”.

3. Jestem księdzem szczęśliwym. Dlaczego? Ano obejmuje mnie sakra-

mentalna tajemnica liturgii i cud sakramentu pokuty. Nie umiałbym żyć bez bliskości tych znaków Bożej życzliwości. Grzechy bowiem wciąż atakują i z trudem dźwigam się spod ich nacisku. Czynię, co możliwe, aby nie poddawać się zniechęceniu i rutynie, która zabija wszelką żywołość i świeżość. Przypuszczam, że ludzie najbardziej oczekują ode mnie szczerości i autentyczności. Łatwo unosić się na falach teoretycznych spekulacji. Gdyby nawet zyskały one najpiękniejsze i ewangelicznie wzniosłe kształty, nie przyniosą oczekiwanych owoców. Bez konkretnego działania, osobistego świadectwa, pozostaną pusto brzmiącymi hasłami. Ale to właśnie jest najtrudniejsze. Ileż razy nie potrafiłem przyznać się do nieporadności, uciekałem przed odpowiedzialnością, a nawet – na forum publicznym – ukrywałem swą kapłańską tożsamość. Lecz nie upadam na duchu. Bo wiem, że Bóg nigdy nikogo nie opuszcza. Zaprawdę, nigdy.

4. Długo poszukiwałem swego miejsca w Kościele. Przyznaję, że bałem się trochę duszpasterstwa, które wymaga pełnego zdrowia, głębokiego zrozumienia drugiego człowieka, porzucenia prywatnych ambicji. Autentyzm kapłaństwa to styl życia nie odstraszaającego wiernych, nie wynoszącego się ponad nich, i nade wszystko – prawowanie się ze świętością. Wiedziałem i wiem teraz, że nie sprostałbym wielkim zadaniom parafialnym, ot, chociażby, konieczności budowania nowego kościoła czy prowadzenia określonej organizacji parafialnej albo kurialnej. Nie mam ku temu żadnych predyspozycji ani uzdolnień. Bóg łaskaw, nie muszę tego czynić.

Rozwijam natomiast – w ogólnym powołaniu do kapłaństwa – swe małe powołanie. Realizuje się ono poprzez wykłady, pracę ze studentami-klerykami oraz działalność publicystyczną. Nie uważam nadto za czas stracony chwil poświęconych pisaninie poetyckiej, bo i w ten sposób można rozmawiać z wiernymi, zapraszać ich do podążania śladami Chrystusowej miłości. Kościół, nieśmiało przypuszczam, potrzebuje księży posiadających różnorakie talenty. Takich jak ja (chyba?) również. Jeden ze znajomych proboszczów zauważył kiedyś: „ksiądz zasadniczo nic nie robi, tylko pisze książki”. Otóż właśnie! Piszę książki, uczę filozofii i literatury, próbuję chronić doktrynę katolickiej wiary przed naporem liberalnych i ateizujących wizji, szczerze okalających świadomość Polaków. Wystrzegam się jedynie skrajności, gdyż zawsze zamazują prawdę. Boleję nad tym, że staliśmy się narodem podzielonym, rozbitym, nie umiejącym się porozumieć. Polityka wcisnęła się pomiędzy nas jak cierń. I nie pozwala na życzliwe podanie dłoni. Od jej nacisku nie są wolne także niektóre katolickie ośrodki duszpasterskie. Na szczęście tam, gdzie jest niebezpieczeństwo, zjawia się i to, co niesie ratunek. Przywołana maksyma, wywiedziona z ducha świętego Pawła, przynosi ukojenie. Sprawia, że pokładam nadzieję w mocy Ducha Świętego i modlitwie. Raduję kapłaństwem. Obym tylko nie zmarnował darów otrzymywanych z nieba. Był pośrednikiem dobra płynącego z Krzyża Zbawiciela.

KS. JAN SOCHOŃ, ur. 1953, przyjął święcenia w 1984. Kapłan archidiecezji warszawskiej, poeta, krytyk literacki, publicysta, historyk filozofii.

Ks. Artur Stopka

Nie da się w kilku zdaniach ująć etosu kapłana katolickiego. Śledząc literaturę zajmującą się tym tematem na różnych szczeblach „dokumentalności” i „fabularyzacji”, przekonuję się, że nawet na setkach stron nie sposób opowiedzieć, na czym polega „bycie księdzem”, wszystko jedno, dawniej czy dzisiaj. Istnieją bardzo rozległe sfery kapłańskiego życia, o których w ogóle nie da się mówić tak, by nie zostały one strywializowane. Nie bez powodu Ojciec Święty Jan Paweł II, pisząc coś w rodzaju swej autobiografii, już w tytule wyakcentował dwie niestety ważne cechy życia księdza: jest ono darem i tajemnicą. Opisując dar, należy przecież raczej mówić o Darczyńcy niż o obdarowanym. A tajemnica? Pozostaje nie wypowiedziana.

Dlatego reagując na hasło „być księdzem dzisiaj”, skupiam się raczej na kwestiach zewnętrznych, odpryskach istoty rzeczy, nie aspirując wcale do głębokiego świadectwa. Poszukiwany przez redakcję „Znaku” „pozytywny sens kapłaństwa” jest w moim przekonaniu zjawiskiem tak wieloaspektowym, że każda próba wyrażenia go w jakiś sposób będzie, mimo najlepszych intencji autora, zubożeniem, ujęciem nad wyraz fragmentarycznym.

Ostateczną decyzję, by „pójść do seminarium duchownego” i „zostać księdzem”, podjąłem w ośrodku internowania w Zabrze-Zaborzu wiosną 1982 roku. Miałem już za sobą doświadczenie nie dokończonych studiów polonistycznych, pracy urzędniczej, działalności związkowej i dziennikarskiej w NSZZ „Solidarność”.

Na egzamin do Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego miałem z ośrodka internowania otrzymać tygodniową przepustkę. I rzeczywiście, uzyskałem ją. W dniu egzaminu wypuszczono mnie z zabrzańskiego więzienia, lecz dopiero po południu, a więc po egzaminie... Do dziś pamiętam niepewność i głęboką rozterkę w oczach jednego z przełożonych seminaryjnych, który następnego dnia przeprowadzał ze mną rozmowę. Kilka razy zadał mi pytanie: „Czy wypuszczą cię, zanim rozpocznie się rok akademicki?” Wypuścili w czasie wakacji.

Nadal, podobnie jak wtedy, mam wrażenie, że decyzja, by powiedzieć Bogu „tak” i obrać służbę kapłańską, była z mojej strony wyrazem pewnej bezradności. A równocześnie przejawem desperacji. O kapłaństwie myślałem wprawdzie wielokrotnie już w czasie szkoły średniej (może wcześniej?), jednak nieustannie pielęgnowałem w sobie przekonanie, że się na księdza po prostu nie nadaję. Nigdy bowiem nie czułem się na siłach, by tkwić na świeczniku i „świecić przykładem”, a przede wszystkim tak traktowałem wówczas misję kapłańską. Uważałem, że kapłan w Kościele katolickim musi być nieomylnym przewodnikiem, gdyż bierze na siebie ogromną odpowiedzialność za prowadzenie do zbawienia tysięcy powierzanych mu przez Boga ludzi. Nie znajdowałem w sobie predyspozycji do pełnienia takiej roli.

W czasie rozmowy wstępnej w seminarium na pytanie, czy jestem pewien swego powołania, odpowiedziałem szczerze „nie”. Do dziś czuję na sobie uważne spojrzenie, jakim obrzucił mnie wtedy rozmawiający ze mną ksiądz.

Formację seminaryjną zakończyłem w radykalnie odmiennych warunkach zewnętrznych, niż ją rozpoczynałem. Świecenia prezbiteratu otrzymałem w maju 1989. Wokół mnie – stojącego u początku kapłańskiej drogi – panowała z jednej strony atmosfera końca pewnego dobrze mi znanego świata, z drugiej – początku czegoś zupełnie nieznanego.

W moim przekonaniu przygotowywałem się do „bycia księdzem” w sytuacji PRL-u. Przyglądając się z bliska życiu wielu księży jako kleryk, zgadzałem się z góry na wiele związanych z kapłaństwem „niewygód”, ale równocześnie mniej lub bardziej podświadomie zamierzałem w pełni korzystać z pewnego komfortu psychicznego, jaki – w mojej ocenie – dawała pozycja kapłana. Wydawało mi się, że przez sam fakt „bycia księdzem” jest się automatycznie „kimś”. Wchodziłem w kapłaństwo z wizją Kościoła będącego z jednej strony umocowanym w Bogu (a więc w sferze nadprzyrodzonej) znakiem sprzeciwu wobec otaczającej mnie rzeczywistości, z drugiej – stanowiącego jedyną dostępną sferę wolności.

Było dla mnie oczywiste, że tylko wiara jest fundamentem, na którym można cokolwiek w Polsce budować. W latach formacji seminaryjnej wyobrażałem sobie swoją przyszłą działalność duszpasterską jako zdecydowanie pozytywistyczną pracę u podstaw. Pamiętam, że wielokrotnie w gronie kolegów mówiliśmy, iż jako księża będziemy się zajmować w coraz większym stopniu nie tyle katechizowaniem, ile ewangelizacją, nie tyle pogłębianiem wiary powierzonych nam ludzi, ile budowaniem jej zrębów. Napisałem nawet pod koniec pobytu w seminarium (nigdy nie opublikowany) artykuł *Polska krajem misyjnym?*

Rzeczywistość brutalnie zweryfikowała wyobrażenia i plany. Dużym wstrząsem było dla mnie rozpoczęcie katechizowania w szkole. Będąc człowiekiem pozbawionym szczególnych talentów pedagogicznych, jako tako radziłem sobie w pierwszym roku kapłaństwa w salce katechetycznej. Gdy w następnym roku stanąłem w szkolnej klasie, „przeszkadzała” mi przede wszystkim obecność tych dzieci, które do salki przy kościele nigdy by nie przyszły. Łatwo było w seminarium mówić o konieczności ewangelizacji. Tu trzeba było próbować – w tym samym pomieszczeniu i tym samym czasie – jednym dzieciom mówić prawdy najbardziej podstawowe, na przykład takie, że Bóg nas kocha, że w ogóle istnieje, że Chrystus przyszedł na świat, umarł na krzyżu za nas, że zmartwychwstał, a innym pomagać w pogłębianiu wiary i dbać o to, żeby się nie nudziły.

Szybko również okazało się, że w nowych warunkach pozycja księdza, ba, całego Kościoła katolickiego, nie jest taka, jak ją oceniałem przed przyjęciem święceń. Bycie „znakiem sprzeciwu” nie zawierało w sobie wcale tego komfortu psychicznego, który sobie wyobrażałem. Napięcie między *sacrum* i *profanum*, źródła którego upatrywałem w ideologizacji życia przed

1989 rokiem, wcale nie zniknęło wraz z upadkiem komunizmu. Wręcz przeciwnie, zaczęło przybierać nowe nazwy i szerzyć się w moim otoczeniu pod pozorem „prawdziwej wolności”. Wartości dla mnie oczywiste zaczęli podważać i negować ludzie, po których jeszcze kilka lat wcześniej wcale bym się tego nie spodziewał. Odkryłem (z pewnym zdumieniem), że wcale liczna grupa ludzi traktowała Kościół – mój Kościół, do którego należę i z którym się identyfikuję – jedynie w sposób instrumentalny. Co gorsza, szeregi tych, którzy próbują posłużyć się Kościołem, księdzem, a ostatnio w coraz większej mierze także kościelnym środkiem przekazu, nie maleją, lecz rosną. Przekonuję się o tym szczególnie dobitnie, odkąd zacząłem pracę w redakcji „Gościa Niedzielnego” – katolickiego tygodnika.

Od kilku lat pełnię posługę kapłańską w sposób specyficzny – pracując jako dziennikarz. Niewiele mam wspólnego z duszpasterstwem parafialnym. W ciągu tych kilkudziesięciu miesięcy zastanawiałem się wielokrotnie, czy aby wykonywać swoją pracę, muszę być księdzem. Także inaczej – czy moje miejsce jako kapłana nie jest raczej na ambonie niż przy redakcyjnym komputerze. Myślę jednak, iż nie nadużywam słów, kiedy mówię, że również pracuję duszpastersko, że ewangelizuję, katechizuję. Mam głębokie przekonanie, że obecność kapłana na takim miejscu jak moje ma ogromny sens właśnie we współczesnym świecie, który jest coraz bardziej światem *mass mediów*. Nie może w nim zabraknąć Ewangelii. Nie może w nim zabraknąć tych, którzy głoszą Dobrą Nowinę, posługując się najnowszymi zdobyczami techniki w dziedzinie komunikacji między ludźmi. Chociaż nie jest to zadanie proste. Czasami wydaje mi się, że o wiele łatwiej jest głosić wiarę na ambonie niż w gazecie, radiu, telewizji czy Internecie. Szybko jednak uświadamiam sobie, że aby nadal można było głosić Ewangelię w świątyniach, trzeba ją nieść ludziom właśnie poprzez środki społecznego przekazu.

Spotykam się ostatnio z opiniami mówiącymi o kryzysie tożsamości polskiego księdza katolickiego. Patrząc na moich konfratrów, nie dostrzegam przejawów takiego zjawiska. Widzę natomiast coś innego, zwłaszcza wśród młodszych księży, tych, którzy przyjęli święcenia prezbiteratu krótko przed lub po roku 1989. Widzę usilną pracę nad kształtowaniem nowego sposobu „bycia księdzem” – odpowiadającego nowym warunkom. Właśnie sposobu, nie stylu.

I coś jeszcze. Niektórzy publicyści głośno mówią o pilnej potrzebie stworzenia wizji polskiego Kościoła katolickiego na najbliższe dziesięciolecie. Zgłaszają pretensje do episkopatu, że dotychczas jej nie wypracował. Pokazują nieporadność i zagubienie księży, stających wobec nowych, trudnych sytuacji. Tymczasem dziesiątki tysięcy polskich kapłanów pełni powierzoną im przez Boga misję. Modlą się ze swoimi wiernymi i za nich, odprawiają Msze święte, udzielają sakramentów, głoszą kazania o Jezusie Chrystusie, a nie o polityce, katechizują, koordynują działalność charytatywną w swoich parafiach, opiekują się ruchami i stowarzyszeniami katolickimi...

Po prostu są duszpasterzami, prowadzącymi powierzone im „owce” do zba-

wienia i starającymi się własnym życiem dawać świadectwo, że każdy jest powołany do świętości. Uważam za wielki, naprawdę niezasłużony dar, że dane mi jest być jednym z nich. Absolutnie przerastający mnie dar i niezgłębianą tajemnicę.

KS. ARTUR STOPKA, ur. 1959, przyjął święcenia w 1989. Kapłan diecezji katowickiej. Kieruje działem religijnym w „Gościu Niedzielnym”.

Ks. Henryk Szmulewicz

Myślenie na temat kapłaństwa bardzo mnie umacnia...

Mam kolegę, który odszedł od posługi kapłańskiej. Może to paradoks, ale jego odejście wciąż jest dla mnie jedną z najtrudniejszych „ankiet” o kapłaństwie. Powiedział mi kiedyś: „Nie wierz nikomu, kto cię będzie przekonywał, że jestem teraz szczęśliwy.” Spotkanie nasze było krótkie, przypadkowe. Sądziłem, że nie wyjdziemy poza rutynowy krąg tematów: zdrowie, praca i pogoda. Nie było nawet czasu na to, by wytworzył się nastrój na jakieś wielkie słowa. A jednak on, spokojnie, pewnie i „z pamięci” mówił, że istnieje coś, co nazywa się szczęściem, i że bez względu na to, ile wprowadzi się psychologicznych uzasadnień do wytłumaczenia obecnego stanu jego serca, on łączy szczęście z kapłaństwem.

Wspominam o tamtym spotkaniu, chociaż wiem, że nie trzeba przywoływać tematu kapłaństwa, aby uświadomić sobie, iż wiele osób dramatycznie poszukuje prawdziwego szczęścia, pokoju, miłości. Wszystko to krywa się gdzieś za zasłoną „zdrowia”, „pracy” i „pogody”. Ale kapłaństwo to szczególnie wielki dar prawdziwego szczęścia. W sakramencie tym bowiem Bóg, jeśli można tak powiedzieć, dzieli się z człowiekiem mocą swojego szczęścia. I o tym przekonuje mnie każda książka o kapłaństwie, każda „stro-na” mej kapłańskiej codzienności i każda „literka” w definicji szczęścia mojego kolegi...

Wielkość kapłańskiego szczęścia mierzy się wielkością Bożej miłości. Tego całościowego spojrzenia na kapłaństwo uczyłem się już w domu rodzinnym, a potem w seminarium. Od początku wiedziałem, że stawka jest bardzo wysoka. Dzisiaj, w szarości codziennych zajęć, inaczej dociera do mnie ta sama prawda o kapłaństwie aniżeli w dniu święceń. Ale przecież „inaczej” nie znaczy od razu: „mniej”, „gorzej”, „słabiej”. Mam taką nadzieję. I chciałbym teraz o tym napisać. Boję się tylko, aby troska o dobór odpowiednich słów, wyrażań czy myśli nie zepsuła tej płaszczyzny szczerości, na którą wprowadził nas ktoś „inny” – mój kolega – z głębi jego bólu i tęsknoty za utraconym kapłańskim szczęściem.

Otóż właśnie: szczerść. Bez szczerści nie ma u ludzi prawdziwej wiary, a cć dopiero gdy chodzi o wiarę kapłana. To ona otwiera człowiekowi drogę do każdego powołania. A zatem: moje kapłańskie szczerście – tak, ale tylko wtedy, gdy szczerść będzie „drugim imieniem” kaźdej mojej myśli, słowa oraz czynu. W ten sposób postawa szczerści będzie mogła nadawać realny kształt mojej kapłańskiej przysiędze: wobec ślubu posłuszeństwa – szczerść jednoznaczności wyboru; wobec ślubu celibatu – szczerść dyscypliny uczuć.

Jednoznaczny wybór. Jest on podstawą kapłańskiego szczerścia we współczesnym świecie. Zresztą nie tylko współczesnym; tak było na przestrzeni wieków, odkąd Chrystus oddał swoje życie za przyjaciół. Jednoznaczny wybór – wówczas Jego, dziś – kapłana. Już w seminarium bardzo wiele słyszałem o wolności jako darze i zadaniu. Jednoznaczność miała być podstawą skuteczności wspólnych działań, podejmowanych dla dobra Kościoła w jego zbawczej misji. Rzecz jednak w tym, że jednoznaczność wyboru nabiera szczególnego znaczenia w obliczu kapłańskiego ślubu posłuszeństwa. Patrząc w przyszłość, muszę sobie życzyć, aby szczerść jednoznaczności wyboru była coraz bardziej obecna w moim kapłańskim życiu. Wierzę, że lęk i trudności pokonam dzięki miłości do Boga – jedynie ona może być podstawą prawdziwego posłuszeństwa. Jakże jestem wdzięczny kapłanom, których już spotkałem na drodze mojego życia, za ich jednoznaczność.

Dyscyplina uczuć. Czym ona jest? Zaryzykowałbym następujące ujęcie: dyscyplina uczuć oznacza, że wszystkie dobre uczucia, zwłaszcza uczucia sympatii, przyjaźni, miłości, są obecne w kapłańskim życiu jako rzeczywistość wpisana w historię zbawienia kaźdego człowieka. Takiemu podejściu do problemu „świata uczuć” w życiu kapłana zdaje się towarzyszyć przekonanie naszych wiernych, którzy uznają, że kapłan to człowiek dojrzały moralnie, wykształcony, postawiony na świeczniku, obdarzony łaską stanu, skierowany ku wieczności, przeznaczony dla miłości wszystkich ludzi, wyświęcony dla Kościoła, zakochany tylko w Bogu. I dlatego wszelkie zachwianie równowagi uczuć może stać się zagrożeniem kapłańskiego szczerścia oraz szczerścia innych osób. Dyscyplina uczuć musi być więc tak jednoznaczna, jak jednoznaczna jest miłość Chrystusa do ludzi. To są wielkie słowa. Ale nie szkodzi. Myślenie na temat kapłaństwa umacnia.

Chcę jeszcze opowiedzieć pewną historię. Jeden z kapłanów ciężko zachorował. Najpierw zrobił potrzebne badania, potem konieczny był szpital. Pewnego dnia wezwał go do siebie lekarz. Przed rozmową poprosił go, aby poczekał „jedną chwilę” w gabinecie. Na stole leżały różne dokumenty, notatki, papiery. Ale pewnie w związku z mającą się odbyć za chwilę rozmową z pacjentem gdzieś na wierzchu leżały analizy zdrowia tego księdza. Nachylając się nieco do przodu, zauważył swoje nazwisko na karcie, a pod spodem po łacinie nazwę swej choroby. Usiadł. Ręką zasłonił twarz. A więc stało się! To już koniec. Może zaledwie kilka miesięcy życia... Lekarz wrócił do gabinetu. Wymiana spojrzeń była jednoznaczna. Lekarz zrozumiał, że już nie musi nicze-

go tłumaczyć. I wrócił ten kapłan do swojej parafii. I mówił kazania, uczył dalej dzieci i codziennie odprawiał Mszę świętą. Przyjmował sprawy i troski parafii, spowiadał, chodził w niedzielę po składce, rozdawał Komunię świętą, jechał do chorego, odmawiał brewiarz – i wszystko tak samo jak przedtem, a przecież, a jednak – inaczej. Minęło kilka tygodni. Wrócił do szpitala. Tam się okazało, że choroba nie grozi mu śmiercią. Zatrzymał się cały dramatyczny bieg wydarzeń. Dzisiaj ten kapłan wrócił do swojej parafii. I pewnie dalej będzie mówił kazania, uczył dzieci i Mszę świętą odprawiał codziennie. Będzie przyjmował sprawy i troski parafii, spowiadał, chodził w niedziele po składce, rozdawał Komunię świętą, jechał do chorego, odmawiał brewiarz. Wszystko tak samo jak przedtem, a przecież, a jednak – inaczej.

Myślenie na temat kapłaństwa bardzo mnie umacnia. Bo kapłaństwo to wielki dar prawdziwego szczęścia. Dar Jezusa Chrystusa. On jest Jedynym i Wiecznym Kapłanem. W Nim my, kapłani, jesteśmy włączeni w tajemnicę obdarowywania ludzi właśnie Bożym szczęściem. I nie: pomimo wszystko, ale: ze względu na wszystko.

KS. HENRYK SZMULEWICZ, ur. 1963, przyjął święcenia w 1988. Kapłan diecezji tarnowskiej, pełnił funkcję sekretarza naukowego ks. bpa Józefa Życińskiego.

Ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkinel

1. Od najwcześniejszych dziecięcych lat – od kiedy tylko pamiętam – fascynował mnie kościół (jako budowla) i to, co się w nim działo: nabożeństwa, gra organów, śpiewy liturgiczne itp. W centrum tego wszystkiego był ksiądz, który przyciągał strojem, zachowaniem. Podobało mi się zwłaszcza, jak szedł przez kościół z koszykiem od ławki do ławki, ludzie wrzucali pieniądze, a on mówił: „Bóg zapłać”. Bardzo chciałem wrzucać do koszyka, bo wówczas – prawie zawsze – gładził mnie po głowie; byłem w siódmym niebie. W domu bawiłem się w księdza – do pojemniczka od zapalek zbierałem połamaną na kawałeczki i rozłożoną po pokoju pozostałą część pudełka, mówiąc przy tym głośno: Bóg zapłać. Od lat przedszkolnych i jeszcze w szkole podstawowej chciałem być księdzem, więcej – byłem pewny, że nim będę. Szkoła średnia zmieniła mój świat. Wprawdzie byłem nadal ministrantem, ale ksiądz przestał mnie fascynować. W moim nowym świecie byłem najczęściej: na scenie szkolnego teatru, z gitarą lub akordeonem, na wszystkich zabawach szkolnych i pozaszkolnych (prywatkach). Pan Bóg wydawał się coraz mniej potrzebny. W klasie maturalnej miałem poważne wątpliwości, czy rzeczywiście jest...

Przypadkowe słowa na parę tygodni przed maturą dały początek całej serii wydarzeń, które zakończyły się moim wstąpieniem do seminarium i – po sześciu latach studiów – przyjęciem święceń. Gdy szedłem do semina-

rium, moje „niebo płonęło”. Przyjmując święcenia w 1966, nie miałem wątpliwości, że kapłaństwo jest moim przeznaczeniem. Właściwą tajemnicę powołania – wołania wciąż ponawianego – odślaniają lata kapłańskiego życia. Dziś dowody na istnienie Boga nie są mi potrzebne.

2. Studia seminaryjne dały mi niezłe uporządkowaną wiedzę filozoficzno-teologiczną. Zabrakło w nich szeroko pojętej humanistyki; zwłaszcza dobrze wykładanej historii (w tym historii Polski) oraz wiedzy z zakresu literatury (również polskiej). Ponadto za mało uwagi poświęcono – zdaje się, że niewiele w tej materii uległo zmianie na lepsze – formacji wewnętrznej. Sądzę, że najbardziej odpowiedzialną funkcją w seminarium jest ta, którą pełni ojciec duchowny. Wszystkie egzaminy diabeł zda na piątki. Jedynie ojciec duchowny jest w stanie go zdemaskować. Oczywiście, aby mógł to uczynić, potrzebne jest mu coś więcej: mianowicie to, dzięki czemu św. Katarzyna ze Sieny – podobno analfabetka – została Doktorem Kościoła.

3. Najważniejszą zmianę, jaka zaszła w moim przeżywaniu Kościoła i kapłaństwa – i co uważam za wielką łaskę – określiłbym jako przejście od eklezjocentryzmu do chrystocentryzmu. Początki owego procesu rozpoczęły się już w seminarium.

Dokładnie nie pamiętam, jaka to była okazja – chyba ceremonia obłóczyn któregoś z kolejnych roczników studiujących w Seminarium Duchownym, podczas której z ust biskupa Tomasza Wilczyńskiego padły słowa: „dla mnie – moi drodzy – największym dowodem na Boskie pochodzenie Kościoła jest fakt, że go biskupi i księża przez prawie dwa tysiące lat nie rozwalili...” Po wyjściu z kaplicy dopytywałem się moich kolegów, czy słyszeli to, co ja usłyszałem. Albowiem usłyszane słowa jakoś drażniły moje „pobożne” uszy. W rzeczywistości była to jedna ze wspansialszych konferencji, jakie dane mi było usłyszeć. Dziś nie mam najmniejszej wątpliwości, że „Kościół jest świętą społecznością grzeszników” (określenie ks. J. Pasierba). Grzeszników! Na początku każdej Mszy świętej słyszymy słowa: „Przepróśmy Boga za nasze grzechy”; odnoszą się one do wszystkich sprawujących ją i uczestniczących. Ale pomimo naszych grzechów Kościół jest święty, bo święty jest żyjący w Kościele i ożywiający Go Jezus z Nazaretu. Tylko w Nim jesteśmy Kościołem i – ostatecznie – przez Niego, z Nim i w Nim moje kapłaństwo ma znaczenie i sens.

4. Jedną z poważniejszych trudności, którą dzieję, jak mniemam, z wszystkimi księżmi, związana jest z celibatem, czyli koniecznym powiązaniem bezżeństwa z kapłaństwem. Jestem przekonany, że większość księży, których to dotyczy, dochowuje złożonych przyrzeczeń, co jednak nie znaczy, że nie mają tu trudności – ponieważ wynikają one z faktu bycia człowiekiem. I problemem nie jest samo doświadczenie trudności, lecz ich usensownianie, odnajdowanie racji w nauczaniu Jezusa Chrystusa, w wierze wciąż pogłębianej.

Jak wiadomo, Kościół Zachodni związał kapłaństwo z celibatem od XI wieku i – pomimo przewalających się przez wieki krytyk – bardzo zdecydowanie obstaje przy jego zachowaniu. Dlaczego? Nie sądzę, aby można było

podtrzymywać opinię – przypominaną przez przeciwników celibatu – że zdecydował o tym któryś z papieży (Grzegorz VII), aby ratować majątek Kościoła przed podziałem między dzieci duchownych. Jeżeli nawet taka argumentacja pojawiła się w XI wieku, to ostatecznie okazało się, że tym, co wzniecało problemy, był sam majątek, a nie jego podział. Chrystocentryczne pojmowanie Kościoła każe szukać racji w nauczaniu Jezusa. On zaś wyraźnie mówił, iż są tacy bezzenni, którzy „dla królestwa niebieskiego sami zostali bezzenni. Kto może pojąć, niech pojmuje” (Mt 19, 10-12).

Celibat – trzeba to wyraźnie powiedzieć – jest dotkliwie odczuwalnym krzyżem! Można go unieść jedynie dla królestwa niebieskiego i może go unieść – samemu zostać bezzennym – ten, kto może pojąć. Ale – powiedzą przeciwnicy – któż może pojąć? Dokładniej formułując pytanie: kto – mając 24 czy 26 lat (przeciętny wiek przyjmowania święceń kapłańskich) – może mieć pewność, że pojmuje, czym dla niego jest bezzenność? Odpowiadam: kto – mając lat 18 czy nawet 30 – pojmuje w pełni, gdy w sakramencie małżeństwa przyrzeka drugiej stronie: „nie opuszczę cię aż do śmierci”? Ma jednak odwagę to powiedzieć z dwóch powodów: po pierwsze ślubuje miłość temu, kogo kocha, oraz po drugie – prosi samego Boga o pomoc. Cała reszta – wierność – jest budowaniem miłości w Miłości. Podobnie – bo przecież nie tak samo – ma się sprawa z celibatem w życiu księdza. W obu wypadkach chodzi o wierność w miłości.

Jeżeli ksiądz jest czasami samotny, a chyba czasami jest, to przyczyną samotności nie jest brak żony (rodziny). Samotnym można być również wśród ludzi, w rodzinie. *On est seul aussi chez les hommes*, stwierdza autor *Małego księcia* i ma rację. Natomiast z całą pewnością nie był samotny Karol de Foucauld, żyjąc na Saharze. Chyba że mowa o takiej samotności, o której pisał św. Paweł: „już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus” (Ga 2, 20). Zdaje się, że o taką właśnie samotność prosi ks. Twardowski w jednym ze swoich pięknych wierszy: „Nie proszę o tę samotność najprostszą (...) kiedy zostaję sam jeden jak palec (...) proszę Ciebie o tę prawdziwą (kiedy Ty mówisz przeze mnie) a mnie nie ma.” I jedynie w tak rozumianej samotności widzę sens celibatu.

Któż to może pojąć? A czy można pojąć Miłość? – „jest z Boga” (1J 4,7). Ten tylko odda wszystko powierzonym jego pieczy, nawet, w razie potrzeby, swoje własne życie (dobry pasterz), kto sam został bezzenny dla królestwa niebieskiego. I tylko ten będzie chciał uczyć się „miłować ludzką miłość” (Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*, s. 103), kto pochłonięty jest Bożą Miłością. W każdym razie tak rozumiem intencję Kościoła Zachodniego, który, mając na uwadze doświadczenia wieków, powiązał kapłaństwo z celibatem. Poniekąd zażądał od swoich kapłanów całkowitego zakochania się w miłości.

Inna trudność, chyba swoiście moja; a może i nie...? Chciałbym traktować ją jako skutek, wciąż jeszcze trwającej w Polsce „gorączki posttotalitarnej”. Stąd żywię nadzieję, że jest ona czymś przejściowym. Póki co – bardzo boli... Oto jej kontekst.

Od chrztu Mieszka I po dzisiaj to, co katolickie, czy ogólniej – chrześcijańskie, oświecało i przemieniało (wychowywało) wielobarwny oraz zmieniający wymiar i kształty „witraż” – Polskę. Był czas, że ów „witraż” podzielono; wydawało się, że rozbito. Jednakże świadomość jego istnienia trwała w duszach ludzkich, ujawniała się w kulturze, ukazała w pełni kulturę Narodu; mówiąc dokładniej – kulturę wszystkich, którym Polska była ojczyzną. Bowiem „przez wieki swojej tysiącletniej historii Polska była państwem wielu narodów i wielu wyznań chrześcijańskich i nie tylko chrześcijańskich” (tamże, s. 116). Wielonarodowa i wielowyznaniowa Polska odrodziła się po I wojnie światowej. Taka też, choć jeszcze bardziej wykrwawiona, oplakująca miliony poległych swoich dzieci, podnosiła się z ruin po II wojnie światowej. A kiedy mocodawcy PRL-u usiłowali jej „krwioobiegami” uczynić doktrynę „walki klas”, Prymas Tysiąclecia, duchowy syn ks. Władysława Komitowicza, z mocą przypominał i upominał się o to, co stanowiło przez wieki kulturę Narodu. Swoistym ukoronowaniem posługiwania Prymasa Tysiąclecia była pierwsza pielgrzymka do Ojczyzny Papieża-Polaka, który na Placu Zwycięstwa w Warszawie mówił: „Dzieje narodu zasługują na właściwą ocenę wedle tego, co wniósł on w rozwój człowieka i człowieczeństwa, w jego świadomość, serce, sumienie. To jest najgłębszy nurt kultury. To jej najmocniejszy zrąb. (...) Otóż nie sposób zrozumieć dziejów Narodu polskiego – tej wielkiej tysiącletniej wspólnoty (...) – bez Chrystusa.” Owa tysiącletnia wspólnota – dzieje Narodu polskiego – to, zdaniem Ojca Świętego, również „dzieje ludów, które żyły wraz z nami i wśród nas, jak choćby ci, których setki tysięcy zginęły w murach warszawskiego getta”.

Zacytowane słowa wypowiedziano w roku 1979. Dziesięć lat później Polska stała się znowu państwem niepodległym, demokratycznym. Jest dziś – dzięki Bogu wciąż jeszcze – państwem wielonarodowym i wielowyznaniowym; jak przystało państwu demokratycznemu, jest ono wielopartyjne. Kościół katolicki, chrześcijaństwo są – podobnie jak za czasów Piastów i Jagiellonów – światłem oświecającym, wychowującym. Jest – bo to jego posłannictwo – Matką i Nauczycielką (*Mater et Magistra*) wszystkich i każdego.

Natomiast Kościół katolicki w Polsce nie jest ani prawicą, ani lewicą; nie należy do żadnej partii; więcej – żadna partia nie jest mu potrzebna! A więc językiem polskiego duchownego powinien być język Ewangelii – język osobowy, dostrzegający i szanujący osobę, unikający jakiegokolwiek totalizacji. I kiedy mówi on o kulturze Narodu, proszę, niech o kulturze mówi¹ – nie o pochodzeniu plemiennym! Albowiem kiedy polski duchow-

¹ „Aby tworzyć kulturę, trzeba do końca i integralnie widzieć człowieka jako szczególną, samoistną wartość, jako podmiot związany z osobową transcendencją. Trzeba tego człowieka afirmować dla niego samego, nie dla jakichkolwiek innych racji czy względów – jedynie dla niego samego! Trzeba tego człowieka po prostu miłować dlatego, że jest człowiekiem – trzeba wymagać dla niego miłości ze względu na szczególną godność, jaką posiada. Otóż ten zespół treści należy do samej istoty ewangelicznego orędzia Chrystusa i posłannictwa Kościoła” (z przemówienia Jana Pawła II w UNESCO, 2 czerwca 1980).

ny takich jak ja – Żydów z pochodzenia – nazywa „obcokrajowcami mówiącymi językiem polskim”, sprawia nam ból; mniejsza o to, dzieje nauczyły nas z tym żyć. Ów duchowny i wszyscy solidaryzujący się z nim poniżają Polskę, wykrzywiając jej dzieje – sprowadzając całe jej duchowe bogactwo do plemiennego (mitycznego zresztą) zakalca. Ale jest jeszcze coś groźniejszego; mianowicie już nie to, co katolickie i chrześcijańskie, kształtuje dzieje Polski; to owi „prawdziwi” Polacy kształtują jakiś „katolicyzm” polski oraz jakieś „chrześcijaństwo” narodowe (plemienne). Ostatecznie – można by powiedzieć – ich wolność i odpowiedzialność!

Rzecz jednak w tym, że to, co kształtują owi „prawdziwi”, już nie jest Kościołem katolickim umacnianym w wierze przez Piotra naszych czasów. On uczy inaczej: „W świecie podzielonym ponadnarodowa jedność Kościoła katolickiego pozostaje wielką siłą, którą w swoim czasie dostrzegli jego wrogowie i którą w dalszym ciągu dostrzegają różne instancje światowej polityki i organizacji. Nie dla wszystkich jest to siła wygodna” (*Przekroczyć próg nadziei*, s. 131). W rzeczy samej, nie dla wszystkich!

5. Przeżywanie kapłaństwa nie jest, oczywiście, tylko przeżywaniem trudności. Właśnie dlatego trudności – te, o których wspomniałem, i inne – można „unieść”, ponieważ sakramentalne kapłaństwo jest przede wszystkim przeżywaniem bliskości Tego, który powołał: „Wytrwajcie w miłości mojej! (...) Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem...” (J 15, 9 i 16). Fundamentem tejże bliskości jest Eucharystia i Sakrament pojednania (pokuty) – zanurzenie i dzielenie się Miłością. A reszta –

Górami czyni!...

– a słowa? a myśli?...

– potem!...

(C. Norwid, *Język Ojczysty*)

KS. ROMUALD WEKSLER-WASZKINEL, ur. 1943, przyjął święcenia w 1966. Kapłan diecezji lubelskiej, wykładowca filozofii na KUL.

Ks. Bogusław Wójcik

Upływ czasu niemal mechanicznie wymusza powroty do wyborów, które określiły naszą obecną sytuację życiową. Święcenia kapłańskie, które były dla mnie takim wiążącym momentem, miały miejsce pięć lat temu. Decyzja, którą wtedy podejmowałem w katedrze tarnowskiej, a którą zaaprobował Kościół w osobie biskupa, zapadła oczywiście dużo wcześniej, a raczej, należałoby powiedzieć, kształtowała się przez wiele lat. Zasadnicze znaczenie miał dla mnie czas szkoły średniej. Była to akurat pierwsza połowa lat 80. Kontekst przemian społeczno-politycznych musiał oddziaływać na tworzący się sys-

tem wartości młodego człowieka. I rzeczywiście nastąpiło wtedy zderzenie mojego młodzieńczego idealizmu z realiami państwa rządzonego już nie przez ideologów, lecz pragmatyków partyjnych. Wiara pomagała mi przetrwać trudne momenty i sprawiała, że rzeczywistość jawiła się jako mniej chaotyczna. Choć byłem zaangażowany w życie parafii jako lektor i uczestniczyłem w cotygodniowych spotkaniach grupy biblijnej, choć jeździłem na oazy i chodziłem na piesze pielgrzymki, drażniła mnie religijność manifestowana w zachowaniach dewocyjnych. Wszystko to zresztą zajmowało jedynie jakiś skrawek czasu, który w zasadniczej części wypełniały szkoła, dom, grono przyjaciół. Nie kryję, iż doświadczałem wówczas i takich momentów, gdy płynna była dla mnie granica wyboru między wiarą a agnostycyzmem, ryzykiem pójścia za głosem Mistrza a przyjęciem postawy życiowego pragmatyka. Mimo wszystko dziś jeszcze nie potrafię powiedzieć, dlaczego wtedy wybrałem seminarium. Pozostaje to dla mnie tajemnicą otwarcia na działanie łaski, która przemienia człowieka. Tajemnicą ciągle odkrywaną, dostarczającą mi wiele optymizmu, który wypływa z wiary, że Bóg prowadzi mnie po życiowych ścieżkach i pozwala wciąż na nowo Go wybierać.

Podążanie za Chrystusem zawsze będzie niosło z sobą „ryzyko” odkrywania siebie, bliźnich i świata w prawdzie objawionej. Mówię o ryzyku niepokoju i niedosytu, które nie pozwalają na stagnację w rozwoju duchowym, lecz wymagają coraz większego zaangażowania. Jest to z pewnością rodzaj naturalnego środka ochronnego przed wpadnięciem w rutynę. Staram się więc być otwarty na rozwój, na wymagania, które niesie codzienność nie w nadzwyczajnych zdarzeniach, lecz w konkretnych obowiązkach. Myślę, iż przyczyn skostnienia czy rutynizacji, które dotyczyć mogą każdą instytucję, należy poszukiwać nie w strukturach, lecz w człowieku. Struktury należy ciągle modyfikować, by nie stanowiły przeszkody dla człowieka, który nie odnajdzie się już w realiach, za jakimi tęsknią starsze pokolenia. Jednak zawsze uważałem, iż decydującym czynnikiem jest umożliwienie wzrostu wiary na glebie odpowiedzialnie przeżywanej wolności. Taka perspektywa pozwoliła mi wynieść bardzo wiele z czasu spędzonego w seminarium, zarówno pod względem rozwoju duchowego, jak i intelektualnego. Okres seminaryjnego wzrostu sprawił, że dziś mogę podejmować te wyzwania, które niesie życie, bez obaw i ze świadomością, iż konieczne jest zaangażowanie, które chroni przed rutyną czy poruszaniem się w obrębie stereotypów. Myślę, że dzięki takiej postawie ewoluuje moja świadomość bycia księdzem, i to nie w ramach dostosowywania się do gotowych standardów świętości, lecz w ramach dojrzewania do odkrywania i akceptacji tych zadań, które stawia przede mną dziś Chrystus w Swoim Kościele.

Odkrywanie radykalizmu wezwania Chrystusa ujawnia się powoli. Stopniowo i na co dzień dorasta się do świadomości daru, który nieodłącznie związany jest z ofiarą. Kiedy spotykam „życziwych”, zatroskanych o kształt mojego życia, w którym zrezygnowałem z rodziny, z miłości do wybranej kobiety i miłości do własnych dzieci, zastanawiam się, dlaczego tak bardzo

usiłują potwierdzić swoją koncepcję miłości przez „ubolewanie” nad innymi, zamiast na przykład dawać świadectwo piękna tej miłości, której sami doświadczają. Niczego się wtedy nikomu nie narzuca ani nie próbuje się wyznaczać jedynie słusznego paradygmatu miłości obowiązującego wszystkich. Nigdy nie cierpiałem na jakiś typ „alergii”, która utrudniałaby mi kontakty z kobietami. Mogę powiedzieć, że spotkałem w swoim życiu i ciągle spotykam wiele wspaniałych kobiet. Fakt, że żadna z nich nie stała się wybranką życia, nie przeszkadza mi doświadczać ich przyjaźni. Również to, iż zrezygnowałem z naturalnego ojcostwa, pogłębiło moją wrażliwość czy troskę o duchowe wsparcie tych, których mogę podobnie jak św. Paweł Apostoł nazwać dziećmi o tyle, o ile przybliżam im Chrystusa. Zrozumienie, co oznacza rezygnacja z własnej rodziny, przychodzi oczywiście stopniowo i z różnym natężeniem. Rodzajem megalomanii byłoby więc wmawianie sobie czy innym, że jest to sfera, która nie wymaga szczególnej uwagi czy pracy nad sobą. Trudno sobie jednak wyobrazić, by można było stać się autentycznym świadkiem Chrystusa, wybierając drogę stopniowych kompromisów zamiast ufego wpisania siebie samego w praktykę życia potwierdzoną 2000 lat historii Kościoła.

Kwestią, którą chciałbym jeszcze poruszyć, jest funkcjonująca czasami opinia o relacjach między duchownymi i świeckimi. Dobrze wiemy, że kompleksy mogą być i nawet nierzadko są odreagowywane z jednej i z drugiej strony. Z pewnością wiele w tej materii będzie się zmieniać. Myślę jednak, że młodsze pokolenia, nie doświadczane tak bardzo przez historię, obok niebezpieczeństwa popadnięcia w przesadny liberalizm otrzymały również umiejętność swobodnego wyrażania swoich opinii czy odczuć. Przykładem może być choćby fakt, że podczas spotkań w gronie przyjaciół, znajomych czy nawet przygodnych rówieśników moja obecność nie sprawia, że jakieś tematy stają się „zakazane”. Wprost przeciwnie – często jest to okazja do sprecyzowania poglądów, wymiany zdań i uwag. Dzięki takim spotkaniom wielokrotnie mogę dowiedzieć się, co się komuś w Kościele czy u księży podoba czy też nie, co należałoby zmienić, przywrócić czy też wprowadzić. Rzadko odnoszę wrażenie, iż mam do czynienia z krytykanctwem, a nie konstruktywną krytyką. Może to kwestia odbioru, a może po prostu umiemy się słuchać w taki sposób, dzięki któremu pogłębia się nasza wiedza o sobie, a więc i wzajemne zrozumienie.

KS. BOGUSŁAW WÓJCIK, ur. 1967, przyjął święcenia w 1992. Kapłan diecezji tarnowskiej, pełnił funkcję sekretarza biskupa Józefa Życińskiego. Obecnie kieruje działem publicystyki Radia Dobra Nowina.

LIST OD BYŁEGO KSIĘDZA

DO WSZYSTKICH ZNANYCH I NIEZNANYCH PRZYJACIÓŁ

„A jeśli nasze serce oskarża nas, to Bóg jest
większy od naszego serca i zna wszystko.”
(1 J 3, 20)

Piszę do Was, drodzy, ten list już „z drugiej strony” mojego kapłaństwa, by podzielić się garścią myśli i bolesnych doświadczeń. Z powodów, o których trudno tu pisać – być może przyjdzie jeszcze na to odpowiednia pora – podjąłem niełatwą decyzję zawieszenia mojej kapłańskiej posługi sakramentalnej. Nie decyzję odejścia od kapłaństwa, gdyż od niego nie można odejść – kto został kapłanem, pozostanie nim na wieki – ale właśnie zawieszenia, w sytuacji, w której z powodów konfliktu między sumieniem i wymogami prawa nie mogłem już pogodzić wierności powołaniu z odpowiedzialnością za matkę i dziecko, które z niej się poczęło. Taka sytuacja nie rodzi się oczywiście bez powodu i winy. Pierwsza Miłość i pierwsza wierność zobowiązują. Czy jednak nagle pojawienie się tej drugiej wierności jest i musi być zdradą tej pierwszej? Czy z człowiekiem nie może stać się tak jak z drzewem powalonym przez burzę? Być może tak, ale rzeczywiste przyczyny i winę może rozsądzić tylko sam Bóg, który zna człowieka, zanim jeszcze został on utkany w łonie matki. Być może tak. Ale przecież, mógłby powiedzieć ktoś z Was, można się podźwignąć. Nie zawsze. Są takie upadki, z których nie ma już powrotu do sytuacji pierwotnej, jak w przypadku złamanego drzewa, które już się nie zrośnie. Są takie upadki, które stawiają przed dramatycznym wyborem. Czy można kochać Boga, którego się nie widzi, nie miłując bliźniego, którego się widzi? Czy można wybrać człowieka nie zdradzając Boga? Właśnie w samym środku tego konfliktu rodzą się prawdziwe dylematy kapłana. Nie chcę tu pisać o sobie. Chcę porozmawiać z Wami o tym, jak widzę kapłaństwo z „tamtej strony” konfliktu wierności.

Kapłaństwa nie da się oddzielić od Kościoła. Nie można zatem rozważać go, nie określiwszy, jak Kościół rozumie siebie i swoją obecność w świecie. Dla mnie Kościół jest i pozostanie autentyczną wspólnotą miłości w Jezusie Chrystusie. „Przykazanie zaś Jego jest takie, abyśmy wierzyli w imię Jego Syna, Jezusa Chrystusa, i miłowali się wzajemnie tak, jak nam nakazał. Kto wypełnia Jego przykazania, trwa w Bogu, a Bóg w nim” (1 J 3, 23-24). Zadaniem Kościoła jest: trwanie w Bogu, to znaczy głoszenie Jezusa, który jest miłością, i czynienie Jego miłości; budowanie prawdziwych więzi międzyludzkich; poszukiwanie, na wzór Jezusa Pasterza, tych, którzy się zagubili; otwieranie ramion, na wzór miłosiernego Ojca, powracającym; podawanie ręki tym, którzy wpadają w życiowe rozpadliny; budzenie nadziei u wątpiących, wrażliwości na każdego człowieka. Szacunek, który Kościół winny jest każdemu człowiekowi, wypływa z faktu, że Bóg stał się człowiekiem. Przyszedł na ziemię i „stał się nam podobny we wszystkim oprócz grzechu” nie po to, aby znieść człowieczeństwo, przewyciężyć je, lecz by je wypełnić. Dlatego powiedziałem kiedyś w jednym z kazań do osób, które wybrały drogę życia konsekrowanego, że „Bóg obdarzył nas najpierw darem człowieczeństwa, abyśmy stawszy się chrześcijanami, byli dla siebie nawzajem bardziej ludzcy, a wybrawszy drogę życia konsekrowanego, byli dla siebie jeszcze bardziej ludzcy”. Powiedziałem tak, by wyrazić głębokie przekonanie, że w chrześcijaństwie uprzywilejowanym miejscem obecności Boga, Jego czci i miłości jest drugi człowiek. Ojciec Jezusa Chrystusa nie jest ideą zamieszkującą gdzieś poza światem i jego historią, poza człowiekiem, jak w innych religiach. Dlatego nie można oddzielić oddawanej Mu czci i chwały od miłości bliźniego. Jeśli taki jest Kościół Jezusa Chrystusa, to zadaniem kapłana jest uobecniać w Eucharystii i w Sakramencie Pokuty tę miłość i samemu być jej autentycznym świadkiem.

Przypomniałem Wam te oczywiste prawdy, gdyż najczęściej zapominamy o tym, co najbardziej oczywiste. Przywołałem je, ponieważ teraz, „z drugiej strony kapłaństwa”, kiedy usiłuję zrozumieć stosunek wielu ludzi do mnie, mam wrażenie, że doświadczam innego Kościoła i innego kapłaństwa. Kościoła, który swoje powołanie rozumie jako walkę ze złem czającym się wciąż w świecie, budowanie na ziemi doskonałego królestwa poprzez wielkie „syntezy zbawcze” (Objawienia z kulturą, polityką, prawem itp.). Wydaje mi się, że wewnątrz Kościoła, szczególnie w Polsce, trwa wciąż spór pomiędzy Ewangelią Jezusa, dobrą nowiną o Miłości, która zamieszkała w każdym człowieku, a religią idei, ideałów, najczęściej bezosobowych, jak sprawiedliwość, życie, prawda, wierność itp., która niejednokrotnie w imię tychże ideałów gubi ludzi, przechodzi obok nich obojętnie. Tak jakby chodziło o zbawienie ludzkości, a nie człowieka. Jeśli wielu ludzi wierzących tak właśnie rozumie misję Kościoła – jako walkę ze złem świata – to swoich kapłanów uważa za żołnierzy, oficerów, generałów na froncie tej walki. A kimże

jest żołnierz, który schodzi z frontu, zwłaszcza w naszym walecznym narodzie? Im wyższa jego ranga, tym większa zdrada. Jeśli rozumie rolę Kościoła jako budowanie na ziemi doskonałego Królestwa poprzez wielkie „syntezy zbawcze”, religijne instytucje, to swoich kapłanów ma za „urzędników zbawienia”. Jeśli natomiast zadanie Kościoła bardziej postrzega w służbie religii idei i Boga-Idei niż jako oddawanie temu Bogu czci, „w duchu i prawdzie” miłości bliźniego, to wówczas nadaje kapłaństwu charakter „quasi-sakralny”. Kapłaństwo samo przez się, a nie przez treść świadectwa konkretnego kapłana, staje się wówczas czymś wyjątkowym, wynoszącym ponad życie społeczne, codzienność, i zaczyna odgrywać rolę społecznego tabu. Staje się takim samym społecznym tabu jak te, które były związane ze służbą greckich westalek pilnujących świętego ognia. Kapłan przez fakt samych święceń może czuć się „wybranym”, lepszym od innych, a jego rodzina znajdować szczególny powód do dumy. W takiej konwencji tabu traktuje się wówczas także celibat, który utożsamia się z istotą kapłaństwa, a święcenia kapłańskie określa mianem „zaślubin samego Boga”. Możemy sobie wyobrazić, że podobną dumę mogli czuć bliscy dziewczycy, która kiedyś, przed wiekami, została wybrana na ofiarę bogom. I możemy także uzmysłowić sobie ich ewentualne reakcje, gdyby się przelękała. Czy bardziej baliby się gniewu bogów, czy potępienia przez bliskich i opinię publiczną?

Takie pojmowanie kapłaństwa (żołnierz Boży, urzędnik zbawienia, odbicie idealnej doskonałości) powoduje, że kapłan, który z jakichkolwiek powodów, bez względu nawet na tragiczne przyczyny czy dramatyczny spłot okoliczności, podjął decyzję przerwania posługi sakramentalnej, postrzegany jest jedynie jako zdrajca. Nie ma tu miejsca dla kapłana-człowieka, który, jak każdy człowiek, mógł nie udźwignąć ciężaru i leży przy drodze, czekając na swojego Samarytanina. Jeśli tak rozumie się Kościół i kapłaństwo, to kapłan może być tym, który z uzasadnionych powodów ma prawo przejść obok leżącego przy drodze, ale sam w żaden sposób nie może być tym leżącym. Nie ma tu dla niego takiego miejsca. Tym bardziej dla stwierdzenia, że to nie zdrada, ale nowy rodzaj wierności, być może pod wieloma względami wcale nie łatwiejszej. Takie stwierdzenie może zabrzmieć tu co najwyżej jak bluźnierstwo. Możliwe jest więc coś, co niejednokrotnie zdarza się w podobnych sytuacjach: kocha się bardziej kapłaństwo niż konkretnego człowieka, który jest kapłanem.

Rodzi się więc dramatyczne pytanie o miejsce. Czy jest dla powalonego kapłana, leżącego przy drodze, miejsce w Kościele? W jakim jednak Kościele? Jeśli jest to Kościół, w którym kapłani spieszą się na kolejny front walki ze złem świata, to trudno, by zajmowali się dezertarami. Jeśli z mozołem budują wielkie „syntezy zbawcze”, to leżący mogą być dla nich co najwyżej wstydem, który należy głęboko ukryć. I gotowi są pomóc tylko pod takim warunkiem. Jeśli są wcieleniem doskonałości Boga, to mogą je-

dynie dziękować, że nie są jak tamci. A jeśli jest to „Kościół-Samarytanin”, który podaje rękę leżącym? Chciałbym Wam powiedzieć, że doświadczyłem także takiego Kościoła.

Wiem, że to wszystko, co przed chwilą napisałem, z pewnością przeraża wielu prostodusznych ludzi. Świat prostych podziałów na dobro i zło, dające stabilność instytucje, sakralizacja życia i społeczne tabu stanowią, jak sądzę, głęboką ludzką potrzebę. Szczególnie ważna wydaje się potrzeba tabu, tego, co święte, doskonałe, nietykalne. I właśnie kapłaństwo wydaje się realizować tę potrzebę, gdyż wciela obraz świata lepszego niż ten, w którym żyjemy, wolnego od zła, świata trudnej do osiągnięcia doskonałości. Dlatego ci, którzy naruszają kapłaństwo, uznawani są za najbardziej godnych potępienia, gdyż naruszają w ten sposób najgłębsze ludzkie tęsknoty i pragnienia. Kościół, świadom tego, ochrania ludzi, którzy mają takie potrzeby. Ochrania ich, bojąc się zgorszenia. Ja to rozumiem. Lecz czy nie jest to obrona instytucji kapłaństwa za cenę człowieczeństwa kapłana, cierpienie jego samego i jemu najbliższych? Właśnie taka ochrona instytucji kapłaństwa powoduje, że rezygnacja z dalszej drogi kapłaństwa staje się dla rodziny kapłana największą z tragedii, czymś gorszym od zbrodni. Czego bardziej się boją: gniewu Boga, potępienia swojego dziecka, czy opinii wierzących sąsiadów, parafian, którzy wyrażając „autentyczne współczucie” dobijają leżących? Rozsiewając plotki, oskarżenia, pomówienia, czyniąc się publicznymi obrońcami obrażonego Boga, odwracając się, wyrażając publicznie dezaprobatę, wstyd, poczucie hańby, powodują „symboliczną” śmierć, która czasami bywa gorsza od śmierci faktycznej. A wszystko to w imię Jezusa, Jego Ewangelii i Kościoła.

Wiele można by i należało postawić pytań tym, którzy odeszli. Czy odeszli ot, tak sobie, z kaprysu, lekkomyślności, niedojrzałości, utraty wiary? Czy legli z boku drogi? Czy to sprawił los, którego nie rozumieją, czy sami się przewrócili, czy ktoś im w tym pomógł, a może już nie dali rady udźwignąć ciężaru samotności, niezrozumienia, przepracowania? Może byli zbyt wrażliwi?

Kiedy młody człowiek staje u progu kapłaństwa i idzie za Jezusem, czyni to świadomie, ale nie wie do końca, co czyni. By wiedzieć, musi sam przeżyć życie. Czasami ludzie, którym trudno udźwignąć ciężar swoich wyborów, mówią do siebie: gdybym wówczas wiedział to, co wiem dziś... Gdyby jednak każdy mógł wycofać się z podjętej decyzji, nic by nie było możliwe. Życie zatem musi być nieustannym dorastaniem do dokonanych wyborów. Czasami jednak napięcie między świadomie podjętą kiedyś decyzją a wiedzą, którą niosą życiowe doświadczenia, staje się zbyt trudne. Gdy czytam wspomnienia młodych seminarzystów ze wspólnych pielgrzymek, wędrówek, rekolekcji, spotkań, pełne jeszcze dziecięcej, prawie naiwnej, romantycznej radości, zastanawiam się, co stanie się z nimi kiedyś, gdy

doświadczą ciężaru życia, samotności, opuszczenia, niezrozumienia, potrzeby domu, obecności bliskiego człowieka, przyjaciela? Gdy zaczną naprawdę siebie poznawać, czy znajdą się ci, którzy im pomogą? Czy wystarczy im pouczenie, które kiedyś usłyszałem od jednego z rekolekcjonistów: „W rodzinach dzieci wracają ze szkoły do rodziców, mąż z pracy wraca do żony, a żona do męża. A ty [kapłan] wracasz do Jezusa.” Kiedy przypominam sobie tę naukę, zastanawiam się nad tym, kim wówczas będzie dla nich ten Jezus? Czy czterema pustymi ścianami mieszkania, w którym nikt na nich nie będzie czekał i pozostanie im już tylko Jezus, czy autentyczną wspólnotą przyjaciół wzajem siebie kochających i rozumiejących? Czy Jezus będzie dla nich w sposób żywy obecny we wspólnocie (przyjaciół kapłanów, wspólnocie zakonnej, rodzinnej itp.), czy też będzie tylko ostatnią deską ratunku? A może się przyzwyczają i zobojętnieją na wszystko. Wtedy się mniej odczuwa.

Młodzi ludzie, gdy decydują się na małżeństwo, choć mogą się pomylić, wybierają siebie nawzajem. Kapłan, gdy wybiera kapłaństwo, nie wybiera tych, pośród których przyjdzie mu żyć i pełnić swą posługę. Śmiem twierdzić, że w tej perspektywie jego życie jest o wiele bardziej wędrówką w nieznanie. I nic nie pomoże mówienie, że przecież swoim życiem daje on świadectwo czasów ostatecznych, kiedy nie będziemy mieli już potrzeb, gdy „nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić”, gdyż kapłaństwo w żaden sposób nie unicestwia zwyczajnych ludzkich potrzeb, a być może ze względu właśnie na świadectwo przyszłemu życiu, którego wyobrażenia w żaden sposób nie mamy, jeszcze bardziej czyni je dojmującymi. Gdyż tak jak błogosławieństwo odsłania w rzeczy dwa wymiary (pozostaje ona bowiem nadal rzeczą codziennego użytku, a jednocześnie nabiera sakralnego wymiaru), tak namaszczenie sakramentu kapłaństwa rodzi w człowieku głębokie napięcie między jego dotychczasowym życiem, które w wymiarze ludzkim pozostaje przecież takim, jakie było, a świadomością bycia jakoś z niego wyjętym. Życie w tym właśnie napięciu jest krzyżem kapłana.

Jeśli zatem jakiś splot okoliczności spowoduje, że ta wędrówka w nieznanie stanie się dla kapłana bezdrożem, czy jest to wystarczający powód, by oskarżyć go o zdradę? Czy ci, którzy zatrzymali się na drodze kapłaństwa, zawsze i w każdym wypadku są zdrajcami? Czy nie mają prawa do decyzji zgodnej z własnym sumieniem? Czy nie mają prawa czuć, że wybierają, z całym dramatyzmem związanym z tym wyborem, między wiernością swojej dotychczasowej drodze a sumieniem, które wzywa ich do nowej odpowiedzialności i wierności? Czy nie mają prawa doświadczać, że Bóg jest nie mniej obecny w kobiecie i dziecku, które kochają, niż w wiernych, którym dotychczas służyli? Że nie potrafiliby już ze spokojem sprawować Eucharystii, głosić słowa o małżeńskiej wierności i odpowiedzialności rodzicielskiej? Czy Bóg żąda od kapłana, jeśli to się już stało, złożenia w ofie-

rze syna i jego matki, dla pełnienia dalszej posługi kapłaństwa? Czy żąda tego Bóg czy Kościół, skoro sam w wyjątkowych wypadkach (np. księża anglikańscy przechodzący z rodzinami na katolicyzm) pozwala kapłanom zachować swoją rodzinę? Czy zatem zawsze mają rację ci, którzy pozostają wierni swojej drodze kapłańskiej, wobec tych, którzy czują, że nie są w stanie zapłacić ceny za dalsze na niej trwanie? Gdzie więc biegnie granica pomiędzy kapłaństwem „po tej” i „po tamtej stronie”?

Te pytania stawiałem samemu sobie. Myślę, że nadszedł czas, aby je postawić także i Wam, w imię nadziei. Gdyż, jak pisze poeta: „można nawet zabłądzić lecz po drugiej stronie / nasze drogi pocięte schodzą się z powrotem”.

Pozostaję z Wami w Chrystusie

(nazwisko i adres autora znane redakcji)

WOKÓŁ LISTU BYŁEGO KSIĘDZA

STEFAN WILKANOWICZ: Pierwsze myśli, jakie nasunęły mi się przy lekturze listu byłego księdza, mają związek z wychowaniem seminaryjnym. Źródeł problemów, jakie rodzi wychowanie seminaryjne, można wskazać kilka. Po pierwsze – sprawa formacji. Można bez przesady powiedzieć, że ta formacja, którą mamy najczęściej w seminariach, jest na ogół dość schematyczna i nie stwarza odpowiednich warunków do dojrzewania intelektualnego i duchowego, a przede wszystkim – życiowo-społecznego. Przeważnie mamy do czynienia ze schematem „wykład – egzamin”, mało jest seminariów, mało ćwiczeń, dyskusji, mało własnej lektury i własnej pracy. W wychowaniu duchowym dominuje, mam wrażenie, model troszkę „koszarowy”; ojciec duchowny ma zbyt wielu podopiecznych, by móc skutecznie współpracować z każdym. Aby podołać czekającym ich zadaniom, klerycy muszą z jednej strony nauczyć się samotności, ale „samotności z Bogiem”, a z drugiej – muszą nauczyć się widzenia spraw religii i życia duchowego nie tylko w podręcznikach teologii, lecz także – w kulturze współczesnej. I wreszcie – muszą nauczyć się rozmawiać ze świeckimi, nauczyć się realnego dialogu. Byłoby wskazane, żeby w trakcie formacji seminaryjnej mogli uczestniczyć w rozmaitych zespołach parafialnych, gdzie okazji do rozmowy nie brakuje.

Był taki okres, kiedy klerycy śląc w czasie studiów szli na rok do pracy. Spotkałem się kiedyś z grupą, która właśnie skończyła taki staż. To było dla nich trudne doświadczenie: nagle zaczęli do nich przychodzić ludzie dwukrotnie od nich starsi, z zaufaniem, jak do duchownych, i domagać się odpowiedzi na pytania dotyczące konkretnych życiowych sytuacji. Ci chłopcy się częstokroć gubili, bo wiedza, jaką czerpali z książek, nie przystawała do tych problemów. Jeden z nich powiedział w trakcie naszego spotkania: „Teraz dopiero wiem, jak się mam uczyć.”

Wiedza, jaką klerycy otrzymują w seminarium, jest na ogół wiedzą „wchłanianą” i oddawaną w czasie egzaminu, ale nie jest wiedzą operacyj-

ną. Powstaje, po pierwsze, problem języka, a po drugie – problem braku przyzwyczajenia do rozmowy. Te trudności w późniejszym przystosowaniu się do środowiska, w porozumiewaniu się z nim, mogą być jedną z przyczyn załamania czy nawet odejść.

Kiedyś „Tygodnik Powszechny” zrobił ankietę wśród księży, pytając między innymi o to, co stanowi największy problem w ich pracy. Wielu odpowiadało, że brak czasu. Część księży była – wedle tych ankiet – skrajnie przeciążona (część, co charakterystyczne, zupełnie nie). A problem drugi dotyczył stosunków „proboszcz – wikary”. Nawet jeśli te stosunki nie były złe w tym sensie, że proboszcz nie zachowywał się jak „pracodawca” i nie traktował wikarych jak „najemników”, to powracał motyw braku wspólnoty, braku oparcia. Innymi słowy – pojawiał się problem samotności księdza nawet wtedy, kiedy nie był on fizycznie sam.

Kolejna sprawa to kwestia stosunku do kultury. Często od razu widać, czy dany ksiądz czuje się obywatelem współczesnego świata, współczesnej kultury (którą może w tych czy innych elementach kontestować lub nawet gwałtownie zwalczać, ale to jest świat, w którym on się czuje jakoś „u siebie”), czy też tkwi w jakimś „kościelnym getcie”, świat współczesny jest mu obcy, albo nawet niebezpieczny – i taki ksiądz przyjmuje odruchowo postawę zwalczającą, nawet jeżeli nie bardzo wie, z czym ma do czynienia. To jest często właśnie efekt słabej formacji seminaryjnej. Takiemu księdzu także zagraża samotność, izolacja – szczególnie ze strony świeckich. A z drugiej strony – jest on bezbronny wobec bodźców, jakie docierają z tego świata, bo nie umie się w nim poruszać.

Wreszcie, sprawa modelu Kościoła. Nie można generalizować, ale, niestety, wciąż nierzadko jest tak, że Kościół wygląda jak urząd, jak armia, o wiele za mało jak rodzina.

KAROL TARNOWSKI: To, co mnie uderzyło w liście, o którym mamy tu rozmawiać, to zarysowana tam alternatywa: Bóg czy człowiek. W pewnym momencie pojawia się tam poruszający obraz księdza, który nie może nawiązać kontaktu z innymi ludźmi, który doświadcza samotności, niezrozumienia – i pozostaje mu „tylko Jezus”. I pada dramatyczne pytanie: kim jest wtedy ten Jezus? To pytanie każe się zastanowić przede wszystkim nad tym kluczowym elementem formacji seminaryjnej – a wydaje mi się, że trochę zaniedbanym, „odpuszczonym” – który dotyczy wymiaru modlitwy i osobistego, dialogicznego stosunku z Bogiem. Jeżeli w przygotowaniu do kapłaństwa nie weźmie się na serio tego elementu, ośmieliłbym się powiedzieć, pozainstytucjonalnego – tego „sam na sam” z Bogiem, które powinno prowadzić do przyjaźni czy miłości – to taki ksiądz w różnych burzach życiowych się nie ostoi.

Pojawia się też w tym liście pytanie o to, czy ksiądz, który znalazł się w danej sytuacji, nie powinien wziąć na siebie odpowiedzialności za dziecko i jego matkę. Otóż według mnie jest tu – daleka, co prawda – analogia do

sytuacji, kiedy jest małżeństwo bezdzietne, ale bardzo się kochające, i nagle mąż ma dziecko z inną kobietą. Powstaje problem: czy wolno mu opuścić żonę, dlatego że czuje się odpowiedzialny za dziecko? Ośmielam się twierdzić, że w stosunku do Boga powinno być coś analogicznego do relacji małżeńskiej.

Pojawia się tu też kwestia autorytarnych stosunków w Kościele. Stefan Wilkanowicz mówił tu już, że zasadnicze są relacje proboszcza i wikarych. Tak, ale proboszcz sobie „odbija” sposób, w jaki postępuje z nim biskup. Instytucja Kościoła, przynajmniej w Polsce, w ogóle nie wyobraża sobie innej możliwości nawiązywania relacji w strukturze hierarchicznej niż na drodze autorytarnej. Innej – czyli odwołującej się do wolności.

Dalej – sprawa celibatu, który w Kościele łacińskim jest jednoznacznie związany z kapłaństwem. Wydaje mi się, że na to, by wydobyć całą wagę celibatu, trzeba by go właśnie bardziej związać z wolnością. Może być on bardzo szczególnym powołaniem, które bezpośredniego związku z kapłaństwem mieć nie musi.

I wreszcie sprawa ostatnia: co zrobić, kiedy to się już stanie, to jest – kiedy ksiądz już wystąpi? Co zrobić z takim eks-księdzem, który jest człowiekiem nie tylko wykształconym, ale i głęboko religijnym? Co zrobić, by ten człowiek mógł być przez Kościół nadal wykorzystany?

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Rzeczywiście jest tak, jak Panowie tu mówili: seminarium nie jest w zasadzie wspólnotą i wobec tego nie wychowuje do wspólnoty. Ono ciągle przygotowuje do pełnienia określonych funkcji. Ci księża, którzy będą pracowali na parafii, to będą ludzie jednego – nie chcę powiedzieć „zakonu” czy „klanu”, ale czegoś w tym stylu. Będą patrzeć na siebie z „funkcjonalnego”, „zawodowego” punktu widzenia, tak jak klerycy w seminarium, którzy ograniczają się do wspólnego wypełniania (albo niewypełniania) obowiązków kleryckich. Zasadniczo jednak nie są to autentyczne ludzkie przyjaźnie. I dlatego potem, kiedy następuje katastrofa – a następuje ona często właśnie wskutek braku owej wspólnoty – trudno oczekiwać, że ktoś poda rękę. Owszem, będzie to nawet źle widziane, jeśli kolega będzie utrzymywał bardziej osobisty kontakt z eks-księdzem.

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Przez kilkanaście lat byłem księdzem diecezjalnym, od dziesięciu lat jestem w zakonie, dysponuję więc pewnym materiałem porównawczym. Czego mi było brak i co bym postulował? Jeśli chodzi o formację intelektualną w seminariach, to jest ona nienajgorsza, myślę, że na poziomie na przykład lekarzy czy inżynierów. Oczywiście popełnia się tutaj te same błędy, które popełniane są na wszystkich naszych wyższych uczelniach. Krótko mówiąc: za mało samodzielności. Kleryk nie siedzi w bibliotece, kleryk nie pisze esejów z przeczytanych książek i nie broni swojego wypracowania. Brakiem jest też to, że w niełaszkę popadły u nas teologia pastoralna, homiletyka i liturgika. Formacja intelektualna w seminariach daje

sporo wiedzy filozoficzno-teologicznej i formalne przygotowanie do odprawiania, do posług, do rytuału.

Co do formacji duchowej, to formatorzy zarówno zakonni, jak diecezjalni borykają się z następującą trudnością: przychodzący do seminarium ludzie po maturze są na przyzwoitym poziomie, jeśli chodzi o rozwój intelektualny, natomiast duchowo i emocjonalnie – to są ludzie bardzo niedojrzali. I przy dwóch latach nowicjatu oraz pracy bardzo nawet indywidualnej trudno doprowadzić ich do pełniejszej dojrzałości. Czy nie byłoby dobrze, żeby przychodzących do seminarium nie od razu kierować na studia, ale zrobić coś w rodzaju *quasi*-nowicjatu, gdzie do wykonania byłaby duża praca od strony duchowej? Na czym miałyby ona polegać? Najpierw na tym, żeby tych, którzy przychodzą, wydobyć z ich tradycji. Przychodzą z oaz, neokatechumenatu, od charyzmatyków i są nastawieni na te swoje dotychczasowe wspólnoty. Nie potrafią się odnaleźć w Kościele powszechnym, a przecież ksiądz musi być dla wszystkich.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Musi być we wspólnocie Kościoła. Wychowanie księży powinno iść właśnie w tym kierunku, żeby odnaleźli cały Kościół jako wspólnotę, co wcale nie jest takie proste, bo nie wystarczy tylko modlić się za chrześcijan w Indiach czy o zbawienie wszystkich ludzi, by tej wspólnoty doświadczać. Ksiądz nie może skupić się na swojej wspólnocie, a całą resztę widzieć jako „świat urzędowania” czy coś w tym stylu. I dlatego przyszły ksiądz, moim zdaniem, nie może być członkiem jednej małej wspólnoty.

STEFAN WILKANOWICZ: To znaczy – może być, ale nie tylko.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Wolałbym powiedzieć nawet, że – nie powinien być.

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Kolejna sprawa to modlitwa. Ci ludzie przychodzą po takiej katechezie, jaka jest; na nasze nieszczęście w szkołach nie ma teraz żadnej formacji duchowej, co najwyżej – dostarczanie pewnego *quantum* wiedzy. Trzeba tym ludziom pomóc się modlić. Musi się nawiązać głęboka osobista więź z Bogiem, o której mówił pan Tarnowski. Więc taki rok wstępny byłby pożądany, tyle że zjawia się zaraz problem ojców duchownych. Nic nie robi ojciec duchowny, jeśli ma czterdziestu czy stu podopiecznych.

KS. ZDZISŁAW CHLEWIŃSKI: Chciałbym powiedzieć o konkretnym seminarium (diecezja zielonogórsko-gorzowska), w którym wprowadzono następujący eksperyment: przełożeni i alumni stanowią wspólnotę, w której relacje nie są autorytarne. Włączenie kleryków w życie całej wspólnoty, wprowadzenie relacji bezpośrednich, kształtuje więź międzyludzką, przy-

czynia się do formacji osobowości bardziej dojrzałej. Zlikwidowano instytucję prefektów (czyli tych, którzy kontrolowali kleryków), natomiast jest więcej ojców duchownych, którzy pracują z poszczególnymi latami, tworzą w ramach wspólnoty seminaryjnej mniejsze grupy, z którymi utrzymują kontakty (konferencje, dni skupienia, rozmowy), tylko w niektóre dni liturgia jest wspólna dla całego seminarium, wówczas biorą w niej udział wszyscy przełożeni.

Na przykład, zdarzają się przypadki, że klerycy zapraszają do swego pokoju rektora czy któregoś z wykładowców na kawę i rozmowę na interesujący ich temat; wspólne są też posiłki. Są wreszcie spotkania w małych grupach, podczas których klerycy dzielą się swoimi trudnościami, doświadczeniami, uwrażliwiają się na problemy innych – to coś w rodzaju „dynamiki grupowej”.

Klerycy po pierwszym roku odbywają miesięczną praktykę w szpitalu, pracując bezinteresownie jako salowi, otrzymując jedynie wyżywienie. Podczas kolejnych wakacji mają analogiczne praktyki z niepełnosprawnymi, a także zapoznają się z różnymi formami duszpasterstwa małych grup, uczestnicząc w spotkaniach neokatechumenatu, oaz, odnowy w Duchu Świętym, rodzinie rodzin itp. Wyjeżdżają też za granicę, głównie do Francji, aby zapoznać się z pracą różnych grup (dużą wagę w seminarium przywiązuje się do nauki języków obcych). Zapraszani są też interesujący księża zagraniczni, prowadzący rekolekcje dla całej wspólnoty. Na czwartym roku każdy kleryk spędza semestr na parafii, aby jeszcze przed diakonatem doświadczyć „codzienności” życia księdza. W tym czasie nie tylko pomaga księżom parafialnym w zakresie swoich możliwości, ale też samodzielnie na podstawie podręczników i lektur przygotowuje się do egzaminów przewidzianych w tym semestrze.

Kiedy przeczytałem w omawianym liście zdanie, że „księdzu zostaje tylko Jezus”, to pomyślałem sobie: to by nie było tak źle, gdyby on miał z Jezusem autentyczny kontakt. Możliwe, że w seminarium nie wszyscy odkrywają, co jest istotne w życiu, może zbyt nie dostaje refleksji, świadomej odpowiedzialności za siebie, za wybór którego dokonują. Formacja religijno-moralna kształtuje się nie tylko poprzez wykonywanie praktyk. Praktyki religijne łatwo mogą się stać mechaniczne. Myślę, że liturgia – Msza św., brewiarz, medytacja – wymaga ciągłego intelektualnego odkrywania, pogłębiania. Dzięki temu może być bardziej autentyczna.

Nie sądzę, by potrzebny był specjalny rok w seminarium na osiągnięcie dojrzałości duchowej i emocjonalnej alumnów. Dojrzałości w sferze emocjonalnej uczymy się poprzez kontakt z innymi – całe życie. W seminarium trzeba formować „kulturę społeczną” – zdolności rozumienia swoich i cudzych reakcji, empatycznego rozumienia trudności innych, ich nieporadności w rozwiązywaniu różnych problemów itp. Rzeczywiście niekiedy przychodzą do seminarium osoby niedojrzałe emocjonalnie, egocentryczne, bez pozytywnych wzorców relacji w rodzinie, ludzie łatwo wchodzący w kon-

flikty z innymi, nie umiejący z nikim zaprzyjaźnić się itp. Kandydaci tego rodzaju mogą być sprawni intelektualnie, natomiast nie są zdolni, wskutek m.in. braków w wychowaniu rodzinnym allocentrycznego myślenia i ustosunkowania się do innych. Potrzebne są działania wychowawczo-korekcyjne, chociaż nie są one proste. Istnieje też niebezpieczeństwo interesownej motywacji wyboru kapłaństwa. Często kandydaci nawet w pełni sobie tego nie uświadamiają, że wstępując do seminarium przynoszą z sobą określone modele księdza (np. księdza „dobrze urządownego”).

O. LEON KNABIT OSB: Byłoby to rzeczywiście tragiczne i smutne, gdyby ten system wychowawczy, jaki jest w seminariach, powodował, że 2/3 księży odchodziłoby z kapłaństwa wcześniej czy później. Tymczasem proszę zwrócić uwagę na to, że mimo niedoskonałości systemu większość zostaje, a w tej większości wciąż jest bardzo dużo dobrych księży. Moje rozmowy z klerykami, którzy przyjeżdżają do Tyńca, z ludźmi w trakcie podróży czy przy okazji rekolekcji oraz korespondencja, jaką prowadzę, nie dają mi wcale ciemnego obrazu kapłaństwa, choć dają świadomość licznych braków czy błędów. Nawet w tych nie reformowanych seminariach księży zaczerpnąć mogą wiele dobrego, co pozwala im przetrwać trudne chwile. Byłem niedawno na prymicjach, gdzie mogłem obserwować, z iloma ludźmi ci młodzi neoprezbiterzy mieli kontakty. A w trakcie przyjęcia nie czuło się ani cienia antyklerykalizmu; księży byli poroządzani między ludźmi i widać było, że to jest jedna wielka wspólnota. Jak rozszerzyć to dobro na tych księży, którym się nie udaje, i tych kleryków, którzy w tej sytuacji nie mogą się odnaleźć?

Ja sam ukończyłem seminarium, które dziś nazwalibyśmy „przedpotopowym” i które było właściwie „szkółką”, w dodatku nie afiliowaną przy żadnej wyższej uczelni. A jednak w tym seminarium – może dlatego, że nie było ono duże – czuło się prawdziwą wspólnotę i czuło się życzliwość i troskę biskupa. I dziś widzę, ilekroć wracam do swojej diecezji, że tamte więzi przetrwały. Widzę te silne więzi między kapłanami także w innych diecezjach, gdzie jeżdżę na rekolekcje. Niektóre roczniki mają regularne spotkania koleżeńskie, często nieformalne, biorące się po prostu z głębokiej potrzeby utrzymania kontaktu. Księża odwiedzają się z okazji imienin; potrafią nieraz przejechać setki kilometrów, by choć przez chwilę być u kogoś, z kim czują się związani. Znane mi są przypadki, że księża wspierali się finansowo, nie pożyczając, ale dając pieniądze potrzebne na przykład na dokończenie budowy kościoła.

Trzeba więc uczciwie powiedzieć, że te nie reformowane seminaria nie produkują samych nieudaczników. Pytanie tylko: co robić, by tych „udaczników” było jeszcze więcej?

Podobnie jest z pracą na parafii. Niektórzy dzięki wrodzonej inteligencji ducha czy inteligencji serca szybko znajdują swoje miejsce, potrafiąc dostrzec Chrystusa nawet w tych ludziach, którzy są źródłem trudności, a nie-

kórtzy po pewnym czasie „przewąchiwania” sytuacji tracą rezon, zaczynają mieć pretensje do wszystkich za własne niepowodzenia i w końcu się łamią. Z tym że łamie się naprawdę niewielki procent. Większy procent małżeństw się rozwodzi, niż księży – występuje; co oznacza, że instytucja małżeństwa przechodzi poważniejszy kryzys niż instytucja kapłaństwa.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Zwrócił Ojciec uwagę na to, że formacja kapłańska trwa również po seminarium. Ona właściwie nigdy się nie kończy, w każdym razie nie powinna. I tu jest kolejny problem: czy księża mają świadomość tego, że rozwijać się muszą nieustannie? Że z chwilą święceń nie jest się już „skończonym księdzem”? Bywa niekiedy tak, że w chwili ukończeniu seminarium kończy się, niestety, formacyjny wysiłek kapłana.

Jest rzeczą oczywistą, że w tych seminariach, jakie mamy, nie wszystko złe i że wychodzą z nich liczni dobrzy księża. Jednak list, który stanowi okazję naszego spotkania, prowokuje nas, by koncentrować się na tym, co złe. Czasem ksiądz, który jest pozornie w porządku, może w rzeczywistości albo takim nie być, albo się takim nie czuć. Dlatego jest rzeczą celową wskazywać na braki.

Wydaje mi się, że w seminariach, a także w późniejszym rozwoju księdza, za mało się akcentuje jego chrześcijaństwo, a za bardzo – jego święcenia...

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Nawet nie święcenia, tylko urząd, pojmowany jako możliwość sprawowania władzy.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Właśnie. Kandydatowi, który przychodzi do seminarium, nie należy mówić: ty masz być świętym, bo ksiądz ma być świętym, lecz: ty masz być świętym, bo chrześcijanin ma być świętym. I to nauczy go patrzeć inaczej także na świeckich; nie tylko on ma „powołanie do świętości”. Szczęśliwie na Soborze Watykańskim II podkreślono zarówno to, że powołany jest każdy człowiek, jak i to, że każdy w myśli Bożej jest wezwany do świętości. Podobnie z modlitwą: ksiądz musi być człowiekiem modlitwy nie dlatego, że przewodniczy zgromadzeniu, ale dlatego że każdy chrześcijanin powinien być człowiekiem modlitwy. Oczywiście, powołanie kapłańskie wymaga specyficznych darów. Trzeba na przykład myśleć o tym, czy dany kandydat posiada dane, by być pasterzem wspólnoty, by gromadzić wokół siebie innych i wpływać na jedność pomiędzy nimi. Ale trzeba go wyświęcić na księdza przede wszystkim, jeśli – że tak powiem – rokuje nadzieje jako chrześcijanin.

Przytoczone w omawianym liście zdanie z rekolekcji – o tym, że dzieci wracają do rodziców, mąż do żony, a kapłan do Jezusa – jest po prostu żenujące. Co to znaczy?! Pan Jezus jest dla każdego i trzeba Go spotkać tak w żonie i w rodzinie, jak i w czterech ścianach! Tu właśnie widać ten błąd, o którym mówię: że się kapłaństwo stawia wyżej niż chrześcijaństwo.

ŁUKASZ TISCHNER: Jeżeli dobrze rozumiem, w tym fragmencie chodzi o to, że skazany na samotność ksiądz nie bardzo ma w kim spotkać Jezusa. Zostaje mu tylko mistyczna więź, nie ma osób, od których biłyby blask Obecności.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Zgoda, lecz w przywołanym zdaniu rekolekcyjisty pojawia się to niebezpieczne „albo – albo”.

JAROSŁAW GOWIN: Rozmawiamy teraz o przyczynach odejść i na razie mowa była o tym, że trzeba skorygować system kształcenia seminaryjnego. Jeżeli to by się stało, znikłaby część czy nawet duża grupa przyczyn. Mowa też była o niedojrzałości. Myślę jednak, że list byłego księdza wskazuje na to, że istnieją sytuacje, gdy dramat odejścia dotyka księdza dobrze uformowanego i dojrzałego w swym powołaniu; co więcej, że w samą kondycję kapłaństwa wpisane są pewne – być może nieusuwalne – napięcia.

KAROL TARNOWSKI: Myślę, że trzeba wziąć pod uwagę i to, że ksiądz – także ksiądz polski – tak jak każdy chrześcijanin żyje dziś w czasach „zaćmienia Boga”, o którym pisze Buber. To jest coś więcej niż tylko laicyzacja kultury zachodniej. Obecność Boga jest dziś „słabsza” niż dawniej. Jak być księdzem w czasach owego „zaćmienia”?

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Szukając głębszych przyczyn kryzysu kapłaństwa, należałoby może pójść w kierunku sakramentów oraz Kościoła jako takiego. Autor listu jakby gdzieś przeoczył ten moment, że sakramenty są równe. Że nie ma niczego więcej w sakramencie małżeństwa i niczego więcej w sakramencie kapłaństwa. Jest inaczej, ale nie więcej. To nie są drogi sobie przeciwne ani podporządkowane, lecz równoległe. Co więcej, kapłaństwo i małżeństwo mogą być sobie potrzebne na zasadzie wzajemnej posługi. Chrystus jest tu i tu, i nigdzie nie jest tak, że jest „tylko Chrystus” – zawsze jest też Kościół. Problem tego księdza jest związany z faktem, że kapłaństwo w Kościele łacińskim połączono z celibatem. A celibat to nie sakrament. W Kościele grecko-katolickim kapłaństwo nie jest związane z celibatem i nic złego się nie dzieje. Więcej, jeśli się popatrzy na tych księży na Wschodzie, którzy przez lata prześladowań dźwigali dodatkowo odpowiedzialność za żonę i dzieci, to trzeba powiedzieć, że celibatariuszowi byłoby stokroć łatwiej.

Ale jeśli ksiądz naraz zaczyna się łamać i czuje się w Kościele samotny, to to jest wina Kościoła. Wina w tym znaczeniu, że Kościół nie umiał się tym człowiekiem zająć. Nie umiał się zająć biskup, dziekan i proboszcz, i nie umieli się nim zająć ludzie świeccy. Kiedy księdzu „powinie się noga” i odchodzi, jest z tego tak zwane „zgorzenie” i jest z tego nieraz nawet cicha satysfakcja czy usprawiedliwianie własnych grzechów („skoro jemu nie wychodzi, mnie tym bardziej może nie wychodzić”). Mało kogo boli to tak naprawdę.

Dopóki nasz Kościół nie zacznie być sakramentalną wspólnotą, gdzie będziemy widzieć Chrystusa we wszystkich sposobach ludzkiego życia, to ani celibat, ani małżeństwo nie będą czymś oczywistym, zrozumiałym i wartym zachodu, ani nie będzie żadnego zrozumienia dla tego, bez czego nie da się żyć w chrześcijaństwie, czyli ofiary.

Sytuacja opisana w liście stanowi okazję do ofiary. Nie do cierpiętnictwa i zaciskania zębów, ale do wyjścia z egotyzmu, ze skupienia na swoich sprawach, albo lepiej – do jeszcze szerszego otwarcia się na wielkoduszność, na hojność, na wspaniałość. To jest zresztą okazja dla całego Kościoła i wszystkich księży.

Na naszych oczach kończy się to, do czego księża byli wychowywani i przyzwyczajeni. Zmienia się pozycja społeczna księdza. Znika autorytet z nadania, „z urzędu”. Na autorytet trzeba sobie dziś zapracować. (I są badania socjologiczne, które pokazują, że my, duchowni, mamy dziś w Polsce wielką szansę być autorytetem. Przegraliśmy całkowicie jako autorytet w sprawach społeczno-politycznych, natomiast utrzymują się dość dobre notowania, jeśli chodzi o nasz autorytet duchowy, religijny, a nawet moralny.) A jeśli tak, to odejścia będą się nasilać, ponieważ szło się do zupełnie innego Kościoła i widziało się siebie kimś zupełnie innym, niż tego oczekują dzisiaj od nas wierni.

Zmienia się też sytuacja materialna księży. Ksiądz polski w czasach komunizmu miał się naprawdę dobrze i bardzo dobrze. Był chroniony przez ludzi, mógł robić, co chciał, najwyżej mówiło się, że to ubecy roznoszą na niego plotki. Ten czas ochronny się skończył – jesteśmy na cenzurowanym. I bardzo dobrze. Tyle że z tym idzie w parze obniżenie pozycji materialnej księdza. Wielu księży na wsiach nie ma dzisiaj gospodyni, ponieważ nie stać ich, żeby jej zapłacić. I obawiam się, że dla części z nas ten brak pieniędzy, do którego nie byliśmy przyzwyczajeni, może się stać przyczyną załamania i odejść. Jak je będą tłumaczyć, to inna sprawa, ale na pewno będzie to jeden z ważnych motywów.

Następna rzecz to kwestia naszej pozycji w świecie kultury. Papież mówił o tym wiele, także podczas ostatniej pielgrzymki do Polski. Może się okazać, że my, księża, będziemy widzieć siebie jako coraz bardziej nie przystających do świata kultury współczesnej. I też to będzie powód, dla którego odejścia będą się mnożyć.

Ale obok tych przyczyn jako główną należałoby wymienić samoświadomość księdza oraz samoświadomość Kościoła, kim ma być ksiądz. W jednej z parafii, które znam, ksiądz proboszcz w tym roku kazał się dzieciom całować w rękę... Ranga księdza winna być postawiona na tej samej płaszczyźnie co wszystkie inne sposoby chrześcijańskiego życia, nie powinna być związana jedynie z władzą (trzeba by wrócić do rad parafialnych, rad ekonomicznych, duszpasterskich itd.) – i może wtedy zaczęlibyśmy zupełnie inaczej funkcjonować.

KS. ZDZISŁAW CHLEWIŃSKI: Na początku naszej rozmowy profesor Tarnowski zapytał, czy kogoś takiego jak ów eks-ksiądz nie dałoby się w Kościele wykorzystać. Pod koniec tego listu nie pada wprost, ale pojawia się w domyśle pytanie o to, czy ktoś taki może dalej celebrować Mszę św. No cóż, to byłaby propozycja rewolucyjna: ksiądz, który nie dochował wierności, ma zostać zaakceptowany przez Kościół i nadal realizować swoje pierwotne powołanie. W praktyce oznaczałoby to zniesienie celibatu. I w idealnych (podkreślam – idealnych) warunkach właściwie można sobie coś takiego wyobrazić: że są księża-celibatariusze i księża, którzy mają żony. Może tak będzie w przyszłości w Kościele zachodnim? Nie wiem. Wiem natomiast, że w Kościołach wschodnich nie zawsze to funkcjonuje tak dobrze, jak by się wydawało. W krańcowych sytuacjach (a takich na Wschodzie nie brakowało) często trudno jest pogodzić jedno powołanie z drugim. Ale także w zwykłych sytuacjach życiowych powstać mogą rozmaite konflikty sumienia. Nasza bezżenność sprawia, że jesteśmy dyspozycyjni: niemal w każdej chwili możemy przyjść ludziom z pomocą duszpasterską.

W wypadku zniesienia celibatu powstałby problem doboru odpowiednio dojrzałej osobowościowo towarzyszkii życia. Ponieważ ksiądz musi być dla wszystkich otwarty, mogłoby to łatwo zrodzić konflikty rodzinne, podejrzliwość, a nawet zazdrość ze strony żony, zwłaszcza emocjonalnie niedojrzałej. Może się pojawić kwestia rozwodu lub zdrady. A co będzie, jeśli się okaże, że ksiądz nie umie wychować swoich dzieci? Wyjście z jednego rodzaju kłopotów może oznaczać ściągnięcie na siebie innych, jeszcze większych.

Były po Soborze takie koncepcje, żeby udzielać święceń mężczyznom, którzy wychowali już swoje dzieci i są intelektualnie i duchowo przygotowani do pełnienia posługi kapłańskiej – niekoniecznie w duszpasterstwie parafialnym, ale w swoich środowiskach zawodowych, do których zwykli księża nie mają na co dzień dostępu. Mnie się wydaje, że to jest lepszy pomysł poszerzenia koncepcji kapłaństwa niż rezygnacja z celibatu.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Omawiany list właściwie nie daje powodów, żeby rozmawiać o problemie celibatu. Za celibatem stoją określone racje teologiczne i praktyczne i można powiedzieć, że jest on sytuacją w Kościele trwałą. To natomiast, co w tym liście wychodzi na pierwszy plan, to kolidują dwóch wierności. Jego autor jest przekonany, że zdradził pierwszą wierność, ale odkrywa, że ta druga wierność to też jest wierność, której domaga się Pan Bóg. Stając się ojcem, wszedł w ramy obowiązków moralnych, a więc obowiązków wobec Pana Boga. Co teraz temu człowiekowi powiedzieć? Nie mamy żadnej satysfakcjonującej go odpowiedzi. Trzeba mu chyba powiedzieć to, co mówi się człowiekowi po rozpadzie pierwszego, kościelnego małżeństwa, który zawarł ślub cywilny i ma dzieci z inną kobietą: „No cóż, musisz trwać w tym związku, w którym trwasz, i spełniać swoje obowiązki najlepiej jak potrafisz, dźwigając ten krzyż rozdwojenia w sobie i nie przy-

stępując do sakramentów świętych. A twoją winę i twoje obecne zachowanie zna i osądzi jeden Pan Bóg.” Niczego więcej powiedzieć nie możemy. A ta sytuacja jest i tak moralnie lepsza niż sytuacja tych, którzy prowadzą w jakiś sposób życie podwójne.

O. LEON KNABIT OSB: Chciałbym odnieść się do tego, co o winie Kościoła mówił ksiądz Oszajca. Znów mógłbym podać przykłady troski biskupów o księży, bo sam wiele jej doświadczyłem ze strony biskupa Świrskiego już na samym początku mojego kapłaństwa. I nie tylko ja – ze względu na tę opiekuńczość nazywaliśmy go nawet „Papa”. Zdarzyła się kiedyś sytuacja, że pewien ksiądz miał romans – zresztą zupełnie „niewinny” – z zamężną kobietą. Ponieważ mąż tej pani dowiedział się o tym i groził księdzu, ten, wystraszony, opowiedział o wszystkim mnie i jeszcze jednemu księdzu i prosił o radę. Po modlitwie i namyśle poradziliśmy mu, żeby jechał do „Papy” i wszystko szczerze mu przedstawił. „No tak, ksiądz nie może tam pozostać”, powiedział mu biskup Świrski, „więc ja księdza jeszcze w tym tygodniu przenoszę w inne miejsce. Tylko na drugiej parafii proszę już uważać, być roztropniejszym.” Nie było „stawiania na dywanik”, wymyślania na księdza, tylko – „jest taka sytuacja i musimy ją jakoś rozwiązać”. Takich biskupów jak biskup Świrski mógłbym wskazać jeszcze wielu. Biskupów, którym można wszystko otwarcie powiedzieć, którzy mówią swoim księżom: „zadzwoń, jak tylko będziesz miał problem”.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Jeden z biskupów ordynariuszy, już nieżyjący, a bardzo zacny i troszczący się o swoich księży, tłumaczył się kiedyś: „Ja musiałem temu księdzu dać lepszą parafię, bo on ma kobietę i dwoje dzieci na utrzymaniu. Sprawy alimentów to są sprawy prawa Bożego i wobec nich musi ustąpić prawo kościelne.”

STEFAN WILKANOWICZ: Tu wzorem mógłby być biskup Matulewicz: gdy przyszedł do niego ksiądz, żeby powiedzieć, że opuszcza kapłaństwo, biskup rozplakał się, ukląkł przed nim i błagał go, żeby się jeszcze zastanowił.

O. LEON KNABIT OSB: Pojawiła się tu kwestia: gdzie mogę spotkać Chrystusa, żeby nie być samotnym? Sobór uczy, że obok Pisma Świętego i Eucharystii Chrystusa spotkać można w Ludzie Bożym, czyli w każdym konkretnym człowieku. Jeżeli spotykam człowieka, w którym Chrystus jest widoczny, to taki ktoś jest dla mnie oparciem. Natomiast jeżeli spotykam kogoś, w kim nie za bardzo Go widać, to taki człowiek jest – szczególnie dla kapłana – wyzwaniem: jak odczyścić w nim obraz Chrystusa, jak podejść, żeby ten obraz się odsłonił? I teraz – są ludzie, którzy mają skłonność do wyłączności: zajmą się jedną rzeczą, zajmą się jedną osobą. I są ludzie „stworzeni do wielości” – doskonale się czują w grupie, potrafią „być dla wszystkich”. W kapłaństwie – inaczej niż w małżeństwie – potrzebne jest serce jak

tramwaj. Jeżeli ktoś mi się spodoba, czymś mnie zafascynuje, to ja, ksiądz, który ma mieć serce jak tramwaj, czuję, że mimo tej fascynacji nie mogę się tu bardziej zaangażować, bo czekają też na mnie inni, równie mi drodzy, za których także odpowiadam.

I tu jest sprawa podstawowa: jeżeli człowiek zdaje sobie sprawę ze swej uczuciowości, jakoś ją opanował, to – jak powiada o. Józef Augustyn SJ – bardzo pilnuje tego, żeby nie obciążać swoimi uczuciami człowieka, za którego nie może wziąć odpowiedzialności. Jeżeli kogoś rzeczywiście kocha, to powinien mieć na względzie jego dobro i nie wchodzić w związek, który będzie zbudowany na niewierności. To dotyczy księdza tak samo, jak męża czy żony. Kiedyś do jednego z ojców duchownych przysła dziewczyna i mówi bez ogródek: „Chciałabym, żebyś był ojcem mojego dziecka.” „Słuchaj, ja ciebie za bardzo szanuję, żeby twoje dziecko miało za ojca głupiego mnicha.” „Ależ ojcze, przecież ty jesteś mądry!” A on na to: „No właśnie.”

Narzekamy tu na struktury kościelne. I słusznie, jeżeli są niewydolne. Ale znam takie sytuacje, gdzie od tej strony wszystko było w porządku, gdzie przełożony i współbracia chodzili za człowiekiem, żeby mu pomóc, a on uparcie odpowiadał: nie. I jest nieraz tak, że wszyscy dookoła widzą, że on już zaszedł za daleko, i ostrzegają, że będzie tragedia, a on wciąż jest przekonany, że to nie jest czarne, tylko „ciemnobiałe”. Nie tyle więc „zaćmienie Boga”, co „zaćmienie człowieka”, który nie widzi, że pograża nie tylko siebie, ale i tę osobę, ku której się zwrócił.

ŁUKASZ TISCHNER: Można by tu wskazać jeszcze pewien kontekst historyczny. Św. Augustyn, aby stać się w pełni chrześcijaninem, oddał kobietę, z którą był związany, a potem dziecko, które narodziło się z tego związku. Tu sytuacja jest odwrotna – kobieta i dziecko pojawiają się w momencie, gdy autor listu jest już księdzem – a jednak w jakimś sensie analogiczna. Czy nie jest tak, że na przestrzeni dziejów Kościoła zmieniał się stosunek do tego rodzaju sytuacji?

O. LEON KNABIT OSB: Ja tu nie widzę analogii: tam był człowiek, który miał kochankę i dorosłe dziecko, o które nie musiał się już troszczyć, bo skończyło 19 lat, nie składał przedtem ślubów i żadnej wierności się nie sprzeniewierzył.

JAROSŁAW GOWIN: Ale była miłość, której się sprzeniewierzył...

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Faktycznie jest coś na rzeczy w tym pytaniu, bo rzeczywiście mamy teraz w Kościele pewne zamieszanie związane z tą kwestią. Oto na przykład biskup Londynu, anglikanin, przechodzi do Kościoła katolickiego z żoną i z dziećmi. Owszem, nie jest już biskupem w tym nowym siostrzanym Kościele, ale wraz z rodziną zostaje jednak doń przyjęty i – warunkowo – otrzymuje święcenia kapłańskie. Może więc ksiądz ka-

tolicki, który znalazł się w takiej sytuacji jak opisana w liście, ma prawo pytać: „dlaczego tam wolno, a tutaj nie?”

O. LEON KNABIT OSB: Bo tamten żadnych ślubów nie zламаł. Wszedł w taką rzeczywistość, jaką zastał.

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Ale dlaczego Kościół inaczej traktuje kogoś, kto przychodzi z zewnątrz, i święci go na księdza (rzymsko-katolickiego!), mimo że on ma żonę i dzieci i wiadomo, że będzie prowadził normalne życie rodzinne?

O. LEON KNABIT OSB: Powtórzę: tamten zeniąc się, niczego nie zламаł, od niczego nie „odszedł”, tu zaś mamy do czynienia z „odejściem”, niewiernością.

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Bo jeśli chodzi o stronę czysto prawną, to tu problemu w zasadzie nie ma. Ten eks-ksiądz za jakiś czas zostanie „przeniesiony do stanu świeckiego”, zostanie zwolniony z obowiązków kapłańskich i będzie mógł wziąć ślub. Natomiast trzeba powiedzieć, że w tym momencie kwestia celibatu nie jest w Kościele łacińskim jasno i jednoznacznie postawiona.

Ale jest tu jeszcze inny problem. Może jest tak, że te odejścia to nie tylko sprawa słabości, grzeszności, pokusy i tak dalej. Może Pan Bóg chce przez to coś powiedzieć? Może w tym jest coś pozytywnego? Może Pan Kościoła się za swój Kościół wziął, i za nas księży, skoro nie daje łaski powołania lub ta łaska jest nieskuteczna? Może to nie jest tylko nasz grzech? A może trzeba się zastanowić nad tym, czy nie trzeba będzie Kościoła przebudować, tak aby rola księdza na czym innym polegała? Nie wiem. Tu by się przydał jakiś prorok, który by te znaki odczytał. Jeśli się mówi, że Kościół wieku XXI to będzie Kościół ludzi świeckich, jeżeli kardynał Ratzinger w wywiadzie mówi, że Kościół to ma być wspólnota wspólnot i że sprawa celibatu nie jest raz na zawsze zamknięta, to może trzeba się zastanowić, co to ma oznaczać w praktyce i jak Panu Bogu pomóc. Może wcale nie trzeba zatrzymywać tych odejść...

KS. ZDZISŁAW CHLEWIŃSKI: Bardzo współczuję Autorowi listu. Nie mam moralnego prawa Go potępiać. Rozumiem Jego wewnętrzny konflikt. Niewątpliwie jest wiele tego typu tragedii. U osób znajdujących się w takiej sytuacji występuje często tendencja do różnych racjonalizacji swoich decyzji, oczekiwanie współczucia, co jest ludzkie i zrozumiałe. Niekiedy przy tej okazji słyszy się różne oskarżenia istniejących struktur instytucjonalnych, które rzeczywistość nie są idealne. Przyznaję, że nie ma idealnego rozwiązania takich problemów. Obowiązek celibatu kapłanów w Kościele łacińskim (zresztą we wschodnich obrządkach katolickich oraz w prawosławiu mogą przyjmować kapłaństwo żonaci, natomiast kapłani nie mogą zawierać związku małżeńskiego), jak wszystkie analogiczne ludzkie sprawy, ma swoje plusy i minusy, są argumen-

ty *pro*, jak i *contra*, które tutaj trudno bez uproszczenia roztrząsać. Są wybory, których zmienić nie można, tak jest też w małżeństwie ważnie zawartym. Utrzymuję sporadyczny kontakt z kilkoma moimi kolegami eks-księżmi. Z reguły w rozmowie nie nawiązują do swoich decyzji, natomiast jeden z nich kiedyś wyraźnie wyznał, że nie ma pretensji do nikogo, uznaje własną odpowiedzialność za to, co się stało. Nie usprawiedliwia siebie. Pozostał, jak słyszałem, praktykującym chrześcijaninem. Ma odwagę przyznać się wobec siebie i swoich kolegów, że nie był w stanie pozostać wiernym temu, czego się podjął, nie próbuje się usprawiedliwiać. Przyznaję, że postawa taka, na pewno nietatwa, imponuje mi swoją moralną wielkością.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Wyłaniający się z listu obraz Kościoła wcale nie jest taki jednoznaczny. Autor pisze w pewnym momencie o „Kościele-Samarytaninie”, który „podaje rękę leżącym”, i że sam także takiego Kościoła doświadczył.

O. LEON KNABIT OSB: Autor listu pyta w pewnym momencie: „Lecz czy nie jest to obrona instytucji kapłaństwa za cenę człowieczeństwa kapłana, cierpienie jego samego i jemu najbliższych?” Zapomina jednak o tym, ile cierpienia mógł sprawić innym ludziom swoim wystąpieniem! Po niedawnym odejściu jednego z popularnych krakowskich księży niektórzy ludzie byli po prostu zdruzgotani. I taki eks-ksiądz ma oczywiście prawo prosić o pomoc, ale powinien też zapytać samego siebie: co mam zrobić, żeby wynagrodzić tym ludziom krzywdę, jaką im wyrządziłem? I tak jak niewłaściwe byłoby odrzucenie i potępienie go, tak też powinniśmy się obawiać pewnego indyferentyzmu: „nic się nie stało, jak wystąpisz, to i tak się będziemy tobą opiekowali”. Coś się przecież stało! I teraz trzeba takiego podejścia św. Benedykta: żeby zeskrobując rdzę, nie popsuć naczynia. I nie popsuć tych, którzy na to wszystko patrzą i nie potrafią zrozumieć.

STEFAN WILKANOWICZ: Żeby nie powodować „zgorszenia”, muszą być jakieś społeczne konsekwencje tego faktu. Lecz dramat polega nie tylko na tym, że się Bogu wypowiedziało posłuszeństwo, ale że stało się coś kosmicznego: ten konkretny człowiek utracił władzę Przejścia.

Ale to, że się tak stało, nie oznacza jeszcze, że ktoś taki przestał być chrześcijaninem, że nie ma obowiązków jako ewangelizator, apostoł. Tyle że musi teraz przezwyciężyć tę katastrofę i stać się ewangelizatorem niejako na innym poziomie.

O. LEON KNABIT OSB: Ale czego świadkiem on wówczas będzie?

STEFAN WILKANOWICZ: Są takie sytuacje, że człowieka stać tylko na autentyczność tęsknoty. Jeżeli wszystko mu się zawaliło, ale on czuje, że ciągle jest w nim jeszcze autentyczne pragnienie Boga, że naprawdę chce

do Niego dążyć, to jego ewangelizacja polegać będzie na tym, żeby uczciwie o tym powiedzieć. Najważniejsze jest, żeby nie dopuścić do, że tak powiem, „drugiej zdrady”: „jeżeli nie można tak, to ja w takim razie z wszystkiego rezygnuję”. Nie, nie wolno ci rezygnować, musisz to zło, które się stało, obrócić teraz w dobro!

O. LEON KNABIT OSB: I taka jest postawa Kościoła: co zrobić, żeby i on był zbawiony?

STEFAN WILKANOWICZ: Tu chodzi o coś więcej: co zrobić, żeby on dalej działał dla innych?

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Powiedziałbym wręcz, że taki eks-ksiądz ma znacznie więcej do powiedzenia – i to w wymiarze kosmicznym. Bo, na miły Bóg, jeśli on przekazuje życie, powołuje do życia drugiego człowieka, to nigdy nie jest przypadek, skoro dusza od Pana Boga pochodzi...

O. LEON KNABIT OSB: No a co ma Pan Bóg w takiej sytuacji robić?

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Zaraz, zaraz. To tak samo, jak z księdzem przy ołtarzu, który konsekruje będąc w grzechu śmiertelnym. Nie zabierajmy temu człowiekowi prawa do tego, żeby Pan Bóg dalej przez niego działał! Natomiast dajmy spokój z tym idealizowaniem, bo to jest źródło naszych nieszczęść. Przestańmy idealizować kapłaństwo, przestańmy idealizować celibat. Przestańmy idealizować Kościół. My jesteśmy grzesznikami i jeżeli się o tym pamięta, to nie ma problemu ze zgorzeniem.

W ostatnich latach pięknie rozwinęło się duszpasterstwo małżeństw niesakramentalnych. Ale przecież ja pamiętam, i chyba wszyscy księża tutaj pamiętają, że były zalecenia, aby takich żyjących „na kocią łapę” ludzi nie odwiedzać po kolędzie i nie „podtrzymywać w złym życiu”. Skoro robi się coś w sprawie tych ludzi i to nikogo nie gorszy, to może już czas, żeby coś zrobić także dla tych, którzy odeszli z kapłaństwa. Nie można mieć pretensji do kogoś, że przynależy do Kościoła w takim stopniu, na jaki go stać. Papież przypomniał o tym w orędziu do biskupów: że nie powinniśmy odtrącać nikogo, a przygarniać wszystkich. Odejdzie ksiądz w parafii to jest wielka próba wiary i dla biskupa, i dla świeckich. I dzień prawdy: czy nas stać na miłosierdzie, na zrozumienie tego człowieka, na uznanie własnej winy. I czy nas będzie stać na wzajemne przebaczenie. Jeżeli udałoby się te sprawy ustawić w ten sposób, to nie tracilibyśmy nie tylko ludzi, ale i łaski Bożej.

Jeżeli ma rację kardynał Ratzinger, że Kościół masowy jest nie do podtrzymania ani do odtworzenia, przynajmniej w społeczeństwie europejskim, i że będzie rzeczywiście „solą ziemi” – to sposób funkcjonowania księdza stanie się zupełnie inny niż w obecnych „punktach usługowych chrzcielno-ślubno-pogrzebowych”. W małych wspólnotach nie będzie można ni-

czego ukryć za ornatem czy w zamkniętej plebanii. Powinniśmy już o tym myśleć, bo przecież nie żyjemy w oderwaniu od reszty świata i czeka nas podobna przyszłość.

KAROL TARNOWSKI: Rola świeckich będzie na pewno rosnąć – przynajmniej proporcjonalnie do spadku liczby księży. Należałoby już pomyśleć o możliwości przejmowania przez nich funkcji nie tylko katechetycznych, ale i do pewnego stopnia liturgicznych, o czym u nas się jeszcze nie mówi. Rozwój takiej praktycznej „teologii świeckich” jest sprawą niezwykle pilną...

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: I – teologii wartości ziemskich.

KAROL TARNOWSKI: O tak. Żeby takie sytuacje, jak opisana w liście, nie zamykały możliwości przejścia od świadectwa Chrystusowi poprzez kapłaństwo do świadczenia Mu poprzez życie świeckie. To, że ktoś przestaje być kapłanem, nie oznacza, że przestaje być świadkiem.

O. LEON KNABIT OSB: Chciałbym jeszcze powiedzieć słowo w obronie zgorzenia. Powołując się na Ewangelię, można stwierdzić, że nie każde zgorzenie jest zgorzeniem faryzejskim. I „biada temu, przez którego zgorzenie przychodzi na świat”. Jest mnóstwo ludzi, którzy nie potępiają takiego księdza po faryzejsku, a jednak czują się głęboko zranieni i zgorzeni w tym sensie, o jakim mówił Chrystus. I zwyczajnie cierpią.

KS. ANDRZEJ ZUBERBIER: Cierpią, bo odkrywają Kościół jako wspólną grzeszników. Niewłaściwe czy grzeszne postępowanie księdza uzmysławia nam, że jedynym naszym pasterzem jest Pan Jezus. A my mamy sobie pomagać, wspierać się na drodze zbawienia, która jest drogą Jego łaski. I nie ma w Kościele żadnej dwustopniowości, żadnych lepszych i gorszych powołań.

O. LEON KNABIT OSB: Ja jednak słyszę niekiedy takie głosy, że za bardzo zwróciliśmy uwagę na rodzinę, a zaprzepaściliśmy powołania.

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Ważne byłoby, aby ta obrona rodziny czy – jak to się nieraz mówi – „walka o rodzinę” nie powtarzała błędu związanego z kapłaństwem i celibatem. Czy nie jest na przykład tak, że bronimy rodziny, a zapomnieliśmy o małżeństwie? Albo – bronimy rodziny, ale formacja ludzi, którzy tę rodzinę będą tworzyć, została zaniedbana? Tu widzę analogię ze stosunkiem do celibatu. Jeżeli celibat będzie tylko wymogiem prawnym albo czymś użytecznym, bo dzięki niemu będę miał więcej czasu dla ludzi, to nie sądzę, żeby to na długo wystarczyło. Jeżeli celibat nie będzie formą miłości, i to takiej miłości, na którą w pewnym sensie nigdy nie będzie pełnej odpowiedzi – to, co tu dużo mówić: przychodzi noc, człowiek się kładzie do łóżka i... brak kobiety.

O. LEON KNABIT OSB: Którym brak, to brak.

KS. WACŁAW OSZAJCA: No więc mnie brak. [śmiech] I nie widzę możliwości zastąpienia tego braku kimkolwiek i czymkolwiek, a już, broń Boże, Panem Jezusem. I nawet nie chciałbym, żeby ten brak był czymkolwiek zastąpiony. Z tym się musi ksiądz uporać, będzie tę pustkę w sobie nosił, ale z mojego doświadczenia wiem, że to się opłaca. Będzie to miłość bez odpowiedzi (troszkę tu polemizuję z autorem listu) i ona będzie taka a nie inna: albo ją dźwigam, albo nie, albo wykorzystuję ku dobremu, albo nie wykorzystuję. Tylko tyle i aż tyle. Jeżeli Katechizm mówi, że droga czystości – zarówno kapłańskiej, jak małżeńskiej – prowadzi przez grzech, a dodałbym też: przez ból i cierpienie, to zupełnie inaczej wygląda i małżeństwo, i kapłaństwo związane z celibatem. Jest miejsce na to wszystko i nie ma powodu, żeby z tej przyczyny odchodzić czy się gorszyć.

O. LEON KNABIT OSB: Byleby nie popadać w indyferentyzm.

KS. WACŁAW OSZAJCA SJ: Oczywiście. Jeśli coś boli, to dlatego, że to człowieka obchodzi.

KAROL TARNOWSKI: Wydaje mi się, że wracamy tu do kwestii osobistej więzi z Bogiem, która jest kluczem do tego wszystkiego. Czy w sercu tej debaty nie stoi sprawa konwersji: nieustannego nawracania się i stawiania wobec Boga? I to nawracania się we wszystkich wymiarach – bo inaczej grozi ześlizgnięcie się w instytucjonalizację, w funkcjonalizację, w rutynę.

To, czego mnie najbardziej brakuje u księży, to charyzmat ojcostwa. Ojciec Leon mówi tu o konieczności „bycia dla wszystkich”. Miałem okazję być blisko księdza Wojtyły, który posiadał ten charyzmat w stopniu niespotykanym. Nie wiem, jak do tego dochodzić, ale myślę, że to jest coś, co klerycy powinni wyblagiwać na kolanach, jeśli rzeczywiście chcą służyć ludziom, do których pójda.

ŁUKASZ TISCHNER: Chciałbym jeszcze wrócić do sprawy dla autora listu bardzo bolesnej, mianowicie – niemożności uczestniczenia nie tylko w Przeistoczeniu, ale w ogóle w sakramencie Eucharystii. Szczerze mówiąc, nie potrafię sobie odpowiedzieć, dlaczego tak jest. Pamiętam, że Simone Weil bardzo buntowała się przeciwko temu, iż w katolicyzmie mamy do czynienia z odcinaniem czy ograniczaniem dostępu do łaski.

O. LEON KNABIT OSB: Jeżeli będziemy pamiętać, że Chrystus to Pismo, Eucharystia i człowiek – o czym już mówiłem – to komuś, kto nie może uczestniczyć w Eucharystii, zawsze zostają jeszcze dwie pozostałe możliwości spotkania Jezusa. Ważne, żeby byli tacy ludzie, którzy go wesprą i do których – gdy ustaną okoliczności to uniemożliwiające – on będzie chciał

wrócić. Pan Jezus powiedział siostrze Faustynie, że nie sam fakt grzechu Go smuci, ale to, że grzesznik nie chce doń przyjść, bo się Go boi. Tu każdy z nas może być znakiem miłosierdzia, podtrzymywać tę tęsknotę, o której mówił pan Wilkanowicz.

KS. WACŁAW OSZAJCA: Problem leży w tym, że w przypadku większości z nas wtajemniczenie w wiarę dokonuje się na płaszczyźnie instytucji. I to dobrze, bo nie może być religii Boga Wcielonego bez Kościoła. Ale co się dzieje? Najpierw dopuszczamy ludzi do kolejnych sakramentów, a kiedy zbłądzą – karzemy ich, odmawiając im tego prawa. Może dobrze byłoby, gdybyśmy odwrócili porządek rzeczy i zamiast przygotowywać do pierwszej spowiedzi, do pierwszej komunii, do bierzmowania, do ślubu, zaczęli działać znacznie prościej – ucząc rzeczy najbardziej podstawowych, tak jak to na przykład w przeszłości robili franciszkanie na misjach. Jesteśmy obłożeni – znów powołam się na Ratzingera – całym dziedzictwem kulturowym, różnymi zwyczajami, obyczajami, rozwiązaniami prawnymi, i pod tym wszystkim Pan Jezus nieraz ledwie dyszy. Czy nie jest tak, że teraz trzeba by wrócić do sprawy najprostszej (i najtrudniejszej zarazem): do osobistego kontaktu z Bogiem – nie na zasadzie jedynie przyzwyczajień i wyuczonych zachowań, lecz mojego wyboru. Wtedy inaczej wyglądać będą sakramenty i inaczej wyglądać będzie moje opowiedzenie się za celibatem.

Tu leży przyczyna lęku nas, księży, przed światem, który nastaje. I jednym z powodów odchodzenia jest to, że nie wiemy, z czym mamy iść do dzisiejszego człowieka, jak mamy do niego mówić. Traktujemy ten świat tak, jakby wymknął się Chrystusowi z rąk i jakby Chrystus nie był tym, który stwarza Nowe Niebo i Nową Ziemię.

CO NALEŻY DO BOGA?

Anna Świderkówna

Przeciwnicy Jezusa nieraz usiłowali złapać Go na jakiejś niezręczności, ze szczególnym upodobaniem wyszukiwali pytania, na które, jak sądzili, po prostu nie ma dobrej odpowiedzi. Pewnego razu przyszli do Niego, mówiąc: „Powiedz nam, jak myślisz: Czy godzi się płacić podatek Cezarowi, czy nie?” Pytanie było dobrze wybrane. Odpowiadając na nie twierdząco, Jezus narażał się wszystkim swoim rodakom, gdyż podatek ten był niejako symbolem upokarzającego uzależnienia od Rzymu. Gdyby zaś stwierdził, że nie należy go płacić, mógł łatwo zostać oskarżony o wystąpienie przeciw rzymskiemu porządkowi, a nawet o nawoływanie do buntu. Jezus jednak znalazł nieoczekiwane trzecie wyjście. Zażądał, by Mu przyniesiono monetę, którą płacono ów podatek. A otrzymawszy ją, zapytał: „Czyj jest ten wizerunek i obraz?” Odpowiedzieli Mu zgodnie z prawdą: „Cezara”. A Jezus rzekł im na to: „Oddajcie zatem to, co należy do Cezara, Cezarowi, a to, co należy do Boga, Bogu” (Mt 22, 15-22; Mk 12, 13-17; Łk 20, 20-26).

Jest to jedno z najczęściej powtarzanych i komentowanych powiedzeń Jezusa. Interpretowano je na najróżniejsze sposoby, czasem nawet sprzeczne ze sobą. Najłatwiej może byłoby uznać, że Jezus, Człowiek niewątpliwie bardzo inteligentny, uchylił się po prostu od odpowiedzi na niewygodne pytanie. Z tego wszakże, co o Nim mówią Ewangelie, wiemy, że w podobnych sytuacjach Jezus nie bawi się nigdy w grę słów, lecz zawsze stara się przekazać swoim słuchaczom jakąś myśl istotną. Czy mamy zatem dojść do wniosku, że dzieli On świat na dwie niezależne sfery wpływów, religii i polityki, na domenę Boga i domenę Cezara?

Taka interpretacja świadczyłaby o całkowitym niezrozumieniu środowiska, w jakim rodziło się chrześcijaństwo i powstawał Nowy Testament. Jest to zresztą trudność, którą napotykamy na każdym kroku, czytając Pismo Święte. Zbyt łatwo zapominamy, iż ten ogromny Księgozbiór kształto-

wał się bardzo długo, bardzo dawno i w świecie bardzo różnym od naszego. A wyrывая Jezusa z tego świata i usiłując Go zmusić do myślenia po naszymu, na pewno niewiele pojmimy z Jego słów.

Otóż dla człowieka starożytnego religia nie była jakąś odrębną dziedziną życia (już samo słowo „religia” nie jest tu w pełni właściwe). Dla Greków na przykład ich „miasto-państwo” (właściwym określeniem jest tu greckie słowo *polis*) i ich bogowie stanowili jedno. Można nawet powiedzieć, że *polis* miała charakter religijny, a jej religia charakter „polityczny”, w tym sensie, że w całości odnosiła się do *polis*. Prawdziwym celem wszelkich aktów religijnych było zapewnienie dobrobytu miastu, a uczestnictwo w kulcie znaczyło tyle, co uczestnictwo w życiu miasta. Nie inaczej było na Bliskim Wschodzie, nie inaczej na ziemi Izraela.

Teologię i myśl religijną wybranego narodu Jahwe kształtowali w znacznej mierze ci, których przywykliśmy nazywać prorokami. Im też warto przyjrzeć się bliżej, by nieco lepiej zrozumieć, jak w Biblii to, co Boże, łączy się z tym, co ludzkie, a zatem także społeczne, państwowe, polityczne. Zacząć trzeba jednak od stwierdzenia, kim właściwie jest prorok biblijny.

Wbrew spotykanym również i dziś sądom nie jest on wieszczkiem, przepowiadającym przyszłość lub odczytującym wolę bóstwa z lotu ptaków, wyglądu wnętrzości zwierzęcia ofiarnego i innych podobnych wskazówek. Prorok to przede wszystkim ten, kto przemawia w imieniu Jahwe. Jest on człowiekiem słowa, a nie wizji. Wizje znajdujemy wprawdzie również w księgach prorockich, nie są tam wszakże najważniejsze. Nie zawierają ani treści przekazywanego orędzia, ani nie stanowią jego potwierdzenia (wizjonerami w pełnym znaczeniu tego słowa będą dopiero autorzy apokalips, gatunku literackiego, który jako naturalne przedłużenie profetyzmu zrodzi się z niego na przełomie III i II wieku przed Chrystusem).

Prorocy wypowiadają słowa, które według ich głębokiego przekonania sam Jahwe wkłada im w usta. Dzieje się to często nieoczekiwanie, nawet wbrew ich woli, lecz, jak powiada Amos, najstarszy z tych, których księgi się zachowały: „Gdy lew zaryczy, któż się nie ulęknie? Gdy Jahwe Pan przemówi, któż nie będzie prorokował?” (Am 3,8). Powołanie proroka biblijnego nie wyrasta bowiem z jego własnych przemyśleń, planów i postanowień, lecz rodzi się z wewnętrznego przeżycia, z druzgoczącego wszelkie opory spotkania z Bogiem. Słowo Pana spada na człowieka nieodparcie i zmusza go do działania.

Tu miejsce, by się zapytać, czy czyni to z nich ludzi oderwanych od świata i otaczającej ich rzeczywistości, zatopionych bez reszty w Bogu, ekstazyków, oderwanych od ziemi i obojętnych na to, co wokół nich się dzieje? Takie opinie wypowiadano o nich czasem, lecz ci, co je formułowali, nie zadali sobie najwyraźniej trudu, by przeczytać ich księgi. Prorocy od samego początku angażują się głęboko w życie swojego ludu, nie licząc się z konsekwencjami, jakie tego rodzaju działalność może dla nich samych oznaczać. Nie mimo swego powołania, lecz właśnie z jego powodu podej-

mują nieraz wielki ciężar odpowiedzialności, wypowiadając się w ważkich sprawach państwa i jego polityki. Niewątpliwie znamienny jest również fakt, że pierwsi prorocy pojawiają się wraz z początkiem monarchii, a nikną, gdy ginie już ostatnia nadzieja przywrócenia panowania dynastii Dawidowej. Poczynając od Saula (koniec XI wieku przed Chrystusem), występowali zawsze u boku królów, by powściągać ich naturalne dążenie do absolutyzmu. Ale nie tylko o to im chodziło.

Nie możemy tu analizować działalności wszystkich proroków biblijnych. Warto jednak wspomnieć, że już najstarsi, ci, których żadnych ksiąg nie posiadamy, wtrącają się czynnie w to, co my nazwalibyśmy życiem politycznym. Samuel namaszcza na króla Saula, po czym walnie przyczynia się do jego upadku. Namaszcza też i Dawida, choć jego panowania już nie dożyje (a trzeba uświadomić naszym Czytelnikom, że właśnie owo namaszczenie jest najistotniejszym elementem intronizacji króla, to ono przede wszystkim nadaje mu jego godność). Nieco później, w IX wieku przed Chrystusem Eliaz i Elizeusz obalają z kolei władców Damaszku i Samarii (1 Krl 19, 15-18; 2 Krl 9-10).

Najwięcej wiemy może o dwóch wielkich prorokach, Izajaszu (druga połowa VIII wieku przed Chrystusem) i Jeremiaszu (koniec VII wieku i sam początek VI wieku przed Chrystusem). Obaj powołują się na tego samego Jahwe i obaj działają w tej samej Jerozolimie, zagrożonej przez potężnego nieprzyjaciela. Obaj też czują się powołani do obrony przed oficjalnymi przedstawicielami państwa określonej postawy politycznej, lecz sposoby przedstawiania, jakie zalecają swoim współczesnym, są całkiem przeciwne.

Najstarszą zapewne częścią Księgi Izajasza jest tak zwana Księga Emanuela (Iz 6, 1-9, 6). Znalazły się w niej teksty bardzo ważne, uznawane (wraz z Iz 11, 1-9) za podstawowe wyrocznie mesjańskie. W taki bowiem sposób były one odczytywane od samego początku przez chrześcijan, jak również – choć nieco mniej konsekwentnie – przez późniejszą tradycję żydowską. Mało kto jednak poza specjalistami wie, że wyrocznie te, w znacznej przynajmniej części, zrodziła szczególnie trudna sytuacja polityczna Jerozolimy. W 734 roku dwóch jej sąsiadów, król Samarii i król Damaszku, zawarło ze sobą przymierze, chcąc wspólnie stawić czoła potężnej Asyrii. Było to szaleństwo, z góry skazane na niepowodzenie, nie można się zatem dziwić, że król Jerozolimy, Achaz, odmówił przystąpienia do tego przymierza. Kiedy wszakże dwaj sojusznicy wtargnęli na jego terytorium, Achaz wpadł w panikę. Czym prędzej złożył na ofiarę bogom pogańskim swego własnego syna, a jednocześnie wezwał na pomoc króla asyryjskiego. Ten nie dał się dwa razy prosić, lecz w zamian zażądał od Achaza daniny, co w konsekwencji miało uzależnić Jerozolimę.

Wtedy to wystąpił Izajasz, tłumacząc królowi, że błędzi, szukając pomocy i u bóstw pogańskich, i u króla asyryjskiego. Jedynym warunkiem przetrwania dynastii Dawidowej jest wierność przymierzu z Jahwe. Próby zawierania wszelkich innych sojuszków podważają właśnie tę wierność, a zerwawszy przymierze z Jahwe, Jerozolima nie może się ostać. Podobnie i

w 701 roku prorok potępia syna Achaza, króla Ezechiasza, który w wojnie z Asyrią liczy na wsparcie faraona egipskiego (Iz 30, 1-5; 31, 1-3). Zarazem zachęca go do mężnego wytrwania mimo gróźb i bluźnierstw Asyryjczyków oblegających Jerozolimę. Sam Bóg obiecuje bowiem ustami Izajasza, że król asyryjski nie wejdzie do Jerozolimy, lecz „drogą tą, którą przybył, powróci, a do miasta tego nie wejdzie – wyrocznia Jahwe. Otoczę opieką to miasto i ocalę je, przez wzgląd na Mnie i na sługę mojego, Dawida” (Iz 37, 34-35; por. także cały ten rozdział).

Jeremiasz natomiast w pierwszych latach VI wieku głosi, że walka z wrogiem – tym razem z królem babilońskim – jest bezsensowna. Namawia do kapitulacji, a nawet do współpracy ze zwycięzcą. Wielu jego współczesnych widzi w nim zdrajcę lub w najlepszym razie defetystę, któremu należy przeszkodzić w sianiu paniki. Dlatego też otrzymuje zakaz przemawiania w świątyni, a potem król osobiście spala zwój z jego wyroczniami. Jeremiasz trafia do więzienia, później zaś zostaje spuszczonego do cysterny, gdzie na dnie nie ma już wprawdzie wody, lecz za to dużo jest jeszcze błota (Jer 36-38).

Od czasów Izajasza sytuacja zmieniała się zasadniczo i Jeremiasz nie ma zamiaru powtarzać tego, co mówił jego poprzednik. Dla Jerozolimy nadszedł wreszcie czas sądu. Teraz nie pozostaje już nic innego, niż poddać się oblegającym miasto Babilończykom. Przedłużanie daremnej obrony oznaczałoby teraz bunt przeciw samemu Bogu, gdyż ów groźny król babiloński jest po prostu narzędziem Jego gniewu. Nie ma już przymierza, gdyż zerwali je synowie Izraela (por. Jer 27-28).

I Izajasz, i Jeremiasz odwołują się do tej samej tradycji, a jeśli wnioski, jakie z niej wyciągają są odmienne, to dlatego, że żyją na różnych etapach dziejów Jahwe i Jego Ludu. „Przemawiają do swoich współczesnych w określonej sytuacji nie tylko historycznej, lecz i teologicznej, a zadaniem ich jest za każdym razem postawić swych rodaków przed Bogiem, któremu Izrael zawdzięcza całą swoją przeszłość i który jedyny może zapewnić mu przyszłość.”¹

Rolę proroków biblijnych w dziejach kultury podkreślali niejednokrotnie nawet myśliciele zdecydowanie ateistyczni, na przykład Karol Marks widział w nich prekursorów socjalizmu. Jeśli jednak doceniano ich zaangażowanie społeczne, działalność polityczna była najczęściej źle rozumiana. Niektórzy autorzy powtarzali oskarżenia przeciwników Jeremiasza, a przenosząc je również na innych proroków, upatrywali w nich wprost „agentów” obcych mocarstw.

Wszystkie te i tym podobne pomysły są wszakże wynikiem spekulacji oderwanych od tekstów samych proroków. Do nich też trzeba powrócić, jeśli chcemy odpowiedzieć na pytanie, co dla tych ludzi było w ich życiu i działalności istotnie pierwotne i najważniejsze. Czytając ich księgi, nie można nie zauważyć, że powtarzają oni przy każdej okazji: „Tak mówi Jahwe”, „Wyrocznia Jahwe”. Chcą najwyraźniej przekazać coś, co my nazwali-

¹ R. Martin Achard, „Revue d'histoire et de philosophie religieuse” 47, 1967, s. 224.

byśmy może dzisiaj „punktem widzenia Jahwe”. Kiedy interweniują w dziedziny życia według naszej terminologii „świeckiego”, czy chodzi tu o politykę, stosunki społeczne, czy nawet strategię, nie występują nigdy w imię własnej wiedzy fachowej, własnych umiejętności czy lepszego rozeznania sytuacji. Nie jest też wykluczone, że ich koncepcje polityczne nie zawsze były najskuteczniejsze. Im jednak chodziło o co innego. Kiedy występowali z całym zaangażowaniem i namiętnością, narażając się nieraz na prześladowania, wynikało to z ich przeświadczenia, że wszystko należy do Boga, a zatem żadnego problemu nie można rozwiązać bez odwołania się do Niego, ignorując Jego wolę i zamysły.

Nie wolno zapominać o owej tradycji, jeśli chcemy zrozumieć cytowaną odpowiedź Jezusa, w tradycji tej bowiem On wyrastał. Ci, którym swej odpowiedzi udzielił, żyjący na co dzień Pismem, wiedzieli doskonale, że do Boga należy wszystko. Jakże więc mieli dzielić niepodzielne? Jezus nie dał im, podobnie jak nie daje i nam, gotowego rozwiązania.

Dobrze tu, jak sądzę, przypomnieć inną scenę, znaną nam jedynie z Ewangelii świętego Łukasza. Tym razem nie chodzi o politykę ani o życie publiczne, lecz o sprawę czysto prywatną, o spór majątkowy między dwoma braćmi. Ktoś, kto czuje się najwyraźniej pokrzywdzony, prosi Jezusa: „Nauczycielu, powiedz mojemu bratu, żeby podzielił się ze mną spadkiem!” Oczekujemy, że Jezus okaże jakieś zainteresowanie, że spróbuje przynajmniej dowiedzieć się, jak rzecz przedstawia się naprawdę. On jednak odpowiada: „Człowieku, któż mnie ustanowił nad wami sędzią albo rozjemcą?” (Łk 12, 13-14). Znaczy to: Do was należy znalezienie sprawiedliwego rozstrzygnięcia. Możecie i powinniście podjąć decyzję w Bożym świetle, przyjmując za nią pełną odpowiedzialność. Jesteście przecież ludźmi obdarzonymi rozumem i wolną wolą, a nie prowadzonymi na sznurku marionetkami.

Podobnie, odpowiadając na pytanie o podatek, Jezus zmusza każdego ze swoich słuchaczy – tak w I wieku jak i w XX – do podjęcia własnej decyzji, co w jego prywatnym świecie należy do Boga. Ten, kto do końca szczerze może stwierdzić: „wszystko”, potrafi także zrozumieć pierwszą część Jezusowej odpowiedzi. Będzie bowiem dla niego oczywiste, że w tym „wszystkim” zawierają się również wszelkie sprawy nazywane przez nas zazwyczaj „świeckimi”, takie jak choćby praca zawodowa czy udział w życiu politycznym. A zatem myślący w ten sposób człowiek, czymkolwiek się zajmuje, w każdym miejscu i w każdej chwili, zawsze będzie starał się robić to, co robi, jak najlepiej, najuczciwiej i najwierniej, w pełni świadomy, że robi to nie tylko dla siebie, dla innych, dla ojczyzny, dla sztuki czy prawdy naukowej, lecz przede wszystkim dla Tego, który jest jedynym Panem całej rzeczywistości i jego własnego życia.

BACH I LEIBNIZ

Bohdan Pocij

1. Każdy z nas, komu bliska jest filozofia – a komuż z ludzi myślących nie jest bliska? – ma jakieś swoje książki szczególnie zaczytane, dialogicznie, z ołówkiem w ręku, które go niegdyś dogłębnie poruszyły, wpływając na pojmowanie rzeczywistości, kształtując obraz świata. Z moich takich lektur wymienię tu z pamięci chociaż kilka: *Historia filozofii*, *Historia estetyki* i *Dzieje sześciu pojęć* Tatarkiewicza; *Traktat o człowieku* z *Summy Teologicznej* św. Tomasza w tłumaczeniu i opracowaniu Stefana Swieżawskiego, *Byt i istota* Gilsona (w tłumaczeniu Piotra Lubicza i Jerzego Nowaka), *Krytyka czystego rozumu* Kanta (w tłumaczeniu Ingardena), *Estetyka* Hegla (w tłumaczeniu Adama Landmana), *Księgi o substancji* z *Metafizyki* Arystotelesa (w tłumaczeniu T. A. Żeleźnika, opracowaniu M. A. Krapca), *Kłopot z istnieniem* Elzenberga, *Idee czystej fenomenologii (I)* Husserla (w tłumaczeniu Danuty Gierulanki), *O dziele literackim* i *Spór o istnienie świata* Ingardena; i od wczesnej młodości – *Dialogi Platona* (w tłumaczeniu Witwickiego i nowszych); wreszcie – pisma Leibniza, o którym tu będzie mowa.

Zacząłem odkrywać go dla siebie blisko 30 lat temu, z fragmentów zamieszczonych w antologii *Filozofia XVII wieku* Leszka Kołakowskiego. Wyczuwałem tu coś bardzo mi bliskiego i przydatnego do mojej już wówczas *idée fixe* – filozofii muzyki. Chciałem ją oprzeć na trzech głównie filarach: metafizyce klasycznej (arystotelesowsko-tomistycznej), historiozofii (w duchu Hegla) i fenomenologii (Ingardenowskiej), a egzemplifikować przede wszystkim twórczością Bacha. Bliższą natomiast znajomość z myślą Leibniza zawdzięczam Stanisławowi Cichowiczowi. On był tutaj prawdziwym pionierem, dając polskiemu czytelnikowi trzon najważniejszych pism wielkiego filozofa w jednym tomie (*Wyznanie wiary filozofa, Rozprawa metafizyczna, Monadologia, Zasady natury i łaski* oraz inne pisma, PWN 1969), w przekładzie własnym oraz w tłumaczeniach Juliusza Domańskiego, Henryka Krzeczковского, Henryka Moese. Ów tom to jedna z najcenniej-

szych pozycji Biblioteki Klasyków Filozofii. Wczytując się weń, utwierdzałem się w przekonaniu, że obcuje z największym metafizykiem czasów nowożytnych, mistrzem niesłychanej syntezy, odnowicielem metafizyki klasycznej w postaci rewelacyjnie nowej, twórcą systemu dynamicznie otwartego o mocnych fundamentach i głębokich korzeniach. Co mnie w nim tak pociągało? Koncepcja i pojęcie harmonii przedustawnej. Maksymalizm i uniwersalizm, gigantyczny projekt filozofii obejmujący całość: byty skończone i Byt wieczny. Rozmach i otwartość. Intrygujące pojęcie monady. Nowa synteza filozofii z teologią. Nowa koncepcja istnienia głęboko zakorzeniona w tradycji filozofii europejskiej.

I oto wśród wydawnictw naszych z ostatnich lat pojawia się nowa, niezwykle ważka pozycja leibnizologii w Polsce *Pisma z teologii mistycznej* (1994) – w znakomitej serii Znak „Biblioteka Filozofii Religii” – w tłumaczeniu i opracowaniu naukowym Małgorzaty Frankiewicz, ze wstępem i dodatkiem Jerzego Perzanowskiego. Wybór pism tak ułożony, aby wyraziście i wielostronnie przedstawić ów splot newralgiczny filozofii z teologią, a zarazem jądro całego systemu Leibniza. Mnie w tej książce zachwyca jeszcze jej kompozycja, rzekłbym, muzyczna, której wewnętrzną kunsztowność mógłbym porównać do kunsztowności najbardziej wyrafinowanych dzieł Bacha (*Musikalisches Opfer, Die Kunst der Fuge*). Jest ona swego rodzaju arcydziełem prezentacji systemu wielkiego metafizyka. Powiedziałbym, że ta książka rozświetla mi – wewnątrz, myślowo – samą muzykę Bacha, bardziej pomaga zrozumieć jej zasady i system.

2. Skąd się u mnie wziął ów pomysł łączenia Bacha (1685-1750) z Leibnizem (1646-1716)? W wydanej niegdyś przez PWM książeczce *Bach – muzyka i wielkość* (1972) tak to uzasadniałem:

System Leibniza skupia w sobie najistotniejsze wątki filozoficznej myśli europejskiej; racjonalizm godzi się tu z empiryzmem, wiara z doświadczeniem, metafizyka – z logiką i matematyką; duch filozofii średniowiecza jednoczy się z najnowszymi osiągnięciami nauk przyrodniczych i matematycznych. Podobnie system Bacha koncentruje w sobie najważniejsze wątki muzycznej myśli europejskiej, od czasów chorału, poprzez rozwój polifonii, aż do najnowszych zdobyczy instrumentalnych szkół – włoskiej i francuskiej. Średniowieczna koncepcja muzyki uczoniej spotyka się z nowożytną koncepcją muzyki natchnionej; spekulacja i kombinacja konstrukcyjna styka się z intuicyjnym doświadczeniem dźwiękowym. (...) U podstaw systemu Leibniza tkwi pewien kanon metafizyczny (teologiczno-filozoficzny): myśl o wpród-ustanowionej (przez Boga) harmonii oraz o najmniejszej jednostce konstytutywnej bytu – monadzie, czyli substancji prostej odbijającej w sobie złożoność świata. U podstaw systemu Bacha tkwi pewien kanon polifoniczno-harmoniczny głęboko w tradycji zakorzeniony; jego unaocznieniem najzwięźlejszym jest ekspozycja fugi z jej trzema komponentami: tematem, odpowiedzią, kontrapunktem. W tej małej komórce-ziarnie skupia się i odbija cała rozległość złożonej formy muzycznej. Jest w tej komórce fugi potencjalne napięcie istnienia oraz intensywna dążność do urzeczywistnienia się. (...) Temat fugi jest niby monada – prosty i zasadniczo niepodzielny; a przecież tkwi już w nim ruch, współbrzmienie, równoległość linii; on prowokuje odpowiedź, z niego wysnuwa się kontrapunkt; całe istnienie muzycznej formy jest w nim zawarte. Kanon teologiczno-

metafizyczny Leibniz jest głęboko zakorzeniony w tradycji mądrości filozoficznej. Kanon polifoniczno-harmoniczny Bacha ma swoje głębokie korzenie w mądrości muzycznej kultury Zachodu.

Obecnie, dzięki rewelacyjnej prezentacji systemu Leibniza przez Jerzego Perzanowskiego, rzecz mi się bardziej klaruje i zasadniejsza staje się kluczowa paralela: między koncepcją formy utworu muzycznego u Bacha a koncepcją bytu u Leibniza. W swojej muzyce Bach osiąga apogeum świadomości formy – pierwsze w historii muzyki europejskiej. Ta świadomość właśnie przejawia się i urzeczywistnia w nowożytnej koncepcji dzieła muzycznego. Mówiąc „koncepcja”, popełniam anachronizm – świadomy i uzasadniony, bowiem to właśnie ją wysłyszeć i wyczytać można z samej muzyki – z jej struktury i konstrukcji, elementów i całości. Z żywej muzyki wynika więc cała teoretyczna pojęciowość; praktyka kompozytorska znacznie wyprzedziła tu teorię (która wyartykułowana zostanie dopiero pod koniec XIX wieku, w nauce o formach muzykologii niemieckiej – *Formenlehre*).

Tak tedy z dwóch zwłaszcza dzieł Bacha – *Das wohltemperierte Klavier* (dwa razy po 24 preludia i fugi) i *Die Kunst der Fuge* (*Sztuka fugi*) – skupiających w sobie esencjalnie i substancjalnie całą jego muzykę, wyeksplikować można nowożytną koncepcję utworu muzycznego. Jest ona fugo-centriczna. W fugie – dopełnionej preludium – jako technice, sposobie komponowania i jako formie skupia się cała ówczesna muzyka w aspekcie kreacyjno-substancjalno-esencjalnym.

Fugo-centriczny utwór jest bytem złożonym; wyróżnić w nim można mianowicie: substancję, czyli strukturę dźwiękowo-interwałową, decydującą o istnieniu utworu, oraz jakości akcydentalne (tempo, głośność, barwa brzmienia, znaczeniowość, symbolika, ekspresja); a także: materię (dźwięki, interwały, skale, tonacje), czyli nieokreśloną jeszcze w formie potencjalność, oraz formę jako aktualizację materii.

Dzieło muzyczne przeznaczone jest do wykonywania, aby sobą wypełniać czas, rozwijać się w nim. A sam ów proces dźwiękowej konkretyzacji jest jakby każdorazowo powtórzeniem – odtworzeniem w swoistej ideacji, w skondensowanym skrócie – procesu komponowania.

Utwór wypełnia sobą czas czterema zasadniczymi sposobami:

Przez proste dodawanie, sumowanie coraz to innych części, odcinków, części – suitowo, łańcuchowo.

Przez wariacyjne odmiany tematu.

Ewolucyjnie – zwłaszcza w preludiach – przez wysnuwanie z czołowego motywu większych całości sposobem ciągłym.

Przetworzeniowo – zwłaszcza w fugach – przez ciągle przekształcanie tematu, na podłożu zmienności harmonicznego, ruchliwości modulacji.

Utwór muzyczny wypełnia sobą przestrzeń, konkretyzuje własną przestrzenność dźwiękową, dwoma zasadniczo sposobami: polifonicznie, przez podział i różnicowanie na głosy, linie, kontrapunkty, oraz harmo-

nicznie, przez scalanie w akordy, współbrzmienia, organizowane według zasad tonalnego systemu.

Utwór muzyczny ma formę czy po prostu jest formą: jest to jego naczelną atrybut. Formowanie, czyli ruch formy, dokonuje się przez harmonijne współgranie elementów i jakości, części i części składowych kompozycji. Forma utworu jest jednością organiczną, co oznacza, iż wewnątrz utworu wszystko jest ze wszystkim wzajemnie powiązane, elementy i jakości wzajemnie się warunkują.

Utwór muzyczny, którego koncepcja tak wyraziście rysuje się w twórczości Bacha, odznacza się następującymi kardynalnymi cechami. Jest wyprofilowany melodycznie, o rytmie wartkim, często ostrym; kantylenowy (z melodią bogato nieraz zdobioną) i figuracyjny. Jest motywiczny i tematyczny – rozwija się z motywu i formuje z tematu.

Motyw i temat – rozwinięty, wyrazisty, złożony z motywów – budują architekturę całości, jako jej główne wsporniki, filary, wiązania. Wyszute z tematu rozmaite figuracje dopełniają architektonicznej przestrzeni. W przebiegu i rozwoju utworu motyw i temat są wyraźnymi znakami tożsamości i znamionami zwartości organicznej utworu. Utwór – preludium, fuga – maksymalnie nasyca się (co dla stylu Bacha znamienne) czołowym motywem i głównym tematem przypominającym stale o swej obecności: ostinatowo, wariacyjnie, rondowo, w różnych układach głosów i harmonicznym kompleksach, w ruchliwości modulacji, zróżnicowaniu tonacji. Tym sposobem muzyka osiąga wysoki stopień substancjalnej gęstości i zwartości strukturalnej, zwłaszcza w fugach.

Natomiast różnica przejawia się w mnogości i bogactwie różnych motywów, w różnych tematach fug podwójnych i potrójnych (choć większość jest monotematyczna) i różności kontrapunktów; jak też ogólnie w przekształcaniu motywów i tematów, w zmienności współbrzmień i tonacji. Utwór realizuje się w dialektycznej grze tożsamości i różnicy.

Podobnie między harmoniką i polifonią toczy się gra o panowanie nad formą utworu: przestrzeń scalana rywalizuje z przestrzenią dzieloną. Te dwa naczelną elementy utworu są równie aktywne: życie współbrzmień w ich wzajemnych związkach i życie głosów w ich układach i splotach. A sama harmonika staje się wręcz motorem w dynamiczno-przetworzeniowym rozwijaniu formy. Pod tym względem najbardziej harmonicznie rozwinięte fugi Bacha w ruchliwości harmonicznej substancji nie różnią się już zbyt od późnych sonat Beethovena.

W naszkicowanej wyżej koncepcji utworu muzycznego – wynikającej z żywej praktyki kompozytorskiej Bacha – wyraźne są analogie do koncepcji bytu, jaką wyczytać można z pism Leibniza. Utwór muzyczny jawi się tu jako swoisty analogon struktury bytu. Wszak rozróżniliśmy w nim substancję i akcydensy (wynikające niejako z substancji, przez nią uwarunkowane), materię i formę, czas i przestrzeń, ruch i zmianę, tożsamość i różnicę,

możliwość i aktualizację, ideę formy i jej urzeczywistnienie; stawanie się, dynamikę wzrostu i wypełniania.

A przede wszystkim może dialektykę: zróżnicowanej wielości poddanej wspólnym zasadom.

3. Czy i o ile zasadna jest więc ta analogia: Bach – Leibniz? Pytanie pozostawiam w zawieszeniu, odwołując się na koniec tylko do paru znamienych cytatów z rozprawy Jerzego Perzanowskiego.

Leibniz był jednym z największych mistrzów głębokiego, wnikliwego oraz jednozącego myślenia. (...) Źródłem metafizyki Leibniza jest (...) współczesny mu obraz świata jako wielopłaszczyznowego i dynamicznego kosmosu. Kluczem zaś jest logika. (...) Najważniejszym chyba z prefilozoficznych przeświadczeń Leibniza jest skrajne przekonanie racjonalistyczne: Nic nie dzieje się bez powodu. Wyraża się ono w Zasadzie Racji: Nic bez racji – *nihil sine ratione*.

Drugim podstawowym przeświadczeniem Leibniza jest przejęte od Kartezjusza przekonanie, że część zasadniczą uniwersum tworzą obiekty złożone, których zrozumienie wymaga uchwycenia sposobu ich złożenia, czyli porządku (struktury) oraz mechanizmu. Podstawową metodą naukową stosowalną także w filozofii jest więc analiza, czyli sztuka rozumnego rozkładania, oraz synteza, czyli sztuka składania.

Trzecim podstawowym przeświadczeniem Leibniza jest to, że uniwersum ontologiczne – to, co jest – począwszy od swego fundamentu jest wielością. (...)

Żyjemy w świecie rzeczy i zdarzeń. (...) Wokół nas wszystko się zmienia, płynie. To, co żyje, przemija. Życie jest więc procesem. Wiele obiektów jest rozciągniętych. Pośród nich nasze ciała. Ludzie i istoty im podobne myślą. W nich to, co fizyczne, rozciągnięte, wyraźnie splata się z tym, co psychiczne, myślące. Ciało splata się z duszą. (...)

Rzeczywistość poddaje się opisowi matematycznemu. Miarą rzeczy jest liczba, językiem Natury – matematyka. (...)

Skutkiem Metafizycznej Zasady Racji Dostatecznej oraz doskonałości Stwórcy jest, że całość bytu, Byt, tworzy kosmos, czyli różnorodność najbogatszą i najdoskonalszą, harmonijną i pełną.

Do świata stosuje się więc Zasada Pełni: Świat jest bytem najdoskonalszym z możliwych, ponieważ każdy byt, a więc także każda część świata i każda osoba, uczestniczy w maksymalizacji doskonałości świata, realizując – w planie globalnym – maksimum możliwych dlań doskonałości (...).

Myśli Leibniza nie są rozproszone, lecz ześrodkowane. Tworzą system. Kto więc, czy nie najsmielej zakrojony system myślowy cywilizacji zachodniej?

BOHDAN POCIEJ, ur. 1933, muzykolog, krytyk muzyczny. Wydał m.in. *Klawesyniści francuscy* (1969), *Bach – muzyka i wielkość* (1972), *Idea – dźwięk – forma* (1972), *Lutosławski a wartość muzyki* (1976), *Szkice z późnego romantyzmu* (1978), *Mahler* (1993).

ZDARZENIA - KSIĄŻKI - LUDZIE

W OCZEKIWANIU NA NOWĄ GODZINĘ CHRZEŚCIJAŃSTWA

Paweł Lisicki

**Kard. Joseph Ratzinger, SÓL ZIEMI. CHRZEŚCIJAŃSTWO
I KOŚCIÓŁ KATOLICKI NA PRZEŁOMIE TYSIĄCLECI**

(z Kardynałem rozmawia Peter Seewald),

tłum. Grzegorz Sowinski,

Wydawnictwo Znaki 1997, ss. 243

Jeśli sól zwietrzeje ...

Kiedy pod koniec IV wieku naszej ery Augustyn nawrócił się na chrześcijaństwo, przyznał, że do podjęcia tej decyzji skłonił go autorytet i historyczne znaczenie Kościoła katolickiego. Co więcej, przyszedł święty uważał zwycięstwo chrześcijaństwa – widzialne i publiczne – za rozstrzygający dowód, który zdolny byłby przekonać wszystkich uczciwych pogan. „Bo wiem gdyby owi ludzie [mędrcy przeszłości pogańskiej], którymi się dziś chełpią [poganie, przeciwnicy Kościoła] ponownie się dziś narodzili i ujrzeli pełne kościoły i opuszczone świątynie, zobaczyli dalej, jak ród ludzki odwrócił się od żądz dóbr czasowych i przemijających, a zwrócił się ku nadziei życia wiecznego, ku dobrom duchowym i nieśmiertelnym, to (...) sami staliby się chrześcijanami” (*De vera religione*). To, że nauka wyznawana początkowo przez małą grupkę ubogich Żydów, skupionych wokół skazanego na haniebną śmierć Mistrza, rozprzestrzeniła się na cały świat; że we wszystkich prowincjach Imperium Romanum nauczał ten sam, założony przez Niego Kościół; że przetrwał on prześladowania, podbił serca i umysły prostaczków oraz mędrców, było w oczach świętego doktora widowym dowodem słuszności religii katolickiej.

Pod koniec IV wieku istniało co prawda wiele różnych wspólnot religijnych. Wciąż żyły liczne grupy pogan. Pojawiały się i rozwijały kościoły chrześcijańskie lub gnostyckie: manichejczycy, donatyści, arianie czy wreszcie pelagianie. Ale Augustyn widział wyraźnie, że Kościół powszechny jest tylko jeden. W przeciwieństwie do grup heretyckich był obecny wszędzie, wyznawał jedną doktrynę, która rozwijała się w sposób ciągły, a zarządzali nim w prostej linii spadkobiercy apostołów.

Nieużyteczny argument

Wiele wskazuje na to, że Augustyn, gdyby żył obecnie, nie posłużyłby się tym argumentem. W każdym razie jeśli przyjąć, że prawdziwy jest obraz katolicyzmu przedstawiony w książce-wywiadzie przez kardynała Josepha Ratzingera, prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Dzisiaj święty biskup musiałby bowiem przyznać, iż kościoły są puste, a świątynie różnych sekt pełne, ród ludzki zaś odwrócił się od poszukiwania życia wiecznego i dóbr nieśmiertelnych, a zwrócił ku dobrom czasowym i przemijającym. „Z pewnością w dzisiejszych czasach chrześcijaństwo traci na znaczeniu. Dlatego (...) stosunek społeczeństwa i Kościoła nadal będzie ulegał transformacji i przypuszczalnie doprowadzi do dechrystianizacji społeczeństwa” (*Sól ziemi*, s. 108). I dalej: „Niewątpliwie błędem byłoby oczekiwać, że nastąpi zmiana trendów historycznych i wiara znów będzie wielkim, masowym zjawiskiem, dominującym na arenie dziejów” (105). Ów kryzys chrześcijaństwa jest szczególnie widoczny, gdy porównać go z rozkwitem islamu. Według mużulmanów, twierdzi Ratzinger, „religia chrześcijańska spasowała, właściwie już nie istnieje jako religia; chrześcijanie nie mają już żadnej etyki ani wiary”.

Kardynał oczywiście podkreśla, że Kościół nie jest przedsiębiorstwem, którego efektywność mierzy się ilością, że wycofanie chrześcijaństwa z przestrzeni publicznej, ograniczenie go do małych, pozbawionych znaczenia grup, „które z całą mocą wystąpią przeciw złu i wniosą dobro w świat” jest również słusznym zadaniem z punktu widzenia zachowania „prawdziwego człowieczeństwa”. Tym niemniej fakt pozostaje faktem: w najbliższej przyszłości nie należy się spodziewać odrodzenia chrześcijaństwa jako wielkiej siły społecznej.

Czy to nie jest obraz zbyt pesymistyczny? I czy dobrze jest w ten sposób mówić? Czyż ów niekiedy apokaliptyczny ton wypowiedzi Kardynała nie jest czymś w rodzaju samospełniającej się przepowiedni? Rzeczywiście, tu mogą rodzić się wątpliwości. Jeśli z góry zakłada się, że w przyszłości chrześcijanie staną się nieliczną grupką, to wszelkie działania, które miałyby temu przeciwdziałać, skazane są na porażkę.

Co więcej, argument Augustyna opierał się nie tylko na zewnętrznym fakcie popularności katolicyzmu. Skoro każdy człowiek został stworzony na obraz Boży, to nic dziwnego, że gdy tylko Bóg objawił się taki, jakim jest w Mesjaszu, ludzie rozpoznali Go. Powszechność wiary, mimo rozdarć, mimo

herezji, mimo wszelkich wątpliwości, zdawała się potwierdzać, że Jezus jest epifanią tego Najwyższego, którego wizerunek nosi w sobie każdy człowiek. Czy więc powszechność niewiary dziś nie staje się wskazówką, iż religia katolicka była fałszywa?

Przeciw nowej mentalności

Myślę, że kardynał Ratzinger musiał wziąć te wątpliwości pod uwagę. I uważam, że skoro mimo to zdobył się na tak pesymistyczną ocenę, to chciał w ten dramatyczny sposób pokazać głębię upadku katolicyzmu. Ujawniając rozmiar kryzysu, Kardynał jasno wskazuje swój cel: „musi się zrodzić świadomość, że w znacznej mierze nie znamy już chrześcijaństwa” (s.15).

Aby głosić na nowo chrześcijaństwo, trzeba stawić czoło mentalności współczesnego społeczeństwa. Kardynał Ratzinger opisuje dokładnie „konsens nowocześniejszej egzystencji” (s. 111), który zasadza się na tym, iż „Bóg się nie liczy w ludzkim etosie; Bóg nie zajmuje się nami, my Nim”. Człowiek rezygnuje z poszukiwania zbawienia i zaspokaja się znalezieniem spokoju, nie szuka szczęścia, lecz przyjemności, nie czuje grzechu, ale niewygodę. Panująca „nowa, ogólnoswiatowa ideologia” odcina go od sfery nadprzyrodzonej. Cechą charakterystyczną człowieka współczesnego nie jest nawet wrogość wobec religii, ale obojętność. Nie występuje on przeciw religii, ale jest ona dla niego czymś subiektywnym i irracjonalnym. Wiara przeciwstawia się prawdzie i dlatego każdy autorytet, który rości sobie prawo do przemawiania w imieniu tego, co niepodważalne, musi zostać zakwestionowany. Zgodnie z tą relatywistyczną mentalnością Bóg jest kimś Niepoznawalnym. To, co boskie, przejawia się nam w historii zawsze jako przybliżone odbicie, niedokładne i niewyraźne.

Kardynał Ratzinger nie twierdzi bynajmniej, iż źródłem kryzysu są tylko ogólne przemiany świadomości zachodniej. Katolicki hierarcha dostrzega, iż także „w wewnętrzne życie Kościoła wkradło się znużenie, które nie pozwala się już ukazać pięknu wiary i jej niezbędnym wymiarom”. „Kościoły narodowe być może dusi ich nadmierna instytucjonalizacja, ich instytucjonalna potęga, ciężar dziejów (...). Być chrześcijaninem to tyle co należeć do wielkiego aparatu i jakoś tam znać niezliczone przepisy etyczne czy uciążliwe dogmaty” (s. 107). Pomimo podejmowania kolejnych wysiłków, aby dostosować Kościół do mentalności człowieka współczesnego, skutki są wątpliwe. Co gorsza, wiele osób odbiera te usiłowania jako zwyczajną rezygnację z obowiązków. Dla nich uwspółcześnienie to po prostu ułatwienie.

Z drugiej zaś Kościół miotany jest podziałami: „w samym Kościele katolickim występują głębokie pęknięcia – można czasem odnieść wrażenie, że w jednym Kościele żyją obok siebie dwa Kościoły” (s. 208). Kardynał w niedwuznacznych słowach opisuje upadek dyscypliny, niechęć biskupów do działania, powolne tworzenie się ruchów odśrodkowych, szczególnie wśród teologów. „Nieustannie brzmia mi w uszach słowa Biblii i Ojców Kościoła

surowo potępiające pasterzy, którzy są jak nieme psy i, chcąc za wszelką cenę uniknąć konfliktów, pozwalają truciźnie, by się rozprzestrzeniła po wszystkich członkach.” Ratzinger nie ma złudzeń: zapowiadane wraz z reformami soborowymi odrodzenie nie nadeszło – „nie da się zaprzeczyć, nie przeżyliśmy nowej godziny chrześcijaństwa” (s. 63).

To wszystko razem – powszechne przemiany kulturowe, znużenie Kościoła oraz wewnętrzne podziały – uniemożliwiają zwycięstwo prawdy katolickiej, według której: „Bóg zna człowieka, Bóg wchodzi z nim w kontakt, Bóg stał się dla nas dostępny w osobie Chrystusa, żywego syna Bożego.”

Liturgia: powszechność kryzysu

Z wypowiedzi kardynała Ratzingera można wnosić, że do kryzysu katolicyzmu w jeszcze większym stopniu niż kontrowersyjne wystąpienia niektórych teologów przyczynił się sposób wprowadzenia w życie nowej liturgii katolickiej przez papieża Pawła VI. Nawet najbardziej skrajne opinie docierały tylko do wąskich środowisk. Dopiero odgórna reforma liturgiczna i towarzysząca jej atmosfera zachwiały wiarą zwykłych wiernych.

Kardynał dokładnie opisuje ten proces w *Soli ziemi*. „Nasza reforma liturgii wykazuje błędną, w moim przekonaniu, tendencję, by totalnie »inkulturować« liturgię w nowoczesny świat. Liturgia ma stać się jeszcze krótsza, wszystko, co rzekomo jest w niej niezrozumiałe, należy usunąć – przetransponować na jeszcze bardziej »płaski« język. Pomysły takie świadczą o zupełnym niezrozumieniu istoty liturgii i uroczystości liturgicznej” – mówi prefekt Kongregacji Nauki Wiary.

Dążenie do zatarcia granicy między tym, co święte, a tym, co świeckie, nie tyle wynosi człowieka ku świętości, ile poniża świętość. Aby Bóg nie był pustym słowem, ale żywą osobą, musi istnieć cały system zmysłowych znaków, których wykonywanie pokazuje, że w naszym, doczesnym świecie przejawia się Najwyższy. To przejawianie, co opisał Rudolf Otto w *Świętości*, musi zarazem budzić bojaźń i fascynować. System gestów, który uczy nas oddawać cześć, znajdować to, co wyższe, to, wobec czego trzeba się unieść i co – cud nad cudy – jest namacalne, musi być postrzegany jako coś danego. „Liturgia musi zachowywać swą wielką ciągłość, swą ostateczną nienaruszalność, dzięki której rzeczywiście spotykam w niej tysiąclecia, a przez nie samą wieczność” – podkreśla Kardynał.

Dokonana przez Pawła VI reforma, niezależnie od dobrych intencji, jakie się za nią kryły, i niektórych pozytywnych zmian, jakie przyniosła, zachwiała ciągłością Kościoła. „Wspólnota, która wszystko, co dotychczas było dla niej najświętsze i najszczytniejsze, ni stąd, ni zowąd uznaje za surowo zakazane, a tęsknotę za tymi zakazanymi elementami traktuje wręcz jako nieprzyzwoitość, stawia samą siebie pod znakiem zapytania” (s. 152). Po drugie zrodziła przekonanie, iż liturgia jest czymś arbitralnym i dowolnym. Skoro – jak pisał w wystąpieniu *O stanie teologii i wiary dzisiaj* Ratzinger

– najwyższy zwierzchnik zmienia z dnia na dzień najwyższe prawo wiary, to każdy czuje się w prawie czynić to samo. „Liturgia nie jest czymś, co wciąż wymyślają nowe komisje” – dodaje w *Soli ziemi*.

Lekarstwo

Jakie lekarstwo proponuje Kardynał? Wskazuje, że konieczne jest pojawienie się nowego nonkonformizmu, który zerwie i zakwestionuje panującą dziś ideologię. „...również w dzisiejszych czasach zdarzają się chrześcijańscy kontestatorzy, którzy porzucają ten dziwny konsens nowoczesnej egzystencji i próbują nowych form życia – którzy wprawdzie nie znajdują szczególnego uznania w oczach opinii publicznej, ale robią coś, co rzeczywiście otwiera przyszłość” (s.111). Koniecznym warunkiem takiego nonkonformizmu jest zdanie sobie sprawy z rzeczywistego stanu wiary. Najgorszym zagrożeniem dla chrześcijaństwa jest jego dalsze rozładnianie. „[Kościół] mniej będzie tożsamy ze społeczeństwem, bardziej stanie się Kościołem mniejszości, żyjącym wśród niewielkich, ale żywych kręgów ludzi rzeczywiście przekonanych do wiary, oddanych jej i działających w jej świetle. Właśnie dzięki temu Kościół znowu stanie się »solą ziemi«, jak powiada Pismo Święte” (s. 191). Kardynał zdaje się mówić: nie myślmy o sukcesie, ten nie jest w naszym ręku. Być może głosząc bezkompromisową wiarę nie doprowadzimy do wzrostu liczby katolików, zachowamy jednak wzorzec prawdziwej nauki. „Jeśli Kościół katolicki jest skandalem z tego powodu, iż przeciwstawia się nowej, ogólnoswiatowej ideologii i broni prawartości ludzkiego istnienia, które nie dają się wbudować w tę uniformistyczną ideologię, to taki skandal jest sam w sobie czymś pozytywnym.” Z drugiej strony dalsza rezygnacja z trudnych prawd wiary w imię spokoju społecznego nie przysporzy popularności, a dodatkowo sprawi, że sól zwietrzeje.

Dlatego słów Ratzingera nie rozumiem jako wezwania do rezygnacji. Nie jest to też, jak miemam, nawoływanie do wycofania się chrześcijaństwa ze sfery publicznej. Po prostu bez radykalnej kuracji, której podstawowym warunkiem jest trzeźwość patrzenia, katolicyzm się nie odrodzi.

Stąd, można dalej wnioskować, mniejsze znaczenie mają rozstrzygnięcia instytucjonalne czy administracyjne. Szukanie obrony w środkach zewnętrznych, w odwołaniu się choćby do pomocy państwa, nie będzie skuteczne. Najważniejsze jest odrodzenie postawy świadka. To prawda, że ludzie współcześni często nie rozumieją takich podstawowych pojęć religijnych, jak ofiara, grzech czy pokuta – stwierdza Ratzinger. Ale też nigdy ich nie zrozumieją, jeśli nie zetkną się z osobami, które tymi słowami żyją. Nadzieją na odnowę chrześcijaństwa mogą być tylko świadkowie: osoby, które godząc się na niepopularność, przypominają naukę o prawdziwym obrazie Boga, jaki objawił się w Chrystusie: „dzisiaj źródłem reform z pewnością nie są zgromadzenia i synody, lecz przekonujące osobistości, które nazwać możemy świętymi” (s. 232).

Podobnie wygląda recepta na uwiad liturgii. Lekarstwem nie są dalsze projekty odnowy, ale praktyka. Po pierwsze Kardynał opowiada się za jak największą tolerancją wobec zwolenników starego rytuału. „Powinniśmy ze znacznie większą wspaniałomyślnością przyzwalać na dawny rytuał wszystkim, którzy sobie tego życzą.” Po drugie – jako iż sam powrót do starego rytu zdaje się wskutek przemian kulturowych niemożliwy („nie byłoby to rzeczywistym rozwiązaniem”) – konieczne jest przywrócenie zreformowanej liturgii głębi i mocy. Katolicy muszą odzyskać poczucie, że w Kościołach spotykają żywego Boga, któremu należy się cześć i hołd.

Nie postawione pytania

Jak w przypadku każdej tego typu książki-wywiadu, gdzie jest dwóch autorów, czytelnik może niekiedy odczuwać niedosyt. Chcę powiedzieć, że książka byłaby jeszcze lepsza, gdyby niemiecki dziennikarz Peter Seewald był bardziej dociekliwy.

Kardynał Ratzinger stwierdza, iż „od samego początku przejrzystość była częścią chrześcijańskiego orędzia. Wiara mogła się rozejść po świecie dzięki działalności misjonarzy tylko dlatego, że była zrozumiała i potrafiła jaśnieć” (s. 146). Wiara „była zrozumiała i potrafiła jaśnieć”, ponieważ w jasny sposób ujmowała prawdę. Dawala poznanie, że „Bóg wkroczył w świat [w Chrystusie] i działał w nim”. To poznanie Boga, który z miłości dla ludzi unżył się aż do śmierci, podbijało serce pogan i otwierało ich umysły. Przekazywana była w słowach – wiara pochodzi ze słyszenia o Wydarzeniu.

Otóż sądzę, że jednym z najważniejszych źródeł współczesnego kryzysu chrześcijańskiego jest podważenie, a przynajmniej osłabienie samej zasady dogmatycznej. Wyraża ona fakt, iż, jak powiedział Ratzinger, „Bóg jednoznacznie objawia się jako jedyny Bóg wszystkich, który związał się z człowiekiem aż po ludzką cielesność”. „Jednoznacznie objawia się” znaczy, jak sądzę, to samo co „jednoznacznie daje się ująć w języku”.

Bóg zechciał, by prawda o Nim dawała się poznać jak każdy inny fakt, chociaż owa prawda opiera się na Jego autorytecie. A jeśli tak, to musi ona podlegać tym samym regułom wnioskowania co każdy inny zbiór zdań opisujący rzeczywistość. Tak więc, co podkreślał kardynał Newman, nie mogą uznawać za prawdziwe pewnego twierdzenia religijnego bez jednoczesnego okazywania sprzeciwu wobec twierdzenia przeciwnego. Wszystko jest tu ze sobą związane. Skoro jest jeden Bóg wszystkich i skoro objawił się jednoznacznie, to na tej samej zasadzie jest tylko jeden autorytet ziemski, który w Jego imieniu zabiera głos i tylko jedna miara prawdziwa świętości.

Sam kardynał Ratzinger wielokrotnie zasłynął jako obrońca tej zasady dogmatycznej. Wydaje mi się zatem, że ten wątek mógłby zostać nieco bardziej pogłębiony przez Seewalda. Dotyczy to szczególnie pytań o stosunek chrześcijaństwa do innych wyznań i religii. Mówiąc na przykład o przyszłej jedności między chrześcijanami, kardynał Ratzinger stwierdza, że nie sądzi,

„byśmy mogli szybko dojść do wielkiego »zjednoczenia międzywyznaniowego«. O wiele ważniejsze jest, byśmy (...) akceptowali siebie jako chrześcijan.” Co ma na myśli? Przecież doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, iż „wysiłkom zjednoczeniowym stale wtóruje dalsza fragmentaryzacja” i dlatego pojęcie akceptacji wymaga uściślenia. Niestety, Seewald pomija tę kwestię.

Akceptacja jest zgodą, iż dane twierdzenie lub postawa są słuszne. W jakim sensie mogą akceptować niekatolika jako chrześcijanina? Jest pewna część wspólna na przykład między katolicyzmem a protestantyzmem, choćby wiara w jednego Boga w Trójcy, w Jezusa jako Syna Bożego, uznanie dla Dekalogu itd. Czy moja akceptacja ma odnosić się tylko do owej części wspólnej? Czy też raczej katolik ma obowiązek akceptować jako chrześcijańskie także opinie i postawy pozostające w sprzeczności z doktryną katolicką? To chyba niemożliwe, bowiem popadłby w sprzeczność ze sobą. Prowadziłoby go to do przyjęcia, że jak długo jest katolikiem, winien wierzyć w to, czego naucza Urząd Nauczycielski, chociaż gdyby owej nauki nie uznawał, i tak pozostałby dobrym chrześcijaninem. Czy na przykład moja akceptacja dla protestantów ma oznaczać, iż za chrześcijańską uznaję opinię, że wskutek konsekracji nie dokonuje się realne przeistoczenie?

Wraz z liberalizacją i dalszymi podziałami wśród protestantów problem ów staje się dzisiaj jeszcze bardziej palący. Kardynał Ratzinger utrzymuje na przykład, że niepodważalną nauką Kościoła jest twierdzenie, iż kobiety nie mogą być wyświęcane na kapłanów. Tymczasem coraz więcej wspólnot protestanckich wyświęca kobiety na pastorów, a nawet biskupów. Czy mogą to zaakceptować jako chrześcijańskie? A może obowiązkiem katolika jest właśnie jasne wyznanie, iż tego typu postępowanie jest błędne i stanowi odrzucenie dziedzictwa chrześcijańskiego? Mimo długiej wypowiedzi Kardynała (s. 208) nie znajduję wskazówki, jak w takiej sytuacji powinien zachowywać się katolik. Bo chyba nie jest wskazówką stwierdzenie, iż „w istotnych sprawach [chrześcijanie mają] starać się wspólnie świadczyć w świecie zarówno za właściwym kształtem porządku świeckiego, jak i za odpowiedzią na wielkie pytania o Boga, o początek i kres człowieka”. To jest pytanie, którego Seewald nie zadał: co jest „istotną” sprawą, co „właściwym” kształtem i co prawdziwą odpowiedzią?

Niemiecki dziennikarz unika najważniejszej kwestii: czy prawda, którą wyznaje katolik, jest prawdą obowiązującą powszechnie, czy też jest to prawda tylko w obrębie wspólnoty katolickiej. Jeśli jest to prawda obowiązująca powszechnie, to jej nierozpoznanie może być tylko skutkiem słabości ludzkiej. Tym samym znaczy to, że osoby nie uznające prawdy nauczanej przez Magisterium – inni chrześcijanie, a dalej żydzi, muzułmanie lub buddyści – tkwią w błędzie. Albo, mówiąc inaczej, przybliżają się jedynie, każda z tych wspólnot w innym stopniu, przez to, co w ich tradycjach dobre, do pełni poznania Boga. To pierwsze stanowisko. Zgodnie z drugim prawda katolicka obowiązuje tylko katolików i Kościół, czyli Urząd Nauczycielski traci moralne prawo, by prowadzić pozostałych ludzi do poznania Boga.

Sądzę, że brak takich pytań, wynika z perspektywy przyjętej przez niemieckiego dziennikarza. Zdaje on sobie sprawę, że wypowiedzi Ratzingera będą kierowane do osób, które z zasady przekonane są o równowartości światopoglądów religijnych. Tę perspektywę przyjmuje także sam Kardynał. Dlatego w jego wypowiedziach trudno dopatrzeć się jakiegokolwiek apologetyki. Mówiąc na przykład o stosunku do wyznawców judaizmu, Ratzinger podkreśla konieczność nowego namysłu ze strony chrześcijan, a także wzywa do okazywania szacunku dla faktu, iż Żydzi czytają Stary Testament „nie z perspektywy Chrystusa, ale kogoś Nieznanego”. No cóż, takich wezwań nigdy nie jest za dużo. Żałuję jednak, że Seewald nie zadał pytania, czy obowiązkiem chrześcijan jest nadal wykazywanie Żydom, jak to czynił wspomniany przez Ratzingera św. Paweł, że judaizm bez Chrystusa jest niedopełniony i niekonsekwentny.

Przedstawiając argumenty na rzecz katolicyzmu, Kardynał odwołuje się raczej do jego znaczenia dla społeczeństwa i ludzkości, jako modelu prawdziwego człowieczeństwa, niż do jego znaczenia religijnego. Ratzinger mówi więcej o katolicyzmie jako podstawie ładu moralnego świata niż o tym, iż jest on pewną drogą do zbawienia lub właściwym sposobem oddawania czci Bogu. Być może w sytuacji „konsensu nowoczesnej egzystencji” nie ma innego sposobu mówienia o Kościele. Czy jest to jednak sposób, który przyczyni się do przezwyciężenia kryzysu i nadejścia nowej godziny wiary, pokaże przyszłość.

PAWEŁ LISICKI, ur. 1966, absolwent prawa UW, cseista, dziennikarz „Rzeczpospolitej”. Wydał *Nie-ludzki Bóg* (1995), *Doskonałość i nędza* (1997).

SPIS PRAWD TRUDNO STRAWNYCH

Elżbieta Wolicka

Józef Tischner, W KRAINIE SCHOROWANEJ WYOBRAŹNI,
Wydawnictwo Znak, Kraków 1997, ss. 312

Kolejny tom esejów ks. Józefa Tischnera utrwała na polskim rynku czytelniczym obecność gatunku dość osobliwego i rzadkiego, choć mającego szacowną tradycję. Jest to publicystyka mieszcząca się na pograniczu

prasowego komentarza do wydarzeń bieżących, pisanego z polemiczną swadą i kąśliwą ironią, oraz „małego traktatu” filozoficzno-teologicznego, przenikliwie stawiającego kluczowe problemy, a przez to daleko odbiegającego od doraźnego przyczynkarstwa publicystyki gazetowej. Namysł Tischnera nad wydarzeniami i doświadczeniami bieżącej historii, które „bez myślenia pozostają puste”, dotyczy tym razem kwestii uniwersalnie ważnej, ale też szczególnie dziś w Polsce aktualnej: sposobu i form obecności chrześcijaństwa i Kościoła w świecie współczesnym. Dla nas oznacza to: w realiach epoki wciąż określanej mianem „postkomunistycznej”, co zdaje się potwierdzać powszechne przeświadczenie o jej przejściowości, prowizoryczności i – dwuznaczności.

Znamienne, że Tischner, uzbrojony w szkiełko i oko filozofa, sprawne pióro eseisty, obdarzony przenikliwością pasterza dusz oraz zdrowym rozsądkiem i humorem podhalańskiego gazdy, w diagnozie „polskiej sytuacji” bodaj najczęściej używa słowa „zagubienie”. Dotyczy ono zarówno sfery doświadczenia, „zawieszoności” niejako między nie do końca przewyciężoną niewolą a niezupełnie zaakceptowaną wolnością, jak i sfery pojęć służących do jego opisanie – pojęć niedostatecznie przemyślanych i powierzchownie rozumianych. Tischnera niepokoi wciąż głęboko zakorzeniony w świadomości zbiorowej nawyk myślenia ideologicznego. Za tym idzie dominacja stereotypów, emocji i postaw „reaktywnych”, co sprawia, że na polskiej scenie publicznej panuje raczej chaos i atmosfera „wolnej amerykanki” niż rzeczowej „walki argumentów”.

Na czym jednak polega ta „choroba wyobraźni”, którą zdaniem Tischnera zostało dotknięte polskie „wielkie zwierzę” społeczne, ze wspólnotą kościelną włącznie, ale może przede wszystkim „istnienia poszczególne” – szeregowi obywatele Trzeciej Rzeczypospolitej, nękani poczuciem braku zadomowienia, szukający dróg i miejsc „bycia sobą i u siebie”? Czy to pokolenie „zagubionych” jest rzeczywiście „na hekatombę dla przyszłości”, podobnie jak generacja porewolucyjna, którą tak właśnie, po upadku Wiosny Ludów, określał cytowany przez Tischnera Norwid? Czyżby aż tak głęboko utkwily w zbiorowej wyobraźni „fantazmaty romantyczne”, że kolejna epoka „pracy u podstaw” zastaje większość z nas nie przygotowanych, rozgoryczonych i zniechęconych? A to, jak zwykle, z tej racji, że rzeczywistość nie przemienia się w kształt ideału wypiastowanego w bohaterskich czasach oporu i kruchej – jak się okazało – solidarności, karmionej głównie protestem i nienawiścią do opresyjnego systemu. Czy polska „myśl zaprzeczna” nieuchronnie musi stać bezradnie wobec wyzwań nowej sytuacji, w której zamiast negocjować powinna negocjować, a w miejsce nieprzejednanego demaskowania kryjówek wroga szukać dróg racjonalnego kompromisu?

Te „przekłète dylematy” polskiej historii najnowszej – ale, jak widać, bynajmniej nie nowe – umieszcza Tischner w perspektywie podwójnej troski: o przyszłość polskiego Kościoła oraz duszpasterskiej „troski o duszę”, o religijne oblicze człowieka w społeczeństwie pluralistycznym i w znacznej

mierze zsekularyzowanym. Linie myślowego napięcia tego zbioru esejów o „schorowanej wyobraźni” wyznaczają dwa podstawowe pytania: jaki ma być Kościół trzeciego tysiąclecia w Polsce; jaki ma być człowiek – chrześcijanin i obywatel demokratycznego państwa – który staje wobec wymogów ustrojowej i ideowej transformacji, w perspektywie otwarcia na świat z całym jego bogactwem i dobrodziejstwem, ale i tandetą inwentarza? Spór o to, „jaki ma być” – już rozpoczęty i wywołujący żywiołowe emocje – wymaga przede wszystkim wnikliwego rozpoznania tego, jakie są: „świadomość religijna i więź kościelna” oraz wiara Polaków, a także skąd bierze się tak ostra polaryzacja postaw i gdzie leży kość niezgody. Nie chodzi o kwestie taktyczne ani strategiczne. Pragmatyka sporów ma swoje głębsze podłoże w ludzkiej świadomości (i podświadomości) i do tej „warstwy głębokiej” sięga Tischner. Chodzi o filozofię człowieka i o wizję Kościoła. Antropologia i eklezjologia to dla niego „dyscypliny siostrzane” i na tej podwójnej płaszczyźnie refleksji umieszcza polskie dylematy, obawy i nieporozumienia oraz symptomy choroby, która dotykając wyobraźnię religijną zaważyła na motywach i temperaturze dziejowego sporu.

Najpierw zatem: Człowiek – Polak – Obywatel – Wierzący. Jak zharmonizować ze sobą te „kształty wcielenia” jednej i tej samej istoty ludzkiej? Na czym budować jej tożsamość, nie lekceważąc wielorakich i skomplikowanych relacji wiążących ją z innymi, ze wspólnotami i instytucjami, często o tak odmiennym charakterze, iż pozostają we wzajemnym, nieustannym konflikcie interesów? Tischner zarysowuje podstawową opozycję postaw myślowych, która według niego decyduje o kierunku poszukiwań i o propozycjach rozstrzygnięć powyższego dylematu. Z jednej strony mamy wizję człowieka, który jest i ma pozostać cudzą własnością – własnością jakiejś wspólnoty, która go „uczłowieczyła” i stąd rości sobie prawo do rozporządzania nim; z drugiej strony, wizję „liberalną”, która kładzie nacisk na fundamentalną z punktu widzenia godności człowieka wartość wolności. (Dodajmy w nawiasie, że jakkolwiek podstawowa, nie jest ona wartością ani autonomiczną, ani absolutną, jak zdają się sądzić źle poinformowani, zagorzali krytycy „liberalizmu”, ale to kwestia do osobnej dyskusji.)

Totalitarny rodowód pierwszej koncepcji wydaje się – zdaniem Tischnera – oczywisty. Wszelako negacja autonomii ludzkiej jednostki może być dziełem ideologii różnych wspólnot: począwszy od narodowej, poprzez partyjną, państwową, do kościelnej włącznie. Człowiek może się okazać „karłem” nie tylko wskutek przerostu świadomości bojownika-patrioty, wcielonego w rolę romantycznego bohatera, którego człowieczeństwo spala się bez reszty na ołtarzu służby „potrzebie narodowej”, przesłaniającej mu cały horyzont bycia i izolującej od reszty świata. I nie tylko jako „członek kolektywu”, nad którym całkowitą władzę sprawuje aparat partyjny i rządząca klika, wraz z pozostającym na jej usługach systemem przemocy. Może również zostać ubezwłasnowolniony przez świadomość religijną, ukształtowaną we wspólnocie Kościoła, wówczas gdy z jego ustrojem do-

czesnym utożsamia się tak dalece, iż swoją „prawdziwą istotę” lokuje poza sobą samym – oddając ją w ręce „posiadacza”, któremu przypisuje sankcję boską. Dyskusyjne wydaje mi się aż tak szerokie rozumienie „pokusy totalitarnej”, które proponuje Tischner. Mimo wszystkich powierzchownych podobieństw między znanym aparatem państwowej przemocy i społecznej „urawniłowki” a autorytarnymi, czy nawet despotycznymi inklinacjami instytucji Kościoła, jakie ujawnia jego historia, istnieją niebagatelne różnice. Dla Tischnera ważny jest jednak przede wszystkim stan świadomości wierzących, ludzi Kościoła, i na tym poziomie rozpatruje ową „pokusę”.

Centralną kwestią antropologii i eklezjologii jest, po pierwsze, rozumienie władzy (oraz sposobów jej sprawowania), po drugie, rozumienie wolności. „Pokusa totalitarna” – by pozostać przy tym kontrowersyjnym określeniu – skłania do pojmowania pierwszej jako tego, co bezwzględnie zapośrednicza zarówno relacje międzyludzkie, jak stosunek człowieka do samego siebie i do Boga, wpływając na jego zdolność samostanowienia w taki sposób, że w efekcie redukuje ją niemal do zera. Jeśli, jak pisze Tischner, „totalitaryzm jest urzeczywistnieniem starej pokusy Abrahama”, to pewne formy religijnej gorliwości oraz sprawowania „rządu dusz” we wspólnocie Kościoła im silniej wnikają w wewnętrzną sferę poczucia tożsamości jego członków, tym bardziej mogą okazać się niepokojąco bliskie owej chęci zniewolenia człowieka – bliskie pokusie „teleokreacji”, która ostateczny cel – zbawienie – pojmuje jako „poddanie się zwierzchności”. Stąd właśnie wynika niepokój autora: czy dążność do takich „intymnych zapośredniczeń”, łącznie z żądaniem posłuszeństwa aż po heroiczną ofiarę z siebie samego, nie przypomina niekiedy „pokusy totalitarnej”?

Oto podstawowy dylemat, z którym musi się zmierzyć i uporać świadomość religijna wszystkich wierzących, a także myśl eklezjologiczna i troska o utrzymanie kościelnej więzi powierzone specjalnej pieczy pasterzy. Idąc tropem „drażącej w głąb” refleksji Tischnera, sądzę, że kluczową sprawą w tej materii jest uwzględnienie różnicy między legitymacją władzy o charakterze świeckim – z reguły legalistyczną, zewnętrzną i umowną – a legitymacją władzy o charakterze religijnym, opartą na autorytecie świadectwa i służby, który jest zarazem podstawą sprawowania (i wtórnego niejako autorytetu) urzędu. Tekst św. Mateusza: 20, 25-28 wyraża tę zasadę wyjątkowo jasno i jednoznacznie. Czyż nie taki właśnie ewangeliczny „styl sprawowania władzy” zademonstrował Jan Paweł II podczas tegorocznej pielgrzymki do Polski? Świadectwo i służba w niczym nie uszczuplają wolności tych, którym Kościół „z urzędu” służy, udzielając sakramentów, przepowiadając Dobrą Nowinę, a także stawiając określone wymagania religijne i moralne. Pytanie o „pokusę totalitarną” (wołałabym określenie: autorytarną) można by więc zastąpić pytaniem: czy religia, chrześcijaństwo, Kościół „ustanawiają przestrzeń dla wolności”, przestrzeń, w której posłuszeństwo wyrasta z zaufania i wierności – a przecież one właśnie zakładają wolność jako warunek konieczny? Czy Kościół jest środowiskiem, w którym człowiek może

odkrywać swoją „wewnętrzną prawdę” – zasadę tożsamości – i dokonywać wyborów potwierdzających jego „bycie sobą i u siebie”? Słowem, czy „człowiek jest drogą Kościoła”, czy też niekiedy w praktyce Kościół chce być „drogą człowieka”, zawłaszczając jego wolność w imię „wartości obiektywnych” i ratowania go przed zagrożeniami jego własnej „subiektywności”?

Swoje stanowisko w tej kwestii wypowiada Tischner jasno i wyraźnie: „Istota problemu leży w tym, co rozumie się przez wolność. Otóż rysem znamienym wszelkich form totalitaryzmu jest jednostronne akcentowanie przedmiotowej strony wyboru. Najpierw udział w manifestacjach, a potem przychodzi pewność. Najpierw jest nabożeństwo, a potem pobożność. Rysem znamienym stanowiska przeciwnego jest akcentowanie podmiotowych warunków słusznego wyboru (...). Jednej stronie idzie o to, by człowiek mógł wybierać. Stronie drugiej idzie o to, by człowiek wiedział, co wybiera. Jedni ufają człowiekowi, inni pokładają ufność w normach” (podkr. – EW). Sądzę, że dla potrzeb polemicznych Tischner nadmiernie wyostrzył i spolaryzował tę opozycję stanowisk, przechodząc do porządku nad notoryczną wieloznacznością „tego, co przedmiotowe”, i „tego, co podmiotowe”, która sprzyja pojęciowej manipulacji. Wszelako trzeba mu oddać sprawiedliwość: nie przesądził o tym, czy oraz za jaką cenę te dwa przeciwstawne – i chyba na równi jednostronne? – stanowiska mogą (a powinny!) lub nie mogą dojść do „komplementarnego uzgodnienia”. Kwestia ta wymagałaby, rzecz jasna, precyzyjniejszej analizy.

Faktem jest jednak, że tak czy owak „poznaje się po owocach”: eklezjologia, której jak cień towarzyszy „pokusa totalitarna”, lub raczej „autorytarna”, przekłada się w efekcie na środki dominacji legalistycznej, podkreśla ekskluzywizm i kładzie nacisk na formalną stronę religijnej identyfikacji członków kościelnej wspólnoty. Jest też z reguły „siostrą” antropologii opartej na głęboko nieufnym stosunku do człowieka, do jego „subiektywności”, wolności, zdolności samodzielnego rozeznania i samostanowienia, do autorytetu sumienia. Eklezjologia i antropologia tego typu są najczęściej wyznawane jako przekonania pewnej grupy wierzących i kleru oraz praktykowane jako sposób sprawowania i podporządkowywania się władzy. Ale bywa, że osiągają postać wyraźnej doktryny – Tischner przytacza tu „przyrządek klasyczny”: doktrynę biskupa Lefebvre’a i jego zwolenników.

Skąd bierze się ten antropologiczny pesymizm i brak zaufania do człowieka, posuwający się aż do kwestionowania jego autonomii? Bierze się z przekonania, podpowiada Tischner, „że grzech zepsuł człowieka aż do dna. I właśnie z głębi takiego przekonania wyrasta potrzeba władzy. Człowiek potrzebuje władzy dla siebie i dla innych. Władza musi kierować od zewnątrz jego krokami, ponieważ nie ma niczego i nikogo, kto mógłby nimi kierować od wewnątrz. I tak z głębi lęku przed samym sobą i przed innymi człowiek oddaje siebie w niepodzielną służbę, niosąc jednocześnie w duszy przekonanie, że skoro wszelka władza pochodzi od Boga, to on tym

samym »Bogu wyrządza przysługę«. Taki jest istotny sens pokusy totalitarnej w religii: ze strachu przed sobą i innymi oddać się w nievolę władzy i wierzyć, że Bóg tak chciał” (podkr. – EW).

Stajemy tu niewątpliwie przed dylematem pewnego rodzaju błędnego koła katechezy, pedagogiki i religijnej praktyki, by tak rzec, „prewencyjnej”, wyrastającej z obawy przed mrocznymi siłami drzemiącymi we wnętrzu „subiektywności” człowieka i gotowymi natychmiast się uaktywnić, jeśli się ich nieustannie nie poskramia i nie obwarowuje szańcami zakazów i nakazów – oraz sankcji. Czyż jednak człowiek nie potrzebuje – przynajmniej w okolicznościach zagubienia, zaślepienia i samozniewolenia przez grzech – takiej „obrony przed sobą samym” oraz orientacyjnej busoli w postaci norm? A Kościół, podejmując się tej roli „obrońcy” i „strażnika”, czyż nie ma do tego prawa? Oczywiście tak. Jeżeli jednak ze strategii „obronnej” i „prewencyjnej” uczyni się absolutną normę postępowania w wychowaniu, nauczaniu oraz samowychowaniu, to wierzący chyba nigdy nie uzyskają szansy na osiągnięcie religijnej dojrzałości, bowiem nie będą mieli okazji, by uwewnętrznić w swej duchowej „subiektywności” prawdy wiary i zasady moralności oraz używać odpowiedzialnie wolności, podejmując samodzielnie wybory i decyzje w „niekomunikowalnej” głębi własnego sumienia. Pedagogika nieustannej „prewencji” i kontroli owocuje utrwaleniem infantylnego stanu wiary, etyki i religijnej praktyki – po stronie wiernych – oraz autorytarnego paternalizmu – po stronie pasterzy i urzędów Kościoła. Czy nie tu właśnie należałoby poszukać przyczyn między innymi owego „poczucia winy spowiednika”, z którego zwierza się Tischner w ostatnim eseju swej książki? Czy zatem *Mater Ecclesia* nie objawia niekiedy tendencji nadopiekuńczych, a wiadomo, jakie to skutki za sobą pociąga w procesie wychowania...

Inna sprawa, że formułując powyższe wątpliwości niekoniecznie musimy pomawiać Kościół o skłonności totalitarne.

Z pojęciowego i praktycznego zamętu, obejmującego także spory wokół „liberalizmu”, demokracji, praw rynku i zasady tolerancji, która nie uprzywilejowuje żadnej prawdy i przyzwala na szerzenie się błędów – spory, w których najczęściej ignorancja i zaciętrzewienie walczą o lepsze z usprawiedliwionym skądinąd lękiem przed relatywizmem, nihilizmem i wszelką „postmodernistyczną” deprawacją – wyłuskuje Tischner zarówno symptomy „romantycznych herezji” rodzimego chowu w postaci fantomów „schorowanej wyobraźni”, jak i oznaki schorzeń bardziej zastarzałych i uniwersalnych: manicheizmu i pelagianizmu. W polskich realiach składają się one na przedziwny, paradoksalny syndrom antropologii lęku i nieufności o rodowodzie manichejskim oraz pelagiańskiej eklezjologii zaufania i przywiązania do strategii sukcesu, przynoszącej wymierne efekty na forum publicznym. Obydwie idą w parze z dążeniem do osiągnięcia władzy jako instrumentu „rządu dusz”, w imię zapewnienia im bezpiecznej drogi zbawienia oraz w imię moralnego uzdrowienia świata, który „w złem leży”, środkami zewnętrznego nacisku lub wręcz legalistycznego przymusu. W warunkach

swobody religijnej propaganda „wartości chrześcijańskich” i moralistyczna ofensywa zaczynają być traktowane jako obowiązek obywatelski. „Wartości chrześcijańskie” rzutuje się na instytucje społeczne i polityczne w celu zapewnienia im legitymacji. Dla „schorowanej wyobraźni” Kościół jest „instytucją, która legitymizuje lub odmawia legitymizacji” – pisze Tischner. A z drugiej strony, w warunkach porażki i niespełnienia aspiracji do efektywnej „naprawy świata” religia zaczyna pełnić rolę „opium przegranych” – „opium dla tych, dla których już sama życiowa kondycja jest życiową przegraną” – a Kościół rolę azylu i twierdzy obronnej przed „złym światem”, który prześladowuje „dzieci Boże”. Heroizacja niepowodzeń w walce o władzę oraz wzmacnianie postaw defensywnych, czy wręcz ksenofobicznych, jako sposobów utwierdzania własnej tożsamości jednostek i grup rzeczywiście przypominają opisywaną przez Norwida emocjonalną i racjonalną blokadę świadomości „straconego pokolenia”.

Konkluzja, którą stąd wyprowadza Tischner, brzmi niepokojąco: „Jestem przekonany, że wchodzimy dziś w Polsce w kryzys wiary, jaki nie miał sobie równego. Nie polega on na braku wiary, lecz na jej nadmiarze.” Sądzę, że warto przemyśleć tę nieco paradoksalnie brzmiącą konkluzję, ponieważ ma ona pewne podstawy w rzeczy. Autor nie ogranicza się do efektownego, choć jałowego katastrofizmu – znalazłby się wówczas niespodziewanie w obozie utyskujących, o „świadomości nieszczęśliwej”, których tak bezlitośnie wyśmiewa! Niewątpliwie jednak serwuje „prawdy trudno strawne”. Jedną z nich jest ostrzeżenie, że inwazja mentalności manichejsko-pelagiańskiej i „schorowanej wyobraźni” może stać się przyczyną sprawcą bardzo niepomyślnego rozwoju wydarzeń dla Kościoła, chrześcijaństwa, wiary i religii: „Gdyby całą przestrzeń jakiejś konkretnej wspólnoty Kościoła wypełniała religia schorowanej wyobraźni, ludzie musieliby szukać religii samotności.” Nie jest to przypuszczenie czysto hipotetyczne – zjawiska „katolicyzmu selektywnego” oraz wiary (i religii) „poza Kościołem” stały się już faktem. Niepomyślny obrót spraw może również przybrać postać społecznej i kulturowej marginalizacji Kościoła, minimalizacji jego wpływu na sferę *profanum* – co, jak przypomina Tischner, jest z reguły skutkiem nadmiernych aspiracji do „sakralizacji” życia publicznego bez należytego respektowania „autonomii rzeczywistości ziemskich”. Wskutek tego możemy mieć do czynienia z postępującą emigracją „wartości chrześcijańskich” – i religijnych w ogóle – ze wspólnoty widzialnego Kościoła i z rosnącym ignorowaniem jego instytucji. Znowu zderzamy się z „prawdą trudno strawną”, ale czyż nie znajduje ona na naszych oczach potwierdzenia w faktach?

Podsumowujące wnioski, jakie nasuwają się po lekturze esejów ks. Józefa Tischnera, wnioski, które zresztą on sam podpowiada, to przede wszystkim konieczność krytycznego (i samokrytycznego!) przemyślenia w środowiskach intelektualnych Kościoła podstawowych pojęć antropologii i eklezjologii w świetle ich zastosowań i konsekwencji praktycznych. Po pierwsze, pojęcia władzy: „Są dwa rodzaje władzy, jedna władza dąży do tego, by

wyręczyć człowieka z potrzeby rządzenia sobą, druga dąży do tego, by umożliwić człowiekowi rządzenie sobą.” Po drugie, kwestii „nieszczęsnego daru wolności”, skoro „wyrośli w niewoli i wychowani na literaturze, która rodziła się w niewoli, nie mieliśmy zbyt wielu doświadczeń z tymi formami odpowiedzialności, które niesie wolność”. Tymczasem „Bóg stworzył człowieka jako istotę wolną i odpowiedzialną, a więc zdolną do samorządności”. Po trzecie, w Polsce wciąż czeka na swoją godzinę eklezjologia Ludu Bożego oraz „dialogu Kościoła ze światem współczesnym”, zainicjowana przez Sobór Watykański II, a także mądra i niemal zupełnie u nas nieznana teologia kultury Jana Pawła II. Po czwarte wreszcie, należałoby prze-myśleć również treści etyczne chrześcijańskiej doktryny oraz sposoby jej nauczania, bowiem, jak słusznie zauważa Tischner, „pomostem do rozmowy ze światem stała się etyka”. Jednakże pod warunkiem, że się ją uwolni od wąsko i jednostronnie pojętego systemowego legalizmu nakazów i zakazów, z jednej strony, a z drugiej – od natrętnego moralizatorstwa i „prewencyjnego” negatywizmu popularnej, kaznodziejskiej katechezy. Warto na koniec przytoczyć, za Tischnerem, kilka pytań, które uderzają w „schorowaną wyobraźnię”, ale też otwierają pole dla dalszych rozważań i dyskusji: „Skąd brała się zawężająca interpretacja zasady »poza Kościołem nie ma zbawienia«, wedle której jedynie ochrzczeni w Kościele katolickim mają prawo do nadziei na zbawienie? Skąd wynikała neomanichejska teza, wedle której Chrystus nie umarł za wszystkich, lecz tylko za wybranych? I skąd wreszcie płynie owa niemal chorobliwa podejrzliwość w stosunku do każdego dobra, jakie dzieje się poza widzialnym Kościołem? Czy w tym wszystkim nie skrywa się resentyment ludzi wewnętrznie zniewolonych, którzy nie są w stanie uznać innego świata niż własny?”

ELŻBIETA WOLICKA, prof. dr hab., filozof, teoretyk sztuki, kierownik Katedry Teorii Sztuki i Historii Doktryn Artystycznych KUL, członek redakcji „Znaku”. Wydała: *Byt i znak* (1982), *Mit – symbol rozwinięty. W kręgu platońskiej hermeneutyki mitów* (1989), *Wobec sztuki* (red. 1992), *Mimetyka i mitologia Platona* (1994), *Próby filozoficzne* (1997).

TRUDNE CHRZEŚCIJAŃSTWO

Grzegorz Górny

Abp Józef Życiński, ZIARNO SAMOTNOŚCI,

Wydawnictwo Znak, Kraków 1997, ss. 240

Pierwszą papieską nominacją, jaką ogłoszono po zakończeniu V Pielgrzymki Apostolskiej Ojca Świętego do Polski, było mianowanie ordynariuszem archidiecezji lubelskiej dotychczasowego biskupa tarnowskiego Józefa Życińskiego. Tak się akurat złożyło, że najnowsza książka tego ostatniego ukazała się niemal w przededniu wizyty Jana Pawła II w kraju. Zbieżność tych wydarzeń nie jest przypadkowa, tak jak nie jest przypadkowa zbieżność wątków, jakie pojawiły się w homiliach Papieża i na kartach książki arcybiskupa. Dla kogoś, kto czytał *Ziarno samotności*, obserwując równoległe papieską peregrynację, czerwcowe przesłanie Jana Pawła II w sposób naturalny stać się mogło kluczem hermeneutycznym do całej książki. Nie należy traktować tego jako interpretacji jedynej lub uprzywilejowanej; zbieżność ta może być odbierana raczej jako świadectwo rozeznania tego, „co Duch mówi do Kościoła” – zarówno przez Chrystusowego Namiestnika, jak i przez „znaki czasu”.

W przesłaniu do biskupów polskich Ojciec Święty powtórzył słowa, jakie skierował do nich podczas poprzedniej pielgrzymki w 1991: „Człowiek jest drogą Kościoła. (...) To zadanie Episkopat i Kościół w Polsce musi niejako przetłumaczyć na język konkretnych problemów i zadań, posługując się soborową wizją Kościoła – Ludu Bożego, a także rodzimą analogią »znaków czasu«. Nasze polskie »znaki czasu« uległy wyraźnemu przesunięciu wraz z załamaniem się systemu marksistowskiego i totalitarnego, który warunkował świadomość i postawy ludzi w naszym kraju (...). W poprzednim układzie Kościół stwarzał jakby przestrzeń, w której człowiek i Naród mógł bronić swoich praw (...). W tej chwili (...) człowiek musi znaleźć w Kościele przestrzeń do obrony poniekąd przed samym sobą: przed złym użyciem swej wolności, przed zmarnowaniem wielkiej historycznej szansy dla Narodu.”

Fragment ten z powodzeniem stanowić mógłby motto książki arcybiskupa Życińskiego. W zbiorze jego esejów znalazły bowiem rozwinięcie wszystkie poruszone powyżej wątki, związane z odczytaniem „znaków czasu” w Polsce po upadku komunizmu. Przełożone zostały też na konkretny język polskich realiów współczesne problemy i zadania. Pierwszy rozdział mówi o podstawowym wyzwaniu dla polskich katolików u progu trzeciego

tysiąclecia chrześcijaństwa, kolejne dwa opowiadają o zagrożeniach cywilizacyjnych i kulturowych, ostatni zaś wskazuje, gdzie powinniśmy szukać źródła duchowej siły i inspiracji, by twórczo odpowiedzieć na czekające nas wyzwania i sprostać zagrożeniom.

Pierwszy z rozdziałów odwołuje się do problemu integracji Polski z Europą Zachodnią. Od kilku lat w naszym kraju dyskusje na ten temat toczą się na forum publicznym głównie w kategoriach ekonomicznych lub politycznych, a podstawowe pytanie, jakie pada w tym kontekście, brzmi: „co na tym zyskamy?” Papież tymczasem wprowadza do tej dysputy zupełnie nowy ton: na pierwszym miejscu stawia nie gospodarkę i politykę, ale sprawy duchowe i kulturę. Nie pyta: co na tym zyskamy? ile zarobimy? Pyta: co możemy dać z siebie? czym możemy ubogacić innych? W przemówieniu do młodzieży w Poznaniu Ojciec Święty zawarł dwa bardzo ważne przesłania: pierwsze – żeby się nie bać Europy; drugie – żeby nie wstydzić się swojej tożsamości, nie odrzucać swych chrześcijańskich korzeni. To wezwanie do świadectwa.

Co ciekawe, jeśli w polskich dyskusjach o zjednoczeniu Europy pojawia się aspekt duchowy czy kulturowy, to dominują dwie tendencje. Pierwsza postuluje dokładnie odwrotność tego, co głosi Jan Paweł II, tzn. warunkiem naszej integracji z Zachodem czyni wyzbycie się tych narodowych cech i obyczajów, którymi Ojciec Święty chciałby ubogacić Zachód. Jest to stale powtarzający się motyw publicystyki zwłaszcza tych „Europejczyków”, którzy, jak chociażby Mieczysław F. Rakowski czy Krzysztof T. Toeplitz, jeszcze niedawno bronili muru berlińskiego i żelaznej kurtyny. Druga tendencja, choć skrajnie przeciwstawna, jest w rzeczywistości logicznym dopełnieniem tej pierwszej. Przeprowadza ona z pozycji katolickich totalną krytykę Europy Zachodniej, uważając ją za źródło wszelkiej zgnilizny moralnej, od której – w imię zachowania czystości wiary – należy się koniecznie izolować.

W otwierającym książkę rozdziale *Uczniowie Wichru* arcybiskup Życiński zajmuje się między innymi tymi właśnie dwiema nakreślonymi wyżej postawami. Przedstawicieli pierwszej nazywa „Europejczykami z nominacji”. W rzeczywistości są oni uzurpatorami, których wizja Europy jest raczej jej karykaturą. Dzieje się tak wówczas, gdy „do roli europejskich cnót podniesiony zostaje zwyczajny spryt, dyplomacja życiowa, podporządkowanie moralności finansom”. Nie to jednak – zdaniem Arcybiskupa – decyduje o duchowym i kulturowym fenomienie Europy. Przypomina on o chrześcijańskich korzeniach naszego kontynentu, powołując się m.in. na encyklikę *Slavorum Apostoli* Jana Pawła II. Przypomina też, że chrześcijańskie korzenie jedności wyrastają nie tylko z dziedzictwa Średniowiecza, lecz leżą również u podstaw integracji Europy po II wojnie światowej. Szkic, w którym arcybiskup Życiński przypomina te fakty, nosi tytuł *Europa ducha*. Czyż nie o tym właśnie duchowym wymiarze jedności naszego kontynentu mówił Jan Paweł II podczas homilii w Gnieźnie, gdy zauważył, że „po upadku jednego muru, tego widzialnego, jeszcze bardziej odsłonił się inny mur, niewidzialny, który nadal dzieli nasz kontynent – mur, który przebiega przez ludzkie serca”?

Arcybiskup Życiński polemizuje też z przeciwstawną postawą, obecną w niektórych kręgach katolickich. Autor zauważa, że jest to postawa kapitulacyjna, gdyż raczej o słabości niż o sile wiary świadczy ucieczka przed wyzwaniem. Z pewnością jest to również odrzucenie papieskiej wizji Europy i roli, jaką może odegrać w niej Polska.

„Sytuacja chrześcijanina, który żyje troską o dzieło ewangelizacji na progu trzeciego tysiąclecia, przypomina pod wieloma względami sytuację Apostołów prowadzonych przez wicher Wieczernika »na cały świat« (Mt 28,19), »ku wszystkim narodom«” – zauważa Arcybiskup, by w innym miejscu dojść do wniosku, że „gdyby wystraszeni Apostołowie zrobili sobie wnikliwe podsumowanie zagrożeń czekających na nich w Koryncie czy w Rzymie, prawdopodobnie nigdy nie opuściliby swej ziemi rodzinnej”.

Metropolita lubelski zadaje pytanie, czy polscy katolicy podejmą wyzwania cywilizacyjne, jakie rysują się przed nimi u progu nowego tysiąclecia, i będą „dziećmi wichru z Wieczornika”, czy też skapitulują przed zagrożeniami i staną się „towarzystwem adoracyjnym ze szczelnie zamkniętych kapliczek”. Wizja, za którą opowiada się on – w ślad za Janem Pawłem II – jest wizją katolicyzmu ofensywnego i dynamicznego, a zarazem trudnego i wymagającego, wymagającego przede wszystkim od siebie.

To prawda, pisze arcybiskup Życiński, że wielu próbuje przedstawić „jako europejski styl współczesności pogaństwo”. Nie powinniśmy jednak z tego powodu popadać w kompleks Jonasza, który sądził, że „tylko desperacka ucieczka może stanowić jedyną realną odpowiedź na zepsucie świata”. Powinniśmy naśladować raczej pierwszych Apostołów, owych „uczniów Wichru”, których podróże misyjne odmieniły oblicze naszego kontynentu. To prawda, że trwa obecnie walka o kształt przyszłej zjednoczonej Europy – w ostatnim czasie obserwujemy zwłaszcza przerost myślenia technokratycznego i biurokratycznego – ale los tej batalii nie jest jeszcze przesądzony. Polska została zaproszona do uczestnictwa w Unii Europejskiej i NATO akurat w momencie, gdy na Zachodzie ujawnia się samoświadomość duchowej pustki. Okazało się, że Europa Zachodnia ma pomysł na zjednoczenie głównie w sferze ekonomicznej, ale nie w dziedzinie kultury i ducha. Dopiero dziś z powagi tego braku zdają sobie sprawę czołowi promotorzy zjednoczenia. Nawet uważany za przedstawiciela eurobiurokracji Jacques Delors powiedział niedawno, że „Europa potrzebuje duszy”.

Niektórzy przedstawiciele zachodnich elit, którym imponuje rozmach i styl pontyfikatu Jana Pawła II, właśnie w Polsce upatrują sojusznika w dziele duchowej przemiany kontynentu i dążenia do jego prawdziwej jedności. Mówił o tym chociażby przewodniczący Episkopatu Niemiec bp Karl Lehmann, który wiosną br. przebywał w Warszawie z okazji przyznania mu doktoratu *honoris causa* ATK. Taką perspektywę rysuje w swojej książce również arcybiskup Życiński. Czyni to jednak bardzo dyskretnie, nie wpada w hurraoptyzm, nie rzuca gromkich wezwań do chrystianizacji Europy. Materia, w której się porusza, jest bowiem bardzo subtelna, gdyż dotyczy

tego, co w człowieku najgłębsze i najbardziej intymne, mianowicie spraw sumienia i osobistych więzi z Bogiem. Wspomniana wyżej wizja wyłania się z jego książki jakby mimochodem. Nie jest to łatwy, krzykliwy optymizm natychmiastowych i namacalnych sukcesów. To wizja trudna, świadoma zagrożeń, ale radosna, gdyż ufna w moc Najwyższego.

Arcybiskup Życiński wie doskonale, że nie w naszej mocy jest nawracać. Nawrócenie jest dziełem Boga samego, który może – i chce – człowiekiem się posługiwać. Aby jednak być pomocnym Bogu w nawracaniu, należy przede wszystkim samemu się nawrócić, należy nieustannie oczyszczać swoją wiarę z naleciałości egoizmu i ambicji, nie unikając przy tym rzetelnego rachunku sumienia. Aby sprostać duchowym wyzwaniom, jakie stawia przed nami historia naszego kontynentu, trzeba więc umieć wskazać pokusy, jakim ulegamy, oraz sposoby, jakimi można je przezwyciężyć. Tym kwestiom arcybiskup Życiński poświęca kolejne dwa rozdziały. Pierwszy z nich, jakby wychylony myślą w przyszłość, mówi o niebezpieczeństwie „zastępowania marksizmu przez postmodernizm i liberalizm”; drugi, koncentrujący się raczej na przeszłości, dotyczy nie przeprowadzonych obrachunków etycznych z PRL-em. Są to pokusy, którym – jako społeczeństwo – w dużym stopniu ulegamy, i one to sprawiają, że nie dorastamy nawet nie tyle do papieskich wobec nas oczekiwań, co po prostu do zawartych w Ewangelii nauk Jezusa Chrystusa.

Wiara nie jest bowiem abstrakcją zawieszoną w próżni, ale wyraża się w konkretnych naszych działaniach i jest wypróbowywana w konkretnych sytuacjach. Taką próbą w skali społecznej jest dziś niewątpliwie wspomniane „zastępowanie marksizmu przez postmodernizm i liberalizm”. Wskazując na te zagrożenia, Arcybiskup dba jednocześnie o precyzję dystynkcji. Zaznacza, że nie jest bynajmniej wrogiem liberalizmu ekonomicznego czy politycznego, dostrzegając w nich wiele zalet. Niepokoi go jednak ideologia liberalna, która traktuje wolność jako wartość najwyższą i cel sam w sobie. Tymczasem wolność trzeba dopiero zagospodarować. Jest ona koniecznym warunkiem podejmowania swobodnych wyborów. Od nas samych zależy jednak, czy wybierzemy dobro czy zło. Dlatego tak ważne dla chrześcijanina jest powiązanie wolności z prawdą, odpowiedzialnością i miłością.

Drugim zagrożeniem – według autora *Ziarna samotności* – jest postmodernizm, rozumiany nie tyle jako metodologia w naukach humanistycznych, ile jako agresywna ideologia negująca samo pojęcie prawdy. Głośnemu powiedzeniu Michela Foucaulta „Prawda cię zniewoli”, arcybiskup Życiński przeciwstawia słowa Chrystusa: „Prawda was wyzwoli”. Opisuje „wolność jako proces, w którym poznanie prawdy niesie wyzwolenie”. Jest to jednak wyzwolenie pojmowane szerzej niż jako emancypacja społeczna – chodzi o „odchodzenie od świata iluzji, w którym szczególną rolę odgrywają iluzje niesione przez grzech”.

Bezkrytyczne przyjmowanie postawy liberalnej czy postmodernistycznej oznacza kształtowanie własnego życia nie według wiary, a nawet nie według

rozumu, lecz według ideologii. Nie tylko ten aspekt sprawia, że arcybiskup Życiński zestawia zideologizowany liberalizm i postmodernizm z marksizmem. Decyduje o tym również specyficzny charakter, w jakim te modne ideologie przejawiają się dziś w Polsce. Ojciec Maciej Zięba ukuł nawet na tę okazję specjalny termin: „socpostmodernizm”. Jak zauważa bowiem arcybiskup Życiński, niegdysiejsi piewcy marksizmu przemienili się dziś cudownie w heroldów postmodernizmu. Jest on dla nich postawą bardzo wygodną, gdyż zwalnia z odpowiedzialności za własne czyny. Jeśli nie ma prawdy, to nie ma również kłamstwa, a wszystkie wybory są równoprawne. Zaangażowanie po stronie zbrodniczego reżimu nie może być więc uważane za naganne czy fałszywe, gdyż istnieje wiele równoprawnych postaw, których nie wolno poddawać wartościowaniu. Po drugie, przyjęcie takiego stanowiska daje znowu poczucie uczestnictwa w awangardzie dziejów i bycia w zgodzie z duchem czasów. Tak jak kiedyś komunizm miał spinać ostatecznie kłamrę dziejów, tak dziś postmodernizm głosi, że na nim kończy się historia. W obu zresztą przypadkach wróg, który nie chce iść z duchem czasów, choć nieco odmiennie definiowany, pozostaje jednak w gruncie rzeczy ten sam. Stwarza to idealną możliwość chociażby do kultywowania antyklerykalizmu.

Postawa taka jest dziś bardzo rozpowszechniona głównie na katedrach humanistycznych szkół wyższych. W tym kontekście tak ważne staje się krakowskie przesłanie Jana Pawła II do ludzi nauki na temat „posługi myślenia”, „odpowiedzialności etycznej” i „służenia prawdzie”.

Powyższy przykład pokazuje też wyraźnie, że nie da się budować przyszłości bez rozliczenia się z przeszłością. Kościół uczy tego chociażby w sakramencie pojednania, gdzie rozpoczęcie życia jakby na nowo, wymazanie grzechów ofiarowane jest temu, kto przeprowadzi rzetelny rachunek sumienia, wyzna szczerze swoje winy, wyrazi żal za grzechy oraz okaże gotowość do zadośćuczynienia. Temu właśnie poświęcony jest kolejny rozdział książki zatytułowany *Obrachunki etyczne*. Autor przeciwny jest koncepcji „wspólnej Polski”, w której w imię solidaryzmu społecznego spuszcza się zasłonę milczenia na cały okres PRL i wycofujemy się z przykładania ocen moralnych do skomplikowanej rzeczywistości historycznej. Nie poddaje się argumentacjom tych, którzy (powołując się również na chrześcijańskie miłosierdzie) twierdzą, że pewnych pytań ludziom o komunistycznej przeszłości zadawać nie wolno, gdyż może im to sprawić ból i wyrządzić krzywdę. Im właśnie odpowiada: „Bola podobne pytania i mimo woli chce się zmienić temat. Może czasem jednak musi pobolec. Nie wolno nam zagłaskiwać sumień. Nie wolno świadectw prawdy uważać za nadużycie niezgodne z salonowym *savoir vivre* 'em.”

Nie jest to tylko wezwanie do czytelników. Arcybiskup Życiński sam w swojej książce pokazuje, że prawda i zdrowy rozsądek są mu bliższe niż tania kurtuazja. Choć związany z kręgiem „Tygodnika Powszechnego”, potrafi nazwać rzecz po imieniu, gdy ktoś z autorów pisma sformułuje opinię w oczywisty sposób fałszywą. Po lekturze *Przyczynku do biografii* kryty-

kuje Jana Kotta za rozmywanie podstawowych kategorii etycznych i wprowadzanie na ich miejsce pojęć estetycznych, które z kolei zredukowane zostają do poziomu fizjologii. Nie waha się też wskazać na niedorzeczności wypowiediane przez Stanisława Lema (który twierdził, że Polska staje się kolonią Watykanu) czy Adama Michnika (który w wywiadzie dla francuskiej prasy powiedział: „Po upadku komunizmu Jan Paweł II wyznaczył nowego wroga – liberalizm. Krytykuje go w kategoriach, które zdają się pochodzić z Soboru Trydenckiego... Boi się on przede wszystkim powrotu Polski do Europy”). „Polska Rzeczpospolita Towarzyska” (jak tytułuje jeden ze swoich szkiców) jest więc Arcybiskupowi obca w każdej postaci. Warto znów dodać, że Jan Paweł II również uznał za stosowne dokonać „obrachunku etycznego” PRL, skoro podczas spotkania z młodzieżą w Poznaniu wygłosił krótką lekcję powojennej historii Polski, w której odróżnił wyraźnie, co było w niej dobrem, a co złem.

Zwieńczeniem książki arcybiskupa Życińskiego są medytacje biblijne zatytułowane *W zamyśleniu nad Ewangelią*. Wskazują one na fundament wszelkiej aktywności chrześcijańskiej, jakim jest modlitwa, czyli zasłuchanie się w Boże słowa. Autor pisze: „W życiowym doświadczeniu mroku Ogrójca i samotności Golgoty źródłem naszej duchowej siły pozostaje odniesienie do życia Chrystusa i Jego więzi z Ojcem, niezależnej od uwarunkowań stwarzanych przez ludzi. Medytacja nad Ewangelią niesie inspirację dla naszej szkoły wierności, w której wyżej cenimy Chrystusowy styl niż nasze prywatne upodobania.”

Nic więc dziwnego, że ostatnie zdanie tej książki, poświęcone chrześcijańskiej nadziei, brzmi następująco: „Jej kultywowanie wymaga zastąpienia narcystycznego »a myśmy się spodziewali« przez otwarte »zostań z nami, Panie!«” Często bowiem nasze oczekiwania rozmijają się z zamiarami Pana Boga. „Moje drogi nie są waszymi drogami” – przypomina Pismo. Gdyby to od nas zależało, za kluczowy moment misji Chrystusa wybralibyśmy zapewne nie Wielkopiątkową mękę i śmierć w opuszczeniu, lecz triumfalny wjazd do Jerozolimy wśród wiwatujących tłumów w Palmową Niedzielę. Być może zadanie głoszenia Dobrej Nowiny o Zmartwychwstaniu powierzylibyśmy nie garstce kobiet i apostołów, lecz specjalistom od marketingu i *public relations*, którzy zorganizowałyby akcję promocyjną na dziedzińcu jerozolimskiej świątyni w kulminacyjnym momencie święta. Jest to wyraz naszych osobistych projekcji, które – w ten czy inny sposób – często rzutujemy na Chrystusa i chrześcijaństwo. Świadczą one o drzemającej w każdym z nas pokusie odrzucenia krzyża. A przecież Jezus powiedział wyraźnie: „Kto nie nosi swego krzyża, a idzie za mną, ten nie może być moim uczniem.” Nie wolno zapominać, że powiedzenie „tak” Chrystusowi oznacza zgodę na sytuację, w której moc przejawia się w słabości, zgodę na ból, odrzucenie, samotność. Nie będzie łatwo, ale za to z sensem.

GRZEGORZ GÓRNY, ur. 1969, redaktor pisma i programu telewizyjnego „Fronda”.

W TROSCE O DUCHA

Jarostaw Gowin

Tomaš Halík, WYZWOLENI, JESZCZE NIE WOLNI.

CZESKI KATOLICYZM PRZED I PO 1989,

przekład zbiorowy,

Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 1997, ss. 144

Z okładki tej niewielkiej książeczki z dystansem, ale i wyraźnym ciepłem spogląda na nas dojrzały mężczyzna. Lekki grymas ust zdradza i odrobinę goryczy, i poczucie humoru, o którym przeczytamy, że – wraz z wykształceniem – „chroni człowieka wierzącego przed zdeprawowaniem jego religijnej gorliwości do smutnej formy religijnego fanatyzmu”. Myślę, że nie byłem jedynym czytelnikiem, który wielokrotnie przerywał lekturę, by kolejny raz przyjrzeć się zagadkowej twarzy z okładki i spróbować wyczytać z niej tajemnicę – tajemnicę świadka Chrystusa.

Bo Tomaš Halík bez wątpienia należy dziś w Kościele do najważniejszych nauczycieli wiary. Ten niespełna pięćdziesięcioletni profesor filozofii i socjologii na Uniwersytecie Praskim, duszpasterz akademicki, przewodniczący Czeskiej Akademii Chrześcijańskiej przez kilkanaście lat należał do grona tajnie wyświęconych kapłanów, którzy skrywaną przed służbą bezpieczeństwa pracę duszpasterską łączyli z wykonywaniem świeckiego zawodu. W jak ścisłej konspiracji zmuszeni byli prowadzić działalność, najlepiej pokazuje fakt, że o kapłaństwie Halíka nie wiedziała nawet matka... I nie była to sytuacja wyjątkowa. Jak wspomina autor, częstokroć przygotowani do sakramentów studenci nie byli świadomi, że sprawujący nad nimi duchową pieczę inżynier, lekarz czy psycholog jest w rzeczywistości księdzem. Że przestrzeganie reguł konspiracji nie było sztuką dla sztuki, dowodzą bezwzględne represje, jakim poddawany był przez kilkadziesiąt lat Kościół w kraju naszych południowych sąsiadów. O tych heroicznym kartach najnowszej historii czeskiego i słowackiego Kościoła wie się w Polsce bardzo niewiele, i to pomimo istnienia tak miarodajnych opracowań jak książka Bohdana Cywińskiego „*Ogniem próbowane...*” czy niedawno przetłumaczona praca Patricka Michela *Kościół katolicki i totalitaryzm*.

Czy jednak – można zapytać – z wiedzy tej płynęłaby dla nas jakaś nauka? Bo przecież losy czeskiego katolicyzmu, jego dzisiejszy kształt i położenie zasadniczo różnią go od katolicyzmu polskiego. W kraju Husa kato-

licyzm postrzegany był jako religia okupanta i narzędzie wynarodowienia. Nic więc dziwnego, że czeskie tradycje niepodległościowe naznaczone były silnym antyklerykalizmem oraz przywiązaniem do oświeceniowych zasad laickości kultury i życia publicznego. To właśnie dlatego – twierdzi Halík – komuniści uczynili z Czech laboratorium „totalnej ateizacji społeczeństwa”. Eksperyment powiódł się, dzisiejsze Czechy pozostają jednym z najbardziej indyferentnych religijnie krajów świata. Pominąwszy dawne NRD, trudno o większy kontrast z sytuacją Polski. A mimo to, śledząc refleksje Halíka, niepodobna oprzeć się natrętnym wręcz skojarzeniom... Już choćby z racji tych analogii książka praskiego duszpasterza powinna dotrzeć do jak najszerszych kręgów polskich chrześcijan.

Czeski Kościół czasów komunizmu miał dwa oblicza: jedno oficjalne, sprzedajne, kolaboranckie, drugie – ukryte, reprezentowane przez księży niepokornych wobec władzy, gotowych zapłacić za to cenę wieloletniego więzienia, pozbawionych prawa wykonywania swej posługi, zmuszonych do pracy jako palacze, czyściciele okien czy stróże nocni, inwigilowanych i izolowanych od otoczenia (takie były na przykład koleje życia księdza Josefa Zvieriny, najwybitniejszego czeskiego teologa i duchowego przywódcy Kościoła podziemnego). Jednak – co niezwykle ważne – tajni księża, łączący pracę duszpasterską z wykonywaniem świeckiego zawodu, traktowali tę sytuację nie jako zło konieczne, ale jako wyzwanie do odkrycia nowej drogi powołania. „Była to dla nas okazja – pisze Tomáš Halík – nie tylko do tego, by bezpośrednio poznać »dzisiejszy świat«, by zdobyć jakieś osiągnięcia misyjne i specyficzne doświadczenia duszpasterskie, lecz także by głębiej zrozumieć własną tożsamość kapłańską.” Odrębna duchowość tej drogi powołania, jej szczególnie bliski związek z codziennym życiem świeckich, co zapewniało tajnym księżom ogromne zaufanie ze strony wiernych, wszystko to wydaje się ks. Halíkowi tak ważną postacią świadectwa Kościoła w zlaicyzowanym świecie, że nie waha się wzywać biskupów, aby mimo odzyskania możliwości nieskrępowanego głoszenia Ewangelii, zdecydowali się zachować tę formę kapłaństwa.

Jedną z cech tajnego Kościoła była maksymalna otwartość na wszystko, co wartościowe, niezależnie od tego, czy mieściło się to w granicach wąsko pojętej ortodoksji. „Staraliśmy się prowadzić żywy dialog z życiem duchowym i kulturalnym naszego społeczeństwa. (...) Ważne było, aby Kościół nie przemienił się w getto, a także, by jego ukryte struktury nie popadły w mentalność sekciarską.” Właśnie dlatego działający w ukryciu kapłani kładli tak wielki nacisk na ekumenizm. Ten sam motyw skierował ich w szeregi antykomunistycznej opozycji laickiej, skupionej wokół Karty 77. Zrodzoną z tamtych doświadczeń solidarność katolików i innych grup stających w obronie praw człowieka uważa ks. Halík za jeden z najcenniejszych owoców czasów prześladowań. Z tym większym rozgoryczeniem obserwuje w latach 90. symptomy zerwania z postawą dialogu i ulegania przez Kościół „kompleksowi męczeństwa”.

To ten kompleks, pomnożony o lęk przed nowymi wyzwaniem i kurczone trzymanie się starych form, jest odpowiedzialny za nieufność, z jaką Kościół czeski przyjął po roku 1989 pojawienie się społeczeństwa pluralistycznego, za jednostronnie krytyczną ocenę chrześcijaństwa zachodniego, a przede wszystkim za przenoszenie na nową sytuację schematów myślowych wypracowanych w czasach komunizmu. Dla ks. Halíka nie ulega wątpliwości, że taka postawa prowadzi w ślepej uliczce: „Byłoby tragicznym błędem, gdyby wobec nowej sytuacji Kościół przyjął tę samą strategię obronną, co wobec komunizmu. To byłaby tragiczna głupota.” Dlatego autor książki tak często przywołuje słowa wypowiedziane przez Jana Pawła II podczas wizyty w Pradze: „Budujcie świątynię wolnego życia waszego Kościoła nie przez powrót do tego, co było przedtem, zanim odebrano wam wolność. Budujcie ją mocą tego, do czego dojrzeźliście w trakcie prześladowań.” Doświadczenie komunizmu proponuje ks. Halík potraktować jako próbę, okazję do oczyszczenia, a nawet jako karę Bożą, jaka spadła na Kościół po to, by uwolnić go od starych grzechów.

Czy czescy katolicy potrafili skorzystać z „nieszczęsnego daru wolności” (podczas lektury książki niepodobna oprzeć się skojarzeniom z diagnozami ks. Tischnera) lepiej niż ich polscy bracia? W tekstach pisanych przez Tomáša Halíka na przestrzeni kolejnych kilku lat trudno nie zauważyć narastającego pesymizmu. Po ogromnym przypiływie zaufania do Kościoła, jaki nastąpił w okresie „aksamitnej rewolucji”, nie pozostało niemal śladu. Liczba katolików zmniejszyła się w latach 90. prawie o połowę. Kościół utracił też rzesze zewnętrznych sympatyków i przyjaciół. Czy dokonało się to bez jego własnej winy? Czy nie jest tak, że Kościół utracił dusze ludzkie, bo zanadto skupił się na rozwoju struktury instytucjonalnej? Odpowiadając na te pytania, autor książki jest wierny swemu postulatowi rzetelnego opisu sytuacji Kościoła, nie tuszującego prawdy, nawet jeśli jest ona bolesna. „Kto nakłoni naszych księży, by zeszli z rusztowań (na które często uciekają przed swymi podstawowymi zadaniami) i udali się do sanktuariów oraz wspólnot parafialnych? Kto ich przekona, że ponoszą znacznie większą odpowiedzialność za żywy Kościół Boży, którym wszyscy jesteśmy, niż za stan kościelnych budynków? Kto z wyobcowanych samotnych kapłanów uczyni braterską i kolegialną wspólnotę? Kto zatroszczy się o solidniejsze wykształcenie naszych księży? Kto przełamie zachowawczą mentalność w Kościele i rozbudzi w nim apostołskiego ducha założycieli i twórców?” Równie krytycznie wypada ocena świeckich katolików, którym ks. Halík wytyka uleganie mentalności getta czy skłonność do upolityczniania religii.

Myliłby się jednak ten, kto w postawie czeskiego teologa dopatrywałby się progresistowskich iluzji i uproszczeń. Znaleźć można w książce i przestrogi przed bezrefleksyjnym powielaniem rozwiązań przyjętych w zachodnich Kościołach lokalnych, i świadomość konieczności krytycznego dystansu wobec nowoczesnego świata. Ks. Halík doskonale zdaje sobie sprawę, że „Kościół prowokuje nie tylko swymi rzeczywistymi błędami, ale samą

istotą własnej misji. Wskazuje bowiem poza horyzont zwykłych wartości, podważa zakorzenioną wiarę współczesnego człowieka, że to, w co wkłada najwięcej czasu i wysiłku: majątek, sukces, kariera itp., stanowi wartości najwyższe i ostateczne.” Krytyczne uwagi kierowane przez praskiego duszpasterza pod adresem własnej wspólnoty wypływają więc nie z chęci „taniego *aggiornamento*”, lecz z troski o wiarygodność Kościoła w jego dziele budowania duchowego wymiaru ludzkiego życia.

Książka ks. Halíka dotyka spraw najprostszych i najważniejszych zarazem. Sama też jest prosta w formie, odarta z wszelkich zbytecznych ozdóbników czy niepotrzebnych zawłości. Wśród wielu jej wątków, które nie zostały w tej recenzji nawet zasygnalizowane, jeden wydaje się szczególnie ważny: problem ateizmu. Czeski filozof wychował się w środowisku ateistycznym, co po latach ocenia jako daną mu przez Opatrzność szansę lepszego zrozumienia ludzi niewierzących, porównania świata wiary i świata zwątpienia, a przez to większej wdzięczności za łaskę wiary. Ale doświadczenie ateizmu uważa ks. Halík za ważną wskazówkę dla dzisiejszego Kościoła z jeszcze innych powodów. Po pierwsze, jesteśmy dziś świadkami nie tylko kryzysu chrześcijaństwa, ale i kryzysu ateizmu, który traci swych zwolenników. Ten spadek liczby zdeklarowanych niewierzących dowodzi, zdaniem ks. Halíka, że nie mamy współcześnie do czynienia z kryzysem religijności. Jeśli więc mimo to szeregi chrześcijan się wykruszają, z tym baczniejszą uwagą powinniśmy szukać wewnątrzkościelnych przyczyn tego zjawiska. Po drugie jednak, w ateizmie trzeba też dostrzec jego prawdę, zmaganie się z doświadczeniem „skrytości” Boga. To doświadczenie zagubienia w „pustyni milczenia i nieobecności Boga znane jest mistykom jako etap dochodzenia do Boga. Właśnie dlatego – pisze autor – mistyka nocy ciemności i pustyni jest bardzo aktualną duchowością dla czasów nihilizmu”. I to odnowa duchowości, nie zaś kształtowanie postaw moralnych, jest najważniejszym zadaniem chrześcijaństwa. W czasach, gdy naszą uwagę przyciągają przede wszystkim – skądinąd ważne – spory o publiczną rolę religii, o konkordat czy konstytucję, warto zastanowić się nad uwagą ks. Halíka o znaczeniu duchowości w życiu chrześcijanina. Może uda nam się dzięki temu przywrócić sprawom właściwą hierarchię.

JAROSŁAW GOWIN, ur. 1961, absolwent filozofii UJ, publicysta, redaktor naczelny „Znaku”. Wydał: *Kościół po komunizmie* (1995), *Zaangażowanie czy defensywa. Katalicy w życiu politycznym Polski i Niemiec* (1997, wraz z M. Spickerem).

SZTUKA ŻYCIA, SZTUKA UMIERANIA

Joanna Petry Mroczkowska

Joseph Cardinal Bernardin, THE GIFT OF PEACE. PERSONAL REFLECTIONS,

Loyola Press, Chicago 1997

„Mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że mam spokój ducha i odczuwam to jako szczególny dar Boży”, powiedział Joseph kardynał Bernardin, arcybiskup diecezji chicagowskiej tuż przed śmiercią w połowie listopada ubiegłego roku. W książce zatytułowanej *Dar pokoju* osoba publiczna tej rangi postanawia złożyć ostateczną ofiarę ze swojej prywatności, dzieląc się z czytelnikami refleksją nad trzema końcowymi latami życia. Przy takim założeniu nie będzie mowy o licznych osiągnięciach Kardynała, o jego zasługach dla obrony życia, tak nie narodzonych, jak i skazanych na karę śmierci, jego zaangażowaniu na rzecz pokoju poprzez krytykę polityki zbrojeniowej w latach 80. W książce znajdzie się jedynie wzmianka na temat ekumenizmu i dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Nie zostaniemy poinformowani, że na dwa dni przed śmiercią kardynałowi przyznano – nadaną po raz pierwszy – nagrodę Amerykańskiej Rady Kościołów oraz – co oczywiste – że na pogrzeb, jednoczący ludzi różnych wyznań i przekonań, przybyły setki tysięcy ludzi.

Trzy wydarzenia wysuwają się w książce na plan pierwszy i im to poświęcone są kolejne rozdziały – fałszywe oskarżenie, diagnoza raka trzustki, po której nastąpiła terapia i stwierdzenie lekarzy, iż rak został skutecznie wyeliminowany, a wreszcie diagnoza agresywnego nawrotu choroby i ostatnia faza przygotowania się do śmierci.

W listopadzie 1993 roku cały świat dowiedział się, że kardynał Bernardin oskarżony został o molestowanie seksualne. Do osobistego bólu i upokorzenia niewinnego człowieka dołączył się aspekt prawny. Ponieważ sprawa natychmiast trafiła do sądu, Kardynał zmuszony był bronić zarówno swojej reputacji, jak i wiarygodności Kościoła. Zdecydował, że koszty obrony prawnej nie będą pochodziły z funduszy diecezji (aby tym samym nie dawać argumentu tym, którzy chcieliby wstrzymać składanie ofiar pieniężnych na cele kościelne). Kilka prestiżowych firm prawniczych podjęło się prowadzenia

sprawy na zasadzie *pro bono*, a – co jeszcze bardziej istotne – sprawa dość szybko zaczęła upadać, „dowody” okazały się o niczym nie świadczyć i po stu dniach Steven Cook, pierwotny oskarżyciel, zarzut odwołał.

Już wcześniej jednak Kardynał zaczął podejrzewać, iż Cook sam padł ofiarą manipulacji. Oskarżenie bowiem odwoływało się do syndromu „przywróconej pamięci”, która wzbudzana jest na seansach hipnotycznych przez mniej lub bardziej fachowych i etycznych adeptów tej nowej dziedziny praktyki psychoanalitycznej. A trzeba zaraz dodać, że w USA zjawisko to budzi wiele kontrowersji i stało się tematem obszernej literatury.

Do spotkania Bernardina i Cooka doszło blisko w rok po odwołaniu oskarżenia. Kardynał pragnął go zapewnić, że nie żywi doń urazy i chce się za niego pomodlić. Cook natomiast opowiedział swoje smutne dzieje – molestowanie seksualne, jakiego doznał przed wielu laty w seminarium, skwitowane niewłaściwą, jego zdaniem, reakcją władz kościelnych, opuszczenie Kościoła, rozwiązanie trybu życia, AIDS. Nie pominął też udziału osoby duchownej, która – mając służyć pomocą – nakłoniła go do wniesienia oskarżenia przeciw Kardynałowi. Na końcu w prostych słowach przeprosił za krzywdę, jakiej stał się przyczyną. Dar pojednania i pokoju objawił się w pełni, kiedy Steven Cook zgodził się, by w jego intencji odprawiona została Msza święta połączona z udzieleniem sakramentu chorych. Kardynał był z Cookiem w ciągu następnych miesięcy w kontakcie i został powiadomiony o tym, że Steven zmarł w domu matki całkowicie pogodzony z Bogiem i Kościołem.

Zamknięcie tego rozdziału uwolniło Kardynała od wielkiego brzemienia i napełniło go wzmożoną energią i wolą podjęcia czy kontynuowania wielu inicjatyw duszpasterskich zawieszonych z racji oskarżenia. Odbył wtedy trzy dalekie podróże – po raz pierwszy odwiedził Filipiny (zjazd poświęcony walce z pornografią), Australię i Nową Zelandię (seria wykładów) oraz Ziemię Świętą, dokąd udał się z chicagowską delegacją katolików i Żydów. Wtedy to, w czerwcu 1995 roku, zupełnie niespodziewanie, badania lekarskie – Kardynał rzeczowo je opisuje – wykazały, iż ma raka trzustki. On, który zawsze bał się szczególnie raka! Trudno mu przychodziło nawet wymawianie tego słowa, co musiało mieć związek z faktem, że jego ojciec, włoski emigrant, zmarł na raka, gdy Joseph miał sześć lat, a jego siostra dwa. Mimo to jednak, zapytany na konferencji prasowej, co uważa za trudniejsze do przyjęcia i bardziej przykre – oskarżenie czy diagnozę raka – odpowiedział bez wahania: fałszywe oskarżenie. Było ono bowiem wynikiem zła, atakiem na charakter, i gdyby zostało utrzymane, zniszczyłoby wiarygodność Kardynała jako autorytetu w Kościele.

Choroba wciąga człowieka „wewnątrz siebie”, pisze Joseph Bernardin. Skupiamy się na sobie, wpadamy w depresję. Możemy to jednak przezwyciężyć i zbliżyć się do innych cierpiących. Kardynał stawia sobie takie zadanie tuż po poważnej operacji trzustki. (Stanowi to także wypełnienie pewnej życiowej misji, która w młodości nęciła Bernardina, kiedy starał się o stypendium na studia medyczne i uzyskał je. Rozpoczął naukę, ale niedługo

potem znajomi młodzi księży uzmysłowili mu, że jego altruistyczne zamiary i chęć posługi mogą być realizowane w kapłaństwie.) I teraz kardynał Bernardin staje się „nieoficjalnym kapłanem” chorych na raka, najpierw w bezpośrednich kontaktach z sąsiadami z sal szpitalnych, potem także poprzez rozległą korespondencję, gdy zewsząd napływają doń prośby o pomoc duchową, o modlitwy. Kiedy inni cierpią, pisał, najbardziej frustruje nas fakt, że nie da się temu zaradzić. Możemy jednak być przy nich, modlić się z nimi, stać się dla nich symbolem Bożej miłości i obecności.

Po zakończeniu chemioterapii i naświetlań, nie zaniehbując, w stopniu, w jakim to było możliwe, swej posługi wśród chorych, Kardynał znowu rzucił się w wir pracy, finalizował Catholic Common Ground Project, którego owocem stał się dokument: *Być katolikiem. Kościół w chwili zagrożenia*. Wyniki badań zdawały się świadczyć, iż rak został wyeliminowany. Lekarze zalecili operację kręgosłupa, którego bóle – podobnie jak i niedowład nóg – stały się bardzo dotkliwe. Ostatnie testy przedoperacyjne przeprowadzone w sierpniu 1996 roku nie pozostawiły jednak żadnej wątpliwości: na wątrobie odkryto pięć guzów i lekarz nie ukrywał, że pacjentowi pozostaje w takim przypadku nie więcej niż rok życia.

Kardynał nie przeżył jednak nawet trzech miesięcy. W pierwszej chwili tempo jego życia nie zmalało. We wrześniu odebrał z rąk prezydenta Clintona Medal Wolności, najwyższe amerykańskie odznaczenie nadawane osobom cywilnym. W Bostonie wręczono mu medal Caritas Christi za pracę na rzecz katolickiej opieki zdrowotnej. Zaraz potem udał się do Rzymu na spotkanie z Janem Pawłem II. Wielką radość sprawiło mu także odwiedzenie po drodze Asyżu. (Modlitwa św. Franciszka stanowi właśnie zamknięcie książki.) Z początkiem października Mszę świętą dla wiernych Kardynał odprawił z poczuciem, że czyni to po raz ostatni. Ostatnim publicznym wystąpieniem był udział w uroczystości nadania imienia Kardynała Bernardina nowo otwartemu ośrodkowi leczenia raka. Na ostatnich stronach zwierzał się z – charakterystycznego dla chorych na raka trzustki – wszechogarniającego zmęczenia, ale i radości, że udało mu się doprowadzić pisanie książki do końca.

Dar pokoju jest książką bardzo osobistą i wyjątkową nie tylko dlatego, że wyszła spod pióra wysokiego dostojnika kościelnego. Nie to było pewnie głównym powodem, że znalazła się na liście bestsellerów i kilkakrotnie zwiększano jej nakład. Jest ona przede wszystkim świadectwem złożonym przez ciężko doświadczonego człowieka, ale zarazem przejmującą lekcją dającą między innymi praktyczne wskazówki, jak zachowywać się w chwilach szczególnie trudnych. Ukazuje Kardynała jako człowieka wielkiej wiary, kultury osobistej, rzecznika pojednania, porozumienia i pokoju. Człowieka skromnego, bez pozy i jakiegokolwiek nachalności czy kokieterii. Szczerze (a z drugiej strony bez cienia ekshibicjonizmu) piszącego o swym cierpieniu i troskach. W chwili ciężkiej próby, jaką jest na przykład fałszywe oskarżenie, Kardynał przywołuje słowa zapisane w Ewangelii Janowej: „A prawda was wyzwoli”, nie wolny jest jednak od chwilowego, jakże ludzkiego

zwątpienia, czy w kulturze, w której zniekształcające zabiegi nieuchronnie towarzyszą *image making*, da się jeszcze usłyszeć głos prawdy. W efekcie podobnie jak i późniejsze, cios ten jest dlań okazją do uświadomienia sobie szczególnej łaski, poczucia siły wewnętrznej, duchowego wzrostu.

Decyzja wyjścia na forum publiczne ze swoją chorobą wiązała się przede wszystkim z pragnieniem podzielenia się głębokim przeświadczeniem, że cierpienie nie ma sensu bez Boga. Ostatnia część refleksji Kardynała poświęcona oswojeniu, zaprzyjaźnieniu ze śmiercią podobnie jak trzy poprzednie zaczyna się medytacją. Punkt wyjścia stanowią słowa Jezusa: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni, obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i ucztujcie ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemie lekkie.” Jezus, zwraca uwagę Kardynała, nie obiecał, że usunie nasze brzemie, lecz że pomoże je nieść. Jemu samemu zakorzenienie w Chrystusie pozwoliło zaakceptować chorobę i bliską śmierć.

Zastanawiając się nad odpowiedzią na pytanie dziennikarzy o to, czego jeszcze chciałby w swoich ostatnich chwilach dokonać, Kardynał doszedł do wniosku, że powinien dać świadectwo swojego przygotowania się do śmierci. Szczegółnej wymowy nabrały słowa Henri Nouwena, teologa i pisarza, związanego z poświęconą służbie upośledzonym umysłowo wspólnotą „Arka”. Nouwen, który zmarł na atak serca na parę tygodni przed Kardynałem, odwiedził go w lipcu 1995 roku, tuż przed wiadomością, że u Kardynała stwierdzono już przerzuty na wątrobę, i powiedział wtedy, że wszyscy, dla których śmierć jest przejściem z tego życia do wiecznego, powinni traktować ją jak przyjaciela. Jakże daleko jednak jesteście od „filozofii” eutanazji! W ogłoszonym na dzień przed swą śmiercią liście do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych – czego ze względu na ramy czasowe książka nie mogła ująć – Kardynał zdecydowanie potępił próby legalizacji tej praktyki.

Diagnoza raka sprawiła, że Kardynał z życia i nauczania Jezusa przeniósł akcent na cierpienie i śmierć. Cierpienie jest okazją do pozbycia się niepotrzebnego balastu. To chorzy właśnie patrzą na życie z innej perspektywy, to im łatwiej jest odróżnić to, co zasadnicze, od tego, co marginesowe. Paradoks samotności doprowadza nas do poczucia, że nie jesteśmy sami. Cierpimy w łączności z Panem. „Im bardziej kurczowo trzymamy się siebie i innych, im bardziej staramy się mieć kontrolę nad swoim losem – tym bardziej tracimy z oczu prawdziwy sens naszego życia, przytłoczeni bezcelowością tego wszystkiego. To właśnie poprzez wejście w pełną łączność z Jezusem, gdy oddajemy Mu siebie, możemy rzeczywiście siebie poznać. W akcie poddania się woli Bożej doświadczamy odkupienia, odnajdujemy życie, pokój i radość pośród fizycznego, psychicznego i duchowego cierpienia. Tej lekcji musimy się jednak najpierw nauczyć od Jezusa, zanim będziemy mogli przekazywać ją innym.” Wymaga to jednak pogłębienia więzi z Bogiem poprzez modlitwę. Kardynał dzieli się z czytelnikami swoim doświadczeniem: podjętym przed wieloma laty postanowieniem, że w tro-

sce o dobrą modlitwę musi poświęcić jej pierwszą, bardzo wczesną godzinę dnia. Wyznaje, że nie zawsze udawało mu się zapanować nad brakiem koncentracji. Tę trudność także ofiarowywał Bogu, nie zmieniając harmonogramu, nie ulegając pokusie aktywizmu, innego wykorzystania tych chwil. Czas ten pozwalał mu na poczucie łączności z Bogiem przez resztę dnia, dzień po dniu... Kardynał kilkakrotnie powraca do doświadczenia, jakie stało się jego udziałem w miesiącach choroby – trudno modlić się w sytuacji silnego bólu. Dlatego przestrzega – módlcie się, gdy jesteście w formie!

Specjalnym darem Bożym, co podkreśla tytuł książki, okazała się zdolność przyjęcia ciężkich doświadczeń życiowych. Z kolei szczególnym darem dla innych jest dzielenie się Bożym pokojem, pomoc w znoszeniu choroby. Bernardin wyznaje, że dopiero choroba w pełni pozwoliła mu zrozumieć, kim powinien być kapłan. „Ludzie oczekują, aby księża byli autentycznymi świadkami czynnej roli Boga w świecie, świadkami Jego miłości. Nie chcą, żebyśmy byli politykami czy menedżerami, nie są zainteresowani małostkowymi konfliktami w życiu parafialnym czy diecezjalnym. Ludzie chcą, abyśmy dzielili z nimi radości i smutki życia.” Nawet chorzy niewierzący mają głębokie pragnienie kontaktu z transcendentnym.

Pytany o poglądy na temat nieba i życia po śmierci, Kardynał posługuje się opisem wrażenia, jakiego doznał podczas pierwszej wizyty w okolicach, z których pochodzili jego rodzice. Wychowany na albumie z fotografiami matki, włoskiej emigrantki, jak u siebie w domu poczuł się w małym miasteczku w północnych Włoszech. „Gdy tylko wjechaliśmy do doliny, powiedziałem: Mój Boże, znam to miejsce. Jestem w domu. Teraz myślę, że przejście z tego życia do wiecznego będzie podobne. Będę w domu.”

JOANNA PETRY MROCZKOWSKA, dr filologii romańskiej, krytyk literacki, tłumaczka i cscistka. Mieszka w USA.

IRONIA I WIZJA

Maciej Mazurek

**Jan Lebenstein, OBRAZY I RYSUNKI. WYSTAWA
W GALERII „U JEZUITÓW”,**

Poznań, 18 maja – 7 lipca 1997

Choć omawiana wystawa została skomponowana tylko z prac znajdujących się w kolekcjach muzealnych i prywatnych w Polsce, pozwala zapoznać się z istotą tej sztuki i prześledzić jej ewolucję. Na wystawie zaprezen-

towano prace ze wszystkich etapów artystycznych poszukiwań Lebensteina. Te poszukiwania, często ryzykowne, świadczące o potężnej romantycznej wyobraźni autora, powodowały w obrębie jego twórczości przemiany zaskakujące, za którymi zawsze kryła się jednak bardzo jednorodna artystycznie osobowość. Najprawdopodobniej pytania o te przemiany, zwłaszcza o motywy rezygnacji artysty z poetyki *Figur osiowych*, są kluczem do odczytania podstawowych sensów sztuki Lebensteina.

Ekspozycję otwiera zestaw obrazów i gwaszy na papierze milimetrowym z przełomu lat 50. i 60. – ze zbiorów Muzeum Narodowego w Poznaniu, głównie *Figur na osi* – zamyka zaś cykl 16 gwaszy i pastelów ze zbiorów Muzeum Archidiecezji Warszawskiej z lat 1983-1985 będących ilustracjami do Apokalipsy. Można było na wystawie obejrzeć również kilkanaście rysunków tuszem i gwaszy z przełomu lat 60. i 70., między innymi z cyklu *Bestiarium*, projekty ilustracji do książek, wśród nich do *Folwarku zwierzęcego* George'a Orwella, a także obrazy olejne, w których Lebenstein odchodzi od osiowego schematu kompozycyjnego. „Uwolnione z osi” postaci zwierząt i bestie są w obrazach z lat 60. przedstawione z profilu. W niektórych obrazach następuje zespolenie elementów ludzkich i zwierzęcych. Najpełniej reprezentowany był jednak na wystawie najwcześniejszy okres twórczości artysty, z którego pochodzą właśnie słynne *Figury osiowe*, które na przełomie lat 50. i 60. przyniosły Lebensteinowi międzynarodową sławę.

Chcąc odpowiedzieć na pytanie o przyczynę powodzenia *Figur...*, oprócz wysokich walorów artystycznych należy wziąć pod uwagę fakt, że malarstwo Lebensteina wpisywało się w nurt sztuki przesiąkniętej filozofią egzystencjalną. Formuła ideologiczna jego obrazów była prosta i jednocześnie niezwykle pojemna. Wieloznaczność pojęcia „oś” pozwala na nieskończoną pracę wyobraźni. Między Kierkegaardowskim „albo-albo” przebiega prosta, wokół której ogniskują się etyczne decyzje. I tworzą się niejako automatycznie w oparciu o tę oś pary opozycji: dobra i zła, człowieka i bestii, Boga i nicości itp. Ten potencjał wieloznacznych odczytań zaczerpnięty onegdaj w obrazach Lebensteina przetrwał do dzisiaj. Być może w nim właśnie szukać możemy źródeł zafascynowania tą twórczością wśród ludzi pióra skupionych wokół paryskiej „Kultury”. Spotkać się można z opinią określającą *Figury...* jako obrazy z dorobku Lebensteina najcenniejsze, a także ze stwierdzeniami, że po sukcesie paryskim Lebenstein nie wykorzystał szansy, jaką miał bodaj jako jedyny polski malarz w dwudziestym wieku: szansy odegrania roli gwiazdy pierwszej wielkości na międzynarodowym rynku sztuki. *Figury...* były gotową artystyczną formułą, uniwersalnym językiem, który należało pogłębiać, jak miało to miejsce w przypadku malarzy takich, jak Bacon, Giacometti czy de Staël, którzy, odkrywając własną malarzką dykcję, całe dalsze życie poświęcili jej doskonaleniu. Nie wdając się w szczegółową polemikę z taką opinią, warto ją jednak przytoczyć, aby uzmysłowić sobie, że zmiana stylistyki – w *Figurach...* mamy do czynienia z mistrzowskim zespoleniem zdobyczy abstrakcji strukturalnej ze sztuką przed-

stawiającą, w obrazach Lebensteina z lat 60. pojawia się natomiast neoekspresjonizm – była zdecydowanie antykoniunkturalna. Zdaje się, że zbyt często wielu krytyków prostolinijnie odczytuje dramatyczne w swojej trafności stwierdzenie Stanisława Beresia, że historię sztuki zastąpił rynek sztuki. Warto przywołać tu Josifa Brodskiego, który wobec sztuki współczesnej zachowywał nieprzychylną obojętność. Mówił, że „już sama jej nędza czyni ją prorocstwem”, a jedyną zaletą kolekcji Peggy Guggenheim było dla niego to, że ukazuje, „jaką tandetną, rozpychającą się łokciami, małoduszną, jednowymiarową hałastrą staliśmy się wszyscy”. Być może właśnie niechęć do zajmowania się „człowiekiem psychicznym”, jakiego spotykamy w *Figurach...*, jest źródłem zmiany stylistyki. Jan Lebenstein dobrze zna historię sztuki. Wybrał między innymi polską tradycję barokową, z jej zmorami i wizjami, przed którymi całe życie uciekał nie ceniący sztuk plastycznych Witold Gombrowicz. Uniwersalizm artystycznego języka *Figur...* mógł przynieść sukces, ale nie mógł – domyślamy się – na dłuższy czas zapewnić Lebensteinowi poczucia artystycznej tożsamości. Sztuka bierze się z aktów poszukiwania i odbudowywania tej tożsamości. Te akty prowadzą artystę. Gest niepojednania ze światem, akt odmowy uznania jego praw – jeśli są niezgodne z wewnętrznym impulsem, za którym stoi głód metafizycznego sensu czy przechowywane często anachroniczne wyobrażenie świata głębszych wartości – również wiele mówią o artyście i jego dziele.

Figury osiowe to jakby obrazy człowieka przeglądającego się w lustrze sztuki piętnaście lat po zakończeniu najstraszliwszej wojny w dziejach, to także symbol zdegradowanego człowieczeństwa, którego ostatnim atrybutem pozostaje owa naznaczona podwójnym sensem oś. Z jednej strony jest ona symbolem moralnych wyborów, z drugiej zaś kręgosłupem, przynależy do porządku biologicznego sprzecznego z aksjologicznym porządkiem świata duchowego. Lebensteinowi udało się w *Figurach...* zespolic te nie przystające do siebie porządki, zaszyfrować charakterystyczny chyba dla całej jego twórczości (na co zwrócił uwagę Czesław Miłosz) manicheizm. Konstanty A. Jeleński w świetnym szkicu z roku 1973 *Jan Lebenstein – mitotwórca natury ludzkiej* napisał, że *Figury...* są zaszyfrowaną pieczęcią Erosa i Tanatosa. Jeśli nie przynależą w całości, to zapewne są położone blisko obszaru egzystencjalnego nihilizmu, którego pierwsze artystyczne wcielenie w sztukach plastycznych przyniósł niemiecki ekspresjonizm. Lebenstein uciekł z tego obszaru. Można zaryzykować twierdzenie, że cała jego późniejsza twórczość to ucieczka od nihilistycznej a później antymetafizycznej aury sztuki współczesnej. Sztuka Lebensteina dowodzi, że dwudziestowieczny artysta nie może rezygnować ze swojej mitycznej natury właśnie dlatego, że jego epoka nad tą rezygnacją przechodzi do porządku dziennego, a jej intelektualni przywódcy potrafią z tego faktu wysnuwać krzepiące dla człowieka wnioski. Inna to rzecz, że owe kontury mitycznej natury człowieka są dla Lebensteina coraz bardziej mgliste i wydają się możliwe do uchwycenia jedynie w zamierzchłej archeologicznej przeszłości, o czym świadczą ostatnie prace artysty.

Matowe, zwykle w jednej ciemnej gamie utrzymane obrazy (złamane zielenie, ugry, ciężkie brązy), jakie złożyły się na *Figury...*, rzadko ożywia jakiś jaśniejszy akcent. Złudne są też związki tego malarstwa z cieszącym się wtedy największym powodzeniem informelem, czyli „gorącą abstrakcją”. Informel zdaje się konsekwencją przemian tradycji fowistycznej. Informel to rysowanie farbą. Lebenstein był uczniem kolorystów Eugeniusza Eibischa i Artura Nachta-Samborskiego i z tej tradycji się wywodzi, przejmując w swoich obrazach osiowych wszystkie jej zalety, jak i ograniczenia. Zalety to namiętne szukanie formy, jednak z pominięciem definiowania jej z pomocą rysunku, oraz zainteresowanie materialną strukturą obrazu. To ostatnie jest wynikiem fascynacji Lebensteina procesami biologicznego rozpadu materii, które tropi w swoich obrazach. Stosowanie grubej mięsistej faktury świadczy właśnie o tych zamiłowaniach. Materia malarska to jednak nie materia ciała. Tu też tkwi pewna sprzeczność, bowiem dzieło malarskie ma być świadkiem, a nie uczestnikiem rozpadu. Artysta nie może być bardziej konsekwentny od bezlitosnej natury, ponieważ takie proste naśladownictwo byłoby kiczem. Ta sprzeczność jest w obrazach Lebensteina znakomicie wykorzystana, ponieważ intuicja nieomylnie podpowiada artyście, kiedy prace należy zakończyć. Dlatego *Figury...* zdają się szkicem wizualnego zjawiska balansującego na granicy, za którą jest już tylko absolutna negacja zmysłowego piękna, czyli estetyczne opuszczenie świata. Ale ponieważ ta granica nie zostaje zdecydowanie przekroczona, są również trudnym projektem jego odbudowy. W swojej twórczości po *Figurach osiowych* Lebenstein rezygnuje z portretowania materii i powraca do świata, do mitu, a sztuka jego zaczyna napełniać się znaczeniami literackimi. Następuje przejście (które możemy zaobserwować na wystawie) w konstrukcji obrazów, z wertykalizmu na horyzontalizm. Jednym z pierwszych obrazów „horyzontalnych” jest płótno pt. *Wiejski*, przedstawiające uśmiechniętą krowę. Jest to jedna z nielicznych pogodnych prac w dorobku artysty.

Pojawia się też u Lebensteina zainteresowanie historią sztuki jako źródłem inspiracji. Malarzem, który go szczególnie zafascynował, był angielski romantyk Fussli. Prezentowane na wystawie płótno *Boucherie chevaline*, w którym artysta, nawiązując do polskiej tradycji barokowej, stara się sportretować czarta, wydaje się aluzją do słynnego obrazu Fussli’ego *Mara nocna*, który śmiało możemy nazwać malarskim manifestem romantyzmu infernalnego. Na początku lat 60. Jan Cybis podczas swojego pobytu w Paryżu zanotował w dzienniku, nie bez zrozumiałej dla nas dezaprobaty, że Tadeusz Brzozowski i Jan Lebenstein mówią o Böcklinie, a nie o Cézannie jako o gwiazdzie pierwszej wielkości. Te predylekcje do symbolizmu, wizyjności i surrealistycznego obrazowania spotykamy u Lebensteina chyba już w gwaszach i rysunkach na papierze milimetrowym z lat 50. Mają one często charakter malarskich żartów, aurą swoją nawiązując do świata sztuki Paula Klee, którego związki z romantyzmem są oczywiste. Sam Lebenstein

nie odcinał się zresztą zdecydowanie od surrealizmu, pod warunkiem, że surrealizm rozumie się szerzej, nie tylko jako kierunek artystyczny. A wtedy w surrealizmie, jak wyznał w jednym z wywiadów, mieści się „np. rzymski barok iluzjonistyczny. Otwarte kopuły, w których dzieją się zdarzenia nie z tego świata.”

Na początku lat 60. pojawiają się płótna ekspresjonistyczne przedstawiające spotworniałe postaci. Są to ludzie, zwierzęta i groteskowe hybrydy przywołane z jakiegoś bestiariusza, zapożyczone od średniowiecznych czy barokowych moralizatorów. Odtąd będą zaludniały obrazy Lebensteina, na przykład znakomite ilustracje do *Folwarku zwierzęcego* Orwella.

Duży ładunek ekspresji zawiera wykonana gwaszem i tuszem na papierze praca z 1956 roku pt. *Wiszący*, która jest ilustracją finału pojedynku Apollina z Marsjaszem. Wiszący do góry nogami, jeszcze żyjący satyr hipnotyzuje nas przenikliwym spojrzeniem. Milczy, nie wyje z bólu, jak ma to miejsce w znakomitym wierszu Zbigniewa Herberta. I wydaje się nie rozumieć powodu, dla którego musi umrzeć. Ale oczy bogów są po to, by radować się naszymi cierpieniami. Ich ręce służą prześladowaniu ludzi – zdaje się sugerować Lebenstein w wielu swoich pracach.

W pracy *Supplice* z roku 1962 człowiekopodobny potwór połyka dziecko. Ta makabryczna scena odsyła nas do jednego z ostatnich obrazów Goyi, *Saturna pożerającego własne dzieci*. Obraz Goyi jest w jakimś sensie wzniósłszy, patetyczny. Mitologiczne zdarzenie dzieje się w nieskończonej przestrzeni. *Supplice* Lebensteina ma wymiar kameralny. Przestrzeń jest zamknięta. Przedstawiona scena nie wywołuje gwałtownych odczuć, jak obraz Goyi. Jest w niej mistrzowsko uchwycony zwierzęcy automatyzm połykania. Lebenstein potrafi zwierzęce odruchy synchronizować z ludzkimi. Źródłem tej „synchronii” wydaje się obsesyjna zdolność dostrzegania właściwie wszędzie nieodwołalności i automatyzmu przemocy. Dlatego, jak sądzę, nie będzie nieporozumieniem określenie twórczości Lebensteina, szczególnie tej późnej, mianem ironicznego komentarza do postoświeceniowego liberalnego mitu głoszącego przyrodzoną dobroć ludzkiej natury, która zbawia się sama.

MACIEJ MAZUREK, ur. 1963, absolwent polonistyki i historii Uniwersytetu Adama Mickiewicza, malarz, poeta, krytyk. Opublikował tomik wierszy *Niejasna obietnica odmiany losu*. Mieszka w Poznaniu.

Kwartalniki, miesięczniki, tygodniki...

BYĆ Z KSIĘDZEM DZISIAJ

Wojciech Bonowicz

Jeszcze nie tak dawno wielu komentatorom sytuacji społecznej w Polsce wydawało się, że fala antyklerykalizmu będzie w naszym kraju przez najbliższe lata tylko wzbierać. Tymczasem w ostatnich miesiącach zaobserwować można tendencję odwrotną: nawet jeżeli w mediach krytykuje się wypowiedzi czy postępowanie poszczególnych hierarchów i księży, to krytyce tej coraz częściej towarzyszy zrozumienie, a nawet sympatia, unika się generalizowania w rodzaju „Kościół to czy Kościół tamto”, pojawiają się elementy konstruktywne. Nawet sprawy tak bolesne, jak odmowa pogrzebu liturgicznego profesora Deca, zostały przez opinię publiczną przyjęte w sumie dość spokojnie – zaczęła ona bowiem dostrzegać i oswajać się z faktem (źle to czy dobrze?), że w niektórych sytuacjach Kościół nie mówi jednym głosem. Nie sposób przecenić znaczenia pielgrzymki Ojca Świętego do Polski – nie tylko jej treści, ale także jej stylu. Nie sposób przecenić i tego, jak Kościół polski zareagował na klęskę powodzi. Wreszcie – kampania wyborcza, w której nareszcie nie poniewierano (na ogół) sumieniami ludzi wierzących. Wszystkie te fakty, a także inne czynniki – wśród których nie najmniejsze znaczenie ma poczucie, że zaczynają się kruszyć moralne fundamenty życia społecznego – „pracują”, jeśli można tak powiedzieć, na konto polskiego księdza.

I wielu księży wprost o tym mówi: „teraz jest nasz czas, nie wolno się wycofywać, przeciwnie, musimy iść między ludzi, którzy potrzebują nas bardziej niż kiedykolwiek”. W warszawskich szkołach średnich przeprowadzono sondaż, z którego wynikało, że największa swoboda wypowiedzi panuje... na lekcjach religii. Wbrew opiniom o upolitycznieniu życia społecznego badania dowodzą, że na przykład prawie 70% studentów „nie interesuje się w ogóle ruchami społecznymi i politycznymi lub też stwierdza, że żadna partia nie jest im bliska” (badania z początku lat 90.; cyt. za: Marian Filipiak, *Młódzież w okresie transformacji*, „Przegląd Powszechny” 9/1997). Młódzież (a myślę, że nie tylko ona) żyje dziś – jak to formułują socjologowie – w świecie raczej mikro niż makro, życie społeczne warto-

ściując z perspektywy bezpośrednich kontaktów międzyludzkich. Tu otwiera się obszar dla duszpasterzy gotowych „towarzyszyć” wiernym – żyć nie „na plebanii”, ale pośród świeckich. „W Kościele”, mówi ks. Mieczysław Maliński (*Parafialny omnibus*, „Tygodnik Powszechny”, 37/1997), „zawsze była taka zasada: jeżeli nie ma kto chwycić się za robotę – chwyta się za nią Kościół. (...) za to, co dzieje się z młodzieżą, również i my, księża, jesteśmy odpowiedzialni. Chłopcy i dziewczęta piją, wszczynają awantury, zaczepiają ludzi, a nawet zabijają, bo się nudzą. To nieprawda, że oni nie przyjdą do parafii... Jak będą mieli dokąd przyjść, to przyjdą.”

Czego zatem ludzie oczekują od księży? Badania socjologiczne przeprowadzone przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego SAC w Warszawie w roku 1996 pokazały, że młodzież najbardziej ceni w księżach „dobry stosunek do wszystkich ludzi” (28% badanych) i „gorliwość w pełnieniu służby Bożej” (16,7%), zarzuca im natomiast „materializm i chciwość” (39%), „brak tolerancji” oraz „zacofanie, ciasne poglądy” (po 9%). Komentując te dane Witold Zdaniewicz SAC (*Dzisiejszy ethos kapłana*, „Ethos” 38-39/1997) zwraca uwagę, że „poziom religijności badanej młodzieży nie przedstawiał się pozytywnie. Wydaje się jednak, że młodzież ta zachowała wrażliwość na *sacrum* i właściwe wyczucie kapłańskiego ethosu.” Badania te dowodzą też, że oczekiwania w stosunku do księży nie są wygórowane: dopiero na dalszych miejscach wśród zalet kapłana wymieniano wykształcenie i „dostosowanie się do współczesności”. Wynikać z tego może, że w księdzu ceni się bardziej „inteligencję ducha” i „inteligencję serca” – to, czego wartość można sprawdzić w skali mikro. Albo inaczej – że jego wiedzę, talenty organizacyjne czy kaznodziejskie ceni się tylko wówczas, jeżeli „sprawdzi się” on jako człowiek i jako świadek. Dziś, zauważa Józef Augustyn SJ, „jako kapłani winniśmy bardziej przyjmować postawę pasterzy i proroków niż działaczy społecznych” (*Formacja do kapłaństwa dzisiaj*, „Ethos” jw.). Cytując dokument *Pastores dabo vobis*, znany duszpasterz podkreśla konieczność „formacji ludzkiej” kapłana – tak aby „jego posługa była po ludzku [podkr. W.B.] jak najbardziej wiarygodna i łatwa do przyjęcia”.

O tym, że od księdza nie oczekuje się dziś „cudów”, świadczy też dyskusja, jaka miała miejsce na łamach „Gościa Niedzielnego”, poświęcona polskiemu kaznodziejstwu. Według otwierającego dyskusję ks. Artura Stopki wierni skarżą się często, „że zamiast rzetelnych, dobrze przygotowanych i »przemodlonych« kazań, które porwałyby słuchaczy przede wszystkim zawartym w nich świadectwem, [księża] wygłaszają płytkie »homilijki«, będące powtórzeniem – o wiele uboższym językiem – treści przeczytanej przed chwilą perykopy ewangelicznej”. Autor zastrzega przy tym, że mówić należy „nie tylko o kryzysie kaznodziejstwa, ale także o kryzysie słuchania” (nr 37/1997). Głosy polemistów skupiły się na obu tych sprawach. Z jednej strony zwracano uwagę, że treść kazań dowodzi, iż niektórzy księża nie czytają dokumentów papieskich, nie znają encyklik i nie śledzą „aktualnie toczących się ważnych dla społeczeństwa debat”, oraz że przepowiadanie

nie oparte na rzetelnych studiach teologicznych staje się po prostu „bełkotem” (zob. 40/1997). Z drugiej – podkreślano, że oczekiwania wobec kaznodziei są nieraz krańcowo sprzeczne: jedni chcą, by „nazywał rzeczy po imieniu”, mówił prawdę bez ogródek, inni oczekują otuchy, podniesienia na duchu i uważają, że „nie można tak otwarcie mówić o boleściach i słabościach ludzkich”, wreszcie są i tacy, którzy niczego nie oczekują i przychodzą z nastawieniem, że „liturgia i kazanie to czas, który muszą stracić” (zob. 39/1997). W podsumowaniu (*Zapotrzebowanie na Słowo*, 43/1997) ks. Stopka także zwrócił uwagę na to częste „rozmijanie się” treści (i formy) przepowiadania oraz oczekiwań wiernych. Słuchający chcą przede wszystkim praktycznych wskazówek – „jak żyć?” – ale także kazań, które w przystępny sposób wzbogacą ich wiedzę religijną („Podejmowane przez niektórych duszpasterzy próby wygłaszania cykli kazań poświęconych jednemu szerszemu zagadnieniu spotykają się z wielką aprobatą i licznym udziałem wiernych”). Chcą mieć przy tym poczucie, że słowa są kierowane rzeczywiście do nich, dlatego oczekują przekazu zrozumiałego, a nie wygłaszanego tylko „na większą chwałę Bogu”. „»Mówić krócej, ale przygotowywać się dłużej« – taką receptę proponuje kaznodziejom jeden z Czytelników, a inny dodaje: »Niech kaznodzieja ufa, że słowa głoszone z uszanowaniem będą uszanowane, nie padną na posadzkę kościoła i nie będą wymiecione, lecz trafią do serc i przyniosą owoc obfity.«”

Temat diskutowany na łamach „Gościa” (i nie tylko) „wywołała” Bożena Matuszczyk publikując w „Więzi” (7/1997) artykuł o *Siedmiu grzechach polskiego kaznodziejstwa*. Wedle autorki są to kolejno: negatywizm (silnie nacechowany negatywnie obraz świata), normatywizm (nadużywanie słownictwa normatywnego – „trzeba”, „należy”, „powinien”, „musi”), brak zainteresowania codziennym życiem wiernych, ich powszednimi problemami („sprawy codzienne” są przeciwstawiane sprawom wiary i religii), brak konkretnych wskazań i wzorców postępowania (zamiast konkretnych rad słuchający otrzymują ogólnikowy frazes), doktrynalizm (kazanie przestaje być „wezwaniami zbawczymi”, a zamienia się w teologiczny wykład), niekomunikatywność (grzech szczególnie ciężki, bo powodujący, że sprawy wiary stają się dla ludzi sprawami, których „nie da się zrozumieć” i które wobec tego nijak się mają do realnego życia), wreszcie – brak wyraźnie zarysowanego tematu (kaznodzieja, który wie dokładnie, co i dlaczego chce powiedzieć, nie wpadnie w słowotok). U podstaw tych wszystkich grzechów leży jednak chyba zaniedbanie największe, o którym mówi inna badaczka języka kazań, Dorota Zdunkiewicz-Jedynak (*Odpowiedzialność za słowo* – wywiad dla „Tygodnika Powszechnego” 29/1997): „Najważniejszy w kazaniu, jak w każdym innym rodzaju komunikacji językowej, jest jego wymiar etyczny. To znaczy takie budowanie relacji między kaznodzieją a słuchaczem, by słuchacz czuł się uznany jako osoba [podkr. W.B.]. W sposób niezwykle potrafi osiągnąć to Jan Paweł II. Nawet wówczas, gdy czyni nam największe wyrzuty. (...) Słuchamy wtedy, gdy mamy zaufanie do mówiącego oraz gdy mówca szanuje nasze

poglądy, nie lekceważy ich, nawet jeśli nie są one do końca usprawiedliwione. Często zapominamy – i to dotyczy nie tylko języka kaznodziejskiego – że zrozumienie intencji naszego rozmówcy czy nawet przyjęcie jego sposobu rozumowania nie zawsze musi łączyć się z akceptowaniem, usprawiedliwianiem tego, co on robi. To są dwie zupełnie różne sprawy.”

Ktoś opowiadał mi o wrażeniu, jakie zrobiło na nim dziecko, które w zakrystii po mszy zapytało odprawiającego ją kapłana: „Dlaczego ksiądz nie ucieszył się, że przyszedliśmy?” No właśnie – dlaczego na mszy ma się niekiedy takie wrażenie, jakby księdzu nie zależało na naszej obecności, na naszym skupieniu, naszej modlitwie, naszych uczuciach? Dlaczego nie cieszy się, że jesteśmy? Dlaczego tego nie okazuje? Dlaczego księża nie okazują, że cieszą się, iż co niedzielę staje przed nimi kilkanaście milionów Polaków? Wiem, że pisząc tak również popełniam grzech swoistego negatywizmu; ale wiem też, że nie ja jeden mam podobne wrażenie...

Można zapytać, czy negatywizm języka kazań nie ma swojego źródła w negatywnym nastawieniu kapłana do świata. Nie ośmieliłbym się wyrzucić księżom, że „boją się świata”, bo sam także się go boję. Rzecz jednak w tym, żeby ów lęk nie zamienił się w niechęć, nieufność, nienawiść. Jaką zatem postawę przyjąć wobec „złego świata”? To zależy od „przedrozumienia” człowieka oraz „przedrozumienia” natury zła, które uwiło sobie gniazdo w człowieku – pisze ks. Józef Tischner w eseju *O kapłaństwie i złym świecie* („Tygodnik Powszechny” 27/1997). Autor przywołuje dwie sceny z Biblii – Abrahama, który perswaduje Bogu zamiar zniszczenia Sodomy i Gomor, oraz apostołów proszących Jezusa, aby rzucił ogień na miasta, w których ich nie przyjęto. „Biblijne miasto – to człowiek. Człowiek jest mieszaniną pszenicy i kłokolu, dobra i zła. Kapłan, który widzi tę mieszaninę, może wołać: »rzuć ogień«. Albo może wołać: »Boże, powstrzymaj swój gniew. Może jest tam dziesięć, a może pięć procent uczciwości?« Nie ma dnia, by kapłan nie stawał przed takim wyborem. Kapłańskim losem jest szczególnie »albo-albo«: albo być oskarżycielem, albo obrońcą człowieka. (...) Kto mówi »rzuć ogień«, ten widzi w człowieku przede wszystkim nosiciela zła. (...) Człowiek jest kłamcą, któremu niekiedy przydarzy się powiedzieć prawdę; jest zdrajcą, któremu czasem przydarza się dochowywanie wierności; jest mistrzem skrywania i przeinaczania pożądań. (...) Nie ulegajmy zatem iluzjom. To sam szatan pozwala na istnienie pszenicy. Po co? Po to, by mógł na niej pasożytować jego kłokol. Nietrudno wyobrazić sobie przeciwną wizję człowieka i jego zła. Tylko dobro jest »substancją«, a zło »iluzją dobra«. Człowiek jest z natury prawdomówny, a jeśli kłamie, to w jakimś stopniu wbrew sobie; człowiek jest z natury wierny, a jeśli czasem bywa niewierny, to właściwych źródeł niewierności trzeba poszukać poza nim. Owszem, to prawda, człowiek przybiera maski, ale maski te, jeśli się dobrze przyjrzeć, są wyrazem jego najgłębszych pragnień, wśród których na pierwszym planie znajduje się pragnienie dobra. (...) Nie znaczy to jednak, by zło nie było

»rzeczywiste«. Zło staje się o tyle rzeczywiste, o ile człowiek udziela mu coś ze swojej własnej rzeczywistości.”

Kapłan staje przed dylematem: jaką postawę przyjąć wobec człowieka, który stał się nosicielem zła, aby nie powodować zgorznienia i równocześnie aby, niszcząc kąkol, nie naruszyć pszenicy? Odpowiedzią jest właściwe rozumienie nawrócenia. „Idzie o to, by człowiek sam zrozumiał, iż nie powinien rzeczywistością swego własnego bytu udzielać rzeczywistości »niebytowi«, jakim jest zło. (...) Dobro ma naturę światła: rozchodzi się samo przez się, jeśli tylko nie stawia mu się przeszkód. Tylko zło potrzebuje »napędu«, aby się pomnażać. Napędem tym jest zazwyczaj strach. »Mowa budująca« nie straszy, lecz dodaje odwagi, nie poniża, lecz podnosi na duchu, nie oskarża, lecz broni. (...) Ale to nie wszystko. Mowa budująca jest również modlitwą »wstawiennictwa za grzeszników«. (...) Trzeba wiedzieć, że wstawiennictwo to coś więcej niż prośba; jest to przede wszystkim gotowość do »nadstawiania karku« za grzesznikami. W ewangelicznym kapłaństwie nie chodzi o to, ile ognia potrafi kapłan ściągnąć z nieba na głowy grzeszników, ale o to, za iloma potrafi »nadstawić kark«. Ewangeliczne kapłaństwo dopełnia się na krzyżu. Wstawiennictwo słowne staje się rzeczywistą śmiercią za grzeszników.”

Wypada tu dodać, że księży może mniej grzeszyliby negatywizmem, gdyby nie postawa części wiernych. Nierzadko to oni najgłośniej domagają się, by obrażany Bóg „rzucił ogień” albo żeby przynajmniej z ambony „padły gromy”. Może wcale nie chodzi im o Boga? Jeżeli słońce wschodzi jednakowo nad złymi i nad dobrymi, tym gorzej dla słońca... A przecież większość z nas, jak sądzę, oczekuje od kapłana, by był znakiem pokoju, by „dźwigał nasze słabości”, by modlił się nieobłudnie i głosił Dobrą Nowinę. Dlaczego mu o tym nie powiemy? A jeśli czujemy, że między nami a nim wyrasta mur obcości, niezrozumienia, uprzedzeń, dlaczego pierwsi w ten mur nie uderzymy?

„Wielkie są kapłańskie tragedie”, pisze ks. Piotr Pawlukiewicz na łamach cytowanego tu już „Ethosu” (*Jakim Kościołem jesteśmy? Autorefleksja na głos*; jest to fragment książki *Porozmawiajmy spokojnie o księżach*). „Przecież każdy ksiądz stanie kiedyś przed swoim Mistrzem na sądzie ostatecznym, a On zada mu pytanie: jak pasłeś moje owce? I na pewno dla niektórych będzie to trudna rozmowa. (...) Bardzo mocno wierzę w to, że każdy ksiądz, nawet ten zagubiony, kiedy przed laty leżał krzyżem na posadzce w katedrze w czasie swych święceń, chciał naprawdę służyć ludziom. (...) z głową pełną pomysłów i nadziei jechał na swoją pierwszą parafię. A potem zdarzało się, że gdzieś się pogubił... Dlaczego? Bóg to wie. Może w tym było dużo jego winy, lekkomyślności, zaniedbania pracy duchowej? A może nie tylko?”